



fabryka słów®  
WYDAWNICTWO



**ADAM PRZECHRZTA**

**DEMONY  
ZEMSTY**

**АВАКУМОВ**

# ADAM PRZECHRZTA



# DEMONY ZEMSTY ABAKUMOW

Ilustracje  
Paweł Zaręba

fabryka słów®

Lublin - Warszawa

COPYRIGHT © BY Adam Przechrzta  
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2019

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-439-1

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski,  
Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE Sergei Shikin

PROJEKT OKŁADKI Konrad Kućmiński | Grafficon

ILUSTRACJE Paweł Zaręba

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Katarzyna Pawlik, Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
tel./faks: 22 7212519  
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.  
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a  
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 5242519  
[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)  
e-mail: [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)  
[www.facebook.com/fabryka](https://www.facebook.com/fabryka)  
[instagram.com/fabrykaslow](https://www.instagram.com/fabrykaslow)

# Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Cykl Wojenny Adama Przechrztzy

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Zwroty i ciekawostki

Okładka

## **Cykl Wojenny Adama Przechrztzy**

1. Demony Leningradu
2. Demony wojny, cz. 1
3. Demony wojny, cz. 2
4. Demony czasu pokoju
5. Demony zemsty. Abakumow

*Poświęcam Arturowi*

## Rozdział pierwszy



**P**oliakow uniósł dłoń i zastygł w bezruchu, obserwując sekundnik zegarka. Mimo swoich rozmiarów lotniczy schaffhausen, jeden z tych, co to pokazują nawet kwadry księżyca, na masywnym łańsku generała wyglądał jak dziecięca zabawka.

Podarowałem mu go niedawno, na urodziny. Czasomierz robił wrażenie, u nas takiego nie kupisz, mimo że był – dosłownie! – z drugiej ręki. Jego poprzedni właściciel, pewien oberst o arystokratycznym rodowodzie, spał snem wiecznym w zbiorowej mogile pod Stalingradem.

– Uwaga! – zawołał Poliakow.

Sylwetkę oficera natychmiast oświetliły wypożyczone z pobliskiego teatru reflektory.

– *Pli!* – krzyknął.

Strzeliły korki, trysnęły w górę strugi szampana. Zakląłem cicho, obsypany płatkami konfetti przez jednego z rozochoconych biesiadników.

– *S Nowym Godom!*

Podniosłem się niechętnie i z wymuszonym uśmiechem – ostatnio nie miałem zbyt wielu powodów do radości – spełniłem toast. Mimo wszystko miałem nadzieję, że nowy, tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty pierwszy rok będzie dla mnie łaskawszy od poprzedniego. Po chwili otoczyli mnie przyjaciele i podwładni: Maksimow, Dima Bugrowski, Katia Romanienko, Starcew...



Wymieniałem uściski i życzenia z ludźmi, którzy nie raz i nie dwa ratowali mi skórę, czułem na policzku delikatne muśnięcia kobiecych warg, jednak wewnętrzny chłód nie znikał. Byłem wśród swoich, bezpieczny, a mimo to nie potrafiłem dzielić z innymi świątecznego nastroju.

– Trzymaj!

Poliakow przedarł się przez tłum i energicznym gestem wręczył mi szklanę wódki.

– Szczęśliwego Nowego Roku! – powiedział cicho. – *Nie grusti!*

Przymknąłem oczy, pociągnąłem długi łyk. Chłodna struga obmyła moje gardło, eksplodowała ogniem w żołądku. Moskowskaja.

– Wzajemnie – mruknąłem.

Poliakow klepnął mnie pocieszająco po ramieniu i zanurkował w ciżbę. Nic dziwnego, miał na głowie nie tylko pułkownika Razumowskiego, ale całą Moskwę, włączając w to MUR. A kierowanie *Moskowskim Ugołownym Rozyskom* to nie synekura. Już dwa lata minęły, kiedy Szołkin przeszedł do pracy w aparacie partii, zwalniając tym samym stanowisko naczelnika moskiewskiej milicji, co zaowocowało serią awansów, w tym generalską gwiazdą dla Poliakowa. Od tej pory „Polak” pełnił oficjalnie funkcję szeryfa miasta Moskwy, z przysługującą temu stanowisku rangą generała-majora, czy używając obowiązującej nomenklatury – komisarza milicji trzeciej rangi.

Niespodziewanie ktoś wziął mnie pod rękę, poczułem zapach kobiecych perfum i lekki, niemal nieuchwytny aromat szampana. Dużo lepszego szampana niż ten, który podawano na sali. Nieznajoma mogła mieć trzydzieści, góra trzydzieści pięć lat, czerwona jak wino krepdeszynowa suknia nie kryła apetycznych krągłości, a lekko skośne brązowe oczy patrzyły figlarnie spod przymrużonych powiek. Zebrane w kok jasne włosy podtrzymywała szylkretowa zapinka.

– Napije się pan ze mną, pułkowniku? – spytała, podając mi

kieliszek.

– A wy, towarzyszeko, z jakiego wydziału? – odparłem i skosztowałem trunku.

Miałem rację, to nie było wino z bąbelkami sprzedawane klasie robotniczej pod dumną nazwą szampana, ale prawdziwy Veuve Clicquot.

– Mam na imię Irina – przedstawiła się, podając mi dłoń. – Możecie mi mówić Ira. Jestem tu nowa, na razie się rozglądam – dodała z udawaną powagą.

Roześmiałem się mimo woli, a to kokietka! Żeby dostać się do MUR-u, trzeba było posiadać odpowiednie wykształcenie, rekomendację organizacji partyjnej i załatwić sto innych formalności. I nikomu nie pozwalano „się rozglądać”, każdy otrzymywał konkretny, ściśle określony przydział.

– Jesteście córką... – zawiesiłem głos, wymownie pokazując palcem w górę.

– Nieślubną – szepnęła mi w ucho. – To co? Do dna?

– Do dna!

Zadźwięczało trącone szkło, wypiliśmy, po czym Ira pocałowała mnie pachnącymi szampanem wargami.

– Szczęśliwego Nowego Roku – powiedziała z dziwną powagą.

Chciałem o coś zapytać, może poprosić o adres, ale dziewczyna zniknęła już w kłębiącym się wokół tłumie. Wyciągnąłem rękę, żeby złapać ją za ramię, lecz w tym samym momencie napotkałem wzrok Lizy Wierchońskiej. Choć Liza była moją podwładną – już ponad rok kierowałem wydziałem śledczym MUR-u, rozmawialiśmy tylko w sytuacji absolutnej konieczności. Kilka miesięcy temu rzuciła mnie dla znanego poety Sawy Galicza. Zastanawiałem się nawet, kiedy ostatecznie zrezygnuje z munduru. Mieszkała teraz w luksusowym domu przeznaczonym dla partyjnych bonzów, niedaleko Arbatu, a do pracy przywoził ją szofer.

Zacząłem się odwracać, wtedy Liza uniosła dłoń, więc

zatrzymałem się w pół ruchu. Co by nie mówić o major Wierchońskiej, nigdy nie zawracała mi głowy babskimi fanaberiami. Czyżby coś się stało? Tylko co? Toż mamy Nowy Rok. Na straży prawa i porządku stoi grupka starannie wyselekcjonowanych nieszczęśników, którzy podpadli czymś mnie albo Poliakovowi. Reszta może się bawić...

– Saszka, musimy porozmawiać – oznajmiła z wyraźnym zakłopotaniem.

– Słucham – westchnąłem, szukając wzrokiem Iriny.

Przez moment wydało mi się, że dostrzegam ją przy wyjściu, ale niby dlaczego miałyby rezygnować z zabawy, zanim ta rozkręciła się na dobre? Nie podano nawet jeszcze głównego dania, a kuchnia MUR-u budziła zazdrość innych resortów. Nasze prawo należy do najbardziej restrykcyjnych na świecie, nietrudno się potknąć, a wówczas wyrozumiałość milicji jest na wagę złota. Stąd niejeden miał powód, aby się nam odwdzięczyć, w tym i dysponenci produktów przeznaczonych dla partyjnej elity czy szefowie restauracji. Taaak, nie ulegało wątpliwości, że wyżerka będzie przednia.

– Chcą cię w coś zrobić – powiedziała, nie patrząc mi w oczy. – To poważna sprawa, szukają osób, które świadczyłyby przeciw tobie. Czort wie, do czego się posuną, jeśli im nie wyjdzie.

– Co znowu?! – odburknąłem. – Kto chce mnie zrobić?

– Nie wiem – odparła krótko.

Zmarszczyłem brwi: w tonie Lizy było coś, co sugerowało, że dziewczyna nie mówi mi wszystkiego. Co więcej, jej głos podszyty był nutą niepokoju, a może słabości? A major Wierchońska nie należała do płochliwych.

– Skąd ta informacja?

– Nie wie... Nie mogę powiedzieć.

– Więc co mi to da? – spytałem gorzko. – To ostrzeżenie? Nawet jeśli to prawda, bo przecież zdaję sobie sprawę, że wielu chętnie zobaczyłoby, jak gryzę ziemię, jak mam się bronić przed nie

wiadomo kim?

Liza zagryzła wargi, coś błysnęło na jej policzku, ale potrząsnęła uparcie głową.

– Przepraszam – szepnęła.

Zanim zdążyłem zareagować, odwróciła się i odeszła. Ech, coś nie miałem dzisiaj szczęścia do kobiet...

– *Komandir!* – zawołał od stolika Bugrowski. – Zapraszamy!

Cóż było robić? Przysiadłem się i sięgnąłem po podsunięty kieliszek wódki, zakąsiłem plasterkiem znakomitej szynki. Kelnerzy uwijali się już po sali, lawirując pomiędzy zwisającymi z sufitu serpentynami.

Dima popatrzył na mnie z troską, po czym dolał alkoholu. Mało co umykało poecie Bugrowskiemu, na pewno zauważył, że zamiast bawić się jak inni, siedzę niczym na pogrzebie. Kto inny zaproponowałby pomoc albo chociaż wyraził współczucie, ale Dima znał mnie zbyt dobrze, aby zrobić coś takiego. Kiedyś Poliakov opowiedział mi o specyficznej kaście wśród więźniów, ludziach, których nazywano *odin na ldinie*. Ci nie bratali się ani z bandytami, ani z „frajerami”, nie współpracowali też z administracją. Samotni w tłumie. Jak ja: sam na krze...

Wychyliłem kolejny kieliszek, zaszumiało mi w głowie. Czyżbym tracił odporność na stare lata? Bo przecież wypilem tyle co nic.

– Zjedz coś, Saszka – powiedziała Katia Romanienko. – To zalecenie lekarza.

Kapitan Starcew rzucił dowcip na temat pacjentów Katii – panna Romanienko była medykiem sądowym – za co oberwał łokciem pod żebro i dziewczyna zarekwirowała mu szklanę z wódką. Odpowiedziałem zmęczonym uśmiechem i posłusznie nałożyłem na talerz kawałek wędzonej kiełbasy. O dziwo, nie odczuwałem apetytu, choć jeszcze godzinę temu ślina mi ciekła na samą myśl o jedzeniu.

– Nie masz czasem gorączki? – spytała Katia zaniepokojona.

Dotknęła mojego czoła, po czym zmarszczyła brwi w wyrazie niezdecydowania.

– Temperatura niby normalna, ale wyglądasz niewyraźnie. Może się przeziębiłeś?

– Wódeczki? – zaproponował dziarsko Starcew.

Nie czekając na odpowiedź, nalał mi okazałą porcję. Do szklanki.

– Pewnie nie zaszkodzi – mruknąłem bez entuzjazmu.

Zaczynało mnie łupać w skroniach. Migrena czy co? A może to kwestia wieku? Było nie było, przekroczyłem czterdziestkę...

Opróżniłem szkło dwoma haustami, zagryzłem kiełbasą. Wędlina była znakomita, widać, że nie szykowano jej dla zwykłych śmiertelników, wódka też niczego sobie, lecz znienacka dopadła mnie jakaś słabość, poczułem, że brakuje mi tchu. Ki diabeł? Toż nie jestem jeszcze dychawicznym staruszkiem.

Nieoczekiwanie Dima Bugrowski poderwał się z krzesła, a na jego miejscu usiadł Poliakov. Wystarczył dyskretny gest generała i w chwilę później zostaliśmy sami.

– Nie wzięłbyś miesiąca albo dwóch urlopu? – zapytał.

Parsknąłem śmiechem; przez ostatnie trzy lata wykorzystałem może z tydzień wolnego, bo zawsze było coś do załatwienia. I nic dziwnego, pracownicy MUR-u rozwiązywali najtrudniejsze, najbardziej skomplikowane sprawy, z jakimi nie mogli poradzić sobie zwykli milicjanci. W wydziale śledczym o urlopach mówiono tak często jak o krasnoludkach – oba pojęcia były równie abstrakcyjne.

– To jakiś dowcip?

– Nie – odparł ponuro Poliakov. – Mam... prośbę. To sprawa osobista, dlatego najlepiej byłoby załatwić ją nieoficjalnie.

– No, gadaj! – ponagliłem. – O co chodzi?

Zamiast odpowiedzieć, generał bezceremonialnie zgarnął moją szklankę, napełnił, po czym wychylił duszkiem. Na jego czole ukazały się krople potu. Wiedziałem, ile potrafił wypić,

więc rzecz nie w alkoholu, postrach moskiewskich bandytów był zdenerwowany. Kurewsko zdenerwowany.

– To musi zostać między nami – zastrzegł.

– Mam ci dać słowo komunisty? – burknąłem zniecierpliwiony.

– Przepraszam – wymamrotał. – Ja... – Machnął z rezygnacją ręką, o mało nie strącając talerza. – Mam córkę – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Nikt o tym nie wie, jej matka zmarła w trzydziestym ósmym. Nie mogłem się nią zajmować, miałem wtedy zbyt wielu wrogów i każdy z nich z przyjemnością wykorzystałby Adę przeciwko mnie. O ile nie gorzej...

Skinąłem głową ze zrozumieniem. Pamiętałem czasy, kiedy mój przyjaciel walczył z moskiewskimi generałami. Dawno minione czasy. Teraz wrogowie „Polaka” spoczywali na kilku okolicznych cmentarzach, prawda, że prestiżowych.

– Dlatego wylądowała w domu dziecka – kontynuował. – Zatroszczyłem się, żeby nie w pierwszym lepszym, ale mogłem ją tylko obserwować z daleka.

– Ile ma lat?

– Dwadzieścia trzy. I jest świeżo upieczonym podporucznikiem milicji.

– Żartujesz!

– Nie.

– Chcesz, żebym ją wziął do siebie?

– To bardzo kuszące, ale Ada dostała przydział na prowincję. Listwianka to niewielka miejscowość niedaleko Irkucka – dodał wyjaśniająco. – Jeśli ściągnę ją do Moskwy, od razu wzbudzi zainteresowanie, a tego wolałbym uniknąć. Teraz panuję nad sytuacją, ale trudno przewidzieć, co będzie za rok czy dwa. Nadchodzą ciężkie czasy.

Mruknąłem potakująco. Ostatnio zdrowie towarzysza Stalina coraz bardziej szwankowało i dla nikogo nie było tajemnicą, że jego dni są policzone. Jak nie dziś, to jutro, jak nie za rok, to za dwa. A Rosja to nie Zachód, tu władzy nie bierze się po

demokratycznym głosowaniu, ale wyrywa ją z zaciśniętych rąk martwych konkurentów. Partyjne wilki od dawna szykowały się do ostatecznej rozgrywki i chociaż nikt nie mógł przewidzieć, kto wygra, jedno było pewne – poleje się krew. Nie najlepszy czas dla młodej dziewczuszki. Tym bardziej że i ja, i Poliakov wybraliśmy już stronę. Jeśli przegramy, nikt nie okaże nam litości.

– No dobrze, więc czego chcesz? – spytałem.

– Wiesz, że kobiety na stanowiskach operacyjnych to nadal rzadkość?

– Uhm.

– A ona wyraźnie chce iść tą drogą.

– No dobrze, ale skoro Listwianka to taka wiocha, co może jej grozić? Od czasu do czasu zapuszcza jakiegoś pijaczka albo złapie złodzieja damskich majtek i tyle. – Wzruszyłem ramionami.

– Niby tak, ale... – Poliakov skrzywił się, jakby rozgryzł cytrynę.

Ponagliłem go niecierpliwym gestem.

– Widzisz, tam nie zawsze było tak spokojnie. Kiedy dowiedziałem się, że Ada ma kierować miejscowym komisariatem, przetrząsnąłem archiwa i wypłynęła pewna bardzo nieprzyjemna sprawa. Dziesięć lat temu w Listwiance zaczęły ginąć dzieci. Najpierw trójka w odstępie kilku miesięcy, później, po paru latach, jeszcze dwoje. Być może więcej, bo nie miałem czasu grzebać w papierach, a wiesz, że takie sprawy często zamiata się pod dywan. Dochodzenie prowadzili śledczy z obwodu, ale niczego nie wykryli. Żadnych śladów, zwłok, nic.

– I co?

– Sprawę zamknięto, a niedawno znowu zniknęło dziecko. Co prawda dwóch wędkarzy widziało unoszone prądem Angary ciało, ale obaj byli pijani w sztok. Zresztą gdyby nawet mieli rację, niekoniecznie był to zaginiony dzieciak. Od Listwianki do Angary kawałek drogi, a Wowa Mikulin miał tylko osiem lat.

– Mógł złapać jakiś samochód albo furę. W tej dzicy ludzie są pewnie dużo bardziej uczynni niż w Moskwie. A jeśli chłopaczek wbił sobie coś w głowę...

– Wiem! Teoretycznie możesz mieć rację – przerwał mi Poliakow. – Teoretycznie. Tylko że coś mi tu śmierdzi, za dużo zbiegów okoliczności. Sam wiesz, jak jest.

Wiedziałem. W naszym szczęśliwym państwie seryjne morderstwa się nie zdarzały. Nie miały prawa – tak mówił partyjny dogmat. Podobne zbrodnie mogły występować jedynie w zgniłym kapitalizmie, ale nie u nas. Nie i już. Milicjant, który ośmieliłby się zameldować przełożonym o działającym latami maniak-zabójcy, miałby szczęście, gdyby tylko zerwano z niego pagony. Bo były i inne opcje.

– To jeszcze nie wszystko – westchnął Poliakow. – Trzydzieści kilometrów od Listwianki znajduje się kopalnia „Czerwony Sztandar”. Podobno ktoś kradnie część urobku. Donosy dotarły gdzie trzeba i na dniach zwali się tam ekipa z GB.

Uniosłem brwi, mój przyjaciel użył skrótu nazwy *Gosudarstwiennaja Biezopasnost'*, powszechnie stosowanego przez milicjantów chcących zdystansować się od typowo bezpieczniejszej działalności MGB, kilka lat temu milicję przekazano z MSW do Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego.

– Złoto? – rzuciłem domyślnie.

– Przecież nie węgiel! Do tego ta idiotka nie potrafi siedzieć cicho i zawsze coś wywinie. Już raz mało nie wylądowała na zonie.

– A to w jaki sposób?

– W akademii rozdano im akta starych, niewyjaśnionych spraw: morderstwa, gwałty, kradzież mienia państwowego. Same poważne. No więc postanowiła się wyróżnić, głupia koza...

– Kto okazał się sprawcą? – spytałem.

– Sekretarz *rajkomu*.



– Partia czy Komsomoł?

– Partia. Poszłaby za druty, bo gnojek wezwał na pomoc jakiegoś kumpla z *gebe*, ale obiecała, że jeśli pozwolą jej dokonać rewizji, znajdzie dowody winy pana sekretarza w pięć minut. I znalazła. A świadków nie brakowało, więc sam *gebeshnik* aresztował kuma...

– Znacząca zdolniona?

– Niezupełnie. Ona jest... szczególna. Wiesz, co to synestezja?

– Pierwsze słyszę.

– Niektórzy ludzie odbierają rzeczywistość w specyficzny sposób, dotyczy to głównie artystów, choć nie tylko. Potrafią widzieć barwę dźwięków albo na przykład czuć chłód, słysząc konkretne nuty. Niektórzy uważają to za chorobę, inni twierdzą, że to dar. Nieważne. Grunt, że Ada zawsze wie, kiedy ktoś kłamie. Nie można jej oszukać w żaden sposób.

Uniosłem brwi, ale nie skomentowałem, bo i o czym tu gadać? Mało to dziwnych rzeczy na świecie? Teraz zrozumiałem niepokój przyjaciela: taka córka to prawdziwy dopust boży. Uczciwa, bezkompromisowa i przekonana o swoich talentach, na pewno nie cofnie się przed niczym, a jeśli wejdzie w drogę poważnym ludziom, widzenie dźwięków jej nie pomoże. Bo ani złodzieje złota, ani morderca dzieci nie będą mieli nic do stracenia.

– Rozumiem, że urlop mam spędzić na Syberii? – powiedziałem z rezygnacją.

– Nie narzekaj – odparł weselszym tonem Poliakov. – Dostaniesz delegację i zwrot kosztów za przejazd.

– Dzięki wielkie – mruknąłem. – A za ciepłe gacie też mi zwrócisz? Jaka tam teraz temperatura? Minus dwadzieścia?

– Nie marudź. Coś taki skwaszony? Widziałem, że gawędziłeś z Lizą. Jeszcze ci nie przeszło?

– Nie w tym rzecz. No a przynajmniej nie tylko. Towarzyszka Wierchońska była uprzejma ostrzec mnie po starej znajomości.

– Tak?

Zrelacjonowałem krótko moją rozmowę z byłą kochanką. Poliakov słuchał uważnie, na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień, jednak w oczach pojawił się niepokój.

– Co o tym sądzisz? Może powinienem jeszcze raz z nią pogadać?

– To nic nie da. – Pokręcił głową. – Gdyby chciała lub mogła powiedzieć więcej, na pewno by to zrobiła. Zresztą dziś i tak jej nie złapiesz, wyszła, jak tylko skończyliście rozmawiać.

– Co się dzieje z tymi dziewczuchami?! – wybuchnąłem. – Najpierw jedna uciekła, ledwo wypłała ze mną szampana, teraz druga. A w ogóle gdzie skierowali tę nową?

– Jaką, do licha, nową?

– No, tę Irinę czy jak jej tam?

– A, tę.

Generał rozlał wódkę, tym razem do kieliszków, poluźnił kołnierzyk.

– Mówią, że to jakaś krewna Faziłowa, wiesz, tego z Komitetu Centralnego. No i wcisnęli ją nam w ramach akcji „Młodzież wzmacnia szeregi milicji”. Jeszcze trochę takiego wzmacniania i nie będzie komu łapać bandytów. Wypijmy! – rzucił. – Za prawdziwych milicjantów! Do dna!

Wypiliśmy. Jęknąłem, czując przeraźliwy ból w podbrzuszu, szkło wypadło mi ze zdrtwiałych nagle palców.

– Saszka! Co ci jest? Saszka!

– W porządku, to tylko jakieś nerwobóle – odparłem uspokajająco. – Nieszczególnie się dzisiaj czuję.

– Widzisz? – ożywił się Poliakov. – Przyda ci się ten urlop. A w ramach bonusu obiecuję, że panienkę Rodionową oddam kadrowcom, zamiast przydzielić do twojego wydziału.

– Bo ja wiem? Dziewczyna inteligentna, niebrzydka – odparłem z udanym wahaniem w głosie.

– Niebrzydka? Masz gorączkę? Ale na pewno skromna, bo

kiedy z nią rozmawiałem, ukryła inteligencję. Głęboko.

– O czym ty mówisz? Przecież z nią gadałem. Ślicznotka jakich mało.

Poliakow popatrzył na mnie z politowaniem, po czym wstał od stołu.

– Poczekaj tu na mnie – polecił.

Po chwili wrócił, prowadząc pod rękę potężną, niezgrabną dziewczynę.

– Poznajcie się – powiedział. – Irina Rodionowa, pułkownik Razumowski.

Odruchowo uściśnąłem tłustą, serdelkowatą dłoń, próbując otrząsnąć się z zaskoczenia. Prostacka, nalana twarz dziewczyny w niczym nie przypominała rysów kobiety, która poczęstowała mnie szampanem. Sukienki ozdobionej idiotycznym wzorkiem w jodełki na pewno nie kupiono w Moskwie, a jasne, spryskane grubo lakierem włosy panny Rodionowej ułożono w coś, co przypominało kupę siana.

– To nie ona! – powiedziałem stanowczo. – Albo jest jeszcze jedna Irina, albo...

Kolejny spazm bólu zmusił mnie do zgięcia się w pół, z oszołomieniem popatrzyłem na plamiące śnieżnobiały obrus czerwone krople.

– W tym szampanie... Szampan! – wycharczałem, czepiając się stolika.

Kątem oka widziałem, jak Poliakow odtrącił dziewczynę, po czym jednym szarpnięciem postawił mnie na nogi.

– Saszka! To trucizna? Saszka!

Przytaknąłem słabo, nie mogłem mówić, wyschnięty na wiór język przypominał drewniany kołek. Niespodziewanie pięść Poliakowa uderzyła mnie w brzuch z siłą i szybkością nadjeżdżającego ekspresu. Odpłynąłem w ciemność.



Głosy unosiły się i opadały, nie mogłem zrozumieć słów, czasem wyłapywałem jakąś obco brzmiącą frazę: *haematemesis*, *epistaxis*, *insufficiencia cordis*. Spróbowałem otworzyć oczy, ale powieki nawet nie drgnęły, jakby zalano je ołowiem. Powoli, z wysiłkiem przetoczyłem głowę po poduszce, najpierw w lewo, później w prawo. Pot zrosił mi czoło, a skronie przeszła błyskawica bólu. W chwilę później zaczęły do mnie dochodzić zapachy: jodoform, formalina, kamfora. Szpital. Jestem w szpitalu...

Poczułem na ustach drewnianą szpatułkę owiniętą zmoczoną watą, chciwie wessałem wilgoć.

– Co... ze mną? – wyszeptałem.

Chłodna dłoń dotknęła mojego czoła, zmiotła pajęczynę otępienia. Tym razem udało mi się unieść powieki, zamrugalem. Jasne włosy opadały falą na ramiona, niebieskie oczy zmrużone były w wyrazie zatroskania. Pielęgniarka.

– Jestem... po operacji? – spytałem. – I gdzie są ci lekarze?

– Nie – odparła. – Przygotowali was do operacji, ale kiedy krwawienie ustało, profesor Naumow zdecydował, że jeszcze poczeka.

– Poczeka? Na co, u licha? I jakie krwawienie?

Wydęła z dezaprobatą nabrzmiałe, jakby stworzone do całowania wargi.

– Nie krzyczcie – poprosiła. – Najmniejszy wysiłek może was... może spowodować pogorszenie – poprawiła się szybko. – Kiedy was przywieźli, krwawiliście z nosa i uszu, objawy wskazywały też na krwotok wewnętrzny. Profesor Naumow chciał was otworzyć, czasem inaczej się nie da – wyjaśniła, widząc mój wzrok.

– Miał zamiar pogrzebać we mnie i zobaczyć, co mam

w środku? – sapnąłem z niedowierzaniem.

Położyła mi palec na ustach, jej skóra pachniała fiołkami i jodyną.

– Chciał wam pomóc – powiedziała karcąco.

– Krwotok z nosa to jeszcze nie tragedia.

– Ale krwawe wymioty to już powód do niepokoju – zripostowała.

– Brzuch mnie boli, na pewno nikt mnie nie pokroił?

– Nie, to generał Poliakov was uderzył, chciał spowodować torsje. Prawdopodobnie uratował wam życie, bo usunął część trucizny z organizmu.

– Co za trucizna? – wycedziłem przez zęby.

Dopiero teraz przypomniałem sobie noworoczną zabawę. Ira... Ta suczka musiała dodać mi czegoś do szampana! Tylko czego? W jakim jestem stanie?

– Chciałbym porozmawiać z jakimś lekarzem.

– Jest noc, do porannego obchodu jeszcze kilka godzin. Poczekacie.

– Przecież ktoś musi tu dyżurować! Może jednak...

Przerwała mi, znowu kładąc dłoń na ustach, później przejechała po spierzchniętych wargach kłębkim wilgotnej waty.

– Doktor Markow śpi po ośmiogodzinnej operacji. Nie obudzę go – oświadczyła stanowczo.

Spojrzałem na nią ze złością, ale nie wyglądała na wystraszoną.

– Wiecie, kim jestem?

– Pułkownikiem milicji, nazywacie się Razumowski – odparła spokojnie.

Uśmiechnęła się, po czym włożyła mi termometr pod pachę.

– Chyba gorączka wam spada, ale wolę sprawdzić – powiedziała.

– Co to za trucizna? – powtórzyłem. – Przed chwilą słyszałem

lekarzy rozmawiających przy moim łóżku. Mówili coś po łacinie.

– Mówili – przytaknęła. – Wczoraj, w czasie wieczornego obchodu. Byliście długo nieprzytomni, leżycie tu trzeci dzień.

– Gdzie? Gdzie jestem?

– W Sklifie – odparła krótko.

Odetchnąłem z ulgą, Instytut Pierwszej Pomocy imienia Sklifosowskiego cieszył się dobrą opinią. Może postawią mnie na nogi? Choć nie było to wcale takie pewne, nieważne, jak znakomici lekarze by tu pracowali, ktoś chciał mnie zabić. Ktoś znający się na rzeczy. Jeśli potrafił podesłać babę, która podszyła się pod naszą nową pracownicę, wiedział też, że będą mnie leczyć najlepsi medycy. I odpowiednio się zabezpieczył. Albo spróbuje mnie dobić w szpitalu, albo tak dobrał truciznę, że żaden lekarz mi nie pomoże.

– Ochrona – wymamrotałem. – Jest tu jakaś ochrona?

Pielęgniarka poważnie skinęła głową.

– Pilnują was dzień i noc – potwierdziła. – Dwóch ludzi na korytarzu i jeszcze kilku w budynku i przy drzwiach wejściowych. Nic wam nie grozi.

– Możecie... ze mną posiedzieć?

Ściągnęła brwi, zamyśliła się przez chwilę.

– Tak – powiedziała wreszcie. – A wy spróbujcie zasnąć, jesteście bardzo osłabieni.

– Jak wam na imię?

– Nadieżda.

Przestałem walczyć z opadającymi powiekami, rozluźniłem napięte mimowolnie mięśnie. Nadzieja... Może to dobra wróżba? Zasnąłem, czując dotyk kobiecej dłoni na czole.



Mężczyzna mógł mieć między pięćdziesiąt a sześćdziesiąt lat,

dobroduszną, okrągłą twarz zdobiła elegancka bródka, szare jak pochmurne niebo oczy patrzyły uważnie zza szkieł okularów. Profesor Naumow.

– Co z tą trucizną? – ponagliłem po raz kolejny.

Medyk westchnął i znużonym gestem rozmasował skronie. Był naprawdę zmęczony, jednak nie ulegało wątpliwości, że zastanawia się, ile mi powiedzieć.

– Profesorze?

– Orientuje się pan w temacie? – zapytał wreszcie.

– Chodzi o trucizny? Tylko ogólnie. Nigdy nie zajmowałem się tym bliżej, ale wiem nieco więcej niż przeciętny zjadacz chleba.

– Widzicie, towarzyszu, są trucizny i trucizny. Ze względu na charakter naszej placówki spotykamy się z tym na co dzień. Większość przypadków, z jakimi mamy do czynienia, to zatrucie powszechnie dostępnymi substancjami: alkohol metylowy, trutka na szczury, rtęć z termometrów, grzyby i tym podobne. Czasem trafiają się i trudniejsze przypadki, na przykład tal.

Mruknałem potakująco. Związki talu były nie tylko silnie toksyczne, ale i dawały początkowo objawy podobne do zwykłych infekcji. No i atakowały organizm całościowo: system trawienny, mózg, stawy, płuca, serce... Dlatego chętnie używali ich zawodowcy. Czyżby Naumow chciał mi powiedzieć coś poza protokołem?

– Nie byliśmy w stanie ustalić pełnego składu substancji, którą was otruto – kontynuował. – Jednak z pewnością nie było to nic pospolitego ani przypadkowego.

– Nie?

– Nie – potwierdził twardo medyk. – To bardzo skomplikowany, wieloskładnikowy preparat. W zasadzie istnieje antidotum na każdą truciznę, jednak ze względu na stopień komplikacji tego akurat środka ustaliliśmy tylko niektóre składniki, a co za tym idzie nie potrafiliśmy zneutralizować wszystkiego. Gdyby nie generał Poliakov, prawdopodobnie

umarłby pan w drodze do szpitala.

Zmarszczyłem brwi, profesor Naumow to zwracał się do mnie na „pan”, to używał proletariackiego „wy”, tak jakby nie mógł się zdecydować, której formy używać. Przypadek? Przy jego inteligencji – siostrzyczka Nadieżda sugerowała, że to nie byle kto – wątpliwe. Tak więc w czym rzecz? Czyżby medyk czekał na sygnał? Gest wskazujący, po której stronie barykady stoję? Bo nietrudno się domyślić, kto mógłby mnie poczęstować „niepospolitym i nieprzypadkowym” preparatem. Tylko dlaczego Naumow miałby się narażać na zemstę resortu, który budził powszechne przerażenie? Przedrewolucyjne wychowanie? Możliwe, ale pewnie było w tym coś jeszcze, tylko że teraz bym tego nie odkrył, nie w moim obecnym stanie. Co prawda najgorsze otępienie mi przeszło, jednak daleko mi było do szczytu formy.

– Słucham pana, doktorze – powiedziałem, akcentując słowo „gospodin”.

– Słyszałem, że miał pan kiedyś kłopoty z czekistami? – odpowiedział pytaniem.

– A kto ich nie miał?

– Cóż, substancja, jaką pana otruto, została przygotowana w laboratorium, to nie jest chałupnicza robota.

Zakląłem w duchu, a więc jednak bezpieczeństwa. Chyba że to prowokacja. Tylko po kiego czorta? Nawet gdyby pokój nafaszerowano aparaturą podsłuchową, chyba nikt nie spodziewał się, że oskarżę kogoś z nazwiska? Zresztą aresztowanie pułkownika MUR-u to nie przelewki, tu trzeba było mieć twarde dowody. Przystępność nadal wysoka, a towarzysz Stalin wiedział, że nie każdą sprawę można rozwiązać, łamiąc podejrzanym palce i grożąc zesłaniem na Kołymę...

– Dlaczego pan mi to mówi? – spytałem wprost.

– Tysiąc dziewięćset czterdziesty drugi – odparł, przymykając oczy. – Szpital numer siedemdziesiąt cztery. Moja córka tam



pracowała, miała na imię Anna.

Wzdrygnąłem się, poczułem mróz na skórze. To nie były wspomnienia, do których chętnie wracałem.

Anna... Wśród ofiar była lekarka o tym imieniu, znaleźliśmy ją w kałuży krwi, z małym damskim pistolecikiem w dłoni i opróżnionym do ostatniego naboju magazynkiem.

– Dopadł pan tych morderców, pomścił Annę.

– Jakie są rokowania? – zdecydowanie zmieniłem temat.

– Kiepskie – powiedział, patrząc mi prosto w oczy. – Ma pan uszkodzoną wątrobę, serce i płuca, prawdopodobieństwo, że wróci pan do zdrowia, jest bliskie zera.

– Czy mogę coś zrobić, żeby... – nie dokończyłem na widok współczucia na twarzy medyka.

Naumow pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się – stwierdził. – To raczej nieodwracalne zmiany. Problem nie w tym, kiedy pan wróci do zdrowia, ale jak długo pożyje. Nie wolno panu pić alkoholu i się przemęczać. Każdy większy wysiłek fizyczny może spowodować problemy z sercem.

– Co to znaczy? – spytałem z irytacją. – Nie wolno mi biegać? Wchodzić po schodach?

– Każde obciążenie fizyczne trwające dłużej niż dziesięć, może dwadzieścia sekund spowoduje utratę przytomności i inne komplikacje. Być może śmiertelne.

– A dokładniej?

– Przykro mi, nie mam żadnego porównania, nie spotkałem się wcześniej z takim przypadkiem.

Podziękowałem profesorowi, wzdychając ciężko, cóż, przynajmniej był szczery. Usiadłem, aby poprawić poduszkę, zakłuło mnie w piersiach, przed oczyma zatańczyły czerwone plamy, przez dłuższą chwilę nie mogłem złapać tchu. Najwyraźniej Naumow miał rację, szlag by to...



Stąpałem ostrożnie, cały czas dotykając jedną ręką ściany. Na domiar złego męczyły mnie zawroty głowy. Siostra Nadia asekurowała mnie z drugiej strony, ale nie miałem złudzeń – w razie czego nie dałaby rady mnie podtrzymać, nie ta kategoria wagowa.

Dotarłem do łóżka spocony i zdyszany, jakbym przebiegł z dziesięć kilometrów z obciążeniem. Nadieżda oczywiście protestowała, jednak nie miałem zamiaru zmieniać przyzwyczajzeń i chodzić do kibla w towarzystwie, a tym bardziej korzystać z basenu.

– Przynieść wam śniadanie? – spytała.

– Dawaj – powiedziałem bez entuzjazmu.

Po kilku dniach byłem już z siostrzyczką Nadią po imieniu, rzecz jasna, jednostronnie.

Z rezygnacją sięgnąłem po łyżkę, nigdy nie przepadałem za kaszką na mleku, ale ostatnio i tak nie miałem apetytu. Wnioskując po tym, że spodnie od piżamy zaczęły mi opadać na biodra, pewnie schudłem parę kilogramów.

– Dodałam miodu – szepnęła Nadia.

Podziękowałem skinieniem głowy. Mimo że wojna dawno się skończyła, w kraju – jak zwykle! – brakowało jedzenia. Miód dawano jedynie najciężej chorym, z polecenia lekarza. Choć biorąc pod uwagę mój stan, pewnie mi się należało...

– Nie jesteście zmęczeni?

– A co? – odburknąłem. – Chcesz mi zaproponować dziki seks?

Nadieżda zarumieniła się aż po małe, zgrabne uszka, choć nie wyglądała na obrażoną. Może mnie polubiła, a może po prostu oceniła, że stać mnie jedynie na gadanie.

– Ten generał chciałby z wami pomówić. Czeka na korytarzu.

– Jaki generał? Poliakow?

– Tak.

– Poproś go tutaj – powiedziałem, oddając rozbabraną kaszkę.

– Żeby wrócić do zdrowia, musicie jeść – pouczyła mnie karcącym tonem.

– Kiedy podobno nie wrócę do zdrowia – zripostowałem bez humoru. – No, na co czekasz? Zawołaj go!

Nadia posłusznie ruszyła do wyjścia, przykrótki biały fartuch nie był w stanie ukryć smukłych nóg ani ponętnego ruchu bioder. Nie żebym się tym ekscytował, w sytuacji kiedy trudność sprawiała mi tak prozaiczna czynność jak oddychanie. Płuca paliły żywym ogniem, jakbym dokonał nie wiedzieć jakiego wysiłku, z ust wydobywał się dziwny, świszczący dźwięk.

Poliakow wszedł do pokoju i stanąwszy przy łóżku, przyjrzał mi się z niepokojem. Przez moment wydawało mi się, że dostrzegam w jego oczach błysk współczucia, ale po chwili skrzywił wargi w oszczędnym uśmiechu.

– Jak się czujesz? – spytał.

– Tak jak wyglądam – wycharczałem z wysiłkiem. – Co z tą suczką Iriną? Złapaliście ją?

Generał bez słowa przysunął sobie krzesło i usiadł, nie przejmując się faktem, że szpitalny mebel zaskrzypiał złowieszczo pod naporem jego masywnego cielska.

– Gdzie tam! Szukaj wiatru w polu! To była profesjonalistka, a całą akcję przeprowadzono z zegarmistrzowską precyzją. Prawdziwą Rodionową okradli w tramwaju i jak na zawołanie napatoczył się patrol milicji. Zanim spisali protokół, minęło pół godziny, a przez ten czas tamta zdążyła zrobić swoje. I zniknąć. Założę się, że nie ma jej już w Moskwie.

– Ten patrol to też przebierańcy?

– I tak, i nie. Na pewno nie byli to nasi, ale z zeznań świadków i samej Rodionowej wynika, że zachowywali się jak prawdziwi milicjanci.

Mruknąłem potakująco, od października tysiąc dziewięćset

czterdziestego dziewiątego milicja podlegała kierowanemu przez Abakumowa Ministerstwu Bezpieczeństwa Państwowego, choć wydziały należące wcześniej do MSW zachowały pewną niezależność, a ich pracownicy na ogół nie chcieli mieć nic wspólnego z kontrwywiadowczą działalnością MGB, byli i tacy, którzy ochoczo przechodzili do pracy w bezpiece. Jeśli to sprawka Abakumowa, to nie musiał daleko szukać odpowiednich ludzi do odegrania roli milicjantów.

– Co na to Leontiew?

– Nie jest zachwycony faktem, że próbowano cię otruć, ale nie ma ochoty na starcie z Abakumowem.

Skinąłem głową, nie liczyłem na nic więcej. Kierujący Głównym Zarządem Robotniczo-Chłopskiej Milicji generał Leontiew miał opinię twardego gracza, jednak władza Abakumowa ustępowała tylko wpływom Berii. Jedyne skończony idiota rzuciłby mu wyzwanie bez absolutnej konieczności, tym bardziej że Leontiew formalnie był podwładnym Abakumowa. Najwyraźniej mój szef uznał, że próba zabójstwa pracownika MUR-u to za mało, aby skoczyć do gardła pupilkowi Stalina. Co prawda wszyscy wiedzieli, że towarzysz Stalin patrzy przychylnym okiem na rywalizację w MGB. Plotki mówiły, że dopiero poniewczasie zdał sobie sprawę, jak ogromną władzę skupił w swoich rękach Abakumow, jednak tak czy owak, otwarta konfrontacja była ostatecznością, w końcu jeszcze żyłem.

– Dostałeś urlop zdrowotny – kontynuował Poliakov. – Na razie na pół roku. Pozostaniesz na liście pracowników resortu ze wszystkimi uprawnieniami, ale nikt nie będzie cię szarpał. Oczywiście, jeśli poczujesz się lepiej, w każdej chwili możesz podjąć swoje obowiązki, ewentualnie pełnić funkcję konsultanta – dodał z udawaną obojętnością.

Westchnąłem z rezygnacją. Mogę pełnić funkcję konsultanta? Pewnie! Pod Irkuckiem. Jak się nazywała ta wiocha? Listwianka?

– Jeśli chcesz, mogę ci załatwić skierowanie do naszego sanatorium w Soczi – powiedział niepewnie generał.

– Daj spokój – mruknąłem. – Nie wiem, na co twojej Adzie mógłby się przydać półżywy pułkownik milicji, ale jeśli chcesz, mogę ją konsultować. Jak się nazywa?

– Sawicka. Podporucznik Ada Sawicka. Z oczywistych względów nie mogłem jej dać swojego nazwiska.

– No dobrze. Kiedy mam jechać?

– Profesor Naumow zapewnił mnie, że w ciągu tygodnia wrócisz do normy. Na ile to możliwe w twojej sytuacji...

– Niech będzie za tydzień. – Machnąłem ręką.

– Będziesz miał wsparcie MUR-u, wystarczy jeden telefon – obiecał. – No i opiekę medyczną na miejscu.

– W takiej dziurze? Ciekawe, jakim cudem? Chyba że masz na myśli Irkuck?

– Nie. Naumow twierdzi, że to za daleko. Tam jest punkt medyczny. Rozbudujemy go w ośrodek zdrowia.

Zakląłem w myśli. Za daleko? Znaczy jakby co, mógłbym nie zdążyć.

– Kto go rozbuduje? I kiedy? Zdajesz sobie sprawę, na jakim szczeblu podejmuje się takie decyzje? I kto zagwarantuje, że miejscowi notable natychmiast nie rozkradną sprzętu i pieniędzy na budowę?

– Decyzja przyjdzie z Moskwy, z Ministerstwa Zdrowia. I nikt nawet nie pomyśli o kradzieży, przez najbliższy rok wszyscy będą się zastanawiać, kto ich zwizytuje – zapewnił Poliakov.

Przytaknąłem z niechętnym uznaniem. Ośrodek zdrowia w zabitej dechami wioszczynie jako prezent dla grupki okolicznych małorolnych? Śmiechu warte! Wszyscy wiedzą, że nasza władza ma inne priorytety. Takie rzeczy robiono tylko wówczas, kiedy teren miała odwiedzić jakaś osobistość. Ot, współczesna wersja wiosek potiomkinowskich. Poliakov miał rację, na miejscowych prominentów padnie blady strach, bo

przecież przyjezdna ekscelencja mogłaby – choćby przypadkiem!  
– zajrzeć w mętne wody lokalnej polityki. I, nie daj Boże, odkryć  
jakiś przekręt. Co prawda kradną wszyscy, tyle że tym na górze  
wolno więcej niż innym...

– No dobrze – powiedziałem. – A personel? Kto z własnej woli  
pojedzie w taką dzicz?

– Doktor Markow i panienska Nadia.

– Już widzę, jak rzucają pracę w Sklifie, żeby leczyć  
wieśniaków z przepicia!

– Dadzą sobie radę, Markow zaczynał w podobnej wiosce,  
a Nadieżda była sanitariuszką frontową. Doszła do Berlina  
z Ósmą Gwardyjską.

– Niemożliwe! Musiałyby mieć przynajmniej dwadzieścia pięć  
lat. A wygląda na góra dwadzieścia.

– Ma dwadzieścia siedem – poinformował Poliakov,  
obrzucając mnie zniesmaczonym spojrzeniem. – Saszka, Saszka!  
Zgubią cię te baby! Gdybyś nie przyjął szampana od  
nieznajomej...

– To załatwiłaby mnie w inny sposób – przerwałem mu  
z irytacją. – Bo nie sądzisz chyba, że jej mocodawcy postawili  
wszystko na jedną kartę? Założę się, że miała zapasowy plan,  
możliwe, że po prostu strzeliłaby mi w łeb.

Poliakov machnął ręką, jakby chciał odgonić od siebie  
niechcianą myśl.

– Mniejsza z tym – mruknął. – Cokolwiek zdecydujesz, będziesz  
miał zapewnioną opiekę medyczną, czy to w Soczi, czy  
w Listwiance.

– Skąd taka atencja względem mojej osoby? – spytałem  
podejrzliwie. – I kto za tym stoi?

– Jeszcze się nie domyśliłeś? Dato i jego przyjaciele.  
Najwyraźniej jesteś dla nich zbyt cenny, żeby pozwolili ci umrzeć  
– dodał ciszej.

Zagryzłem wargi, Dato był człowiekiem Chruszczowa, mało

znanego, choć wpływowego polityka, który już teraz szykował się do walki o schedę po Stalinie. Problem w tym, że ani Dato Petrosian, ani jego szef nie byli sentymentalni; jeśli zdecydowali się mi pomóc, powód mógł być tylko jeden: zapowiadało się coś dużego. Operacja, w której byłem im niezbędny. Biorąc pod uwagę fakt, że nigdy nie mieszałem się do polityki, wątpliwe, aby potrzebowali mojego wsparcia na kolejnym zjeździe partii. Wniosek? Ktoś wszedł w drogę Chruszczowowi, a ten zdecydował się usunąć przeszkodę. Stąd troska o pułkownika Razumowskiego. Tylko o kogo chodziło? Kto pójdzie na pierwszy ogień? Abakumow? A może Beria? Bo realne niebezpieczeństwo dla grupy Chruszczowa przedstawiali tylko ci dwaj, reszta partyjnych bonzów była zdolna co najwyżej do snucia intryg w kularach.

– Myślisz, że ich zainteresowanie związane jest z tym, co mówiła Liza? Ktoś chce się mnie pozbyć?

– Coś się dzieje – przyznał Poliakov. – Na pewno nie jesteś głównym celem, ale niewykluczone, że jeden z graczy chce opróżnić szachownicę ze zbędnych figur, zanim wykona swój ruch. Trwa straszna kotłowanina i trudno rozeznać się, w czym rzecz. Ruszyli się wszyscy: Beria, Abakumow, Malenkow, Bułganin, Mołotow, Kaganowicz... Nie wiadomo, kto z kim i przeciwko komu.

– No ładnie – westchnąłem. – I co mam robić?

– Jak najszybciej wyjechać z Moskwy – odparł bez wahania. – Tu cię nie upilnujemy. W szpitalu jesteś bezpieczny, ale jak tylko stąd wyjdiesz... – Wzruszył potężnymi ramionami.

Wiedziałem, że ma rację, pewnie nikt mnie nie zastrzeli na ulicy, ale mało to innych możliwości? Pijany kierowca, bandycki napad – obecnie pokonałoby mnie nie to, że paru urków, ale i sześćioletnia dziewczynka, wreszcie kolejna dawka egzotycznych przypraw.

– Przygotuj wszystko – zdecydowałem.

- Listwianka? – upewnił się.
- Listwianka – potwierdziłem z rezygnacją.



Koła pociągu stukały w monotonnym, usypiającym rytmie, od czasu do czasu szeleściła kartka czytanej przez Nadię książki. Czulem delikatny aromat perfum dziewczyny, z korytarza dochodził zapach bielomorkanałów. Doktor Markow, postawny mężczyzna około czterdziestki, spotkał w bufecie jakichś znajomych, dlatego mieliśmy przedział tylko dla siebie.

- Co czytasz? – rzuciłem, ziewając.
  - „Annę Kareninę” Tołstoja.
  - O czym to? – spytałem bez zainteresowania.
  - O kobiecie, która nie znalazła w małżeństwie miłości, a potem zakochała się w niewłaściwym człowieku.
  - I jaki był skutek?
  - Rzuciła się pod pociąg – odparła sucho.
  - Skoro wiesz, jak to się skończyło, to po co czytasz?
- Podniosła oczy znad książki, zmierzyła mnie taksującym i jak mi się wydało, nieco zalęknionym spojrzeniem.
- A nie będziecie się śmiali?
  - Obiecuję! – zapewniłem i uniosłem dłoń jak do przysięgi.
  - Wybieram fragmenty, kiedy Anna jest szczęśliwa i zakochana – wyznała.

Skrzywiłem się niechętnie, ech, baby... Zawsze w pogoni za wydumanym ideałem, atrakcyjniejszym niż mężczyźni i uczucia spotykane w realnym życiu.

- Obiecaliście – powiedziała z wyrzutem.
- Przecież się nie śmiałem. Po prostu przypomniałem sobie swoją Annę Kareninę.
- Rzuciła was? – spytała ze zdumieniem.



- Owszem – przytaknąłem cierpko. – Dla kiepskiego poety.
- Kochaliście ją?

Poczułem, jak mięśnie na policzkach tężeją, zamieniając moją twarz w pokerową maskę.

- Nie musicie odpowiadać! – zastrzegła szybko.

- Przecież wiem! – parsknąłem ze złością.

Łagodnym gestem dotknęła mojej dłoni.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie chciałam was zasmucić. Może spróbujecie zasnąć?

– Wątpię, czy mi się uda – odburknąłem niegrzecznie. – Wiesz, nurtuje mnie kilka spraw. Niezwiązanych z bohaterami Tołstoja ani ich odpowiednikami – zastrzegłem się, widząc jej minę.

- Tak?

Przez chwilę rozważałem, czy nie wyjaśnić panience Nadii, że doświadczenie w wnoszeniu basenów nie pomoże rozwiązać moich problemów, ale wysiłkiem woli opanowałem gniew. W końcu to nie jej wina, że otwarto sezon polowań na pułkownika Razumowskiego.

- Macie mnie za idiotkę, prawda?

Zaprzeczyłem ospałym gestem.

- A co, jeśli wiem więcej, niż wam się wydaje?

Poprawiłem poduszkę – zaraz na początku podróży Markow i Nadieżda ułożyli mnie na kuzetce – i spojrzałem na dziewczynę ostro. W jej oczach wyraźnie można było dostrzec figlarne ogniki.

- Czego chcesz? – spytałem bez ogródek.

- Mogę się zastanowić i powiedzieć później?

Przytaknąłem bez słowa.

– Wiem, kto chciał was zabić – stwierdziła, bawiąc się nerwowo srebrną bransoletką. – A przynajmniej się domyślam.

Dopiero teraz zwróciłem uwagę, że dziewczyna ma także kolczyki i naszyjnik, widać poza szpitalem wkładała biżuterię. Ozdóbki były co prawda srebrne, za to misternej roboty,

wyglądały na przedrewolucyjne. Trzeba będzie dowiedzieć się, skąd takie luksusy, wiedziałem, ile zarabiają pielęgniarki. Chyba że to prezent. Co prawda uroda Nadii nie rzucała się w oczy, ale dziewczyna zyskiwała przy bliższym poznaniu, a więc kto wie? Tak czy owak, lepiej sprawdzić.

– Słucham – ponagliłem.

– Kilka dni temu przywieźli do Sklifu pacjenta z rozbitą głową. Kiedy lekarz dyżurny chciał obejrzeć ranę, ten wyciągnął legitymację MGB i zażądał widzenia ze mną...

– Z jakiego wydziału? – spytałem szybko.

*Ministerstwo Gosudarstwiennoj Biezopasnosti* było biurokratycznym molochem i mało kto orientował się, czym zajmowały się mniej znane komórki MGB. Na przykład w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku wyłączono z jego struktur wywiad zagraniczny, jednak już we wrześniu pięćdziesiątego na bazie wywiadowczo-dywersyjnego oddziału MGB stworzono „Biuro numer jeden”, przeznaczone do specoperacji za granicą, i „Biuro numer dwa”, do podobnych działań wewnątrz kraju. Na czym miały polegać operacje wywiadowczo-dywersyjne w państwie robotników i chłopów, pozostawało słodką tajemnicą towarzysza Abakumowa...

– Tego mi nie zdradził, a ja nie dopytywałam.

– Wymienił twoje nazwisko?

– Tak. Wiedział, że opiekuję się wami.

– I co?

– Chciał, żebym mu opisała, jak się czujecie i jakie są rokowania.

– Co mu powiedziałaś?

– Prawdę – odparła, odgarniając włosy. – Poinformowałam go, że wasz stan jest ciężki i nie ma nadziei na poprawę.

– Jak zareagował?

– Chyba był zadowolony.

– Interesowało go coś jeszcze?

– Tak. Kiedy umrzecie.

– I kiedy umrę?

– Teoretycznie zostało wam kilka, góra kilkanaście miesięcy. Wasze organy są zniszczone przez truciznę, stopniowo będą pracować coraz gorzej, aż wreszcie odmówią posłuszeństwa. Wątroba, nerki, serce.

– To nie będzie przyjemne? – wycedziłem przez zęby.

– Nie. – Popatrzyła mi prosto w oczy. – Ale obiecuję, że nie będziecie cierpieć ponad miarę. Jeśli ból stanie się nie do zniesienia, ja wam... pomogę.

Kiedy obiecywała mi szybką śmierć, wargi drżały jej jak u przestraszonego dziecka, ale nie spuściła wzroku. Dziwna sprawa, lecz uwierzyłem Nadii od razu. Jeśli będzie trzeba, pomoże mi odejść, zanim choroba zamieni mnie we wrak człowieka i wydrze resztki godności.

Wziąłem ją za rękę, odruchowo dotknąłem przegubu, sprawdziłem puls. Grubo ponad sto na minutę. A przecież wyglądała na zdrową. Czyżby przejmowała się losem pułkownika Razumowskiego? Warto zapamiętać.

– Dlaczego ten *gebeshnik* chciał rozmawiać z tobą, a nie z Naumowem czy Markowem?

– Nie mam pewności, ale myślę, że woleli nie zaczepiać profesora, on ma sporo pacjentów na samej górze. Mówią, że wzywali go nawet na Kreml.

– A Markow? Dlaczego mieliby przedłożyć zdanie pielęgniarki nad opinię lekarza? I podobno nie najgorszego?

Nadia ponownie odgarnęła włosy, w jej geście nie było typowo kobiecej kokieterii, raczej przypominał próbę zasłonięcia twarzy dłońmi.

– Doktor Markow jest znakomitym chirurgiem – przyznała, odwracając głowę.

– Więc? On też mógłby poskarżyć się Stalinowi?

– Wolałabym o tym nie mówić – wymamrotała.

- Może jednak spróbuj! – rzuciłem twardo.
- Jeśli chodzi o diagnostykę, jestem lepsza od Igora.
- Markowa?
- Tak.
- A to jakim cudem? Przecież jesteś pielęgniarką.
- Nie do końca...

Uniosłem brwi. Nie do końca? A to co za bzdury?

– Skończyłam medycynę i od dwóch lat praktykuję jako diagnosta pod okiem profesora Naumowa. Jednak nie mogę pracować jako lekarz. Są pewne okoliczności...

– A dokładniej?

– Pod koniec wojny w Berlinie wmieszałam się w nieprzyjemną historię. Kiedy przechodziłam niedaleko na wpół zburzonej kamienicy, usłyszałam kobiecy krzyk, a później płacz dziecka. No i... – Rozłożyła bezradnie ręce.

Westchnąłem ciężko. Kolejna idiotka ratująca germańskie dziewczice od losu gorszego niż śmierć.

– Kim on był? – spytałem.

– Kapitanem. I pociotkiem jakiegoś generała. Nie darowali mi, bo postrzeliłam go w nogę.

– Wylądowałaś w łagrze?

– Nie. Tam był trzyletni chłopiec, uznano, że zaczepianie matek z dziećmi to przesada, wreszcie Babienko, ten kapitan, znany był już wcześniej z podobnych... ekscesów. Napastował nawet nasze sanitariuszki. Do tego kilku byłych pacjentów wystąpiło w mojej obronie. Skończyło się naganą, ale dostałam wpis do akt, że jestem elementem niepewnym politycznie.

– I tak miałaś szczęście – powiedziałem surowo.

– Miałam – przyznała pokornie.

– Rozumiem, że ty nie możesz wybrzydzać, ale dlaczego Markow zgodził się wyjechać na takie zadupie?

Dziewczyna nie odpowiedziała, próbowała się odsunąć. Nie pozwoliłem na to, wzmocniłem uchwyt na jej nadgarstku.

Uwolniąby się bez trudu, jednak najwyraźniej nie chciała używać siły.

– Nadia?

– Ten wasz przyjaciel przedstawił nam pewną propozycję.

– Chyba nie zaszantażował? – spytałem zaniepokojony.

Poliakow nie był głupi, ale działał z subtelnością ciężkiego czołgu: co nie zejdzie z drogi, to pod gąsienice. A wolałbym, żeby moi lekarze myśleli o tym, jak mi pomóc, a nie jak się zemścić.

– Oczywiście, że nie. Rozumiecie, istnieją pewne procedury. Normalnie Markow zostałby ordynatorem nie wcześniej niż za dziesięć lat. A tak, o ile wam pomoże, otrzyma stanowisko za rok, po powrocie do Moskwy.

Nadia jęknęła z bólu, wysiłkiem woli rozluźniłem zaciśnięte na jej przegubie palce. A więc na tyle medycy oceniają długość mojego życia. Rok...

– Przepraszam – powiedziałem ze skruchą. – A ty? Co tobie obiecali?

– Będę mogła pracować jako lekarz.

– I tylko dlatego się zgodziłaś? – drażyłem.

Tym razem nie pozwoliła mi zbadać tętna, zdecydowanym ruchem wyśliznęła się z uchwytu.

– Wyłącznie! – odburknęła. – A teraz odpoczywajcie! Czeka nas długa podróż.

Wyszła z przedziału, energicznie zatrzaskując za sobą drzwi.

Uśmiechnąłem się i przymknąłem oczy. Nie potraktowałem poważnie polecenia dziewczyny, ale sen zakradł się do mnie niepostrzeżenie, niczym zwiadowca do wrogiego wartownika. Zasnąłem.



Listwianka nie zrobiła na mnie dobrego wrażenia, ot, niewielka

miejscowość, ni to wioska, ni to miasteczko. Podobno w lecie jest tu pięknie, a i nie trzeba owijać się w futra, ale teraz temperatura wynosiła minus dwadzieścia pięć stopni, a śnieg sięgał powyżej kostek.

Rozejrzałem się po głównej ulicy. Większość chałup zbudowano z drewna w typowo syberyjskim stylu: ściany z grubych bali, spadziste dachy, ozdobne okiennice, choć dostrzegłem też kilka murowanych budynków.

Ścisnąłem mocniej laskę, prezent od Nadzieży, i poczłapałem w stronę komisariatu, wlokąc z wysiłkiem walizkę. Nadia chciała mi pomóc, ale odzegnałem się od propozycji w imię konspiracji. Teraz nie byłem już przekonany, czy to taki dobry pomysł.

Odwróciłem głowę, słysząc parskanie konia. Odziany w gruby kożuch furman zatrzymał sanie tuż przy chodniku.

– Pomóc w czymś, wujku? – zapytał wesoło, przeciągając po wiejsku sylaby.

Chłopak mógł mieć ze dwadzieścia lat, pod nasadzoną na same oczy czapką widać było okrągłą, zaczerwienioną od mrozu twarz.

– Jestem przyjezdny – powiedziałem i postawiłem z jękiem walizkę. – Szukam jakiejś kwatery.

– Turysta? – spytał z ożywieniem. – Przed wojną odwiedzało nas sporo turystów, ale teraz rzadko ktoś zajeżdża. A szkoda, bo okolica ładna.

– Nie. Jestem chory. Lekarze zalecili mi leczenie klimatyczne.

– Tacy też u nas bywali. – Skinął ze zrozumieniem głową. – Jak chcecie, zawiozę was do babci Kiry. Ona dawniej wynajmowała pokój podróżnym, na pewno was przenocuje.

– No dobrze, jedźmy do babci Kiry – przyzwoliłem.

Chłopak porwał moją walizkę i pomógł mi wgramolić się na sanie.

– Usiądź wygodnie, wujku. To niedaleko. Babcia Kira zaparzy ci herbaty z malinami. Bo nie wyglądasz za dobrze.

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem, w Moskwie per „wujku” zwracały się do obcych mężczyzn tylko małe dzieci, w ustach starszych miało to już ironiczne zabarwienie, jednak w głosie młodzieńca dźwięczał szacunek. Widać na prowincji panowały inne zasady. Nie żeby mi to przeszkadzało, może i babcia Kira okaże się równie przyjazna i wynajmie mi pokój? Nie miałem siły na długie poszukiwania.

– To komisariat? – spytałem, widząc czerwoną tablicę na niewielkim, parterowym budynku.

– Tak. Teraz rządzi tam jakaś dziewczucha. Podobno przyjechała z Moskwy czy Leningradu. Babcia Kira mówi, że starsza ode mnie ledwo kilka lat, a już oficer. Ja też chciałbym do wojska albo do milicji – powiedział tęsknie – ale muszę pomagać mamie. Jak się przeziębila zeszłej zimy, to do dziś kaszle i pluje krwią.

– Byłeś z nią u lekarza?

– Jacy tam u nas lekarze, wujku – odparł smętnie. – Jest felczer Jura Woronin, ale on tylko pije, a nawet jak trzeźwy, to doktor z niego nienadzwyczajny. Próbowaliśmy w Irkucku, ale nie przyjęli, powiedzieli, że jesteśmy spoza rejonu. Pewnie jakbym dał łapówkę, byłoby inaczej, ale w tartaku wiele nie płacą.

– Jechał ze mną z Moskwy jakiś lekarz – powiedziałem. – Mówił, że otworzą u was ośrodek zdrowia.

– Naprawdę?

Potwierdziłem gestem.

– Może teraz zbadają mamę? – ożywił się chłopak. – Chyba że znowu zechcą pieniędzy...

Tymczasem skręciliśmy w wąską uliczkę wyglądającą, jakby czas zatrzymał się tu sto lat temu. Ściany drewnianych domów pokryto misternymi zdobieniami przypominającymi koronki, poszczególne posesje oddzielały od siebie zadbane płoty, całości dopełniał widok kilku naftowych latarni. Nie zdziwiłbym się, gdyby nadal działały.

– Tu mieszka babcia Kira. – Chłopak wskazał okazałą chałupę.

– Chodź, wujku, zaniosę ci walizkę i przedstawię babci. Ja mam na imię Pietia, znaczy Piotr. A ty, wujku?

– Aleksander.

Pietka pchnął solidne, zbite z potężnych bierwion drzwi – były niezamknięte! – i poprowadził mnie do wąskiej sieni. Zatrzymał się przed słomianą wycieraczką i starannie wytarł buty.

– Babcia Kira nie lubi, jak jej brudzą – szepnął konfidencyjnie. – Tu można się rozebrać – powiedział głośniej, wieszając kozuch na wbitym w ścianę haku.

Poszedłem za jego przykładem. Lepiej nie drażnić gospodyni...

Obudowana kaflami węglowa kuchnia wyglądała na zeszłowieczną. I nic dziwnego, wątpilem, czy gdzieś w okolicy jest gazownia, a jeśli nawet, z pewnością w pierwszej kolejności gaz podłączono co bardziej uświadomionym politycznie towarzyszom. Tymczasem odziana w prostą, domową suknię kobieta nie wyglądała na sympatyczkę komunizmu. W jej sylwetce i ruchach było coś nieuchwytnego, co sugerowało, że równie dobrze czułaby się na salonach, jak w wiejskiej chałupie.

– Babciu – odezwał się Pietka – przyprowadziłem ci gościa. To wujek Sasza, przyjechał z Moskwy i szuka kwatery.

Kobieta spojrzała na mnie i powitała lekkim skinieniem głowy.

– Kira Andriejewna Folle – przedstawiła się z dobrodusznym, choć niesięgającym oczu uśmiechem.

– Aleksander Nikołajewicz Razumowski – odwzajemniłem się, podając rękę.

Jej dłoń była miękka i wypielęgowana, a twarz nosiła ślady dawnej urody, choć sieć drobnych zmarszczek sugerowała, że babcia Kira musi mieć pod siedemdziesiątkę.

– Turysta?

– Chory – odparłem równie lakonicznie, opierając się ciężko na lasce.

Nie żebym musiał udawać, byłem wyczerpany.

– Gdzie ja mam głowę! Siadajcie. – Wskazała mi krzesło.



Skorzystałem z zaproszenia, opadłem z ulgą na drewniane, choć zdumiewająco wygodne siedzisko.

– Podobno wynajmowaliście pokoje turystom?

– Bywało – potwierdziła.

– Wynajmiecie i mnie? Jestem milicjantem.

– Naprawdę? – ożywił się chłopak. – Ja...

– Pietka – odezwała się gospodyni karcącym tonem, nie odwracając ode mnie wzroku.

– To ja już pójdę – stwierdził pokornie młodzieniec.

Po chwili jego słowa potwierdził trzask zamykanych drzwi.

– Dlaczego mi to mówicie? Nie spytałam was o zawód.

– Nie wszyscy przepadają za przedstawicielami obecnej władzy – odparłem, akcentując słowo „obecnej”.

– Nie wszyscy – potwierdziła bez mrugnięcia okiem. – Ale ja cenię sobie szczerść. Możecie zostać. Witajcie w Listwiance.

## Rozdział drugi



**O** budził mnie trzask zapałki, poczułem zapach dymu. Jednym ruchem odrzuciłem grubą puchową pierzynę i wycelowałem w plecy klęczącej przy piecu kobiety.

– Zwariowaliście, Razumowski? – spytała cierpko Kira Folle. – Po pierwsze, trzymanie broni pod poduszką to paranoja, tu, w Listwiance, nikt nie będzie próbował zamordować was w nocy. Po drugie, jak mi zapapracie pościel smarem do broni, to policzę wam podwójnie. Macie pojęcie, jak ciężko coś takiego wyprać?

Odchrząknąłem niepewnie i odłożyłem pistolet na nocny stół. Tymczasem moja gospodyni dorzuciła do ognia kilka polan z leżącego przy piecu stosu i energicznie zatrzęsła drzwiczki paleniska.

– Dziękuję – powiedziałem.

Termometr nad łóżkiem wskazywał osiemnaście stopni, jak na Syberię, temperatura niczego sobie. Ten za oknem – minus dwadzieścia.

– Potrzebujecie ciepła – odparła szorstko kobieta. – Nie chcę, żeby mój pierwszy powojenny lokator zmarł przedwcześnie. To raczej nie zachęciłoby kolejnych.

Uśmiechnąłem się bezradośnie, mojej śmierci nie mogła zapobiec nawet najtroskliwsza opieka.

– Co wam jest?

– Nic specjalnego. – Wzruszyłem ospale ramionami. – Nic,

w czym moglibyście pomóc.

– A kto powiedział, że chcę wam pomagać? Pytam w trosce o własne zdrowie, a nuż mnie zarazicie? Skąd mam wiedzieć, czy nie macie gruźlicy albo syfilisu? Podobno w Moskwie nie nadążają z leczeniem chorych wenerycznie.

– Nie martwcie się, babciu Kiro, daję wam słowo oficera, że nie będę nastawał na waszą cnotę – odparowałem, odzyskując dobry humor.

Wyszła bez słowa, zostawiając otwarte drzwi, wróciła z miską parującego rosółu.

– Bierzcie się do jedzenia – poleciała. – A jak jeszcze raz nazwiecie mnie babcią, wrzucę wam do zupy środek na przeczyszczenie.

Mimo ostrego tonu kąciki jej ust zadrgały od powstrzymanego uśmiechu, najwyraźniej poranna scysja rozbawiła nie tylko mnie.

Skosztowałem gorącego wywaru, zamruczałem z zadowolenia. Domowej roboty makaron mieszał się z kawałkami marchewki, zioła nadawały zupie lekko pikantny smak.

– Znakomity rosół! – pochwalilem.

– Sama skubałam kurę. No i ucięłam jej łeb – poinformowała. – Ta cała krew... Wiecie, że takie ptaszysko potrafi biegać bez głowy? Ta rosółowa trzy razy okrążyła podwórko.

Uśmiechnąłem się pod nosem, najwyraźniej babka Kira wzięła mnie za wydelikaczonego mieszczucha i postanowiła obrzydzić posiłek.

– To na mnie nie działa – rzuciłem, delektując się bulionem. – Jadłem dużo gorsze rzeczy.

– Na przykład?

– Nieważne – mruknąłem.

– Mówiłam wam, Razumowski, że cenię sobie szczerość? – spytała, wychodząc na moment z roli zrzedliwej staruchy.

– Coś mi się obilo o uszy – przyznałem.

– Zagrajmy w tajemnice – zaproponowała. – Wy odpowiecie na moje pytanie, a ja wam za to zdradzę jakąś przydatną informację.

– Przydatną? A kto to osądzi?

– Wy.

– Niech będzie.

Moja gospodyni zaczynała mnie intrygować, była w niej jakaś niepasująca do syberyjskiej chłopki swoboda i pewność siebie, przemieszana z twardością krzemienia. No i mówiła poprawną, niemal literacką ruszczyzną, zupełnie odmienną od języka, jakim posługiwał się choćby poznany wczoraj Pietka.

Taaak, co by o Kirze Folle nie mówić, na pewno nie wychowała się w kołchozie.

– Słucham – ponagliłem.

– Te gorsze rzeczy, jakie jedliście – powiedziała. – Co to było i kiedy?

Skrzywiłem się niechętnie, nie miałem ochoty o tym rozmawiać, ale umowa to umowa. Zobaczymy, jak babina wywiąże się ze swojej obietnicy.

– Koty. I ludzina – odparłem krótko.

Myślałem, że ją zemdli albo chociaż zszokuje, ale gdzie tam! Babka Kira nawet nie mrugnęła okiem. Mało tego, odniosłem wrażenie, jakby spodziewała się podobnego wyznania.

– W Leningradzie?

– Także w Leningradzie – przytaknąłem. – I dość o tym! – uprzedziłem, widząc, że otwiera usta. – To już drugie pytanie. A na razie nie odwzajemniliście się nawet za pierwsze.

Ściągnęła usta, widać było, że liczyła na więcej, ale w końcu przyznała mi rację niechętnym skinieniem.

– Jeszcze dziś, a najdalej jutro odwiedzi was Ada Sawicka. To...

– Kto?! – przerwałem jej bezceremonialnie.

– Ada Sawicka – powtórzyła. – A co, znacie ją? To nasza miejscowa milicjantka – kontynuowała, nie doczekawszy się

odpowiedzi. – Ciekawska z niej dziewczucha. Odkąd zastąpiła na stanowisku komendanta Stiope Rogozina, cały czas węszy po okolicy.

– Zastąpiła?

– We wrześniu zeszłego roku Stiopa odszedł na emeryturę. Jest jeszcze coś, co mogłabym wam o niej powiedzieć, ale nie za darmo...

– Rozumiem, że nie interesują was pieniądze? – spytałem z mimowolnym zaciekawieniem.

Ku mojemu zdziwieniu babka Kira nawet nie wspomniała o opłacie za wynajem pokoju, choć według wszelkich zasad powinna bez litości oskubać przyjezdnego łosia.

– Och, jeszcze nie zdecydowałam się, ile wam policzyć – odparła, popierając wyjaśnienia niedbałym gestem. – Macie mnóstwo paskudnych przyzwyczajień: trzymacie broń pod poduszką, kąpiecie się co dzień, a ciepła woda kosztuje! Do tego trzeba wam gotować specjalne posiłki, bo przecież nie przeżyjecie na konserwach i sucharach. No i stwarzacie zagrożenie epidemiologiczne. Nie, rachunek wystawię wam, dopiero kiedy podsumuję straty.

– Więc czego chcecie?

– Zobaczyc wasze papiery. Wiecie, te milicyjne. Bo przecież możecie być bandytą podającym się za milicjanta. I gdy nabierzecie sił, zaciukacie mnie jak tę kurę na rosół.

– Nie ja zaciukałem kurę.

– Wszystko jedno. – Machnęła ręką. – Więc?

Uniosłem się na łóżku ze stęknieniem, opuściłem nogi na podłogę, ale babka Kira powstrzymała mnie stanowczym gestem.

– Leżcie! – burknęła. – Powiedzcie, gdzie są, to przyniosę.

– W walizce – powiedziałem.

Bez słowa podała mi solidny skórzany sakwojaż.

Sięgnąłem po portfel, wyjąłem dokument podpisany przez Poliakowa, przedstawiający mnie jako pracownika MUR-

u i eksperta kryminalistyki.

– Pułkownik? – rzuciła ze zdziwieniem.

– Pułkownik – potwierdziłem obojętnie.

– Czego szukacie w tej głuszy? Mam uwierzyć, że przyjechaliście tu leczyć nadwątlone zdrowie?

– Wierzcie, w co wam się podoba – powiedziałem apatycznie. – A teraz, jeśli łaska, podzielcie się obiecaną informacją.

– Niech będzie – mruknęła. – Ta wasza Ada...

– Jaka ona moja? – zaprotestowałem. – Toż nie widziałem jej na oczy!

– Kto wie? Może się zaprzyjaźnicie? Oboje jesteście milicjantami...

– A gdybyśmy wrócili do tematu? – zaproponowałem z ironią.

– Mówią, że to wiedźma.

Uniosłem brwi, ale wyglądało na to, że moja gospodyni nie ma zamiaru niczego wyjaśniać z własnej inicjatywy. Najwyraźniej czekała na pytania, a może okrzyki oburzenia? W końcu jako oficer milicji powinienem zwalczać zabobony...

– Niech zgadnę – wycedziłem. – Biegała nago po podwórku razem z waszą kurą rosołową?

– Coś w tym rodzaju – odparła z błyskiem uznania w oku. – Ludzie mówią, że nie sposób jej oszukać, zawsze wie, kiedy kłamiecie.

– Nie mam zamiaru jej okłamywać. Nie mam i potrzeby. Dlatego...

Niespodziewanie poczułem przeraźliwy ból w podbrzuszu, później w piersiach, zakaszlałem rozpaczliwie. Brakowało mi tchu, powietrze z trudem przechodziło przez zaciśnięte gardło.

– Razumowski? – odezwała się z niepokojem Kira Folle. – Co z wami?

Próbowałem coś powiedzieć, ale z moich ust wydobył się tylko dziwny, bulgoczący dźwięk wraz z falą ciemnej, niemal czarnej krwi.

– Razumowski!

Zapadłem w ciemność, gdy torsje zaczęły rozrywać moje ciało.



Odzyskałem przytomność, czując na przedramieniu czyjeś chłodne, twarde palce. W chwilę później zwała się na mnie lawina zapachów – antyseptyki, spirytus, tytoń. Otworzyłem oczy. Markow ze skupieniem na twarzy wbijał igłę w moje lewe ramię. Prawe było opuchnięte, sine i poznaczone śladami nakłuć.

– Co się stało? – wymamrotałem.

– Nic specjalnego – odparł spokojnie lekarz. – Straciliście przytomność i wyrzygaliście jakieś pół litra krwi ze śluzem. Później krwawienie ustało. Ach, to – powiedział, kiedy przechwycił mój wzrok. – Wasze żyły pękały jak nitki, nie mogliśmy się wkłuć.

– Gdzie... Nadia?

– Śpi. Czuwała przy was przez pierwszą dobę.

– Ile ja tu...

– Drugi dzień – oznajmił krótko.

– Co mi jest?

– To, co poprzednio. – Wzruszył ramionami. – Kolejny atak.

– To się będzie powtarzać?

– Prawdopodobnie. Nie wiem, co to za trucizna. Aczkolwiek wasza odporność mnie zdumiewa.

– Odporność?! – parsknąłem z niesmakiem. – To dlatego tu leżę!

– Kiedy straciliście przytomność, upadliście na podłogę. Wasza gospodyni próbowała was podtrzymać, ale nie dała rady i uderzyliście głową o kant stolika. Rana miała jakieś osiem centymetrów długości, widać było przez nią kość.

Odruchowo uniosłem rękę, obmacałem głowę.

– Gdzie?

– W tym sęk. Rana zagoiła się błyskawicznie, blizna jest niemal niewidoczna. Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Pewnie dlatego wciąż jeszcze żyjecie, podejrzewam, że gdyby trafiło na kogoś innego, dawno gryzłby ziemię. To cholernie mocna trucizna.

Spojrzałem na Markowa gniewnie, może i umierałem, ale nie musiał mi o tym co chwila przypominać!

Lekarz uniósł dłonie w uspokajającym geście.

– Wybaczcie – wymruczał. – Moi pacjenci przeważnie są nieprzytomni, więc mogę mówić, co chcę. Nie chciałem was urazić.

– Co ze mną będzie? Kiedy mogę stąd wyjść? – spytałem, ignorując przeprosiny.

– Trudno powiedzieć. Chwilowo wszystko jest w normie, poza tym, że jesteście osłabieni. Ale przynajmniej do jutra musicie pozostać pod obserwacją.

Skinąłem niechętnie głową, rozejrzałem się po pomieszczeniu. Ściany świeżo pomalowano, czuć było jeszcze zapach farby, w rogu stał opalany drewnem żelazny piecyk i szafka na medykamenty. Potężne łoże, na którym leżałem, w niczym nie przypominało szpitalnego wyposażenia.

– Babka Kira skądś je przywlokła – poinformował mnie lekarz.

– Oczywiście nie sama, ten grat musi ważyć z osiemdziesiąt kilo.

– Pozwala wam tak do siebie mówić?

– Oczywiście, wszyscy ją tak nazywają. Najwyraźniej cieszy się autorytetem. Wiecie, że ma w domu telefon? A do partii nie należy, sprawdzałem. Kiedy dowiedziała się, że chcemy zorganizować ośrodek zdrowia, od razu załatwiła nam ludzi do pomocy. Miejscowi nie chcą nawet pieniędzy.

– Telefon, powiadacie?

– Tak. Gdyby do nas nie zadzwoniła zaraz po waszym wypadku... – urwał wymownie.



Zanim zdążyłem odpowiedzieć, rozległo się pukanie i w drzwiach stanęła Kira Folle.

– O wilku mowa – mruknął Markow. – Babciu Kiro, zostaniecie na chwilę przy chorym? – spytał z szacunkiem w głosie. – Bo chciałbym skonsultować się z Moskwą.

– Idź, synku – przyzwoliła. – Posiedzę przy nim.

Medyk zniknął jak zdmuchnięty, a moja gospodyni usiadła na skraju łóżka. Dopiero teraz zauważyłem, że piastuje na kolanach spory gliniany garnek owinięty w jakieś szmaty.

– Ciepła zupa – odpowiedziała na niezadane pytanie.

Przyjrzałem się jej spod oka, wyglądała na zmęczoną i co dziwne, zmartwioną moją chorobą. Rzecz zastanawiająca, bo niby dlaczego miałyby się przejmować nieznanym sobie przyjezdnym? Byłem niemal pewien, że nie chodzi o pieniądze, mimo całego gadania o opłacie za wynajem pokoju do tej pory nie zażądała ode mnie ani grosza. Taaak, trzeba będzie wyjaśnić, w czym rzecz.

– Dziękuję – powiedziałem niechętnie. – Dziękuję, Kiro Andriejewna.

– Coś ty nawyrabiał w tej Moskwie, że chcieli cię otruć? – spytała, rezygnując z konwenansów.

Westchnąłem bezradnie – najwyraźniej ktoś zapoznał ją z przyczynami moich dolegliwości.

– Długa historia. – Machnąłem ręką. – A i lepiej wam nie wiedzieć. Bo mogłoby się okazać, że ta wasza wioska wcale nie jest taka bezpieczna, jak myślicie.

– To dlatego trzymasz broń pod poduszką?

– Także dlatego. Jestem milicjantem, a wcześniej byłem zwiadowcą, mam wielu wrogów – dodałem wyjaśniająco.

Kira Folle uniosła brwi.

– Szpiegiem? – upewniła się.

– Jak zwał, tak zwał – odparłem obojętnie.

– Spróbuj jednak wyjaśnić, co się dzieje – zaproponowała. –

Kto wie? Może dam radę pomóc? Bo jeśli twoi moskiewscy znajomi postanowią dokończyć robotę, w twoim stanie nie uratują cię nawet dwa pistolety.

Zagryzłem ze złością wargi, nie miałem ochoty zwierzać się ze swoich problemów prowincjonalnej emerytce, niechby i obdarzonej autorytetem. Ale pani Folle w jednym miała rację: w tym momencie nawet ona poradziłaby sobie ze mną bez specjalnego trudu...

– Co was to obchodzi? – spytałem bez ogródek. – Przecież poznaliśmy się ledwo parę dni temu. I nie zauważyłem, żebyście zapalali do mnie sympatią – dodałem złośliwie.

Kobieta z westchnieniem odstawiła garnek na stół, po czym podeszła do drzwi i wyjrzała na korytarz.

– Więc? – ponagliłem.

– Ktoś mnie poprosił, żebym ci pomogła – wymruczała cicho.

– Ot tak, poprosił i już?

– Jestem coś winna tej osobie. – Zmierzyła mnie gniewnym spojrzeniem. – To wszystko, co powinieneś wiedzieć!

No tak, Poliakov, bo któż by inny? Ciekawe, co go łączy z babką Kirą. I czy bardziej martwił się o mnie, czy o córkę?

– Niech będzie – westchnąłem.

Wypisałem wskazującym palcem w powietrzu jedno słowo: Abakumow. Zostałem zrozumiany, bo moja rozmówczyni zrobiła się biała jak prześcieradło. Syknęła coś pod nosem w jakimś nieznanym mi języku, zacisnęła dłonie w pięści.

– Jak bardzo cię nienawidzi? – rzuciła po chwili.

– A co to ma do rzeczy? – burknąłem.

– Pytam, czy wystarczy mu, że cię otruł, czy uzna, że to za mało?

Skłamałem się w myślach, bo babka Kira miała rację. Podstawowym problemem było, czy Abakumow zechce mnie wykończyć teraz, czy poczeka te kilka miesięcy. No i warto się zastanowić, o co mu chodzi. Czy to zwykła zemsta, czy może

postanowił pozbyć się mnie z konkretnego powodu? Już dawno nie bawiłem się w politykę i – dzięki Bogu! – nie wykonywałem żadnych zleceń dla Stalina.

– Nie wiem – odparłem głucho. – Podpadłem mu poważnie i wiem, że utopiłby mnie w łyżce wody przy pierwszej okazji, ale trucizna... Trochę dziwne to wszystko. Bo wygląda, jakbym mu w coś przeszkadzał. Albo mógł przeszkodzić – dodałem po namyśle.

– No dobrze – westchnęła. – Zobaczymy, co da się zrobić.

– Ciekawe, jak powstrzymacie zabójców?! – warknąłem.

Babka Kira – nie wiem dlaczego, ale zacząłem ją tak nazywać w myślach – podeszła do stołu, wyczarowała skądś porcelanowy talerz i naląła doń zupy.

– Jedz, bo wystygnie – powiedziała bez gniewu, podając mi łyżkę. – Wiesz, ilu mieszkańców liczy Listwianka?

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

– Niecałe dwa tysiące. W godzinę po tym, jak pojawi się tu ktoś obcy, będę o tym wiedziała.

– I co dalej?

– Oni chcą cię wykończyć nieoficjalnie, prawda?

Przytaknąłem po chwili namysłu.

– A to oznacza, że nie będą mieli przy sobie dokumentów MGB ani wsparcia miejscowej czerezwyczałki.

Zamarłem w pół ruchu: terminu „czerezwyczałka” używali jedynie ludzie niespecjalnie przepadający za obecnym ustrojem w ogólności i bezpieczeńką w szczególności. Gdyby usłyszał to ktoś postronny, babka Kira mogłaby mieć problemy. Duże problemy. Skąd takie określenie w ustach skromnej staruszki z prowincji?

– Założmy – przyznałem. – I co z tego?

Kobieta popatrzyła na mnie z politowaniem.

– Tu jest dzicz, Saszka – stwierdziła z naciskiem. – Lasy, woda, niezbadane jaskinie. A teren znają tylko miejscowi. Żaden przybysz z Moskwy, choćby nie wiadomo jak wprawny

w strzelaniu w potylicę, nie zaskoczy niczym tutejszych. Za to może łatwo zniknąć. Był i nie ma. A potem szukaj wiatru w polu. Może zabłądził, może utonął, a może niedźwiedzie go zjadły?

Poczułem nieprzyjemny dreszcz, w głosie staruszki pojawiła się dziwna, drapieżna nuta. To już nie była dobrodusznia babcia Kira, ale ktoś zupełnie inny, niebezpieczny.

Nabrałem łyżkę zupy, potem następną, w chwilę później skończyłem posiłek.

– Chyba nie jest z tobą aż tak źle – zauważyła Kira Folle.

– Pewnie! Do następnego ataku...

Kobieta bez słowa zabrała talerz, zapakowała w tobołek razem z glinianym garnkiem.

– Zostawcie – mruknąłem. – Ktoś to umyje. Jest tu chyba jakaś pomoc kuchenna.

– Jest – przytaknęła. – Lusja Gorobiec. Sama ją przysłałam. Tylko lepiej, żeby nikt poza mną nie dotykał twoich naczyń. Chyba że liczysz na kolejną dawkę szampana podaną przez miejscową ślicznotkę – dodała złośliwie. – Wiesz, mamy tu kilka niebrzydkich dziewczuszek.

Syknąłem gniewnie, najwyraźniej moja rozmówczyni znała okoliczności, w jakich zostałem otruty, łącznie z pikantnymi detalami. Z jakichś przyczyn byłem pewien, że to nie Nadieżda, tak więc pozostawał Markow. Nic dziwnego, że tak prędko spoufalił się z babką...

– A teraz spróbuj zasnąć – powiedziała rozkazująco. – Potrzeba ci odpoczynku.

– Tak jest, babciu Kiro! – zawołałem, markując salut.

Oczekiwałem protestów – ponownie nazwałem ją babcią, ale Kira Folle jedynie spojrzała na mnie z pobłażliwym uśmiechem i przycupnęła na szpitalnym krześle. Gestem magika wydobyla skądś rozpoczętą robótkę i zajęła się szydełkowaniem, nie zwracając już na mnie uwagi. Przez jakiś czas obserwowałem śmigające z niepojętą precyzją szydełko, po czym niepostrzeżenie

zapadłem w sen.



Obudził mnie nieprzyjemny zgrzyt przesuwanego po podłodze krzesła. Dziewczyna, która usiadła przy moim łóżku, z pewnością nie mogłaby zostać nazwana ślicznotką: krępa sylwetka, kwadratowa, z grubą ciosaną twarzą i dłonie o krótkich, mocnych palcach daleko odbiegały od kanonów kobiecego piękna. Jedynie oczy koloru starej whisky dodawały jej uroku.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała bez cienia skruchy. – Jestem Ada Sawicka, podporucznik Ada Sawicka – doprecyzowała, demonstrując milicyjną legitymację.

– O co chodzi? – spytałem niechętnie.

Mimo że przespałem kilka godzin, nie czułem się najlepiej, żółć podchodziła mi do gardła, a głowa pulsowała boleśnie, jak po tęgiej popijawie.

– To tylko rutynowa wizyta – zapewniła. – Wypada zapoznać się z nowo przybyłym. Jesteście chorzy?

A więc tak wygląda córka Poliakowa...

– Skąd! Leżę tu dla przyjemności! – odburknąłem.

– To prawda, że was otruto? – kontynuowała.

Westchnąłem z rezygnacją, ot, co znaczy prowincja: Niusia powie Lusi, Lusia Adzie – to wszystko, rzecz jasna, w najgłębszej tajemnicy! – i następnego dnia cała wieś gada o twoich sekretach.

– Owszem.

– Kto to zrobił?

– Nie przedstawili się – poinformowałem chłodno.

– Szukacie kłopotów? – rzuciła. – Mamy tu spory i w tym momencie pusty areszt.

– Dość tego, smarkulo – powiedziałem ze znużeniem. – Jestem pułkownikiem milicji, moje dokumenty są u babki Kiry.

– Ja...

– Koniec rutynowej wizyty! – oznajmiłem z naciskiem. – Gdy poczuję się lepiej, odwiedzę cię na posterunku. A teraz znikaj!

Ku mojemu zdumieniu dziewczyna wyszła bez słowa protestu, cicho zamykając za sobą drzwi. Czyżby rzeczywiście potrafiła poznać, kiedy ktoś kłamie? Interesujące.

Podniosłem się z wysiłkiem, łapiąc za parapet, wyjrzałem przez okno. Ada Sawicka maszerowała dziarsko w stronę komisariatu, a tymczasem pod budynek zajechał zaprzęg powożony przez Pietkę. Jakaś opatulona w futra postać, pewnie babka Kira – bo któż by inny? – zsunęła się z sań i podreptała do wejścia. Czyżby przywiozła kolejny posiłek? Tylko że nie zauważyłem u niej żadnego pakunku.

Spróbowałem wykonać skłon, ale kiedy tylko zgiąłem się w pasie, zawirowało mi w głowie i znalazłem się na czworakach. Jak można było przewidzieć, dokładnie w tym momencie weszła babka Kira, a w chwilę później Nadieżda.

– Wybierasz się gdzieś, synku? – spytała staruszka z ironią.

Nadia bez słowa podbiegła do mnie i pomogła mi wstać.

– W sumie to niegłupi pomysł, zbieraj się i wracamy do domu – poleciła Kira Folle.

– On jest jeszcze za słaby – zaprotestowała dziewczyna.

– Nie czytasz własnych diagnoz? – zdziwiła się obłudnie babka Kira. – On już nigdy nie będzie silniejszy – stwierdziła brutalnie.

– A teraz pomóż mu się ubrać! Czekam za drzwiami.

– Nie musicie nigdzie jechać! – powiedziała buntowniczo dziewczyna. – Jak chcecie, to porozmawiam z Markowem i...

– Daj spokój – wszedłem Nadii w słowo. – Babka ma rację, nic tu po mnie. W razie czego wezwie pomoc przez telefon, to raptem pół kilometra.

– Jak chcecie – mruknęła wyraźnie urażona.

– Podaj mi moje rzeczy – poleciłem. – I odwróć się.

– Dacie radę sami się ubrać? – zapytała z akcentem

wątpliwości. – Mogę zawołać Markowa.

– Żeby pomógł mi wkładać koszulę? Dziękuję, zdecydowanie wolę, żebyś to ty zapinała guziczki.

Dziewczyna odwróciła się posłusznie, a ja zrzuciłem pośpiesznie piżamę i naciągnąłem bieliznę. Podniesiony na duchu sukcesem, spróbowałem założyć i spodnie, ale zrezygnowałem po kolejnym ataku zawrotów głowy.

– Już – powiedziałem słabym głosem.

– Mówiłam, że nie dacie rady! – oznajmiła z wyrzutem. – I splątaliście nogawki, powinnam was tak zostawić.

– Nie marudź, bo poproszę babkę Kirę. Tylko boję się, że ubieranie o połowę młodszego faceta może jej sprawić satysfakcję pozamedyczną...

Nadia fuknęła gniewnie, choć widziałem, że powstrzymuje uśmiech.

– Myślicie, że mnie to nie grozi?

– Jeśli nawet, przyjmę to z godnością – zapewniłem.

Dziewczyna pochyliła się, żeby wzuć mi buty, mimowolnie dotknąłem jej włosów. Zamarła na moment, po czym sięgnęła po marynarkę i pomogła mi wstać. Normalnie uznałbym to za sygnał, że jakby co, nie będzie się specjalnie opierała, tyle że byłem ciężko chory i najprawdopodobniej siostrzyczka Nadia po prostu zignorowała – kto wie czy nie z litości? – wybryk niesforne pacjenta. Ech, szlag by to...

Jeszcze tylko futro, czapka i stałem gotowy do drogi.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Uważajcie na siebie – odparła poważnie. – Gdybyście się gorzej poczuli, natychmiast dzwońcie!

Mruknąłem potakująco i poczłapałem do wyjścia. Dzień był mroźny, termometr wskazywał minus trzydzieści stopni. Zimny, przenikliwy wiatr odebrał mi oddech, sypnął w twarz śniegiem.

Kiedy tylko wgramoliłem się na sanie, Pietka trzasnął z bicza i popędził konia, ponaglony szorstkim rozkazem babki Kiry.

– Po co ten pośpiech? – spytałem.

– Nie sądzę, żeby taki mróz ci służył – wyjaśniła cierpko. – Poza tym będziemy mieć gościa.

– Tak? Kogo? Postanowiliście mnie zapoznać z jakąś miejscową znakomitością?

– Zamiejscową – sprostowała, ściągając usta. – On mieszka w zupełnej głuszy.

– A konkretnie?

– Daleko – odburknęła. – Przy chińskiej granicy. Ale czasem tu przyjeżdża.

Zmarszczyłem brwi, chińska granica? Toż to niemal tysiąc kilometrów stąd! Niby nic wielkiego, ale na Syberii w środku zimy odległość robiła wrażenie.

– Kim on jest? Chińczykiem?

– Jakbyś zgadł – odburknęła.

– I po co on nam?

– Nie nam – poprawiła. – Tobie. To lekarz, jeden z najlepszych, tyle że nie zajmuje się tradycyjną medycyną.

– Szaman?

– Lekarz – powtórzyła z naciskiem. – Nieortodoksyjny. Bo klasyczna medycyna może ci zaoferować co najwyżej skrócenie cierpień – dodała złośliwie.

– Jeszcze tego mi brakowało – mruknąłem. – Szamana tańczącego z bezgłową kurą pod pachą i przygrywającego sobie na bębenku.

Kira Folle wymamrotała coś niewyraźnie, wychwyciłem tylko słowo „matoł”, po czym odwróciła się demonstracyjnie plecami. Resztę drogi przebyliśmy w milczeniu.



Z ciemnego jak ołów nieba waliły tumany śniegu, ograniczając



widoczność do kilku metrów. Gapiłem się w okno sennym wzrokiem, syty, w dobrze ogrzanym pomieszczeniu. Z letargu wyrwało mnie skrzypnięcie drzwi wejściowych. Sięgnąłem pod poduszkę, zacisnąłem palce na rękojeści tokariewa.

– Spokojnie, Razumowski! – rozległ się głos babki Kiry. – To tylko my.

– Wejdźcie – zaprosiłem.

Spodziewałem się skośnookiego karzełka o orientalnych rysach twarzy, ale mężczyzna miał przynajmniej metr siedemdziesiąt. Gdyby nie żółtawy odcień skóry i czarne jak skrzydło kruka włosy, można by go wziąć za Europejczyka. Wyglądał na czterdzieści lat, poruszał się szybko i sprężysto, ale było w nim coś, co sugerowało, że jest starszy. Dużo starszy. Może chodziło o wyraz oczu? A może szacunek, jaki okazywała mu nieskłonna przecież do uniżoności babka Kira?

Nieznajomy wyrzucił z siebie serię gardłowych sylab i rozkazującym gestem wyciągnął dłoń.

– Doktor Sun chce zbadać twój puls – poinformowała staruszka. – Podaj mu rękę.

Wykonałem polecenie. Chińczyk zastygł w bezruchu na kilka minut, wreszcie na czole medyka pojawiła się pozioma zmarszczka.

– Co on mówi? – spytałem nerwowo, słysząc wygłaszane ostrym tonem frazy.

– Nieważne, później przetłumaczę – zbyła mnie Kira Folle. – Pokaż język.

Cóż było robić? Pokazałem, czując się jak ostatni głupek.

– A teraz wstań z łóżka – rozkazała.

Skrzywiony z wysiłku, stanąłem naprzeciwko Chińczyka.

– Przejdź kilka kroków.

Podszedłem do medyka i stanąłem, dysząc ciężko; gdyby mnie nie podtrzymał, runąłbym na podłogę. Sun ponownie zbadał mój puls, tym razem trwało to jeszcze dłużej niż poprzednio, wreszcie

w oczach Chińczyka pojawiło się zaskoczenie przemieszane z odrazą. Przez chwilę myślałem, że mnie uderzy. Powiedział coś ostro, po czym położył na stole pęczek ziół o intensywnym zapachu. Babka Kira próbowała protestować wysokim, przestraszonym głosem. Nie rozumiałem odpowiedzi, ale ton Chińczyka był zimny jak dźwięk cmentarnego dzwonu. Ponownie skrzypnęły zawiasy i szczupła sylwetka zniknęła w tumanach śniegu.

– Co się dzieje? – spytałem. – Czy ten wasz znajomy nie miał mnie leczyć?

– On nie będzie cię leczył – stwierdziła ze znużeniem Kira Folle. – Coś ty mu zrobił?

– Widziałem go pierwszy raz w życiu – odparłem zgodnie z prawdą. – Co powiedział?

– Był mi coś winien, więc pomyślałam, że pomoże. Kiedy odmówił leczenia, przypomniałam mu to. Odparł, że sam fakt, że cię nie zabije, likwiduje jego dług. Zostawił zioła, które zmniejszą ból i inne nieprzyjemne objawy, ale nie zneutralizują trucizny.

– Nie wiem, o co mogło mu chodzić.

– Na pewno? Może ktoś z jego rodziny...

– Ile razy mam wam powtarzać?! – warknąłem. – Nigdy nie skrzywdziłem żadnego Chińczyka! A pamiętałbym, bo zetknąłem się z nimi wszystkiego dwa razy w życiu!

– Więc o co mu chodziło?

– Wiem tyle, co wy – uciałem, gramoląc się na łóżko.

Babka Kira pokręciła fraszobliwie głową i wyszła z pokoju, zabierając ze sobą zioła. Zgasilem światło i zapaliłem lampę naftową, najwyraźniej elektryczność na tyle często szwankowała, że miejscowi woleli się zabezpieczyć. Zawieszona pod sufitem żarówka pełgała jeszcze przez chwilę, aby w końcu przegrać z ciepłym blaskiem naftówki.

Zaskakujące zachowanie Suna sprawiło, że zacząłem zastanawiać się nad swoją chorobą. Najwyraźniej mogłem liczyć

tylko na siebie. Konwencjonalna medycyna nie mogła mi pomóc, a znajomy babki Kiry nie chciał. Co mi zostawało? Może spróbować ćwiczeń oddechowych? W końcu już raz uratowały mi życie. Usiadłem, starając się utrzymać wyprostowany kręgosłup, i nabrałem powietrza w płuca. Wytrzymałem może z pięć sekund, przerwał mi atak kaszlu. Coś zachrobotło w piersiach, ledwo zdążyłem sięgnąć po chusteczkę. Kiedy odjąłem ją od ust, zmieniła barwę na czerwoną. Szlag! Znaczy nie tędy droga.

Skreśliłem lampę i ułożyłem się wygodnie na grubej puchowej poduszce, otuliłem pierzyną. Cóż, jutro też będzie dzień. Jeśli dożyję...



Ze snu wyrwało mnie pianie koguta, natrętny dźwięk powtarzał się w kilkusekundowych odstępach, dopóki nie usiadłem na łóżku. Wówczas piekielne ptaszysko zakończyło swój koncert.

Złapałem ręcznik i powlokłem się do łazienki. Spodziewałem się, że babka Kira jak zwykle przygotowała wodę do porannych ablucji, ale tym razem miednica była pusta, a na kuchni gotował się tylko nieprzyjemnie pachnący wywar z kości i ziół.

– Kiro Andriejewna! – zawołałem niegłośnie. – Kiro Andriejewna!

Sapnąłem gniewnie, czyżby babka udała się do wychodka? Ten znajdował się po przeciwnej stronie podwórza, wraz z niewielkim składzikiem i łaźnią parową.

– Babciu Kiro! – zawołałem ponownie.

– Nie drzyj się tak, nie jestem głucha! – ofuknęła mnie staruszka, otrzepując w sieni śnieg z butów. – Włóż coś na siebie i idź do łaźni, odrobina pary dobrze ci zrobi.

– Kiedy na dworze straszny mróz – powiedziałem

nieprzekonany. – I co to za śmierdzidło gotujecie? Naprawdę chcecie to pić?

– Ja? Nigdy w życiu! – zapewniła. – To dla ciebie. A teraz jazda do bani, nie po to napaliłam, żebyś mi wybrzydzał!

Narzuciłem na siebie futro, włożyłem buty i pomaszerowałem do wyjścia.

– Czekaj! – zatrzymała mnie w progu. – Wypij. – Podała parujący kubek.

– To te zioła od Suna? – spytałem nieufnie. – Na pewno mi nie zaszkodzą?

– Na pewno. Znam się na tym. Bardzo trudno je znaleźć, rosną tylko w górach, być może Sun rzeczywiście spłacił swój dług – dodała niechętnie.

– Na co pomagają?

– Likwidują ból, oczyszczają krew i dodają energii. Dawniej chińscy alchemicy usiłowali stworzyć z nich pigułki nieśmiertelności.

– Skąd to wszystko wiecie? I o co chodzi z tym długiem Suna?

– Nauczył mnie kilku sztuczek – odparła z ociąganiem. – Dawno temu. A jego dług to nie twoja sprawa.

– Dawno? To znaczy kiedy? Bo on jest przecież dużo młodszy od was.

– Zaraz po rewolucji.

– To niemożliwe. Przecież...

– Do kąpieli! – przerwała mi bezceremonialnie, zabierając naczynie. – Już!

Wyszedłem na podwórze i natychmiast skuliłem się smagnięty podmuchem bezlitosnego, lodowatego wiatru. Do łaźni dotarłem niemal biegiem, zamknąłem za sobą drzwi i zrzuciwszy ubranie, skorzystałem z cebrzyka z ciepłą wodą, po czym przeszedłem do drugiego pomieszczenia. W żelaznym koszu pod piecem spoczywały rozgrzane kamienie, obok stało wiadro z wodą. Znaczą samoobsługa.

Izba była nagrzana, babka Kira nie żałowała opału. Owinąłem się w pasie ręcznikiem i opróżniłem wiadro do połowy. Zasycało, para buchnęła pod sufit, poczułem ostry ziołowy zapach. Zakaszlałem bezradnie, najwyraźniej moja gospodyni dodała czegoś do wody.

– Musisz wdychać tę parę – powiedziała babka Kira przez drzwi.

– Jak długo mam tu siedzieć? – spytałem słabo.

Wiele razy korzystałem z bani, ale nigdy nie czułem się przy tym tak źle jak dzisiaj. Moja skóra momentalnie pokryła się potem, z trudem łapałem oddech, w skroniach łupało jak po przepiciu.

– Ile dasz radę. Te zioła oczyszczają organizm z wszelkich trucizn, tyle że sam proces nie jest zbyt przyjemny – uprzedziła. – W kącie po lewej stronie jest drugie wiadro. Puste.

– A to do czego?

– Zobaczysz. A tymczasem oddychaj głęboko. Jeśli skończy ci się woda, zawołaj, postawię pod drzwiami kolejną porcję.

Otworzyłem usta, aby odpowiedzieć, ale potężny spazm bólu odebrał mi oddech, w chwilę później nadeszła fala mdłości. Przez dobre kilka minut wymioty rozrywały mi trzewia.

– Mam nadzieję, że zdążyłeś znaleźć to wiadro – odezwała się cierpko Kira Folle. – Razumowski?!

– Zdążyłem – wycharczałem przez ściśnięte gardło.

– Znakomicie!

– A co z tymi... ziołami? One mnie wyleczą?

– Polej kamienie – powiedziała babka Kira po chwili milczenia.

Wykonałem polecenie, po czym opadłem ciężko na ławę, otumaniony wyciskającymi łzy oparami.

– Więc? – ponagliłem.

– Tyle o ile – odparła ostrożnie. – Usuną toksyny z krwi, ale nie z kości czy organów wewnętrznych.

– Jednym słowem, poczuję się lepiej, ale i tak umrę –

podsumowałem zgryźliwie.

– Nie zachowuj się jak dziecko! – odburknęła.

– A Sun? Myślicie, że mógłby mnie wyleczyć?

– Wątpię. Potrafi robić rzeczy, o jakich lekarzom się nie śniło, ale nie jest cudotwórcą. Te zioła, które przyniósł...

– Tak?

– Chińczycy znają wiele paskudnych trucizn, część z nich opracowano setki, może tysiące lat temu, w tym i takie, przeciwko którym nie ma żadnych antidotów, jednak są zioła, które potrafią przedłużyć życie ofiary o kilka, może kilkanaście miesięcy.

– Więc Sun...

– Tak, przyniósł je dla ciebie. Są tak rzadkie, że w Chinach przekazuje się je z pokolenia na pokolenie. O ile ktoś ma szczęście je znaleźć...

Nie wiem, jak długo siedziałem, dysząc ciężko i ociekając potem. Kwadrans? Może pół godziny? Widząc, że para rzednie, zwlokłem się z ławy i poczłapałem do drzwi, po chwili babka Kira podała mi wiadro napełnione ziołowym wywarem. Ponownie zalałem kamienie, zmagając się z atakiem mokrego kaszlu.

– Żyjesz? – spytała wyraźnie zaniepokojona Kira Folle.

– Żyję! – warknąłem gniewnie. – Ale to nie wasza zasługa. Ta łaźnia mnie wykończy! Jestem słaby jak dziecko.

– Myślałby kto, że przed wejściem do bani byłeś siłaczem – zripostowała złośliwie. – Jeszcze dziesięć minut – dodała pocieszająco.

Zacisnąłem zęby z głową opartą na kolanach, każda inna pozycja groziła upadkiem, czułem się jak na gigantycznej karuzeli. Zwymiotowałem jeszcze dwa razy, zanim babka Kira otworzyła drzwi. Wypadłem półnagi na śnieg, ostatnie, co zapamiętałem, to rosnący w oczach pień do rąbania drzewa.



Obudził mnie ból głowy, obmacałem czaszkę, poczułem pod palcami przesiąknięty krwią bandaż. No ładnie, znaczy jednak uderzyłem w ten pień...

Uniosłem się na łóżku, poprawiłem poduszkę i usiadłem bez specjalnego wysiłku. Po raz pierwszy od dłuższego czasu nie dostałem przy tej czynności zadyszki. Czyżby pomogły mi chińskie zioła?

– No, wreszcie! – odezwała się stojąca w progu Kira Folle. – Już myślałam, że trzeba będzie dzwonić po tę dziewczuskę z Moskwy. Wystarczy spuścić cię na chwilę z oczu i zaraz na coś wpadasz. W dodatku nie mogłam zatamować krwi. Nie cierpisz aby na hemofilię? – spytała podejrzliwie.

– Nie.

– Jak się czujesz?

– Lepiej. Może te zioła rzeczywiście pomagają?

– Jeśli nawet, to nie w ten sposób – odparła babka Kira. – Oczyszczanie organizmu to bardzo bolesny proces. Powinieneś mieć mdłości, gorączkę i czuć ból w całym ciele.

– Boli mnie tylko głowa.

– Podejdź do mnie.

Powoli opuściłem nogi na podłogę i ostrożnie, trzymając się oparcia, wstałem z łóżka. O dziwo, bez specjalnego wysiłku. Byłem osłabiony, to nie ulegało wątpliwości, ale nie bardziej niż po kilkudniowej chorobie. Postąpiłem krok naprzód, później drugi, wreszcie znalazłem się naprzeciwko Kiry Folle.

– I co dalej?

– Dasz radę zrobić przysiad?

Bez słowa wykonałem polecenie.

– To niemożliwe – powiedziała bezradnie. – Zupełnie niemożliwe! Po tych ziołach powinieneś leżeć przynajmniej

tydzień z wysoką gorączką, nie mogąc nawet ruszyć ręką. A tymczasem skaczesz jak młody koziołek.

– Śmiertelnie chory młody koziołek – przypomniałem posępnie.

Babka Kira niecierpliwym gestem zbyła moje zastrzeżenia, po czym złapała mnie za nadgarstek, układając trzy palce na przegubie.

– Też jesteście szamanką, jak ten Chińczyk? – spytałem drwiąco.

– Nie przeszkadzaj! – ofuknęła mnie gniewnie.

Umilkłem posłusznie, ze zdziwieniem zauważyłem, że na czole kobiety ukazały się krople potu, wreszcie puściła moją dłoń.

– Wracaj do łóżka – poleciła szorstko.

– Co ze mną będzie? Te zioła pomogły mi czy może zaszkodziły?

– Nie mam pojęcia – przyznała. – Sun coś wie, ale wnioskując z jego zachowania, lepiej nie prosić o konsultację.

– A to niby dlaczego?

– On nie żartował, gdy mówił, że powinien cię zabić. Wolę nie ryzykować.

– Pewnie dałby radę udusić mnie poduszką, kiedy byłem osłabiony, ale teraz...

– Nie bądź idiotą! – warknęła. – Po pierwsze, chwilowa poprawa o niczym nie świadczy, a i tobie daleko do normalnej sprawności, po drugie, nawet gdybyś był w szczytowej formie i trzymał go na muszce, nie miałoby to żadnego znaczenia. Zabiłby cię, zanim zdążyłbyś nacisnąć spust.

– Jasne!

– Dorośnij, Razumowski! Wiem, co mówię. Widziałam, jak... – urwała, nie kończąc zdania.

– Jak zabija? – poddałem. – Ciekawe, co takiego widzieliście, babciu Kiro? I kiedy? Chciałbym też wiedzieć, na jakiej podstawie oceniliście jego umiejętności? Zdarzyło się wam



kiedyś zabić człowieka?

Nie otrzymałem odpowiedzi, Kira Folle wpatrywała się we mnie ze zmarszczonymi brwiami, najwyraźniej usiłując zdecydować, czy nie za dużo mi wyjawiała.

– Wiecie, mogę was sprawdzić – kontynuowałem. – Wystarczy, że zadzwonię do MUR-u.

– Powodzenia – rzuciła z ironią.

– Zaczekajcie! Ja...

Babka Kira parsknęła gniewnie, po czym wyszła, zamykając za sobą drzwi. Przez jakiś czas nasłuchiwałem nerwowo, zaciskając palce na kolbie pistoletu. Wbrew buńczucznym deklaracjom zdawałem sobie sprawę, że jestem łatwym celem. Z drugiej strony moja gospodyni udowodniła już, że zależy jej na utrzymaniu mnie przy życiu. Wystarczyłoby przecież, żeby po ostatnim ataku nie wezwała na czas pomocy. Taaak, z jej strony nie ma się czego obawiać, choć nie zaszkodziłoby dowiedzieć się czegoś o *sudaryni* Folle. Ot tak, na wszelki wypadek. Postanowiłem w najbliższym czasie odwiedzić Adę Sawicką, a jeśli ta nic ciekawego mi nie powie, zadzwonić do Poliakowa. Jeżeli poprosił babkę Kirę, żeby się mną zaopiekowała, musiał ją znać.

Przymknąłem oczy, uspokoiony dochodzącymi zza drzwi kuchennymi odgłosami. Znacząca moja gospodyni nie szukała strzelby, tylko szykowała posiłek. Niepostrzeżenie zapadłem w sen.



W komisariacie powitał mnie młody mężczyzna w mundurze sierżanta. Krzepka budowa świadczyła o niebagatelnej sile młodzieńca, ale twarz o grubych rysach pozwalała wnioskować, że raczej nie należy do największych intelektualistów w okolicy.

– Pułkownik Razumowski, MUR – przedstawiłem się krótko. –  
Ja do porucznik Sawickiej.

– Towarzyszka Sawicka was oczekuje – rozpromienił się  
chłopak. – A ja jestem Roman Klimow – powiedział, wyciągając  
dłoń.

Uścisnąłem ją z pobłażliwym uśmiechem, tu, na wsi, pewnie  
nie uczyli, że to osoba stojąca wyżej w hierarchii społecznej  
decyduje o formie powitania. Poza tym entuzjazm młodego  
milicjanta był zaraźliwy, w Moskwie mało kto witał mnie tak  
radośnie.

Ada Sawicka siedziała za biurkiem, jej sylwetka odbijała się  
w umieszczonym naprzeciwko okazałym lustrze. Na mój widok  
zerwała się na równe nogi i zameldowała regulaminowo.  
Niedbałym skinieniem pozwoliłem jej usiąść, a sam usadowiłem  
się w imponujących rozmiarów fotelu. Wnioskując po śladach na  
podłodze, biurko stało w innym miejscu, a wygodne siedzisko  
przygotowano specjalnie dla mnie. Najwyraźniej panienska  
Sawicka przygotowała się do spotkania ze mną. Ciekawe.

– Chciałam was przeprosić – powiedziała z rumieńcem na  
policzkach. – Nie wiedziałam, że...

– Nieważne – przerwałem jej dobrodusznie. – Nic się nie stało.  
Zawsze tak traktujesz przyjezdnych?

– Nie – odparła, patrząc mi prosto w oczy. – Byłam  
zdenerwowana.

– Dlaczego?

– Nie chciałabym wam zawracać głowy, jesteście chorzy, no  
i cała sprawa was nie dotyczy – rzuciła niepewnie.

– Na pewno nie będę ganiał po krzakach w poszukiwaniu  
jakiegoś miejscowego chuligana – przytaknąłem. – Ale może  
mógłbym coś doradzić? I tak przyjdzie mi tu siedzieć kilka  
miesięcy.

– Co wam jest? – Popatrywała na mnie niespokojnie. –  
Naprawdę ktoś was otruł?

– Naprawdę – zapewniłem. – Lekarze zalecili leczenie klimatyczne, dlatego tu przyjechałem.

– Jako terapię uzupełniającą?

– Jako jedyną terapię, to była naprawdę dobra trucizna – odparłem, wzruszając ramionami. – Ale mniejsza z tym, lepiej powiedz, co cię tak zdenerwowało?

Na twarzy Ady Sawickiej odbiło się zmieszanie, po chwili w oczach dziewczyny pojawił się błysk zrozumienia, w uderzenie serca później – współczucia.

– Ja...

Przerwałem jej stanowczym gestem.

– Pytałem o twoje problemy – przypomniałem. – Swoimi zajmę się sam.

Odchrząknęła niepewnie, poprawiła się na krześle.

– Problemy to za dużo powiedziane – odparła ostrożnie. – Być może potencjalne problemy.

– To ile ich jest? – Uniosłem brwi w udanym zdziwieniu.

– Najpoważniejszy to zaginione dzieci – stwierdziła z westchnieniem rezygnacji. – Kiedyś zaginęło tu kilkoro, a śledztwo niczego nie wykazało. Niedawno zniknął kolejny dzieciak, Wowa Mikulin. Niestety, moi przełożeni przyjęli za dobrą monetę zeznania dwóch pijanych wędkarzy, którzy jakoby widzieli dziecięce zwłoki niesione prądem Angary.

– Jakież cechy wspólne?

– Po pierwsze, wiek. Wszystkie dzieci miały nie mniej niż osiem lat, nie więcej niż dwanaście. Po drugie, wygląd. Ładne buźki, smukłe sylwetki, ani jedno nie było grube czy pucołowate. Każde z nich zaginęło podczas spaceru albo w drodze ze szkoły do domu. Żadnych śladów walki, strzępków ubrań ani kropli krwi...

– To tylko małe dzieci – zauważyłem.

– Niby tak, ale nie wasze miejskie pieszczochy – zripostowała z naciskiem. – Wowa Mikulin polował z dziadkiem i ojcem od

siódmego roku życia, miał na koncie rosomaka, łosia i kilkanaście wilków. Poruszał się po lesie jak po własnym podwórku. Edik Kowalow położył niedźwiedzia, który poranił dwóch innych myśliwych, i pomagał ojcu oprawiać upolowaną zwierzynę.

– Co z tego, że oskórował jakiegoś szaraka, czy niechby tam wilka?

– To znaczy, że potrafił używać noża i nie bał się krwi – wyjaśniła cierpliwie. – A nóż, solidne myśliwskie ostrze, nosił zawsze przy sobie. Kiedy zaginął, miał tylko dwanaście lat, ale chłopak, który zastrzelił z zimną krwią atakującego niedźwiedzia, nie wpadłby w panikę, gdyby zaczepił go ktoś obcy. Wierzcie mi, ten dzieciak by walczył.

Powoli, z namysłem skinąłem głową. Ada miała rację, to było zastanawiające.

– Coś jeszcze?

– Ślady. Wiecie, mamy tu paru naprawdę dobrych tropicieli.

– Tak?

– W dwóch przypadkach niedaleko miejsca porwania znaleziono ślady męskich butów. Niestety, zniknęły po kilkuset metrach. Wniosek? Sprawca znał teren i wiedział, jak się poruszać. Także psy straciły trop...

– To ktoś miejscowy, prawda?

Przytaknęła bez słowa.

– Nie jesteś stąd?

– Nie. Dlatego mam związane ręce. Tu wszyscy się znają, od początku śledztwa zakładano, że dzieci porwał ktoś obcy. Wiecie, że w Listwiance nikt nie zamyka drzwi? Nie ma potrzeby. Ostatnie włamanie, o ile można je tak nazwać, miało miejsce trzy lata temu, jeszcze za poprzedniego komendanta. Miejscowy pijaczyna, niejaki Fokin, wlaźł do piwnicy babki Kiry i poczęstował się marynowaną słoniną. Rozumiecie, zabrakło mu zagrychy.

– I co na to babka? – spytałem zaciekawiony.

– Chwyciła za miotłę i sprząła go tak, że przez tydzień chodził na czworakach.

– Przypuszczam, że komendant nie zgłosił ani włamania, ani pobicia?

– Zgadliście – przyznała ponuro. – Tak właśnie działa tu milicja! Gdybym zaczęła za bardzo rozpytywać, tutejsi przestaną ze mną gadać.

– Nie zależy im na wykryciu sprawcy?

– Zależy. Tylko nie wierzą, że to może być jeden z nich. W dodatku jestem kobietą. Kiedy zniknął Wowa Mikulin, przesłuchałam kilka osób, między innymi Jefima Czumaka. To myśliwy, żyje w głuszy i cały czas włóczy się po okolicy, więc pomyślałam, że może widział dzieciaka, jeśli ten postanowił zrobić sobie wycieczkę.

– I co?

– Wiecie, co ten stary pień mi powiedział? Że nie będzie rozmawiał z babą, bo, cytuję: „Nie ufa żadnemu stworzeniu, które krwawi przez tydzień i nie zdycha”.

Zasłoniłem usta, usiłując opanować wesołość, ale nie dałem rady i po chwili wybuchnąłem śmiechem.

– Pewnie! Nie żałujcie sobie! – rzuciła z goryczą dziewczyna. – Ciekawe, ile dzieci będzie musiało zginąć, żeby ci wieśniacy wzięli mnie na poważnie?

– W tej robocie kobiety wszędzie mają pod górkę – powiedziałem już z powagą. – To męski zawód.

– Wy też tak uważacie?

– Tak. Oczywiście są wyjątki.

– Co macie na myśli?

– Pracowałem już z kobietami w mundurach, niektóre są lepsze niż mężczyźni.

– Naprawdę? Na stanowiskach operacyjnych?

– Bywało.

– Więc nie macie uprzedzeń?

– Mam całe mnóstwo uprzedzeń – odburknąłem z irytacją. – Żaden rozsądny człowiek nie chciałby mieć baby za partnera w czasie strzelaniny albo kiedy przyjdzie napierdalać się na pięści w jakiejś melinie. Ale jeśli kobieta pracuje jako oficer śledczy i zna swoje ograniczenia, dlaczego nie? Tylko że to, tak czy owak, wymaga talentu i określonych predyspozycji.

Ada Sawicka popatrzyła na mnie spod oka, jednak powstrzymała się od komentarza.

– A ty jesteś utalentowana czy tylko tak ci się wydaje? – spytałem prowokacyjnie. – Bo miejscowi mówią, że zawsze wiesz, kiedy ktoś kłamie?

Dziewczyna spuściła głowę, nerwowym gestem splótła palce.

– To niezupełnie tak – wymamrotała. – Ten mój... talent dotyczy tylko obcych. I dzięki Bogu!

– Nie rozumiem?

– Gdybyście byli z kimś blisko, kochali go albo choćby się przyjaźnili, chcielibyście wiedzieć, kiedy was oszukuje w każdej, najdrobniejszej nawet sprawie? Dwadzieścia cztery godziny na dobę?

– Chyba nie.

– No właśnie. Jeśli ktoś staje się mi bliski, nie mogę odróżnić kłamstwa od prawdy.

– Co znaczy bliski? Wystarczy, że z nim porozmawiasz, wypijesz kieliszek wina, prześpisz się?

– Tracę wycucie, jeśli staje się dla mnie ważny.

– Czyli możesz kogoś znać latami, ale jeśli go nie polubiłaś, nadal wiesz, kiedy mówi prawdę?

Dziewczyna przytaknęła.

– Chcę to zobaczyć – rzuciłem rozkazująco. – No, dalej!

– Jak to sobie wyobrażacie? Mam kogoś przy was przesłuchać?

– Nie ma potrzeby, przesłuchaj mnie.

– Ale o co mam pytać?

– O co zechcesz. – Wzruszyłem ramionami. – Po każdej odpowiedzi będziesz mówiła, czy skłamałem, czy nie.

– To może być... krępujące.

– Wytrzymam – zapewniłem.

– Dla obu stron – uzupełniła. – Co, jeśli poznam jakąś waszą tajemnicę?

– Przecież mnie nie znasz, nie wiedziałabyś, o co pytać. Zaczynaj! – ponagliłem.

– No dobrze – powiedziała, mierząc mnie badawczym spojrzeniem. – Jak chcecie. Zabiliście kiedyś człowieka?

– Tak.

– Prawda.

Siłą woli powstrzymałem się przed cynicznym uśmiechem. Też mi nowina! Być może kiedyś przyjdą czasy, kiedy będzie można dosłużyć się stopnia pułkownika milicji bez wyciągania broni, ale to jeszcze nie teraz. Zdecydowanie nie...

– Byliście ranni?

– Tak.

– Prawda. Zostaliście otruci?

– Tak.

– Prawda.

Tym razem w głosie Ady Sawickiej zabrzmiało zdumienie, jakby spodziewała się innej odpowiedzi.

– Przyjechaliście do Listwianki z przyczyn medycznych?

– Tak.

– Kłamstwo – odparła dziewczyna pewnie. – Przysłali was czekać?

– Nie. Nie mam nic wspólnego z bezpieczeństwem.

– Prawda. Chcecie mi zrobić krzywdę?

– Nie.

– Prawda. Byliście kiedyś zakochani?

– Nie.

– Kłamstwo. Byliście.

– Dostyc tych głupot – mruknąłem. – Bo za chwilę zapytasz mnie, kiedy straciłem cnotę.

– Jeszcze jedno: czy mogę wam zaufać?

– Tak.

– Prawda...

– Może wreszcie się uspokoisz?

– Przynajmniej wiem, że nikt was na mnie nie nasłał. Pomożecie mi w moich dochodzeniach?

– Jakich, do licha, dochodzeniach?! Mówiliśmy o zaginionych dzieciakach.

– Wiecie, niedaleko jest kopalnia złota, w której ginie wydobyty kruszec. Niby niedużo, nie więcej niż kilogram, góra dwa miesięcznie, za to regularnie. Ilość wydobytego złota nie zgadza się z...

– To twój rejon? – przerwałem Adzie bezceremonialnie.

– Nie, ale kradzieżami zainteresowała się GB, mają przysłać tu śledczych. Być może przyjdzie mi z nimi współpracować.

– Zwariowałaś? To sprawa rejonowego wydziału milicji.

– Tak, ale...

Westchnąłem ciężko i skinąłem, żeby się nachyliła, po czym błyskawicznym ruchem złapałem dziewczynę za kark i przydusiłem głowę do biurka.

– Nawet nie myśl o tym, idiotko! – wycedziłem przez zaciśnięte zęby. – Jeśli wieszasz się w cudze śledztwo, bezpieczeniacy natychmiast zaczną cię podejrzewać, a rejonowa milicja nie kiwnie palcem w twojej obronie, zadowolona, że tamci znaleźli kozła ofiarnego. Kiedy *gebesznicy* przesłuchają cię tak, jak to oni potrafią, przyznasz się nie tylko do kradzieży złota, ale i do zamachu na towarzysza Stalina...

Sawicka zajęczała i spróbowała się uwolnić, więc nacisnąłem silniej tętnicę tuż pod uchem dziewczyny, utrzymując ją na granicy utraty przytomności.

– Jeśli nie chcesz żyć, powiedz mi o tym teraz –



kontynuowałem. – Przynajmniej umrzesz bez bólu i nie wydasz nikogo czekistom. No?! Czekam!

– Nie... zabijajcie mnie – poprosiła cichutko.

Puściłem Adę, spodziewając się kolejnej fali bólu, albo przynajmniej kłopotów z oddychaniem, ale nie poczułem duszności. Profesor Naumow powiedział, żebym nie podejmował wysiłku fizycznego trwającego dłużej niż dziesięć, góra dwadzieścia sekund. Widać zmieściłem się w czasie.

– Nie mogłam określić, czy kłamiecie – powiedziała bezradnie Sawicka.

– Czyli mamy kolejne ograniczenie – zauważyłem. – Jeśli się boisz, nie jesteś w stanie korzystać ze swoich zdolności.

Dziewczyna rozmasowała szyję i zacisnęła gniewnie wargi.

– Nawet nie próbuj – ostrzegłem znużonym tonem. – Jeśli sięgniesz po broń, złamię ci rękę.

– A podobno nie chcecie zrobić mi krzywdy! – parsknęła jak rozzłoszczona kotka.

– Bo nie chcę. Ale swego czasu podpadłem bezpiece i nie mam zamiaru ryzykować. Gdybyś zwróciła uwagę GB, zmusiliby cię, żebyś mnie wrobiła. A wolałbym jeszcze trochę pożyć, niechby i te parę miesięcy.

– Naprawdę jest z wami tak źle?

Potwierdziłem zrezygnowanym gestem.

– Powiedzcie to! – zażądała.

– Lekarze twierdzą, że nie przeżyję roku – odparłem apatycznie. – Zadowolona?

– Nie życzę wam śmierci – odpowiedziała sztywno. – Mimo wszystko.

– Mimo co?

– Mimo tego, co mi zrobiliście.

– Ja ci zrobiłem? Nie masz nawet siniaka! Ciekawe, jak byś się czuła po przesłuchaniu w GB?! Na przykład z butelką wbitą kopniakiem w odbył!

Twarz Ady Sawickiej pobielala, przez chwile milicjantka wygladala, jakby miala wymiotowac.

– Wy... To naprawde...

– Naprawde! – zapewnilem. – To jedna z ulubionych sztuczek czekistow. Chcesz sie przekonac osobiscie, co potrafiu chlopcy o „goracych sercach i czystych rekach”?

Pokrecila przeczaco glowa.

– To siedz na dupie i nie mieszaj sie w dochodzenie, ktore cie nie dotyczy! Jesli zaginie kolejny dzieciak, bedziemy mieli dostatecznie duzo roboty.

– Myslicie, ze zaginie?

– Jestem pewien. To tylko kwestia czasu. Sprawca, kimkolwiek by byl, nie zrezygnuje.

– Pomożecie mi wtedy?

– Pomoge.

Wstalem ze stekniem, oparlem sie ciezko na lasce. Zanim pojalem, co sie dzieje, dziewczyna wyskoczyla zza biurka i ujeta mnie pod ramie.

– Pozwolicie, ze was odprowadze – powiedziala miękko.

Wychodzuc z komisariatu, czulem zmeczenie przemieszane z satysfakcja. Bylo nie bylo, powstrzymalem corkę Poliakowa przed popelnieniem bledu, ktory moglem ja kosztowac zycie. Speelnilem obietnice.

## Rozdział trzeci



Oblizałem łyżkę i z westchnieniem satysfakcji odsunąłem talerz, dziś na obiad był gulasz z łosia. Lekko słonawa, pikantna, doprawiona ziołami i grzybami potrawa mogłaby pojawić się na stole jednej z najlepszych moskiewskich restauracji.

– Teraz lekarstwo – przypomniała Kira Folle.

Opróżniłem kubek kilkoma haustami, starając się nie oddychać, bo napar przeraźliwie śmierdział.

– Za dziesięć minut zajedzie po ciebie Pietka, zawiezie cię do komisariatu, a potem do schroniska.

– Nie rozumiem...

– Myślałam, że obiecałeś pomagać tej milicjantce. Rano znaleźli zwłoki turystki.

– Jakie zwłoki?! I kto wam powiedział, że mam pomagać Sawickiej?

– Jak to na wsi, ludzie plotkują. – Zbyła mnie niedbałym gestem. – Jakie zwłoki? KobiECE. Dziewucha powiesiła się na haku od lampy.

– Wiecie coś na ten temat?

– Skąd!

– Dlaczego nie powiedzieliście mi wcześniej?

– A co by to dało? Wybiegłbyś z domu głodny i pomaszerował na piechotę do schroniska? To dobre dwa kilometry.

– Sawicka nie poprosiła mnie o pomoc – zauważyłem.

– I pewnie nie poprosi – przyznała staruszka. – Głupie dziewczuszyko.

– To po cholere mam się fatygować?

Babka Kira spojrzała na mnie srogo, po czym zaczęła zbierać brudne naczynia.

– Powiedzmy, że to pierwsza rata za wynajem pokoju – powiedziała po chwili.

– A co was to obchodzi? Znaliście tę przyjezdną?

– Wątpię. Od trzydziestu lat nie wyjeżdżałam z Listwianki.

– Więc nawet jej nie widzieliście?

– Niby jak? Cały czas stałam przy garach. Luśka Gorobiec przybiegła przekazać mi nowinę z samego rana, jak jeszcze spałam.

– Co to was obchodzi? – powtórzyłam. – Pytam poważnie. Jeśli nie odpowiecie albo spróbujecie skłamać, nie kiwnę nawet palcem.

Babka Kira ze złością rzuciła ścierkę do zlewu i usiadła za stołem.

– To chyba oczywiste! – burknęła. – Chcę, żeby ta sprawa została wyjaśniona szybko, sprawnie i bez żadnych wątpliwości. Niepotrzebne nam zamieszanie. Wczoraj do kopalni przyjechali śledczy z GB – dodała niechętnie. – Wolałabym, żeby tu nie węszyli.

Skinąłem głową ze zrozumieniem. Gdyby czekiści podejrzewali, że śmierć turystki ma związek z kradzieżą złota, na pewno przejęliby śledztwo. A jeśli zainteresowałiby się Listwianką, czort wie, czego mogliby się dokopać. Jednak w zachowaniu mojej gospodyni można było wyczytać nie tylko obawę, ale coś więcej. Kira Folle się bała, i nie był to zrozumiały strach przed bezpieką, tylko uczucie dużo bardziej konkretne i umotywowane. Lecz czym mogła podpaść GB staruszka, która przez ostatnie kilkadziesiąt lat żyła w syberyjskiej głuszy? Obiciem jakiegoś pijaczka? Wolne żarty!

- Pod jednym warunkiem – zastrzegłem.
- Tak?
- Obiecałem pomóc Sawickiej, jeśli znowu zaginie jakieś dziecko. A wtedy...
- Myślisz, że to jeszcze nie koniec? – przerwała mi niespokojnie. – Mówili, że Wowa utopił się w Angarze.
- Może się i utopił – odparłem. – Nie ja prowadziłem śledztwo, więc trudno mi wyrokować. Jednak jeśli nie i milicja tylko zamiotła sprawę pod dywan... – urwałem wymownie.
- Czego chcesz?
- Żeby miejscowi współpracowali i odpowiadali na wszystkie pytania.
- Załatwione! A oto i Pietka – powiedziała, wyglądając przez okno. – Ubieraj się.



Ada Sawicka nie była zachwycona moją wizytą, jednak bez oporu zrelacjonowała mi, co ustaliła, i zapoznała ze wstępną ekspertyzą medyczną.

– Dlaczego mnie nie zawiadomiłaś? – spytałem, studiując zapełniony znajomymi terminami dokument.

– Bo to zwykle samobójstwo. – Wzruszyła ramionami. – Ta grupa turystów przyjechała z Moskwy, niemal wszyscy znali się wcześniej. Rozmawiałam z przyjaciółką zmarłej, Larysą Kurganową – dodała wyjaśniająco. – Nieboszczka, Zoja Wanagina, zaszła w ciążę z jakimś urzędasem, a ten ją pogonił, więc dziewczucha się załamała. Ot i cała historia.

– Wiadomo coś o kochanku? Naprawdę była w ciąży?

– Sekcja zwłok wykazała, że to trzeci miesiąc. Larysa stwierdziła, że Zoja nie zdradziła jej nazwiska mężczyzny, powiedziała tylko, że tamten jest żonaty.

– Gdzie ciało?

– W ośrodku zdrowia, a gdzież by indziej? Na szczęście przy tej temperaturze nie ma kłopotu z przechowywaniem zwłok, bo najbliższa kostnica jest w Irkucku. Doktor Markow posiada uprawnienia lekarza sądowego, więc wykonał sekcję.

– Dość pobieżną – zauważyłem, odłożywszy plik luźno spiętych kartek.

– A czego byście chcieli? Na ciele nie ma żadnych oznak przemocy, bruzda wisielcza typowa, bez anomalii. Kto nam wykona dodatkowe badania i na jakiej podstawie?

– No dobrze – westchnąłem. – Pewnie masz rację, mimo to chciałbym zerknąć na naszą turystkę.

– To chodźmy, bo za godzinę zacznie się ściemniać.

– Idziesz ze mną?

– Tak, jestem ciekawa waszej opinii – powiedziała z niewinną miną.

Pietka czekał cierpliwie przed budynkiem komisariatu, prawda, że dziś było wyjątkowo ciepło, ledwo minus dwanaście stopni.

– Ta Wanagina mieszkała sama? – spytałem, kiedy usadowiliśmy się na saniach.

– Tak, miała oddzielny pokój. Ściany są dość grube, jednak nie na tyle, żeby nie było słychać, gdyby wzywała pomocy. Sprawdzałam.

– A pozostali?

– Małżeństwa w osobnych pokojach, reszta w czteroosobowym, ale nie było kompletu, dwa miejsca pozostawały wolne – odparła zwięźle.

– I wszyscy się znali?

– Prawie wszyscy. W grupie było dwóch obcych: Jurij Greczko i niejaki Algirdas Zalgenis. Pierwszy to spawacz, drugi urzędnik z Ministerstwa Transportu. Żadnego związku z denatką – uprzedziła kolejne pytanie. – Przynajmniej według tego, co

mówią, ale to akurat łatwo sprawdzić.

Mruknałem potakująco i wcisnąłem zziębnięte dłonie do kieszeni palta.

– Naprawdę myślicie, że ktoś ją zabił?

– Pewnie nie – odparłem niezdecydowanie. – Jednak lepiej dmuchać na zimne.

– Z powodu?

– Bezpieczniacy rozpoczęli już śledztwo w kopalni złota – poinformowałem Sawicką przyciszonym głosem. – Założę się, że odwiedzą i nas, szczególnie jeśli ktoś im szepnie o naszej samobójczyni. A szepnie na pewno. Jak nie miejscowy kapuś, to milicja z rejonu.

– A dlaczego miałyby ich to interesować?

– Jeszcze nie rozumiesz? Jeżeli ktoś kradnie złoto, musi je jakoś wywozić i sprzedawać. A tu nie dość, że wycieczka z Moskwy, to jeszcze trup. Na pewno sprawdzą, czy śmierć tej turystki była naturalna i czy dziewczyna nie miała jakichś układów z górnikami.

– Chyba macie rację – przyznała zaniepokojona. – Na pewno nie zaszkodzi, jak przyjrzyście się tej sprawie.

Pietka zatrzymał się tuż przed wejściem do ośrodka zdrowia, ale zamiast zejść z sań, skulił się, obejmując głowę rękoma. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że chłopak nie wymówił dziś nawet jednego zbędnego słowa.

– Coś się stało? – spytałem.

– Matka – powiedział markotnie. – Pomyślałem o tym, co mi kiedyś powiedziałaś, wujku, i zaprowadziłem mamę do tych moskiewskich lekarzy.

– I co, nie zbadali jej? – zdziwiłem się. – Zaraz poproszę Nadię, żeby...

– Nie, nie! Zbadali.

– I co?

– To nie przeziębienie, mama ma gruźlicę, Nadięzda

Konstantinowna dała jej lekarstwa, ale powiedziała, że w tym stadium choroby mógłby pomóc tylko jakiś nowy antybiotyk. Niestety, u nas go jeszcze nie produkują, a nikt nie da pozwolenia na sprowadzenie preparatów imperialistycznej produkcji, żeby uratować zwykłą chłopkę. A ja nie jestem nawet w partii – dodał z rozpaczą. – Mamie zostało może z półtora roku.

– To akurat żaden problem. – Położyłem chłopakowi rękę na ramieniu. – Jeśli tylko można gdzieś dostać to lekarstwo, będę je miał w ciągu miesiąca.

– Naprawdę?

W oczach Pietki zabłysła nadzieja.

– Ale to pewnie kosztuje straszne pieniądze. Odpracuję to, wujku. Odpracuję!

– Nie gadaj głupot – sarknąłem. – Leki na Zachodzie są tańsze niż u nas, a i ty wozisz mnie przecież za darmo. I koniec dyskusji! – uprzedziłem, widząc, że otwiera usta. – Podziękujesz mi, kiedy załatwię ten antybiotyk, na razie nie ma o czym mówić.

Wszedłem do budynku i z ulgą pozbyłem się czapki. Temperatura w holu świadczyła, że Markow nie oszczędzał na ogrzewaniu.

– Możecie załatwić to lekarstwo czy tylko go pocieszaliście? – spytała przyciszonym głosem Ada.

– Mogę.

– Przecież do tego potrzeba zezwolenia partii i MGB, kontaktów z jakimś zachodnim szpitalem i...

– Nie marudź! – przerwałem jej niecierpliwie. – Co to ma za znaczenie?

– Ja tylko tak. Nie wiedziałam, że macie takie możliwości.

– I co mi z tego? – westchnąłem. – Gdzie są zwłoki?

Sawicka bez słowa poprowadziła mnie do sutereny, pchnęła solidne, obite blachą drzwi.

– To tutaj – oznajmiła.

Za życia Zoja Wanagina musiała być ładną dziewczyną, teraz



szara skóra i rozcięcie na brzuchu bezlitośnie przypominały, że czasy, kiedy mogła się komuś podobać, bezpowrotnie minęły. Mnie też to czeka, pomyślałem, zaciskając zęby. Niedługo... Kto wie? Może położą mnie na tym samym stole?

Podszedłem bliżej, schyliłem się, żeby obejrzeć bruzdę wisielczą.

Rzeczywiście, żadnych odchyień od normy, podejrzanych siniaków czy otarć. Zwykle samobójstwo. W chwilę później zakląłem paskudnie.

– Pułkowniku? – odezwała się zaniepokojona Ada. – Coś nie tak?

– A jak myślisz?

– Zbadałam ciało centymetr po centymetrze – zapewniła. – Z lupą w rękę.

– Akurat!

– Naprawdę!

– Zamknij oczy – rozkazałem.

Milicjantka posłusznie wykonała polecenie. Złapałem ją za nadgarstek i zmusiłem, żeby przejechała dłonią po łydce zmarłej.

– Nie otwieraj oczu – nakazałem.

– To obrzydliwe! – zaprotestowała.

– Gdybyś nie była głupia i nieuważna, nie zmuszałbym cię teraz do macania trupa. Masz tu tę swoją lupę?

– Tak.

– To przypatrz się jeszcze raz jej nogom. Tylko tym razem dokładnie.

Sawicka wyjęła z raportówki szkło powiększające i pochyliła się nad zwłokami.

– Nie widzę nic specjalnego – odezwała się po chwili. – Może tylko...

– Tak?

– Na lewej nodze ma mniej włosków niż na prawej. Ale co z tego?

– Chodźmy stąd – powiedziałem szorstko. – Zaczynam marznąć.

W odróżnieniu od pozostałych pomieszczeń zaimprovizowana kostnica nie była ogrzewana.

W gabinecie lekarskim zastaliśmy Nadieżdę, dziewczyna w skupieniu studiowała zdjęcia rentgenowskie.

– Jak się czujecie? – spytała niespokojnie. – Wszystko w porządku?

– W największym – odparłem. – Na ile to możliwe. Ale my tu w innej sprawie.

– Chodzi o tę samobójczynię?

– Rzekomą samobójczynię – doprecyzowałem.

– Rzekomą?

– Towarzysz Razumowski uważa, że to było morderstwo – odpowiedziała kpiąco Sawicka. – Rozumiecie, zaniepokoił go brak włosów na lewej łydce ofiary.

– O tym za chwilę. Co z matką Pietki? Naprawdę potrzebuje jakiegoś specjalnego lekarstwa?

– Niestety, ma gruźlicę w zaawansowanym stadium – potwierdziła Nadia. – Cud, że nie zaraziła chłopaka.

– Jak ten antybiotyk się nazywa?

– Streptomycyna.

– Gdzie można dostać ten preparat?

– U nas nie da rady. Co prawda zaczęliśmy produkcję w zeszłym roku, ale na razie to partie testowe. Zanim antybiotyk pojawi się w szpitalach i aptekach, minie przynajmniej kilkanaście miesięcy. Matka Pietki nie ma tyle czasu...

– A za granicą?

– Na Zachodzie? Bez problemu. Wnioskując z artykułów w angielskojęzycznych pismach medycznych, tam to już standard.

– Ile streptomycyny potrzebujesz?

– Żeby wyleczyć matkę Pietki czy uratować życie kilku innym

pacjentom? – odbiła pytanie Nadia.

Zakląłem pod nosem, pielęgniarka wyglądała na zdeterminowaną.

– Nie mogę ci załatwić dziesięciu kilogramów zachodniego lekarstwa. Tego nie da się utrzymać w tajemnicy.

– Nie przejmujcie się mną! – krzyknęła Sawicka, zrywając się z miejsca. – W końcu jestem tylko milicjantką. Co tam przemyt! Może zaplanujcie przy mnie jeszcze jakieś morderstwo?

– Uspokój się! – osadziłem ją. – To niezupełnie przemyt. Rzecz jest nie do wykrycia. Co innego tu, na miejscu.

– Mogę wpisać w papiery inne lekarstwo – powiedziała szybko Nadia. – A chorzy i tak się nie zorientują.

– Ciekawe, co na to Markow?

– Będzie milczał – zapewniła. – To prawdziwy lekarz, zrobi wszystko, żeby uratować pacjenta.

– Niczego nie obiecuję – zastrzegłem.

– Tak – przytaknęła z ledwo widocznym uśmiechem.

Pogroziłem Nadii palcem, po czym zwróciłem wzrok na Sawicką.

– Wróćmy do naszej nieboszczki – zaproponowałem. – Nadia, możesz oświecić towarzyszkę Sawicką?

– Cóż, sekcja zwłok wykazała...

– Nie chodzi mi o sekcję, ale depilację damskich nóg – wszedłem pielęgniarce w słowo. – Bo wnioskując po reakcji towarzyszki Sawickiej, ta moda nie dotarła jeszcze na Syberię – dodałem złośliwie.

– Słyszałam o tym – odparła milicjantka z malinowym rumieńcem na policzkach. – Ale nadal nie rozumiem, w czym rzecz.

– Spróbuj to sobie wyobrazić – zaproponowałem. – Młoda, atrakcyjna dziewczyna rozpoczyna codzienną toaletę. Kąpie się, maluje paznokcie, wreszcie zabiera za golenie nóg. I w trakcie, bo wygolila tylko jedną, łapie za sznur i się wiesza. Naprawdę nic

cię tu nie zastanawia?

Ada Sawicka zmarszczyła brwi i nerwowo poprawiła się na krześle.

– Może chciała ładnie wyglądać po śmierci? – rzuciła. – Niektórzy tak mają.

– Owszem – przyznałem. – Sęk w tym, że ona nie dokończyła toalety. Myślisz, że problemy nagle tak ją przytłoczyły, że się powiesiła? I jeszcze jedno: ona nie była zdenerwowana.

– Ciekawe, skąd ten wniosek?

– Na Zachodzie mają specjalne aparaty do depilacji, u nas trzeba to robić po staremu, brzytwą albo żyletką takiej jakości, że szkoda gadać. Wierz mi, to nie takie łatwe, a na tej wygolonej nodze nie ma nawet jednego draśnięcia.

– No dobrze! – powiedziała z irytacją Sawicka. – Założmy, że macie rację. Jak można powiesić młodą, zdrową dziewczuchę tak, żeby nie szarpała się i nie wzywała pomocy? Bo ona ani nie walczyła, ani nie krzyczała.

– Nadia? – scedowałem odpowiedź na pielęgniarkę.

– Istnieją pewne medykamenty – odpowiedziała ostrożnie dziewczyna. – Ktoś mógł ją pozbawić przytomności, a potem powiesić.

– Co ogranicza liczbę podejrzanych do silnych mężczyzn – uzupełniłem. – Prawdopodobnie z jakimś doświadczeniem kryminalnym albo wojskowym. Takich sztuczek uczą szpiegów i dywersantów – powiedziałem, widząc pytanie w oczach Nadii.

– A wy skąd to wiecie? – zdziwiła się milicjantka.

– Swego czasu służyłem w *wojennej rozwiadce* – odparłem niechętnie. – Mniejsza z tym. Trzeba zbadać zwłoki na obecność substancji odurzających i dorwać mordercę. Ilu mężczyzn jest w tej grupie?

– Tylko czterech – odparła po namyśle Ada. – Z tego dwóch przyjechało z żonami.

– Wezwij ich wszystkich na przesłuchanie i zabroń turystom

wyjeżdżać do odwołania.

– Będą się skarżyć. Jeden z mężczyzn, taki tłuścioch, jest pierwszym sekretarzem zakładowej organizacji partyjnej.

– Zaczynaj się przyzwyczajać – poradziłem, wzruszając ramionami. – To norma, że podejrzani wierzą.

– Moi przełożeni nie za bardzo lubią, kiedy... – urwała.

– Twoi przełożeni też powinni się przyzwyczajać, że takie skargi trzeba wrzucać do kosza. Jeśli udowodnisz, że któryś z tych turystów zamordował Wanaginę, na drugi raz będą ostrożniejsi. Bo ty też mogłabyś się poskarżyć, że utrudniają ci dochodzenie w sprawie morderstwa.

– Znienawidzą mnie.

Spojrzałem na Sawicką z politowaniem, znużonym gestem roztarłem skronie.

– Co znowu? – oburzyła się.

– Urzędnicy zawsze nienawidzą śledczych, przyjmij to do wiadomości. No i mało kto lubi baby w pionie operacyjnym. Możesz przetrwać tylko w jeden sposób: wyrobić sobie opinię osoby, której lepiej nie zaczepiać.

– Łatwo wam mówić, bo jesteście pułkownikami.

– Zapewniam cię, że nie urodziłem się z pagonami, a za swój stopień zapłaciłem wysoką cenę. Ciebie też to czeka albo będziesz musiała zmienić zawód. Ale dość tego przelewania z pustego w próżne! Bierz się do roboty, trzeba przesłuchać tę czwórkę.

– Pomóżecie mi?

– Jeśli zechcesz – powiedziałem z udanym wahaniem. – Jestem na urlopie.

– Chcę.

– Zadzwoń, jak wszystko zorganizujesz – poleciłem, wstając z krzesła. – Tymczasem wracam do siebie, zmęczyłem się.



Zerknąłem przez okno, pod domem babki Kiry kręciła się dziewięcioletnia na oko dziewczynka. Ślizgała się po sporej zamarzniętej kałuży, co rusz spoglądając w stronę drogi. Może czekała na gospodynię? Babka Kira z nietypową dla siebie delikatnością wyszła pod pretekstem zakupów, żeby umożliwić mi nieskrępowaną rozmowę telefoniczną.

Podniosłem słuchawkę, zamówiłem połączenie z Moskwą, po chwili usłyszałem głos Dato Petrosiana. Dato był prawą ręką Nikity Chruszczowa. Pewnie jeszcze rok lub dwa i okaże się, czy postawiłem na dobrego konia. Jeśli Chruszczow przegra walkę o schedę po Stalinie, zwycięzca zatroszczy się, żeby konkurencja nigdy więcej nie podniosła głowy. Cóż, kto nie ryzykuje, ten szampana nie pije...

Przywitałem się krótko i korzystając z ustalonego wcześniej szyfru, poprosiłem o przysłanie streptomycyny.

– Niczego więcej ci nie trzeba? – odezwał się z troską w głosie Dato. – Jak się czujesz?

– Trochę lepiej, ale w zawodach nie wystartuję.

– Gdybym mógł ci w czymś pomóc, daj znać – powiedział. – A to twoje zamówienie zrealizujemy w ciągu tygodnia.

– Jak tam sytuacja w Moskwie? – spytałem, pomijając ofertę milczeniem.

Nie przyjaźniliśmy się z Dato, można było mówić co najwyżej o wspólnocie interesów. Jego zainteresowanie moim losem świadczyło wyraźnie, że w świecie wielkiej polityki szykowały się jakieś zmiany.

Przez moment w słuchawce panowała cisza, mój rozmówca namyślał się, jakich słów użyć. Nie dało się wykluczyć, że jesteśmy podsłuchiwani.

– Nerwowo – powiedział wreszcie. – Jeden z naszych przyjaciół dziwnie się zachowuje, tak jakby coś mu groziło.

– Ten, który zaraził mnie grypą?

– Tak.

– Skąd to zagrożenie?

– Nie jesteśmy w stanie tego określić, dlatego przydałbyś się nam tutaj.

– Na razie to niemożliwe – powiedziałem stanowczo. – Lekarze zabraniają mi podróżować.

– Tak też słyszałem – westchnął Dato. – Dbaj o siebie i wracaj do zdrowia.

Odłożyłem słuchawkę na widełki i po raz kolejny zadumałem się, skąd telefon u babki Kiry. O coś takiego trudno było nawet w Moskwie, a na prowincji prywatne aparaty posiadali tylko wyżsi rangą urzędnicy i funkcjonariusze partii. No i, rzecz jasna, współpracujący z bezpieką kapusie... Ale skoro Poliakov poprosił babkę o pomoc, nie było czym się martwić: „Polak” zawsze wiedział, co w trawie piszczy. Zresztą moja gospodyni nie wyglądała na sympatyczkę komunizmu, a i kogo można szpiegować w takiej dziurze? Postanowiłem, że przy jakiejś okazji zapytam, w czym rzecz.

Z zamyślenia wyrwało mnie strzelanie z bata, to Pietka zajechał z fantazją niemal pod same drzwi. Najwyraźniej chłopakowi poprawił się humor od wczoraj. Babka Kira wygramoliła się z sań i pomaszerowała do domu, dźwigając kilka pakunków. Większe tobołki złapał Pietka, po chwili usłyszałem głosy dochodzące z kuchni.

Kira Folle spojrzała na mnie pytająco, kiedy tylko stanąłem w progu.

– Wszystko załatwione – oznajmiłem. – Dostanę lekarstwo w ciągu dwóch tygodni.

Na wszelki wypadek dodałem kilka dni do terminu, jaki podał Dato.

– Naprawdę? – rozpromienił się Pietka. – Dziękuję, wujku! Dziękuję!

– Wreszcie się na coś przydałeś – mruknęła staruszka. – Za godzinę będzie obiad, później Pietka zawiezie cię do komisariatu,

żebyś mógł przesłuchać tych turystów.

– Aresztujesz mordercę, wujku? – rzucił chłopak z roziskrzonym wzrokiem.

Babka Kira pacnęła go ścierką i wymownym gestem skierowała do wyjścia.

– Zajmij się koniem – poleciła. – I nie gadaj o takich rzeczach przy dziecku!

Dopiero teraz zauważyłem, że w kącie siedzi dziewczuszka, którą wcześniej widziałem na ślizgawce.

– On mi pomoże, babciu? – spytała mała cichutko.

– Raczej nie – westchnęła Kira Folle. – Saszka jest bardzo zajęty.

– Może powiedzcie, w jakiej sprawie obiecaliście moją pomoc i wieczną przyjaźń? – zaproponowałem, nie kryjąc ironii.

– Przecież słyszałeś, że nie obiecałam – parsknęła ze złością. – Miejskowa nauczycielka, Daria Kirowa, co roku organizuje uroczystość w rocznicę kapitulacji armii von Paulusa pod Stalingradem, każdy uczeń musi z tej okazji przyprowadzić do szkoły jakiegoś żołnierza albo partyzanta. Irma szuka chętnego.

Uniosłem brwi w reakcji na imię dziewczuszki. Od czasu wojny niemieckie imiona nie były zbyt popularne w naszym kraju, chyba że matka dziecka w czasie okupacji zadawała się z Niemcami...

Lekki, niemal niedostrzegalny ruch głowy, jakim Kira Folle skwitowała moją minę, potwierdził, że jestem na dobrym tropie.

– Przyjdź jutro – zwróciła się do Irmy. – Może coś wymyślimy.

Mała pocałowała ją w policzek i wybiegła na ulicę.

– Co to za historia? – odezwałem się, kiedy zostaliśmy sami.

– Irma jest wnuczką mojej przyjaciółki – odparła niechętnie babka Kira. – Nieżyjącej przyjaciółki. Frida zginęła w czasie bombardowania Stalingradu w czterdziestym drugim. Jej córka...

– Tak?

– Klara poznała w Stalingradzie niemieckiego oficera. Może



chciała ratować rodzinę, a może się zakochała? Któż to wie? Przyjechała do Listwianki w czterdziestym ósmym, gdy ją wypuścili z łagru. Z Irmą, bo udało jej się wydostać córkę z sierocińca. Niedługo później zmarła, a Irmę adoptował miejscowy kowal.

– Znaczący wszystko dobrze się skończyło?

– Niezupełnie. Wiesz, jacy są ludzie. Irma czuje się samotna, inne dzieci nie chcą się z nią bawić i będzie musiała przyjść na tę szkolną galę sama.

– A dlaczego ja?

– Żaden z miejscowych nie pójdzie z nią do szkoły, jesteś jedynym, którego jeszcze nie prosiła o pomoc. Jakoś jej to wyperswadowuję – stwierdziła ponuro. – Jak zwykle.

– Ile ona ma lat?

– Osiem. Ale w papierach ma wpisane dziewięć, Klara próbowała uniknąć podejrzeń o kontakty z Niemcami. Nie udało się, bo ktoś ją zadenuncjował.

No tak, wiek by się zgadzał, walki o Stalingrad trwały od sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego do początków lutego czterdziestego trzeciego.

– Skąd macie telefon? – rzuciłem zniechęcony.

– Nie twój zakichany interes! – odburknęła.

– Bo ja wiem? Pamiętacie grę w tajemnice? Jeśli odpowiecie, pójdę z Irmą świętować klęskę armii von Paulusa.

– Nie masz nawet munduru!

– Mam – zapewniłem. – Galowy mundur pułkownika ze wszystkimi odznaczeniami.

– I po cholere taszczyłeś go tutaj? Jesteś bardziej próżny niż baba.

Nie odpowiedziałem, rozmasowałem drgający mięsień pod okiem.

– Przepraszam – powiedziała z autentyczną skruchą. – Ja też mam przygotowane ubranie do trumny.

– Jeszcze nie rezerwujcie mi miejsca na cmentarzu! Więc co z tym telefonem?

– Miejscowy sekretarz partii był mi coś winien. – Wzruszyła ramionami. – Kontrola z rejonu wykryła nieścisłości w finansach, a ten idiota zdążył już wydać wszystko, co ukradł. Pożyczyłam mu tyle, żeby mógł pokryć straty i wykręcić się bałaganem w papierach. No i dostał nagane, zamiast spędzić najbliższe dziesięć lat na rąbaniu tajgi.

– Filantropka z was – zauważyłem kpiąco. – A skąd wzięliście takie pieniądze? Bo pewnie chodziło o niebagatelną kwotę, partia, jak kradnie, to na całego, a nie grosze jak zwykli ludzie.

– To już drugie pytanie – odparła z kamiennym wyrazem twarzy. – A teraz idź, odpocznij trochę przed obiadem. Nie wyglądasz najlepiej.

Cóż było robić? Poczłapałem do swojego pokoju, rzeczywiście czułem się nienadzwyczajnie. Żołądek pulsował tęnym bólem, łupało mnie w skroniach, a każdy, najmniejszy nawet wysiłek skutkowało parominutową zadyszką. A już myślałem, że mi się poprawia. Ech, biednemu zawsze wiatr w oczy.



Jurij Greczko, niewysoki, przysadzisty mężczyzna o szerokich barach i dłoniach jak łopaty, wyglądał na sprawnego fizycznie mimo swojego wieku – miał pod pięćdziesiątkę, ale z jego intelektem nie było już tak dobrze. Zeznania podpisał po kwadransie, czytając protokół zdanie po zdaniu na głos, z trudem łącząc sylaby w słowa.

– Proszę na razie nie wyjeżdżać z Listwianki – ostrzegła go Sawicka.

– Za dwa dni muszę do roboty!

– Jakby co, dostaniecie zaświadczenie.

Greczko wymamrotał coś pod nosem i wyszedł, trzaskając drzwiami.

– Co o nim myślicie? – spytała dziewczyna.

– Zbyt prymitywny – stwierdziłem bez namysłu. – Na pewno dałby radę powiesić tę Zoję, czy jak jej tam, ale podać środek odurzający? Wątpię. – Pokręciłem głową. – Nie jego poziom.

– Czyli zostaje nam Zalgenis?

Potwierdziłem nieartykułowanym pomrukiem. Obu żonatych turystów wyeliminowaliśmy jednogłośnie: Stiepan Czerniecki miał siedemdziesiąt dwa lata i przypominał szkielet obciągnięty skórą, z kolei Jakim Rudaze, otyły, apoplektyczny typ o małych, ledwie widocznych spod zwałów tłuszczu oczkach, miałby problem z zasznurowaniem własnych butów, nie mówiąc o podniesieniu dorosłej kobiety. Pozostawał *gospodin* Algirdas Zalgenis.

– Dawaj go tu! – poleciłem.

Na pierwszy rzut oka Zalgenis nie sprawiał wrażenia siłacza, szczupły, wysoki, w okularach, ubrany z niedbałą elegancją, przypominał artystę albo partyjnego urzędnika wysokiej rangi. Efekt psuła tylko niewielka blizna na skroni. Widziałem takich dostatecznie dużo: bagnet lub nóż. Znaczący towarzysz Zalgenis wdał się w walkę wręcz z uzbrojonym przeciwnikiem i przeżył.

– Poproszę o dokumenty – powiedziała Sawicka.

Smukłe dłonie o długich palcach mogły należeć do pianisty albo chirurga, lecz zrogowaciała skóra na knykciach i sieć błękitnych, dobrze widocznych żył świadczyły, że nasz rozmówca nie oszczędzał się na treningach, a i ćwiczył w dość specyficzny sposób.

– Muszę wyjść – powiedziałem. – Źle się czuję.

Nie musiałem udawać, znowu brakowało mi tchu, czułem spływające po twarzy krople potu.

– Pomogę wam!

– Nie, dam sobie radę.

Przechodząc obok Zalgenisa, potknąłem się i runąłem na podłogę, mimo że rozpaczliwie próbowałem odzyskać równowagę.

Złapał mnie za ramię i postawił na nogi jednym płynnym ruchem i jak się wydawało, bez specjalnego wysiłku. A na pewno byłem sporo cięższy od Wanaginy.

Błyskawicznym kopnięciem posłałem Zalgenisa na kolana i wbiłem usztywnione kciuki w szyję tuż pod uszami. Kiedy zwiotczał, wyprostowałem się z wysiłkiem i łapiąc za biurko, wróciłem na swoje miejsce.

– Na co czekasz?! – wychrypiałem. – Załóż mu kajdanki! Bo jak się ocknie, wszystkich nas pozabija!

– Jesteście pewni, że to on?

– Widziałas, jak mnie podniósł jedną ręką? Przy okazji obejrzyj sobie jego dłonie, pewnie mógłby rozbić pięścią cegłę albo grubą deskę. Jestem przekonany, że okaże się podwładnym tego urzędnika, z którym romansowała Wanagina.

Ada Sawicka posłusznie założyła mężczyźnie kajdanki i sprawnie obszukała, korzystając z tego, że jest nieprzytomny. Po chwili rzuciła na stół paskudnie wyglądający nóż sprężynowy.

– Niemiecki – zauważyła. – Myślicie, że był agentem Abwehry albo...

– Zwariowałaś? Jakim, do licha, agentem? Pewnie zabrał go jakiemuś Szwabowi. Założę się, że służył w zwiadzie lub desancie.

– I teraz morduje ludzi?

– Dlaczego nie?

– Mówicie tak, jakbyście go rozumieli – powiedziała dziewczyna z wyrzutem.

– Bo rozumiem. Jeśli ktoś zabija, niechby i na wojnie, to nie staje się od tego lepszy. Czasem bardzo niewiele dzieli żołnierza od mordercy. Niektórzy nie są w stanie się zatrzymać, określić ostatecznej granicy, której nie wolno przekroczyć.

– A wy ją przekroczyliście?

Przymknąłem oczy, rozmasowałem skronie, starając się zignorować przeraźliwy ból głowy.

– Co to ma za znaczenie? – zapytałem ze znużeniem. – Boisz się mnie?

– Boję – przytaknęła. – Nigdy nie myślałam, że potraficie być tak bezwzględni.

– Gdybym go nie pozbawił przytomności, to my byśmy tu leżeli. Martwi.

– Przecież wiem, nie jestem głupia. Nie chodzi o to, coście zrobili, tylko jak. Wasze oczy... – Wzdrygnęła się, jakby nagle zrobiło jej się zimno. – Patrzyliście na niego tak, jakby nie był człowiekiem, tylko kawałkiem mięsa.

Wyprostowałem się z bolesnym stęknieniem, otarłem pot z czoła.

– Pomóż mi się ubrać – poprosiłem. – Muszę odpocząć. I wsadź do celi Zalgenisa, zanim dojdzie do siebie – uprzedziłem surowo. – Nie chcę tłumaczyć się przed...

– No właśnie – podchwyciła, podając mi futro. – Przed kim musielibyście się tłumaczyć, gdyby ten tutaj skrzyknął mi kark?

– Nie twój interes, smarkulo – odburknąłem.

Dziewczyna otuliła mnie szalikiem, zapięła guziki palta.

– Dziękuję – powiedziała ciepło. – Pewnie spytałabym go, czy nie zabił Zoi, a gdyby zorientował się, że przejrzałam jego kłamstwo, długo bym nie pożyła.

– Bo ja wiem? Jeżeli to zwiadowca, nie ujawniłby się tak łatwo. Ale jeśli przeszedł szkolenie dywersyjne i nauczono go rozwiązywać problemy, podryznając gardła, mogłoby się zrobić nieprzyjemnie – przyznałem.

– Przepraszam za tamto pytanie, powinnam wiedzieć, że nigdy byście czegoś takiego nie zrobili.

– Ależ zrobiłem! I to nie raz. Tylko w odróżnieniu od Zalgenisa żałuję tego.

Zostawiłem ją pobladłą, z półotwartymi ustami i przerażeniem w oczach.

Cóż, mało prawdopodobne, żeby panienska Sawicka się we mnie zakochała...



Oparłem się na łokciu, popiłem gorącego rosołu (kolejna kura oddała życie dla dobra pułkownika Razumowskiego), ból w piersi nieco zelżał. Zdawało się, że z każdym łykiem odzyskuję siły, po chwili mogłem już usiąść. Niedługo później odstawiłem pusty kubek.

– Powinieneś wiedzieć, że szarpanie się z mordercami ci nie służy – zburczała mnie babka Kira.

Mimo ostrego tonu w jej głosie nie było słycać prawdziwego gniewu, a nawet dało się wychwycić nutkę niechętnego uznania. Jak by na to nie patrzeć, jednego bandziora mniej.

– Podobno Zalgenis się przyznał, Ada zawiadomiła już władze w rejonie – kontynuowała.

– Nic dziwnego – mruknąłem obojętnie. – Pewnie obiecała mu, że zaprotokołuje zeznania jako dobrowolne przyznanie się do winy. To zawsze niższy wyrok.

– Przecież mógł iść w zaparte. Nie mieliście żadnych dowodów.

– Czy ja was pouczam, co robić w kuchni? – spytałem niegrzecznie. – Może rozgraniczmy strefy odpowiedzialności: ja zajmę się łapaniem przestępców, a wy rosołem.

Usta Kiry Folle drgnęły w powstrzymany uśmiech, widać podobały jej się nasze kłótnie, po czym staruszka zatrzepotała rzęsami jak podłotek.

– Może wyjawisz sekrety rzemiosła głupiej gąsce? – poprosiła, naśladowując piskliwy głos nastolatki.

– Zwariowaliście – powiedziałem bez przekonania. – Mam

wam zrobić wykład z kryminalistyki?

– Od razu wykład... Chodzi o małe wyjaśnienie. Co, gdyby Sawicka go nie złamała?

– Dalibyście spokój.

– Razumowski! – warknęła.

– Już dobrze. – Uniosłem ręce w obronnym geście. – Sprawa jest prosta jak drut.

– Słucham.

– On się mnie nie spodziewał. I nie chodzi tylko o to, że go obezwładniłem, zanim zdążył nam poderznąć gardła albo uciec. Sawicka na pewno poinformowała go, że jestem z MUR-u. A to oznacza, że mam możliwości, jakich nie posiada prowincjonalny milicjant. Zalgenis nie był na to przygotowany. Założę się, że w czasie wojny nie siedział w okopach z pepeszą w rękę, tylko robił dużo ciekawsze rzeczy. Sawicka nigdy nie dostałaby dostępu do jego akt, ale ja tak.

– I co z tego?

– Sposób, w jaki rozprawił się z tą Wanaginą, wskazuje, że przeszedł odpowiednie szkolenie. To pierwsza rzecz, jaka go obciąża. Bo kto, jeśli nie on? Przecież nie ten prymityw Greczko?

– Coś jeszcze?

– Tak. Podejrzewam, że w jego aktach musi być coś śmierdzącego.

– To znaczy?

– Generalnie zwiadowców i dywersantów w czasie wojny trenowały armia i безпеka – wyjaśniłem niecierpliwie. – Facet na pewno nie ma nic wspólnego z *wojennej rozwiędki*, więc zostaje ta druga opcja.

– Skąd wiesz?

– Wiem! – uciąłem stanowczo. – Biorąc pod uwagę jego sprawność, pewnie zarobił na niejednym order, a brak skrupułów wskazuje, że robota mu się podobała. Wniosek? Nigdy sam nie zrezygnowałby z pracy w bezpieczeństwie, musieli go wywalić.

A wiercie mi, że czekałci nigdy nie cierpieli na nadmiar zasad moralnych. To musiało być coś grubszego. W czasie wojny mogło mu ujść na sucho, ale teraz, z kolejnym trupem na koncie, to inna rzecz. Dodajcie do tego drugą, szczegółową sekcję zwłok, która na pewno wyjawi, że Wanagina została czymś oszołomiona, i przeszukanie jego rzeczy.

– Myślisz, że byłby na tyle głupi, żeby zostawić coś kompromitującego? – spytała z niedowierzaniem.

– Kto wie? Na pewno nie buteleczkę z napisem „trucizna”, ale nie wykluczyłbym, że zatrzymał resztę preparatu, który podał Wanaginie. Czegoś takiego nie kupi się w aptece, a on nie spodziewał się dokładnej rewizji. To może być flakonik perfum albo jakieś niewinne lekarstwo. Gdyby Sawicka próbowała oddać do analizy podejrzaną perfumy, zabiliby ją śmiechem. Co innego ja, i on o tym wiedział.

– Ale przecież i tak dostanie wyszkę?

– Skąd! Chyba że sprawa okazałaby się polityczna. Rzuci na stół kilogram orderów, opowie, jak przelewał krew za ojczyznę, pokaja się i powoła na wojenne rany. Może się wywinąć. Nie, nie puszczą go wolno! – powiedziałem, widząc minę babki Kiry. – Na pewno dostanie piętnaście, może dwadzieścia lat, ale to nie to samo, co pętla na szyi. A w łagrze da sobie radę.

– A propos orderów, pojutrze trzydziesty pierwszy stycznia, rocznica kapitulacji von Paulusa.

– Pamiętam – uspokoiłem staruszkę. – Mam nadzieję, że nie będę musiał przemawiać?

– Nie, chyba że sam zechcesz.

– Dziękuję, nie skorzystam.

– Naprawdę masz jakieś odznaczenia? – spytała niespokojnie. – Bo wszyscy mówią tylko o tym, że Irma znalazła wreszcie żołnierza, który pójdzie z nią na galę. Jeśli okaże się, że w czasie wojny liczyłeś portki w jakimś magazynie, miejscowi nie dadzą jej żyć.



– Coś się znajdzie – odparłem niefrasobliwie.

– Jakoś mnie to nie uspokaja. Może byś pokazał? Przy okazji uprasuję ci mundur.

Spojrzałem na staruszkę uważnie. Pozioma zmarszczka na czole Kiry Folle świadczyła, że moja gospodyni rzeczywiście martwi się o dziewczuszkę. Warto zapamiętać.

– Wiecie, gdzie jest walizka. – Wykonałem przyzwalający gest.

– Jak nowy – stwierdziła po chwili, oglądając bluzę.

– Rzadko kiedy miałem okazję, żeby się stroić.

– A gdzie medale? Ach, już widzę, są w tym pudełku?

Mruknąłem potakująco.

– Zobaczmy, co my tu mamy? „Za Zwycięstwo nad Niemcami”? No, tym wrażenia nie zrobisz. „30 Lat Armii Radzieckiej i Floty” to także drobnica. „Za Obronę Leningradu”, no, to już coś. Order Suworowa? Naprawdę dostałeś Suworowa? Co prawda tylko trzecia klasa, ale i tak w Listwiance nikt takiego nie ma.

Westchnąłem cierpiętniczo. Wnioskując z komentarzy, babka Kira doskonale знаła przepisy, a zatem wiedziała, że Order Suworowa drugiej i pierwszej klasy przysługuje dowódcom korpusów, armii i całych frontów, a nie zwykłym pułkownikom, ale najwyraźniej nie mogła powstrzymać się od złośliwości.

– „Za Odwagę”, no wreszcie! Tego nie dostałby żaden liczyportek, Irma się ucieszy. A to co? Razumowski, czy ja dobrze widzę? Order Czerwonego Sztandaru? I... niemożliwe – wymamrotała. – Ty naprawdę...

– Dajcie spokój – poprosiłem. – Nie chcę o tym mówić.

– Dobrze, Saszka – zgodziła się nieoczekiwanie. – Odpoczywaj.

Kira Folle wyszła, zabierając mój mundur i odznaczenia, przez zamknięte drzwi dochodziły mnie odgłosy codziennej krzątaniny: kroki, szcęknięcie garnków, czasem gwizd czajnika. Niepostrzeżenie zapadłem w sen, dręczony nawracającymi koszmarami. Wspominałem martwych wrogów i dawno opłakanych przyjaciół, biegłem, a może uciekałem? W końcu

wszystko przesłoniły mi znajome, przepełnione bólem oczy i pokryta krwią twarz.

Obudziłem się w mokrej od potu pościeli, słysząc własny krzyk. Ot i odpoczynek...



Z trudem pokonałem kilka schodków i wszedłem do tonącej w półmroku obszernej sali udekorowanej flagami, symbolami sierpa i młota oraz portretami wodzów rewolucji. Młoda, licząca nie więcej niż dwadzieścia lat dziewczyna w czerwonej chuście na szyi powitała mnie dziarskim uściskiem dłoni i wyciągnęła rękę po palto.

– Pozwólcie, towarzyszu – powiedziała. – Dziś rano napaliliśmy, nie zmarzniecie.

Podąłem jej okrycie i rozejrzałem się. Gala miała wyraźnie amatorski charakter. Zaimprovizowane podium dla orkiestry zrobiono z drewnianych skrzyń, a na gości oczekiwały zwykle szkolne ławki i krzesła. Pomieszczenie oświetlało jedynie kilka lamp naftowych, najwyraźniej organizatorzy szykowali się do projekcji filmu.

– Gdzie chcesz usiąść, wujku? – Irma chwyciła mnie za rękę.

Dziewuszka, jak i inne dzieci, nosiła pionierską chustę.

– Gdzieś z tyłu – zdecydowałem.

Mimo że wstałem zaledwie godzinę temu, byłem już zmęczony, pomyślałem, że może uda mi się zdrzemnąć.

Usiedliśmy w ostatnim rzędzie, wszyscy inni zajęli miejsca bliżej podium. Złowiłem kilka ukradkowych spojrzeń, ale większość obecnych nie zwracała na mnie uwagi, widać babka Kira powstrzymała się od plotek.

– Ta panienska przy wejściu to nauczycielka? – rzuciłem szeptem.

– Tak.

– Przypomnij mi, jak się nazywa – poprosiłem.

– Daria Siemionowna Kirowa. Jest bardzo mądra i ładna – dodała chytrze.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że dziewczuszka usiłuje mnie swatać – cóż, nie byłem w najlepszej kondycji! – i wybuchnąłem śmiechem.

– Lubisz ją?

– Tak, jest dla mnie bardzo miła.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, rozległa się krótka wojskowa komenda i z umieszczonych pod sufitem głośników popłynęły słowa hymnu. Wstałem wraz z innymi, ciężko opierając się na lasce. Irma śpiewała z zapalem, ja liczyłem sekundy do końca. Gromkie „spocznij!” zakończyło moją mękę i *barysznia* Kirowa zapowiedziała film. Wbrew temu, czego się spodziewałem, obraz miał opowiadać o blokadzie Leningradu, a nie walkach pod Stalingradem.

Zakląłem cicho, widząc na ekranie wychudzone twarze, zaśnieżone ulice i sterty zamarzniętych ciał.

– Nie podoba ci się, wujku? – spytała cichutko Irma.

– Posiedź chwilę sama – odpowiedziałem. – Muszę wyjść.

– Ale wrócisz?

– Wrócę.

Pokuśtykałem do wyjścia, wysliznąłem się na korytarz. Nie miałem zamiaru z własnej woli oglądać scen, które nawiedzały mnie w koszmarach.

Odwróciłem się na dźwięk kroków. Nieznajomy musiał mieć pod pięćdziesiątkę, stary, sprany mundur z dystynkcjami sierżanta zwisał na nim luźno, na piersi widniały dwa rzędy medali.

– Macie może papierosa? – odezwał się, grzebiąc nerwowo po kieszeniach.

Bez słowa podsunąłem mu srebrną papierośnicę po ojcu.

– Pewnie zdobycza? – mruknął bez zainteresowania.

W milczeniu podałem mu ogień, podziękował skinieniem głowy.

– Głupia smarkula! – powiedział z pasją. – Byłem tam! Nie chcę więcej oglądać tego gówna!

– Rozumiem...

– Wy też?

Potwierdziłem zrezygnowanym gestem.

– Sierżant Martyniuk, Dziewiętnasta Gwardyjska.

– Razumowski, *wojennaja razwiedka* – przedstawiłem się, ściskając dłoń sierżanta.

– Najgorsza była zima czterdziestego... – Martyniuk urwał, wpatrując się we mnie, jakby wyrosła mi druga głowa. – Wybaczenie, towarzyszu pułkowniku – powiedział, stając na baczność. – To dla mnie zaszczyt...

– Dajcie spokój – przerwałem mu niechętnie. – I bez gimnastyki, na litość boską!

– Ale jesteście...

– Kwestia szczęścia – ponownie wszedłem mu w słowo. – Nie ma o czym mówić. Wiecie, ile potrwa ta gala?

– Ładnych parę godzin. A dlaczego pytacie?

– Nie wiem, czy dam radę tyle wysiedzieć. Jestem chory – dodałem, widząc niezrozumienie na twarzy Martyniuka. – A obiecałem babce Kirze, że będę towarzyszył Irmie.

– Wiecie, kim była matka tej małej?

– Wiem i chuj mnie to obchodzi! – odparłem, patrząc sierżantowi prosto w oczy. – Może rzeczywiście podkładała się Niemcom, a może oddawała za kromkę chleba, żeby wyżywić rodzinę? Albo szukała zapomnienia? Tak czy owak, dzieciak nie jest niczemu winien.

– Macie rację – przytaknął. – Wracając do naszej uroczystości, rzecz w kolejności wystąpień. Normalnie najpierw przemawia Daria Siemionowna, później sekretarz *rajkomu*, a dopiero potem

wychodzą na środek weterani. Jeśli zmienić kolejność tak, żebyście wystąpili pierwsi, spełnicie obietnicę i wrócicie do domu za pół godziny.

– Nie będzie protestów? – spytałem niepewnie. – Nie chciałbym, żeby ktoś wyżywał się na Irmie za moje grzechy.

– Żartujecie? Nikt się nie ośmieli. Jeśli chcecie, załatwię to z Darią Siemionowną.

Podziękowałem skinieniem głowy i sierżant wrócił na salę. Przez jakiś czas słuchałem dochodzących zza drzwi dźwięków muzyki i głosu lektora, wreszcie na korytarz wyszedł Martyniuk.

– Wszystko gotowe – zameldował. – Może wam pomóc?

Zignorowałem propozycję i pokuśtykałem w ślad za sierżantem, podpierając się laską.

Zmrużyłem oczy oślepiiony ostrym, elektrycznym światłem, skrzywiłem się, widząc, że wszyscy stoją.

– Baczość! – zakomenderował ostro Martyniuk. – Pułkownik Razumowski – przedstawił mnie krótko.

Sala eksplodowała oklaskami, a ja westchnąłem z rezygnacją. Pewnie byłem pierwszym posiadaczem Złotej Gwiazdy, jaki kiedykolwiek pojawił się w Listwiance.

Na podium ustawiono dwa krzesła, na jednym siedziała Irma, drugie, jak się domyśliłem, przygotowano dla mnie.

– Pułkowniku Razumowski, jesteśmy dumni, że wzięliście udział w naszym święcie – powiedziała Daria Kirowa. – Dziękujemy też Irmie, że was przyprowadziła.

Dziewczynka rozpromieniła się, choć tym razem aplauz był dużo mniej entuzjastyczny.

– Może powiedzielibyście kilka słów o sobie? – zaproponowała nauczycielka.

– Niewiele mogę powiedzieć – odparłem wykrętnie. – Służyłem w *wojennej rozwiadce*, więc sami rozumiecie.

– Ale obecnie jesteście milicjantem?

– Owszem.

– W takim razie może przejdziemy do następnego etapu?

Poruszyłem się niespokojnie. Ki czort?

– Będą ci, wujku, zadawać pytania – poinformowała mnie szeptem Irma.

Cóż, lepsze to niż snucie wojennych opowieści albo demonstrowanie umiejętności strzeleckich. Chyba...

Podniosło się kilka rąk i Daria Kirowa wskazała siedzącego w pierwszym rzędzie tłustego jegomościa w okularach. Ani chybi jakiś miejscowy urzędnik, pomyślałem ponuro.

– Towarzyszu Razumowski – odezwał się grubas – co sądzicie o aktualnej linii partii?

– Jestem milicjantem, nie politykiem.

– Ale...

– Wiecie co, towarzyszu? – przerwałem mu bezceremonialnie.

– Myślę, że zbyt wiele osób zajmuje się linią partii zamiast obowiązkami wynikającymi ze stanowiska partii. Ja po prostu wykonuję rozkazy i wam radzę to samo.

Szmer aprobaty na widowni sugerował, że mój rozmówca nie cieszy się raczej sympatią zgromadzonych.

– Świadomość polityczna jest niezbędna każdemu komuniście! To słowa towarzysza Stalina! – zripostował zirytowany tłuszcioch.

– Świadomość polityczna to nic innego jak podejmowanie właściwych wyborów i ma niewiele wspólnego z jałowym teoretyzowaniem – odparłem chłodno. – Żołnierz walczy z wrogiem, a milicjant z bandytami, to wszystko. I dokładnie tego chciał ode mnie towarzysz Stalin, rozumiecie, rozmawiałem z nim kilkakrotnie. Być może partia w Listwiance ma do tego inne podejście...

Na sali zapadła śmiertelna cisza, a grubas skulił się jak pies smagnięty batem. No i nic dziwnego, większość z tych, którzy nie zrozumieli towarzysza Stalina, pracowała przy wyrębie tajgi, a nie wyglądało, żeby mój oponent miał predyspozycje do pracy drwała.

- Następne pytanie – zadysponowałem stanowczo.
- O... oczywiście – wymamrotała nauczycielka, oszołomiona obrotem sprawy. – Proszę. – Wskazała kolejnego chętnego.
- Zabiliście wielu Niemców? – wypalił chudy, piegowaty wyrostek.
- Sporo, choć sam rozumiesz, że nie liczyłem.
- Ktoś zachichotał, kto inny palnął chłopaka w głowę.
- Nienawidzicie ich? – spytała ładniutka dziewczynka w białej bluzeczce i pionierskiej chuście na szyi.
- Zależy kogo – odparłem ostrożnie. – Faszystów tak. Jednak w czasie misji na tyłach wroga spotkałem też Niemców, którzy mi pomagali. I Rosjan walczących po stronie hitlerowców.
- Myślę, że wystarczy, nie chcemy zmęczyć naszego gościa – powiedziała pospiesznie Daria Kirowa. – Podziękujemy pułkownikowi Razumowskiemu!
- Wyszedłem odprowadzany brawami, w korytarzu czekał już na mnie Pietka. Chłopak pomógł mi włożyć palto, a kiedy usadowiłem się na saniach, okrył nogi futrem.
- Chłodno dzisiaj – rzucił wyjaśniająco. – Minus dwadzieścia dziewięć.
- Jedźmy – poprosiłem.
- Masz gościa, wujku – poinformował mnie, strzelając z bata. – To chyba ktoś ważny, bo babcia Kira mówiła do niego „panie generale”, choć nie miał na sobie munduru.
- Zakląłem pod nosem, w tej głuszy mógł mnie odwiedzić jedynie Poliakov. Tylko po co? Przez tyle lat unikał wszelkich kontaktów z córką, żeby ją chronić, a tu nagle wybrał się w odwiedziny. Coś musiało się stać. Coś paskudnego...
- Pogoń konie! – poleciłem chłopakowi.
- Po raz pierwszy od dłuższego czasu poczułem chłód niemający niczego wspólnego ze zwykłym mrozem. Lodowata łapa zacisnęła się na moim sercu, grzebała w trzewiach.
- Prędej! – zawołałem. – Prędej!



Poliakow siedział rozparty za stołem, napoczęta litrowa butelka wódki świadczyła o tym, że nie tracił czasu. Obok na eleganckich porcelanowych talerzykach stały zakąski: wędzone mięso łosia, konserwa rybna, kiszone ogóreczki, marynowane pomidory. Babka Kira się postarała.

– Co się stało? – wydyszałem bez tchu.

– Siadaj! – odparł posepnie Poliakow. – I pij.

– Zwariowałeś? W moim stanie...

– Pij! – powtórzył tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Popatrzyłem niepewnie na wypełnioną po brzegi szklanekę, umoczyłem usta w alkoholu.

– Nie tak, do dna!

Przełknąłem kilka łyków, odstawiłem szkło.

– Co się stało? – powtórzyłem. – I gdzie jest babka Kira?

– Kto?

– Nasza gospodyni. Myślałem, że to ty ją prosiłeś, żeby się mną zaopiekowała.

– Nie znam baby. Pogoniłem ją, żeby nie podsłuchiwała.

Poliakow dolał sobie wódki i wychylił połowę jednym haustem. Potem zacisnął potężne pięści.

– Liza nie żyje – powiedział.

Skuliłem się, jakbym zainkasował cios w żołądek.

– Abakumow! – wycedził przez zęby, odpowiadając na niezadane pytanie. – Miała przesłuchać jakiegoś urzędasza w sprawie o korupcję. Facet wręczył jej teczkę, mówiąc, że znajdzie w niej wszystkie wyjaśnienia. Otworzyła ją, w środku były pieniądze. Za drzwiami czekała już ekipa z GB, natychmiast aresztowali Lizę za łapownictwo.

– Wysłałeś Lizę samą?! – wybuchnąłem.

– Towarzyszył jej Kirył Rudenko, ale o całej sprawie



dowiedzieliśmy się dopiero dwa dni później, bo jego też zatrzymali. Od razu zaalarmowałem górę, ale nie zdążyliśmy...

– Co to znaczy, kurwa, że nie zdążyliście?!

– Mieli odciski palców Lizy na teczce i banknotach – odparł z westchnieniem. – Oczywiście, wszystko dęte, ale zanim sprawa się wyjaśniła, minął kolejny dzień i Liza popełniła samobójstwo.

– Nie wytrzymała trzech dni w areszcie?

– Od razu wylądowała w Butyrkach.

– I co z tego? Naprawdę wierzysz w samobójstwo Lizy? Zakatowali ją gady i tyle!

Poliakow przecząco pokręcił głową.

– Liza zbiła lustro i przecięła sobie tętnicę szyjną. Nie zdążyli jej odratować.

– Zwariowałeś? Skąd w celi lustro?

– To nie była zwykła cela. Wsadzili ją do press-chaty...

Zawylem wściekle i rzuciłem butelką w ścianę, odłamki szkła rozbryznęły się we wszystkich kierunkach, jeden trafił w twarz Poliakowa, ale generał nawet nie mrugnął okiem. Siedział w ponurym milczeniu, nie przejmując się spływającą po policzku krwią.

Press-chata... Czasami więzień okazywał się zbyt twardy dla śledczych i milczał mimo wybitych zębów i połamanych żeber, rzecz jasna, безпеaka miała swoje dużo skuteczniejsze i bardziej wyrafinowane metody, lecz te rezerwowano dla politycznych. Dlatego tworzone cele specjalnego przeznaczenia. W każdym łagrze, więzieniu czy areszcie panowała dwuwładza: z jednej strony rządziła administracja, z drugiej bandyci. Ci ostatni pilnowali przestrzegania zasad ustanowionych przez *worow w zakonie*, władców podziemnego świata. Każdy, kto je złamał, musiał za to zapłacić, bywało, że krwią. Dlatego *blatni*, którym groziła zemsta za nieprzestrzeganie złodziejskich *poniatij*, godzili się na współpracę z administracją. To właśnie oni zasiedlali press-chaty i robili rzeczy, od jakich odżegnałby się nawet

najbardziej zbydlęcony śledczy. Każdy pobyt w takiej celi zaczynał się od zbiorowego gwałtu, niezależnie od płci ofiary, a później było już tylko gorzej. Liza...

Zerwałem się od stołu, potykając, wypadłem na podwórze i zwymiotowałem. Niespodziewanie złapał mnie atak bolesnego kaszlu, zgiąłem się wpół, wypluwając krwawe skrzepy. Ostatnie, co zapamiętałem, to dochodzący z oddali zaniepokojony głos Poliakowa.

## Rozdział czwarty



Świadomość wracała powoli, etapami, najpierw poczułem ostry, wiercący w nosie zapach ziół, później usłyszałem szmer prowadzonej przyciszonym głosem rozmowy. Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem tylko ciemność. Z trudem opanowałem atak paniki, dopiero po chwili dostrzegłem, że przez niedomknięte drzwi sączy się ledwo widoczna smuga światła. Znaczy noc. Musiałem długo leżeć nieprzytomny, dlatego nikomu nie przyszło do głowy, żeby postawić obok łóżka choćby lampę naftową, bo i po co?

Zagryzając z bólu zęby, uniosłem się na łokciu, szelest pościeli musiał kogoś zaalarmować, huknęły o ścianę gwałtownie pchnięte drzwi, pod sufitem zabłysła żarówka.

– Jak się czujesz? – spytała Kira Folle.

Obok majaczyła potężna sylwetka Poliakowa.

– Niespecjalnie – wycharczałem.

– Nic dziwnego – odezwał się ktoś z za pleców generała. – To ostatnie stadium, jeszcze dwa, może trzy dni i trucizna uszkodzi mózg. Nieodwracalnie.

Oficer odwrócił się gwałtownie z twarzą zastygłą w grymasie gniewu, ale nie skomentował diagnozy. Zamrugalem oczyma, widząc znajomą twarz. Sun! Czyżby Chińczyk zmienił zdanie? Bo chyba nie zamierzał mnie zamordować w obecności generała milicji? Zresztą nie było powodu – jeśli mówił prawdę, umrę na dniach...

– Co się dzieje? – spytałem, z trudem wymawiając słowa.

– Mistrz Sun ma dla ciebie pewną propozycję – wyjaśniła babka Kira.

Stężałem zaalarmowany nie tyle słowami, co napiętym tonem staruszki. A i Poliakov wyglądał nietęgo. Tylko w czym rzecz?

– Słucham – ponagliłem.

– To trucizna zwana „ogniem tysiący demonów” – powiedział spokojnie Sun.

Mówił po rosyjsku swobodnie i bez śladu obcego akcentu, najwyraźniej wcześniej jedynie udawał, że potrzebuje tłumacza, albo nie chciał, żebym wiedział, o czym rozmawia z babką Kirą.

– Nie mam pojęcia, skąd twoi wrogowie ją wzięli, ta receptura przez tysiące lat pozostawała tajemnicą, niemniej nie ma wątpliwości, że zostałeś otruty tym właśnie preparatem – kontynuował. – Mimo że w zasadzie nie istnieje żadne antidotum, ja mogę cię uratować, ale nie za darmo.

– Ciekawe jak, skoro nie ma na nią odtrutki?

Na twarzy Chińczyka pojawił się uśmiech przypominający szramę po cięciu brzytwą.

– Każdy normalny człowiek musi umrzeć, jeśli otruto go „ogniem demonów”. Ale ty nie jesteś całkiem normalny, prawda?

– O czym on mówi? – spytał ostro Poliakov.

– Mówię o tym, że towarzysz Razumowski – Sun zaakcentował z ironią słowo „towarzysz” – zetknął się z pewnymi egzotycznymi praktykami. Dlatego jeszcze można go uratować.

– Czego chcesz? – rzuciłem bez ogródek. – Pieniędzy? Jeśli chodzi o...

– Nie! – Sun wypluł z siebie zaprzeczenie niczym kawałek rozpalonego żelaza. – Zemsty!

– Jakiej, do licha, zemsty?!

– Pięć lat temu zaginęła moja wnuczka – powiedział beznamiętnie. – Mam chatę kilkadziesiąt kilometrów stąd, raz do roku przyjeżdżam tu polować i zbierać zioła. Kiedy wróciłem

z jednej z takich wypraw, Yu Tian już nie było.

– Ile lat miała twoja wnuczka?

– Dwanaście.

– Zostawiłeś w tej głuszy dwunastoletnie dziecko? – spytałem z niedowierzaniem.

– Nic jej nie groziło – odparł udręczonym głosem. – Nie powinno... Chata jest zamaskowana, można przejść mimo i jej nie zauważyć. A w promieniu wielu kilometrów nie ma ani jednego drapieżnika, który mógłby zagrozić człowiekowi, postarałem się o to. Yu Tian wędrowała ze mną, odkąd skończyła siedem lat, bywało, że zostawała sama na tydzień i dłużej. Nauczyłem ją wszystkiego, co trzeba, żeby tu przeżyć.

Wysiłkiem woli powstrzymałem się od uwagi, że chyba jednak coś pominąłem – nie było sensu zrażać sobie człowieka, który mógł uratować mi życie.

– Więc co mam zrobić?

– Znaleźć mordercę mojej wnuczki. Słyszałem, że to potrafisz. Cała wioska mówi tylko o tym, jak szybko odkryłeś zabójcę tej turystki.

– Zawiadomiłeś milicję?

– Zawiadomiłem! – warknął. – Tyle że towarzysze milicjanci nie chcieli nawet słyszeć o poszukiwaniu dziecka, którego nie widział nikt poza mną.

– Skąd wiesz, że Yu Tian nie żyje?

– Uważasz inaczej? Gdyby porywacz nie zabijał tych dzieciaków, już dawno ktoś by go dorwał, bo musiałby gdzieś je trzymać, karmić, odwiedzać. Moja wnuczka jest martwa, podobnie jak i pozostałe dzieci. Znajdź tego gnoja, zanim znowu zniknie kolejny. I jeszcze jedno – zwrócił się do Poliakowa – pozwolicie mi z nim zrobić, co zechcę!

Generał postąpił krok w stronę Chińczyka, uniósł dłonie, jakby chciał go złapać za ubranie, jednak powstrzymałem przyjaciela pospiesznym gestem. Jeśli choć połowa z tego, co mówiła babka

Kira, była prawdą, lepiej nie drażnić Suna. Nawet komuś takiemu jak Poliakov. Brakowało nam tylko waśni między sobą.

– W porządku – powiedziałem. – Ale nieoficjalnie. Powiem ci, kto to jest, zanim go aresztujemy. Reszta to twój problem, nie będziemy cię bronić przed miejscową milicją.

Sun zmarszczył brwi, po krótkim namyśle skinął głową.

– Niech będzie – powiedział. – A teraz zostawcie mnie samego z Razumowskim.

– Może pomogę? – zaproponowała nieśmiało Kira Folle.

– Nie! Wszyscy wynocha!

Zarówno moja gospodyni, jak i Poliakov bez słowa sprzeciwu wyszli z pokoju, a po chwili z chałupy. Zostałem sam na sam z Sunem.

– Może pomogłoby puszczanie krwi? – podjąłem temat. – Nie pomyślałem o tym wcześniej, ale kiedyś...

– Nie – przerwał mi bezceremonialnie Chińczyk. – Nie pomogłoby. Ta trucizna została stworzona głównie po to, żeby zabijać takich jak ty.

– Co znaczy takich jak ja? – spytałem, starając się dyskretnie sięgnąć po pistolet.

– Ludzi, którzy otrzymali krew mistrza. – Zmierzył mnie ponurym spojrzeniem.

W ułamek sekundy później twarde jak stal palce ścisnęły mój nadgarstek i wyrwały tokariewa.

– To nie będzie ci potrzebne – wycedził Sun. – Gdybym chciał cię zabić... – nie dokończył.

Zagryzłem wargi, Chińczyk miał rację, nigdy, nawet gdy dopiero rozpoczynałem trening, nie zdarzyło się, żeby ktoś odebrał mi broń z taką łatwością.

– Dasz mi wreszcie antidotum?

– Najpierw przywiążę cię do łóżka.

– Co takiego?!

– Słyszałeś – odburknął. – Obiecałem cię wyleczyć, ale nie

mówiłem, że procedura będzie przyjemna. „Ogień demonów” wchodzi w każdą cząsteczkę ciała, najpierw w organy wewnętrzne, kości, mięśnie, wreszcie mózg. Myślisz, że wystarczy wypić kubeczek ziołowego naparu i wszystko przejdzie? Zapomnij! – Sun roześmiał się sarkastycznie.

Położył na stole wojskowy plecak i wyciągnął z niego niewielką szkatułkę. Wewnątrz kryła się butelka z cienkiej, niemal przezroczystej porcelany.

– Co to jest? – spytałem.

– Jad lodowych żuków – odparł z roztargnieniem. – Tylko on jest w stanie zneutralizować „ogień tysięcy demonów”.

– Nie słyszałem o takich owadach...

– Nic dziwnego, wyginęły czterysta lat temu. Ten flakonik przygotował jeden z moich przodków w czasach dynastii Tang.

Chińczyk roztarł w moździerzu pęczek ziół, po czym zalał je wodą w zwykłym metalowym kubku i otworzył z pietyzmem flakonik. Ostrożnie dodał kilka kropel oleistej rubinowej substancji o nieprzyjemnym zapachu.

– Jak to działa?

– Mówiąc obrazowo, zwalcza ogień wodą, a raczej lodem. Przy czym powoduje ból nie do wytrzymania.

– Są przecież środki...

– ...przeciwbólowe? – dokończył urągliwie Sun. – Owszem, tylko że nie można ich użyć, bo musisz być przytomny, przyjmując lek. Inaczej antidotum nie oczyściłoby systemu nerwowego i w ciągu miesiąca dotknąłby cię paraliż. Och, przeżyłbyś! – zapewnił, widząc moją minę. – Tylko nie móglbyś się ruszać. Ani ścigać mordercy mojej wnuczki – dodał ciszej. – Dlatego muszę cię związać.

Chińczyk wydobyl z plecaka grube skórzane pasy zaopatrzone w metalowe sprzączki, ostatnio widziałem takie w szpitalu psychiatrycznym, na oddziale dla szczególnie niebezpiecznych pacjentów.

Po chwili byłem całkowicie skrępowany, Sun zacisnęła więzy tak mocno, że nie mogłem poruszać nawet palcami dłoni.

– To zatamuje krwiobieg!

– Za parę minut cię uwolnię – obiecał. – Ból jest krótkotrwały, choć intensywny.

– Ale...

Mężczyzna bez słowa unieruchomił moją głowę i położył obok omotany rzemieniem patyk. Wzdrygnąłem się nerwowo. Czasem trzeba było przeprowadzić operację w warunkach polowych, bez znieczulenia, i aby pacjent nie odgryzł sobie z bólu języka, wciskano mu w usta taki knebel.

– To naprawdę konieczne? – wymamrotałem.

– Sam zobaczysz. Jeśli stwierdzisz, że nie, następnym razem obejdziemy się bez tego – odparł obojętnie.

– Następnym razem?!

Nagle poczułem na szyi falę gorąca i jakaś siła zmusiła mnie do otwarcia ust.

– Radzę ci jak najszybciej przełknąć lekarstwo – powiedział Sun.

Płyn smakował jak woda, dopiero po chwili zorientowałem się, że to przeraźliwy chłód spowodował, iż nie czułem smaku mikstury. Kiedy odrętwienie minęło, pozostał tylko ból. Coś zachręściło nieprzyjemnie, to Sun wcisnął mi w usta drewniany knebel. Usiadłem gwałtownie, zrywając skórzane pasy, jakby były zrobione z papieru. Poczułem na twarzy podmuch powietrza, zadane z potworną siłą uderzenie odebrało mi dech. Na chwilę. Ryk niemal mnie ogłuszył, szarpnąłem się ponownie, plując drzazgami i krwią.

Chińczyk posłał mnie na łóżko błyskawicznym kopnięciem, ale płonący w żyłach lód sprawił, że nawet go nie poczułem. Poziom cierpienia przechodził wszystko, czego kiedykolwiek doznałem, a jednak pozostawałem przytomny. Zerwałem kolejny pas, Sun spróbował mnie powstrzymać, ale cisnąłem nim o ścianę, nadal



wyjąc z bólu. Kolejnego ciosu nawet nie zauważyłem, moja świadomość zgasła niczym zdmuchnięta świeca.



Obudził mnie chłód. Nie ten zwyczajny, od którego można uciec, otulając się kołdrą czy zapinając płaszcz, ale wewnętrzne, bezlitosne zimno pełzające po żyłach, tętnicach, trzewiach. Spojrzałem na rękę – była sina.

Kolejny rzut oka, tym razem na termometr, uświadomił mi, że panująca w pokoju temperatura w niczym nie odbiega od normy: dwadzieścia stopni.

Spróbowałem zgiąć palce, zacisnąć pięść, wreszcie złapałem brzeg koca – ktoś zatroszczył się o dodatkowe okrycie.

Udało się, ale stawy zachrzęściły jak u osiemdziesięciolatka, a siła chwytu była tak niewielka, że nie utrzymałbym w dłoni nawet ołówka.

Usiadłem, opuściłem ostrożnie stopy na podłogę, jednak wyglądało na to, że poza przemarzeniem nic mi nie dolega. Tyle że poruszałem się wolno niczym starzec.

– Saszka? Jak się czujesz? – spytała Kira Folle.

– Zimno mi – wymamrotałem.

– Zaraz przyniosę ci ciepłej zupy – obiecała. – Dasz radę wstać?

– Spróbuję.

– Czekaj, przeziębisz się w samej piżamie!

Uniosłem brwi na widok eleganckiego jedwabnego szlafroka. Skąd coś takiego tutaj, w Listwiance?

Babka Kira ułożyła wygodne oparcie z kilku poduszek i podała mi miskę solanki.

– Może cię pokarmić? – zaproponowała. – Bo jeszcze się oparzysz.

Spojrzałem na nią ze zdziwieniem, ale nie żartowała.

A przecież moja gospodyni raczej nie była uosobieniem macierzyńskiej troski. Coś musiało się stać. Tylko co? Poliakov opowiedział jej o Lizie? Niepodobieństwo. Zresztą dlaczego miałyby się przejmować losem nieznannej kobiety? Nie, to musiało być coś innego...

– Dziękuję, dam radę – mruknąłem. – Gdzie Nikołaj? Muszę z nim porozmawiać.

– Powinien niedługo wrócić.

– Wrócić? A co on ma tu do roboty?

– Dziś rano znaleziono trzy trupy – wyjaśniła.

– Kto zginął?

– Dwóch miejscowych: Żora Kruszelnikow i Wadim Troicki. Do tego jakiś obcy. Wytatuowany – dodała po chwili.

– Znaliście tych miejscowych? – spytałem.

– Z widzenia – odparła szybko. – Tu wszyscy się znają.

Spojrzałem z uwagą, zaalarmowany tonem staruszki. Głos babki Kiry zadrżał, tak jakby starała się ukryć ogarniające ją emocje. Tylko dlaczego? Trudno przypuścić, żeby miała coś wspólnego ze zbrodnią.

– I co, Nikołaj ot tak poleciał oglądać zwłoki? – rzuciłem z niedowierzaniem.

– Nie ot tak, Ada go poprosiła. A on się zgodził. Sama też się zdziwiłam, bo co mu do naszych problemów? Inna rzecz, że nigdy nie było tu tylu trupów. Najpierw ta dziewczucha z Moskwy, teraz tych trzech.

– Nie licząc zaginionych dzieciaków.

– Nie licząc dzieciaków – przytaknęła ponuro Kira Folle. – Muszę z tobą... – nie dokończyła, słysząc energiczne tupanie w sieni.

Po chwili rozległy się ostrożne kroki i Poliakov zajrzał do pokoju.

– Obudziłeś się? To dobrze. Kiro Andriejewna, możecie nas zostawić na minutkę?

Moja gospodyni zmarszczyła gniewnie brwi, myślałem, że będzie protestować, jednak posłusznie zabrała opróżnioną miszkę i wyszła z pokoju.

– Wiesz, co się stało? – spytał cicho Poliakov.

– Masz na myśli te trupy? Słyszałem. I gównu mnie to obchodzi – odburknąłem. – Mów lepiej o Lizie. Kiedy proces? I pogrzeb?

Generał westchnął cicho i usiadł na brzegu łóżka.

– Nie będzie żadnego procesu – odparł. – Ani pogrzebu. Abakumow zatarał wszystkie ślady. Oficjalnie Liza zmarła na sepsę, a ciało skremowano ze względu na zagrożenie epidemiologiczne.

Zacisnąłem pięści w bezsilnej wściekłości, ludzie Abakumowa na pewno zatroszczyli się, żeby w papierach nie było żadnej wzmianki o tym, że Lizę umieszczono we wspólnej celi z bandytami, a kłamliwą ekspertyzę medyczną podpisało pewnie z pięciu profesorów. Jeśli będzie trzeba, podpisze kolejnych dziesięciu.

– Zapiardolę tego gnoja!

– Najpierw musisz dojść do siebie – rzucił szorstko Poliakov. – I odkryć, co się dzieje w tej cholerniej dziurze!

– Masz na myśli wnuczkę Suna?

– Nie tylko. Jeden z tych zabitych to polski złodziej, poznałem po tatuażach. Co ktoś taki robił w Listwiance? Ada nie da sobie sama rady, musisz jej pomóc. W dodatku nasza droga gospodyni coś przed nami ukrywa. Kiedy zobaczyła zwłoki, myślałem, że zemdleje. A babina raczej nie z tych lękliwych.

Przytaknąłem z namysłem.

– Wyjeżdżam dzisiaj – kontynuował Poliakov. – Dostałem już dwa telegramy z Moskwy, nie mogę dłużej czekać.

– Politbiuro?

– Żeby tylko! Ludzie się burzą, wszyscy lubili Lizę. Jeśli nie będę trzymał ręki na pulsie, prędzej czy później ktoś wpadnie na pomysł, żeby odpłacić *gebesznikom*, a wtedy głowy posypią się

jak gruchy. W tym i moja. Nie wygram z Abakumowem, nie w bezpośredniej konfrontacji.

– W porządku, jedź. Posprzątam ten burdel, a później pomyślę, co zrobić z Abakumowem. Naszym powiedz, żeby siedzieli na dupie, jakby co, powołaj się na mnie.

Poliakow podziękował gestem, uściśnął mnie i wyszedł z pokoju. Usłyszałem, jak rozmawia z babką Kirą, później rozległ się trzask drzwi i warkot samochodu.

Poprawiłem poduszki, usiadłem wygodniej. Nadszedł czas, żeby wyjaśnić pewne sprawy, przypuszczałem, że nie będę musiał długo czekać. Miałem rację, moja gospodyni upewniła się tylko, że Poliakow na pewno odjechał, i przyszła do mnie. Z mocno niewyraźną miną.

– Saszka, musimy... – zaczęła niepewnie.

– O tym za chwilę – przerwałem jej stanowczo. – Kto was poprosił, żebyście mi pomogli?

– Lidia Zosimowna Siwers – odparła bez namysłu.

Oślupiałem. Skąd Lidia Zosimowna mogła znać Kirę Folle, która nie wyjeżdżała z Listwianki przez ostatnie trzydzieści lat? Chyba że obie panie poznały się wcześniej. Ale kiedy? Zaraz po rewolucji? Czyżby babka Kira miała jakieś związki z wojskowym wywiadem? To tłumaczyłoby wiele rzeczy. Z drugiej strony pani Folle nie wyglądała na komunistkę. Nie żeby powiedziała coś wprost, jednak widać było, że nie jest zachwycona obecnym ustrojem.

– Jak się poznałyście?

– Nie twoja sprawa. Jeśli chcesz, zapytaj Lidie, może ci odpowie.

– No dobrze – westchnąłem. – W czym rzecz? Bo jak rozumiem, te ostatnie zabójstwa nie są przypadkowe.

– Ja... chciałabym, żebyś aresztował sprawców – stwierdziła wykrętnie.

Pokiwałem głową. Poliakow miał rację, babka Kira coś

ukrywała.

– Jeśli nie będziecie ze mną szczerzy, nie kiwnę nawet palcem – powiedziałem. – Wystarczy mi swoich kłopotów, cudze mnie nie interesują. A i sami wiecie, że jestem półżywy. Niech się tym zajmie lokalna milicja.

Kira Folle obrzuciła mnie taksującym spojrzeniem i przygryzła wargi.

– Zdajesz sobie sprawę, o co mnie prosisz? Jeśli ci wszystko powiem, oddam swój los w twoje ręce. I nie tylko swój!

– To nie mówcie. – Wzruszyłem ramionami. – Niespecjalnie mnie to obchodzi, tylko będę musiał zmienić lokum, bo oni tu przyjdą zemścić się za śmierć kumpla i załatwić to, czego on nie zdołał.

– Jacy oni?

– Polscy złodzieje.

– Polacy w Listwiance?! Zwariowałaś?

– Nie Polacy, tylko polscy złodzieje – poprawiłem spokojnie. – Wiecie coś o bandyckim półświatku?

– Niewiele, bo i skąd?

– Wśród przestępców słowo „wor” niekoniecznie oznacza złodzieja, to raczej ktoś, kto należy do bandyckiej elity. Aby do niej wejść, *wor* musi przestrzegać pewnych zasad, jedną z nich jest absolutny zakaz współpracy z organami państwa. Kiedy wybuchła wojna, spora grupa bandytów złamała tę zasadę i zgodziła się walczyć, kiedy zaoferowano im „odkupienie win własną krwią”. Ponieważ dotarli aż do Polski, często nazywa się ich „polskimi złodziejami”, żeby odróżnić od tradycjonalistów. Ci ostatni zarzucili im złamanie *poniatij*, po czym wśród *błatnych* rozpoczęła się wojna. I wiecie co? Polscy złodzieje ją wygrali. To ludzie o ogromnym doświadczeniu bojowym, znakomicie posługujący się wszelkiego typu bronią, oswojeni z krwią i śmiercią, bo przeważnie rzucono ich na najbardziej zagrożone odcinki frontu. Milicja nie jest dla nich żadnym przeciwnikiem,

dziwię się, że miejscowi zabili jednego z nich, musieli go zaskoczyć. Tylko że to się już nie powtórzy i kiedy jego kumple tu przyjdą, nie będzie litości dla nikogo, kto choć w najmniejszy sposób był zamieszany w tę sprawę. Teraz rozumiecie?

Biała jak płótno twarz Kiry Folle świadczyła, że staruszka rozumie.

– Co mam robić? – zapytała, wyłamując palce.

– Najpierw powiedzcie mi, o co chodzi – powtórzyłem cierpliwie.

– Słyszałeś o tej kopalni „Czerwony Sztandar”?

– A jakże! To prawda, że ktoś kradnie z niej urobek?

– Skąd mam wiedzieć? Ale nie w tym rzecz. Kilkanaście kilometrów na północny zachód od Listwianki jest inna kopalnia złota. Nikt o niej nie wie, bo złożo odkryto w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym i zapomniano. Sam wiesz, co się wtedy działo: biali, czerwoni, lokalne bandy, ludzie myśleli, jak przeżyć, a nie o złocie. Rok temu postanowiliśmy wznowić wydobycie.

– My?

– Ja i kilku miejscowych. Nieważne. Złozo okazało się łatwo dostępne, dużo większy problem stanowi zbyt. Próbowaliśmy sprzedać kilka sztabek, ale ludzie, z którymi się skontaktowaliśmy, proponowali ceny grubo poniżej opłacalnego minimum, a jeden wydał kuriera bezpiece. Czekaści zastrzelili go na miejscu, a ponieważ znaleźli przy nim złozo, pomyśleli, że kruszec pochodzi z „Czerwonego Sztandaru”. Tym bardziej że już wcześniej dostawali donosy oskarżające kierownictwo kopalni o kradzież.

– Mieliście z tym coś wspólnego?

– Nie! Podejrzewam, że to sprawka jakiegoś nadgorliwca z „Czerwonego Sztandaru”, zawsze znajdzie się ktoś, kto zechce w ten sposób załatwić prywatne porachunki.

– No dobrze, a bandyci?

– Jest taki jubiler w Irkucku, zerwaliśmy z nim kontakt, bo

cena nam nie odpowiadała, wtedy napuścił na nas *blatnych*. Widać ma z nimi jakieś układy.

– Co wam zaproponowali?

– Dziesięć procent z zysku, przy czym obliczano by go według bardzo niekorzystnego kursu, w efekcie dostalibyśmy grosze.

– Rozumiem, że odrzuciliście ofertę?

– Owszem, a Żora i Wadim zapłacili za to życiem...

– Wiecie, ilu ich jest?

– To największa banda w okolicy, ponad trzydziestu ludzi.

– Kto jest szefem?

– Niejaki Barkin. Siemion Barkin.

– I jak mam według was zlikwidować kilkudziesięcioosobową, uzbrojoną po zęby bandę?

– Nie wiem – odparła, spuszczać wzrok. – W ostateczności zgłoszę się do GB i przyznam do winy. Wezmę wszystko na siebie, więc może zostawią Listwiankę w spokoju?

Pokręciłem przecząco głową.

– Nie zostawią – zapewniłem. – Ani Listwianki, ani was.

– Myślisz, że rozplącę się po paru klapsach w buzię?!

– Pewnie nie – przyznałem. – Ale na tym się nie skończy. Najpierw spróbują was złamać fizycznie, jeśli nie wyjdzie, zaczną rozpracowywać na poważnie. Na przykład zajmą się waszymi słabościami. I wierzcie mi, znajdą je! Na przykład Irmę. Potrafilibyście milczeć, gdyby gwałcili dziewczuszkę na waszych oczach?

– Zwariowałeś! Nie wierzę, że posunęliby się do takiego bestialstwa. Przecież to jeszcze dziecko!

– Uwierzcie, nie zawahaliby się nawet na chwilę.

– To co mam robić?!

– Dajcie mi pomyśleć – poprosiłem. – Potrzebuję czasu.

– No dobrze – westchnęła ciężko. – Myśl. Tymczasem przygotuję ci zioła. Musisz je pić trzy razy dziennie.

– À propos ziół, ile razy będę musiał przechodzić tę procedurę

z przywiązywaniem do łóżka?

Mimo że starałem się kontrolować, mój głos zdrzął zdradliwie, biły na mnie poty na samo wspomnienie straszliwego bólu.

– Nie mam pojęcia. Wydaje mi się, że wystarczy raz, ale nie jestem pewna.

– Myślicie, że wyzdrowieję? Może Sun skłamał i chodzi mu tylko o to, żebym znalazł mordercę jego wnuczki?

– Wykluczone! – zaprzeczyła stanowczo staruszka. – On kieruje się swoistym kodeksem honorowym i o ile mi wiadomo, nigdy go nie złamał. Pewnie nie mówi ci wszystkiego, ale jeśli coś obieca, na pewno dotrzyma słowa. Tyle że...

– Tak? – ponagliłem zaniepokojony.

– Jego obietnice należy traktować literalnie.

– To znaczy?

– Pamiętasz, jak powiedział, że powinien cię zabić?

– Trudno zapomnieć coś takiego.

– On cię wyleczy, ale to nie znaczy, że zostaniecie przyjaciółmi.

– Myślicie, że kiedy dojdę do zdrowia, spróbuje...

– Nie wiem. Zależy, co ma przeciwko tobie. Naprawdę nie chcesz mi powiedzieć, w czym rzecz?

– Na pewno.

– Jak uważasz. – Babka Kira wzruszyła ramionami i pomaszerowała do kuchni.

Kiedy zostałem sam, wstałem z łóżka i przytrzymując się ściany, podszedłem do telefonu. Sprawa była prosta, wiedziałem, że nie dam rady bandzie złożonej z weteranów, nawet gdybym był w szczytowej formie. A przecież nie byłem. Pozostawała tylko jedna opcja: wezwać pomoc.

Podniosłem słuchawkę, miałem szczęście, bo porucznik, wróć! teraz już kapitan Katuszew odebrał niemal natychmiast.

– To wy, *komandir*?

– Tak. Jesteś mi potrzebny – oznajmiłem bez owijania



w bawełnę.

– Co tylko zechcecie – odparł bez namysłu.

– Trzeba zlikwidować grupę urków – poinformowałem. – Około trzydziestu osób, silnie uzbrojeni, byli żołnierze.

– Możecie ich zebrać w jednym miejscu? – odpowiedział pytaniem.

– Myślę, że tak.

– Gdzie i kiedy?

– Na razie nie wiem. Zatrzymaj się gdzieś w okolicach Irkucka. Ja sam jestem w Listwiance. Kiedy przyjedziesz, omówimy detale.

– Dobrze. A jak wasze zdrowie?

Poczta pantoflowa działała, Poliakov musiał poinformować chłopaka o moich problemach.

– Bez zmian.

– W takim razie do zobaczenia.

Z trudem przełknąłem ślinę, w głosie Timy nie pobrzmiwała troska, a jedynie chłodna, kliniczna ciekawość. Czasami zastanawiałem się, czy dobrze zrobiłem, podając mu swoją krew. Może lepiej byłoby, żeby zginął? Albo pozostał w stanie błogiej nieświadomości?

Skrzypnęła podłoga i Kira Folle pojawiła się w drzwiach jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki.

– I co? – spytała bez tchu.

– Ile złota wydobyliście?

– Prawie dwieście kilogramów. Część przetopiliśmy na sztabki po pięć kilo i po kilogramie. A dlaczego pytasz?

– Ja wam pomogę za darmo, ale ludziom, których wezwałem, wypadaloby zapłacić, w końcu będą ryzykować życie.

– To uczciwe postawienie sprawy – przyznała. – Ile ci potrzeba?

– Dwadzieścia kilogramowych sztabek. Stemplujecie je jakoś?

– Tak, mamy punce jeszcze z carskich czasów.

- Znakomicie! Na kiedy możecie to zorganizować?
- Załatwię sztabki w ciągu dwóch, góra trzech dni. A co potem?
- A to już nie wasz kłopot, ja się tym zajmę.

Kira Folle nerwowym gestem poprawiła kuchenny fartuch.

- Jesteś pewien? To wilki, prawdziwe bestie.

– Zdaję sobie z tego sprawę – przytaknąłem. – Tylko że tym razem nie napotkają wiejskich chłopaków, a sforę wilczarzy. Jeszcze jedno, gdyby w okolicy pojawił się ktoś z *błatnych*, natychmiast mi o tym powiedzcie!

– Powiem – obiecała babka Kira. – A teraz wracaj do łóżka, Sun powiedział, że musisz odpoczywać.

Przytaknąłem zrezygnowanym gestem, nogi drżały pode mną, jakbym dokonał nie wiadomo jakiego wysiłku, a przecież przeszedłem ledwo parę kroków. Było oczywiste, że muszę ćwiczyć, żeby szybciej wrócić do sił, jednak na razie stać mnie było co najwyżej na spacer do wychodka i z powrotem.



Wykonałem ostrożny półprzysiad, trzymając się ramy łóżka, po czym spróbowałem dotknąć dłońmi podłogi. Nie wyszło, ledwo sięgnąłem łydek, a przecież jeszcze dwa miesiące temu wykonywałem to ćwiczenie przy zablokowanych kolanach, bez trudu dotykając podłoga całą powierzchnią dłoni. W wojskowych butach na grubej podeszwie.

- Nie próbuj takich ćwiczeń, to strata czasu – odezwał się Sun.
- Teraz potrzeba ci czegoś innego.

Wzdrygnąłem się, nie usłyszałem, jak Chińczyk wszedł do chałupy, czyżby i słuch mi szwankował?

– Ciekawe czego? – odburknąłem. – Mam nadzieję, że nie chodzi o kolejny... seans.

- Nie, a przynajmniej nie teraz.

- To co mam robić?
- Wiesz, co to „pole eliksiru”?

Skinąłem głową, ten termin przewijał się często w notatkach Doskonałych.

– Masz oddychać, koncentrując się na *tan-tien*, i masować brzuch okrężnymi ruchami, traktując pępek jako centrum koła. Najpierw prawą ręką zgodnie z ruchem wskazówek zegara, później lewą, i odwrotnie.

- Jak długo?
- Trzy razy dziennie po półtorej godziny. Przez sto dni.

– Zwariowałeś!

– To nie podlega dyskusji – odparł spokojnie Sun. – Chyba że chcesz zintensyfikować terapię?

– Po cholere to głaskanie brzucha? – rzuciłem agresywnie. – U nas na wsi baby leczyły tak kolkę u dzieci.

– Można i kolkę, a można i poważniejsze dolegliwości. Dużo poważniejsze. Naprawdę chcesz, żebym ci teraz wykladał teorię alchemii wewnętrznej? – dodał z rozbawieniem. – To bardzo ważny obszar, także w rozumieniu klasycznej medycyny. Jelita, wątroba, śledziona, żołądek, pęcherz moczowy... Ich funkcjonowanie wpływa na cały organizm.

Obrzuciłem go ponurym spojrzeniem, ale nie kontynuowałem dyskusji, sama myśl o tym, że miałbym zażyć kolejną dawkę tajemniczego antidotum, mroziła mi krew w żyłach. Dosłownie.

– Cały czas odczuwam chłód – zdecydowanie zmieniłem temat. – To minie?

– Z czasem – przytaknął Sun. – Najpierw musisz odbudować swoją energię życiową, po tym wszystkim zostało ci jej tyle, co nic, dlatego jesteś taki osłabiony.

Położyłem się na łóżku, wsunąłem nogi pod pierzynę i zacząłem masować brzuch.

– Dobrze! – stwierdził z aprobatą. – Widać nauczyłeś się czegoś z tych heretyckich książek.

Zmartwiałem. Do tej pory sądziłem, że to jakieś nieznanne europejskiej medycynie sztuczki pozwoliły Sunowi odkryć, iż mam w sobie krew mistrza Doskonałych, a jego wiedza na temat sekty jest wyłącznie teoretyczna. Teraz dotarło do mnie, że najprawdopodobniej sam do niej należy. Nic dziwnego, że chciał mnie zabić: sekciarze, których spotkałem w Leningradzie, wykradli sekrety właśnie Chińczykom...

– To nie tak, jak myślisz – powiedziałem pospiesznie. – Nie mam nic wspólnego z Doskonałymi!

– A więc tak się nazwali? Co za megalomania! – parsknął. – Kłamstwa nic ci nie pomogą. Wyczułem u ciebie podwójne tętno, to może być tylko Zarodek Najwyższej Rzeczywistości!

– Miałem kontakt z krwią mistrza – przyznałem, nie przerywając masażu. – Jednak nie ze swojej woli. I zniszczyłem tę całą sektę, a przynajmniej jej leningradzki odłam. Włącznie z dwójką mistrzów.

Spodziewałem się niedowierzania, lecz ku mojemu zdumieniu Sun tylko skinął głową.

– Słyszeliśmy o tym – przyznał.

– My?

– Nie twoja sprawa. Ćwicz!

Przymknąłem oczy, zmieniłem rękę i kierunek masażu. Nadal dręczyły mnie fale zimna, zdawało się, że każde uderzenie serca skutkuje kolejną erupcją chłodu.

Byłem coraz bardziej znużony, najwyraźniej nawet tak niewielki wysiłek mnie męczył.

Jęknąłem, czując, jak moje nerki przeszywają mroźne kolce.

– Kontynuuj! – polecił Chińczyk. – Ból jest spowodowany powrotem energii życiowej do organów, które zostały jej pozbawione. Można nawet powiedzieć, że to jeden z symptomów poprawy.

Westchnąłem w duchu, zabawa zapowiadała się na długo...



Ada Sawicka otworzyła przede mną drzwi zaimprovizowanej kostnicy i wymownym gestem wskazała zwłoki. Wszystkiego trzy sztuki, bo ciało niefortunnej turystki zabrano w zeszłym tygodniu, podobnie jak jej mordercę.

Otuliłem się futrem, postawiłem kołnierz, po czym pobieżnie obejrzałem zabitego bandytę i trupy dwóch miejscowych.

– Nic specjalnego – powiedziałem. – Wracajmy na posterunek.

– Jak sobie życzyacie, *komandir* – odparła posłusznie.

Uniosłem w zdziwieniu brwi, dziewczyna po raz pierwszy nazwała mnie dowódcą. Po kwadransie siedziałem już w wygodnym fotelu, grzejąc dłonie o kubek gorącej herbaty.

– Co o tym myślicie? – spytała milicjantka.

– Zaskoczyli go – odparłem obojętnie. – Ten bandzior dostał w plecy z obrzyna, jednak zdołał się odwrócić i chlasnąć strzelca po tętnicy, zanim upadł. Wtedy podszedł do niego ten drugi, jak mu tam? Żora?

– Żora Kruszelnikow – potwierdziła.

– Pewnie uznał, że już po wszystkim, tylko się pomylił, trzeba było odczekać jeszcze z minutę...

– Przecież ten urka umierał!

– Umierał – przytaknąłem. – Niemniej zdążył podciąć Żorikowi ścięgno pod kolanem, a kiedy ten znalazł się na ziemi, wbił mu nóż w serce.

– Jak dzikie zwierzę! – wzdrygnęła się Sawicka.

– Cóż chcesz? To frontowcy, nauczono ich walczyć do końca.

– Co teraz będzie? Generał Poliakow powiedział, że to jakaś banda.

– Owszem.

– Nie darują nam tego zabitego, prawda?

Przyznałem jej rację skinieniem głowy.

– Nie wiem, co robić – wyznała. – Mogłabym wezwać pomoc, gdy nas zaatakują, ale zanim nasi przyjadą, tamci zrobią, co zechcą, i znikną. Zresztą nie obronimy się tu we dwójkę z Romanem. Chciałam zameldować o wszystkim w Irkucku, ale generał powiedział, że to nie najlepsze wyjście, i kazał mi was słuchać.

Uśmiechnąłem się pod nosem. Teraz już wiadomo, skąd ta atencja panienki Ady. Ciekawe, co dokładnie powiedział jej Poliakov. Wątpiłem, żeby ograniczył się do zwykłej uwagi, Sawicka odziedziczyła po ojcu żelazny upór i niezależność, przypuszczałem, że Nikołaj nieźle ją nastraszył.

– Ufam wam – powiedziała, widząc moją minę. – I ufam generałowi. Wiem, że żaden z was mnie nie skrzywdzi, zdaję też sobie sprawę, że brakuje mi doświadczenia.

Nawet nie wiesz, jak bardzo, pomyślałem. Gdyby nie ja i Poliakov, nie przeżyłabyś najbliższego tygodnia.

– A może spróbujemy nieoficjalnie? – kontynuowała. – Albo półoficjalnie. Mam znajomego w Irkucku. Nazywa się Kiwrin. Borys Kiwrin. Pracuje w GB, ale to porządny człowiek. Gdybym go poprosiła o pomoc, pewnie mógłby zmobilizować paru chłopą. Umocnilibyśmy posterunek, powstrzymali atak tych bandytów i wezwali wsparcie. Myślę, że dalibyśmy radę bronić się kilka godzin. Co wy na to?

– Większej głupoty dawno nie słyszałem – odparłem szorstko.

– Może spróbujecie wytłumaczyć? – poprosiła z irytacją w głosie.

– Nie będziesz zachwycona – uprzedziłem.

– Jakoś wytrzymam – oznajmiła cierpko. – Przyzwyczaiałam się już, że uważacie mnie za idiotkę.

– Nie w tym rzecz – westchnąłem. – Nie jesteś głupia, tylko naiwna i niedoświadczona.

– Słucham – ponagliła.

Aby zyskać na czasie, pociągnąłem kolejny łyk aromatycznego

naparu, wreszcie wzruszyłem z rezygnacją ramionami.

– No dobrze – mruknąłem. – Na początek stań przed lustrem.

Wytworne tremo na pewno nie było standardowym wyposażeniem gabinetu, podejrzewałem, że Sawicka przytargała je tutaj, obejmując stanowisko komendanta. Tym bardziej że sprzęt nie wyglądał na współczesny, złocona rama wskazywała, że najprawdopodobniej wyszabrowano je z jakiegoś pałacu.

– Zacznijmy od twojego znajomego – powiedziałem. – Jaki ma stopień?

– Major – odparła z rumieńcem na policzkach.

– Dlaczego ktoś taki zainteresował się wiejską dziewczuchą w randze podporucznika? Czyżby brakowało mu miejscowych ślicznotek? – spytałem retorycznie. – A może podobnej piękności nie ma w okolicy? Otóż nie, nawet jeśli ktoś lubi krzepkie wiejskie dziewczyny, to są ładniejsze – oznajmiłem bezlitośnie.

Ada zacisnęła usta tak, że stworzyły wąską kreskę, mimowolnie zerknęła w zwierciadlaną taflę.

– Ale założmy, że uroda nie jest dla niego najważniejsza. Oficerowie GB to przeważnie ludzie ambitni. Może chłopina chce przyspieszyć awans i szuka ustosunkowanej żony? Znasz kogoś, kto mógłby mu pomóc w karierze?

Dziewczyna zaprzeczyła.

– Czyli i ta opcja odpada – podsumowałem. – Co nam zostaje? Albo ten *gebesznik* zakochał się w tobie od pierwszego wejrzenia, albo rozpracowuje cię w nadziei, że trafi na coś interesującego.

– Nie jestem aż taka ważna! – zaprotestowała Sawicka.

– Sam fakt, że na twoim terytorium dzieją się różne dziwne rzeczy, czyni cię interesującą dla GB – zripostowałem. – Kopalnia złota, znikające dzieciaki, teraz trupy. Kiedy się poznaliście?

– Dwa miesiące temu – odparła, mnąc nerwowo rękaw munduru.

– Czy nie wtedy zaczęła się heca z kopalnią złota?

– Być może – odpowiedziała z zaciętym wyrazem twarzy. –

Jednak uważam, że przesadzacie. Wiem, że nie jestem ładna, ale to przecież nie znaczy, że żaden mężczyzna nie może zwrócić na mnie uwagi. Borys też nie jest specjalnie przystojny.

– To kwestia rachunku prawdopodobieństwa – stwierdziłem, starając się opanować zniecierpliwienie. – Teoretycznie możesz mieć rację. Teoretycznie – podkreśliłem. – Tylko jaka jest szansa, że przypadkowo zainteresował się tobą nie kto inny, ale oficer GB, dokładnie wtedy, kiedy zaczęły się kłopoty z kopalnią?

– To wszystko, co mieliście mi do powiedzenia?

– Nie, nie wszystko. Załóżmy przez chwilę, że ten twój czekista rzeczywiście chce ci pomóc, nie licząc na żadne uboczne korzyści. Jak to sobie wyobrażasz? Myślisz, że bandyci zaatakują posterunek? Zapomnij! Wywloką z chałup kogo się da, a później będą zabijać jednego po drugim na twoich oczach, dopóki nie wyjdiesz razem ze swoim Romeo z podniesionymi rękoma! A może tylko uniemożliwią ci wyjście z komisariatu i zajmą się poszukiwaniem winnych śmierci kumpla. I wierz mi, znajdą ich szybko! Nikt nie poświęci życia żony czy dziecka dla najbardziej nawet dochodowego interesu.

– Co za bzdury?! Jakiego interesu? Jedyne większe przedsiębiorstwo w Listwiance to tartak, a on nie przynosi specjalnych wpływów, w ciągu ostatniego roku trzy razy zmieniali dyrektora, bo góra uznała, że aktualny za mało się stara.

Zmilkiałem, dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że poniosła mnie elokwencja i wyjawilem więcej, niż powinienem. Ech, szlag by to, przekłeta choroba! Gdybym nieustannie nie trząsał się z zimna, pewnie i mózg działałby sprawniej.

– *Komandir?* – ponagliła Sawicka.

Uciszyłem milicjantkę ruchem dłoni, zapaliłem papierosa. A gdyby powiedzieć jej, o co chodzi? Przydałaby mi się taka pomocnica, co by nie mówić, to właśnie *barysznia* Ada reprezentowała w Listwiance władzę. No i zminimalizuję w ten



sposób możliwość, że dziewczucha popełni jakieś głupstwo. Był tylko jeden problem: jak zareaguje towarzyszka Sawicka, dowiedziawszy się, że miejscowi zaczęli wydobywać złoto na własną rękę?

– Masz klucz do drzwi? – spytałem.

– Mam, ale co to ma wspólnego...

– Dawaj! – przerwałem jej bezceremonialnie.

Ada wyciągnęła z kieszeni pęk kluczy, złapałem dziewczynę za nadgarstek i pociągnąłem do siebie tak, że usiadła na moich kolanach. Pisnęła zaskoczona, a ja w mgnieniu oka pozbawiłem ją broni, po czym zepchnąłem Adę z kolan i wstałem z fotela.

– Teraz możemy porozmawiać – oznajmiłem.

– Oszaleliście? – powiedziała z wyrzutem.

– Przepraszam – mruknąłem, zamykając drzwi.

– Dlaczego zabraliście mi pistolet?!

– Za chwilę ci oddam – zapewniłem. – A teraz siadaj i słuchaj!

– Będziecie trzymać mnie na muszce? – spytała złośliwie.

Rozładowałem tokariewa i podałem jej broń, trzymając za lufę, a później, nie przebierając w słowach, wyjaśniłem, dlaczego polscy złodzieje zainteresowali się Listwianką.

– To nie może być prawda – wymamrotała blada jak chusta dziewczyna. – Babka Kira? Niemożliwe!

– Jeszcze jak możliwe! Rozumiesz teraz, dlaczego generał odradzał ci szukanie pomocy w Irkucku? Gdyby sprawą zainteresowały się władze, prędzej czy później odkryłyby, że pod twoim nosem działała nielegalna kopalnia złota. A wtedy najbliższe dziesięć lat spędziłabyś przy wyrębie tajgi. O ile byś przeżyła, bo więźniowie nie przepadają za milicjantami.

– Więc co mam robić?! – wydusiła.

– Zdać się na mnie – odparłem spokojnie. – Podjąłem już pewne kroki, żeby posprzątać ten bałagan.

– Rozumiem, że nie powinnam pytać jakie?

– Nie powinnaś – przytaknąłem.

– I co teraz będzie? Przecież prędzej czy później sprawa się rypnie! A wtedy dostanę nie dziesięć lat, tylko dwadzieścia albo wyszkę.

– Uspokój się, przecież powiedziałem, że wszystko załatwię.

– Ciekawe jak? Przecież nawet likwidacja kopalni nie da gwarancji, że cały ten przekręt nie wyjdzie na jaw. A przestępstwa przeciw państwu nie ulegają przedawnieniu.

– O tym pomyślimy później, teraz trzeba unieszkodliwić bandę Barkina.

– Trzydziestu chłopów? – odezwała się z akcentem powątpiewania. – I co, jak ich aresztują? Myślicie, że żaden nie wspomni śledczym o prywatnej inicjatywie babki Kiry?

– Kto wie? Musieliby się wtedy przyznać do działania w zorganizowanej grupie przestępczej, a to dużo większy wyrok. Pewnie wymyślą jakąś bajeczkę, na przykład że chcieli pomścić śmierć przyjaciela, w końcu to zawodowcy. Lepiej odpowiadać za nielegalne posiadanie broni i bandycki napad niż za udział w antypaństwowym spisku.

– Oby – westchnęła Sawicka.

Mówiłem prawdę, zasada, żeby całą winę brać na siebie, nie została wymyślona z altruizmu. Każdy bandzior w naszym kraju wiedział, że lepiej odpowiadać jako jednostka niż członek grupy. Bo władza u nas była podejrzliwa i wszędzie węszyła znowę. Stąd i paragrafy za przestępstwa grupowe były dużo poważniejsze niż za indywidualne.

Rozprostowałem zdrewniałe nogi, zerknąłem na zegarek. Czas na kolejny masaż.

– Podaj mi laskę – poprosiłem.

Dziewczyna pomogła mi wstać, zupełnie ignorując naboje, które wraz z kluczami rzuciłem na stół. Ki czort? Spodziewałem się, że pierwsze, co zrobi, to załaduje tokariewa.

– Odprowadzę was do sań – powiedziała z wyraźną troską. – Nie wyglądacie najlepiej.

Westchnąłem z rezygnacją, musiałem prezentować się fatalnie, skoro panienka Sawicka nie zrugowała mnie ani za odebranie broni, ani za – nie ma co ukrywać! – dość poufałe potraktowanie. Oby tylko kuracja Suna okazała się skuteczna, bo czasami miałem wątpliwości, czy wrócę do zdrowia. Ech, daj Boże chociaż wyrównać rachunki, a później niech będzie, co ma być...



Kira Folle naląła mi kawy, nie jakiegoś ersatzu z żołądźci czy cykorii, ale prawdziwej kawy ze świeżo zmielonych ziaren. Nie dociekałem, skąd takie luksusy w Listwiance, miałem większe problemy.

– Nikt nie dzwonił? – spytałem.

Moja gospodyni przecząco pokręciła głową.

– Jedz – zachęciła, podsuwając mi talerz z owsianką.

Rozmieszałem gęstą breję, przełknąłem kilka łyżek bez specjalnego entuzjazmu.

– Co tak wisisz przy telefonie? – kontynuowała. – Czekasz na coś konkretnego?

– Na informacje o waszych partnerach biznesowych – odparłem złośliwie. – Mam pomysł, jak poradzić sobie z bandą Barkina, ale trzeba to i owo przygotować. Jeśli nie zdążę i tamci nas zaskoczą... – Wzruszyłem wymownie ramionami.

– Ech, diabeł mnie podkusił, żeby wziąć się za tę kopalnię – mruknęła babka Kira. – Stara, a głupia!

– Sama myśl nie była zła – przyznałem. – Błąd polegał na tym, że próbowaliście to załatwić na szczeblu regionalnym. Na prowincji nie ma tylu pieniędzy, żeby opłacało się sprzedawać złoto. Znaczący można, ale ze stratą. A i wiadomo, że prędzej czy później ktoś spróbuje przejąć ten interes.

– A w Moskwie pewnie nie?  
– Przy odpowiednim podejściu do sprawy nie.  
– Co masz na myśli?  
– Wiecie, co jest problemem naszych elit?  
– Jakich, do licha, elit?!

– Politycznych. Oni mają forsy jak lodu, bo kradną na prawo i lewo, ale te pieniądze nie mają wartości poza naszym krajem. Więc zakładają konta za granicą, ale żeby to zrobić, najpierw muszą wymienić nasze ruble na carskie imperiały, dolary albo kosztowności. Jest jeszcze jedna opcja...

– Złoto? – domyśliła się Kira Folle.

– Owszem – przytaknąłem. – Sztabki złota. O ile zagwarantujecie właściwą jakość, bo sztabki muszą zawierać odpowiedni procent kruszcu, mogę wam zapewnić nieograniczony zbył. I całkowite bezpieczeństwo, nomenklatura tego dopilnuje.

– Proponujesz mi spółkę?

– Coś w tym rodzaju. Jeśli zechcecie. To nie jest szantaż – zaznaczyłem. – Obronię was przed Barkinem, jak obiecałem, ale tak czy owak, trzeba będzie coś zrobić z tą kopalnią. A sami sobie nie poradzicie.

Babka Kira zakołysała w zamyśleniu na wpół opróżnioną filiżanką, łyknęła kawy.

– Co proponujesz? – spytała.

– Chcę dwadzieścia procent – odparłem. – W zamian zapewnię bezpieczeństwo całego przedsięwzięcia, zbył i transport do Moskwy.

– Reszta dla nas? – upewniła się.

– Niezupełnie. Trzeba odliczyć jeszcze dwadzieścia procent na łapówki. Bez tego ani rusz. To, co zostanie, będzie wasze. No i musicie ostrożnie wydawać pieniądze, nie możecie ni stąd, ni zowąd zbudować sobie pałacu.

– To oczywiste – stwierdziła chmurnie. – Dobrze, zgadzam się!

– Nie musicie pogadać ze współnikami?

– Takie decyzje podejmuję jednoosobowo – odparła bez mrugnięcia okiem.

– Tym lepiej – mruknąłem. – À propos współników, ilu was jest?

– Teraz, po śmierci Żory i Wadima? Sześć osób. Ale jeśli interes się rozkręci, będę potrzebowała przynajmniej drugie tyle.

– O tym porozmawiamy później, na razie musimy zająć się *błatnymi*. A to co? – powiedziałem, patrząc przez okno.

Przed dom babki Kiry zajęchała победа, z maszyny wyszło trzech mężczyzn, dwóch skierowało się do wejścia, trzeci został przy samochodzie. Rozpięte mimo mrozu płaszcze mogły oznaczać tylko jedno: przybysze chcieli mieć ułatwiony dostęp do broni. Z drugiej strony nie wyglądali na zabójców Abakumowa, ci zatroszczyliby się o rozcięcie w prawej kieszeni, tak żeby mogli sięgnąć do kabury, nie budząc żadnych podejrzeń.

Na wszelki wypadek włożyłem tokariewa za pasek od spodni i zmieniłem wygodne domowe kapcie na buty. Nie musiałem długo czekać, ktoś zapukał energicznie, nie próbując sforsować niezamkniętych, jak to w Listwiance, drzwi.

– Kto tam? – spytałem, trzymając dłoń na rękojeści pistoletu.

– Służba Feldjegierska!

Stałem w progu. Trzydziestoletni na oko mężczyzna o twardych, choć nie brutalnych rysach twarzy przedstawił się jako porucznik Gorbuszyn, po czym zademonstrował legitymację służbową.

– Pułkownik Razumowski?

– We własnej osobie.

– Polecono mi przekazać wam przesyłkę. Wasze dokumenty?

– Chwileczkę.

Odwróciłem się, żeby wejść do korytarza, gdy nagle w sieni pojawiła się Kira Folle i podała mi niewielką książeczkę w czerwonej oprawie, którą odruchowo wręczyłem

porucznikowi. Dopiero kiedy stanął na baczność i zasalutował, zorientowałem się, że to zaświadczenie potwierdzające nadanie mi tytułu Bohatera Związku Radzieckiego.

– Kiro Andriejewna – odezwałem się z wyrzutem.

Moja gospodyni rozłożyła ręce z udawanym zażenowaniem.

– Chwyciłam, co było pod ręką – oświadczyła obłudnie.

– Pokwitujcie – poprosił oficer.

Podpisałem oficjalnie wyglądający formularz, po czym Gorbuszyn przekazał mi niewielką paczkę owiniętą w zwykły szary papier.

– To jakieś lekarstwa – oświadczył. – Nic więcej nie wiem.

– Dziękuję, poruczniku.

Mężczyzna skinął głową, odmeldował się regulaminowo i ruszył do samochodu.

– Zadzwońię po Pietkę, trzeba to dać tej twojej lekarce – zadysponowała babka Kira.

– Jaka ona moja? I po czorta wygrzebaliście tę legitymację?

– Pomyślałam, że jeśli to ludzie Abakumowa, to może zawahają się przez chwilę.

– Nie zawahaliby się – zapewniłem ponuro. – I co dałaby wam ta chwila?

Staruszka bez słowa sięgnęła pod fartuch i zademonstrowała niewielki pistolecik. Obejrzałem go, starając się nie okazywać zdziwienia. Fabrique Nationale kaliber 6,35, model z tysiąc dziewięćset szóstego roku.

– Skąd to macie?

– Prezent od przyjaciela – odparła wymijająco. – Może rozpakujemy tę przesyłkę?

– Nie wiem, na ile streptomycyna jest odporna na chłód, lepiej od razu dać to Nadii.

– No dobrze, dzwonić?

– Dzwonście – przyzwoliłem. – A ja tymczasem się ubiorę.

Cóż, przynajmniej Pietka będzie dzisiaj zadowolony,

pomyślałem. Może nawet Nadia wyleczy matkę chłopaka?



Zajechaliśmy przed ośrodek zdrowia w ponurym milczeniu, podobnie jak mój woźnica nie miałem zbyt wielu powodów do radości. Mimo dokładnego wypełniania poleceń Suna nadal męczyły mnie bóle i często musiałem chodzić, trzymając się ściany, żeby nie stracić równowagi. Nie mogłem też opędzić się od myśli o Lizie. Gdybym nie pozwolił jej odejść, gdybym walczył o nią, gdybym...

– Będę ci jeszcze dzisiaj potrzebny, wujku? – spytał markotnie Pietka. – Bo chciałbym dziś wcześniej wrócić do domu, mama gorzej się czuje.

– Chodź ze mną – poleciłem.

W progu natknęliśmy się na Markowa.

– Jak się czujecie? – spytał zaniepokojony lekarz.

Skwitowałem pytanie zrezygnowanym gestem i wszedłem do gabinetu. Nadia uzupełniała jakieś dokumenty, na mój widok zerwała się zza stołu.

– Nic mi nie jest! – uprzedziłem, kiedy zobaczyłem przestraszoną minę dziewczyny. – Przywiozłem wam prezent.

– To dotyczy i mnie czy mam wyjść? – rzucił Markow z ironią.

– Nie trzeba – odburknąłem.

Ostrożnie wydobyłem z kieszeni paczkę i podałem Nadii.

– Twoja streptomycyna – poinformowałem zwięźle.

Dziewczyna spróbowała rozwiązać sznurek trzęsącymi się z emocji rękoma, ale Markow wyczarował skądś lancet i z chirurgiczną precyzją przeciął opakowanie.

– Wystarczy na cztery, może pięć kuracji – uznał.

– Na co czekasz? – zwróciłem się do pielęgniarki. – Łap za strzykawkę i jedź z Pietką, sanie czekają.

– To jest lekarstwo dla mamy? – upewnił się chłopak.

– Tak jak obiecałem. No już, znikaj! – Przyjacielskim klepieniem skierowałem młodzieńca do drzwi.

– Dziękuję, wujku! Dziękuję!

– Podziękujesz, jak będzie po wszystkim – mruknąłem.

Po chwili rozległ się dziarski trzask bata i okrzyk Pietki poganiającego konie.

– Jak zdobyliście streptomycynę? – spytał Markow, kiedy zostaliśmy sami. – Chociaż nie! Może lepiej nie mówcie...

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, usłyszeliśmy kroki w korytarzu. Dwie osoby. Sięgnąłem po broń, ale zaraz wyjąłem rękę z kieszeni. Stukot damskich obcasików sugerował, że to raczej pacjenci szukający porady, a nie delegacja z pozdrowieniami od Abakumowa.

Ktoś zapukał energicznie i wszedł, nie czekając na zaproszenie.

– *Komandir...*

Elegancki garnitur sprawiał, że Tima Kotuszew wyglądał niczym moskiewski dandys, w sylwetce towarzyszącej mu kobiety było coś znajomego. Dopiero po chwili ją rozpoznałem. Natasza. Natasza Pokrowska...



## Rozdział piąty



Tima z wyraźną przyjemnością skosztował herbaty z konfiturami i zagryzł świeżo upieczonym ciasteczkiem. Kira Folle nadskakiwała chłopakowi, jakby był jej wnukiem. Dawno niewidzianym wnukiem. Co dziwne, Natasza nie wywołała w niej podobnych uczuć, babka Kira traktowała dziewczynę z chłodną rezerwą, choć może jej postawa była po prostu odbiciem mojej? Nadal nie do końca rozumiałem, dlaczego Tima poprosił o pomoc właśnie Nataszę, a jeszcze mniej – dlaczego ta zgodziła się podjąć ryzyko. Od czasu kiedy wydała mnie w ręce generała Wołkowa, nasze stosunki były dość skomplikowane. Z jednej strony rozumiałem, że ratowała syna, z drugiej nie mogłem jej wybaczyć zdrady.

– To *błatni* – wyjaśniał po raz kolejny Tima. – Żeby się do nich dostać, potrzebowaliśmy kogoś z ich środowiska, nikt inny nie miałby nawet cienia szansy, żeby zdobyć ich zaufanie.

– I co, zdobyłaś ich zaufanie? – po raz pierwszy zwróciłem się bezpośrednio do Nataszy.

– Trudno powiedzieć – odparła ostrożnie. – Poznałam kilku z nich w miejscowej knajpie.

– Wzięli ją za swoją – uzupełnił Tima. – I wyraźnie się zainteresowali, kiedy powiedziała, że jedzie do Listwianki odwiedzić ciotkę.

– I kto ma być tą ciotką? Kira Andriejewna? Przecież *błatni* wiedzą, że to właśnie ona rozkręciła ten interes z kopalnią. Nigdy

nie uwierzą w taki zbieg okoliczności.

– Nie wiedzą – wtrąciła babka Kira. – Negocjacje prowadził mój... przyjaciel.

– A kto konkretnie?

– Nie musisz wiedzieć – stwierdziła stanowczo staruszka. – A przynajmniej nie na tym etapie.

– No dobrze – westchnąłem. – Co robimy?

– Jeden z tych bandziorów, niejaki Kuwałda, poprosił, żebym się z nim spotkała, jak wrócę – powiedziała Natasza. – Zasugerował, że mi się to opłaci. Odniosłam wrażenie, że coś ich zaniepokoiło i chcieliby wiedzieć, co się dzieje w Listwiance.

– Jakie miejsce zajmuje w szajce Barkina? – spytałem szybko.

– Na pewno nie ostatnie, jednak sam rozumiesz, że nie mogłam pytać wprost. To bardzo niebezpieczny człowiek – dodała.

Skinąłem głową, sam pseudonim „Młot” mówił dużo o urce. W środowisku *blatnych* nie szafowano takimi przezwiskami bez powodu.

– Nic dziwnego, że czują się zdezorientowani, ich wysłannik nie wrócił, a raczej nie spodziewali się żadnego oporu po wieśniakach – stwierdziłem w zamyśleniu. – Niemniej pewnie prędzej czy później dowiedzą się o jego śmierci. I chyba prędzej niż później, założę się, że mają swojego człowieka w milicji.

– To nasza szansa – odezwał się Tima. – Jeśli Natasza powie im prawdę, no, część prawdy, zyska ich zaufanie i zwabimy ich w zasadzkę.

– Jak to sobie wyobrażasz?

– Oni muszą się dowiedzieć, dlaczego ich człowiek nie wrócił. Na pewno nie będą polegali na Nataszy, to zbyt świeża znajomość. To, co im powie, potraktują jako sprawdzian jej wiarygodności, nic więcej.

Przytaknąłem, nawet jeśli *blatni* uznali Pokrowską za swoją, na pewno nie zaufają jej od razu.

– Jednak gdyby Natasza dostarczyła im wyniki sekcji zwłok

i raporty miejscowej milicji, uwiarygodniłoby to jej wersję na tyle, że mogłaby też dodać coś od siebie – kontynuował. – Bo dokumenty potwierdziłyby jedynie to, czego ludzie Barkina dowiedzieli się z innych źródeł.

– I co miałyby dodać?

– Że kopalnię przejęła inna banda. I to właśnie ona załatwiła Karalucha.

– Kogo?!

– Ten zabity bandzior nazywał się Tarakanow, stąd i pseudonim „Tarakan” – wyjaśnił chłopak. – Rozmieszczę tu paru ludzi, żeby uwiarygodnić tę wersję, myślę, że najdalej za tydzień tamci umówią się z wami na spotkanie, żeby wyjaśnić wszelkie kwestie sporne. Oczywiście będą was chcieli wykończyć, a nie gadać, więc Barkin weźmie ze sobą wszystkich ludzi. A wtedy zrealizujemy opcję zerową – zakończył.

– Jaką opcję? – wtrąciła babka Kira.

– To taki zawodowy termin – zbagatelizowałem.

Nie miałem zamiaru informować staruszki, że w żargonie wojennej rozwiędki wyzerowanie oznacza likwidację.

Było oczywiste, że nie możemy brać jeńców. Gdyby przeżył choć jeden z bandytów, nie byłibyśmy pewni dnia ani godziny. Opcja zerowa to jedyne wyjście.

– Oczywiście wy, *komandir*, zostaniecie szefem bandy – uzupełnił chłopak z uśmiechem.

Pogroziłem mu pięścią, choć w duchu zaaprobowałem pomysł. Cóż, jeśli chodziło o zabijanie, Tima nie miał sobie równych. Gorzej radził sobie z innymi kwestiami, ale nie urządzaliśmy przecież wieczorka tanecznego.

– No dobrze – powiedziałem. – Teraz trzeba tylko zakwaterować twoich ludzi i pogadać z Adą, żeby udostępniła nam dokumenty.

– Ja zajmę się noclegami – zaproponowała Kira Folle. – Znajdę też pokój dla Nataszy. Lepiej, żeby nie mieszkała u mnie. Jakby

co, powiem, że mam już lokatora.

Skinąłem głową, bojąc się, że głos mnie zawiedzie, nie chciałem żyć pod jednym dachem z Pokrowską.

– W takim razie jadę na posterunek – zdecydowałem. – Trzeba zadzwonić po Pietkę.

– Podwiozę was, *komandir* – zaofiarował się Tima. – I tak musicie mnie przedstawić porucznik Sawickiej.

Zerknąłem na zegarek, dwie godziny do kolejnego masażu. Trzeba się pospieszyć.

– Idziemy! – Sięgnąłem po palto.

Odchrząknąłem z rozbawieniem, widząc zaparkowany na ulicy samochód Citroën 7, nie bez powodu nazywany *Gangstalimuzine*, choć Bogiem a prawdą równie często jak gangsterzy wykorzystywały go służby specjalne całego świata.

Zamknąłem oczy, ledwo usiadłem w fotelu. Widać zadziałała podświadomość, Tima był jedną z nielicznych osób, do których miałem całkowite zaufanie. Zasnąłem.



Kiedy tylko przedstawiłem Kotuszewa Adzie, Tima wymówił się obowiązkami i zostawił mnie sam na sam z dziewczyną. Nie ma co ukrywać, byłem nieco zaniepokojony, bo i zachowanie porucznik Sawickiej odbiegało od normy. Żadnych sprzeciwów, kłótni ani nawet powoływania się na przepisy. Usłyszawszy moją prośbę, dziewczyna bez wahania wyłożyła na stół wszystkie żądane dokumenty.

– Macie czym zrobić zdjęcia? – spytała. – Bo jak nie, to mogę skoczyć do Lusi Gorobiec, ona ma zorkę.

– Nie trzeba – mruknąłem, wyjmując minoksa.

– To szpiegowski sprzęt?

– Coś w tym rodzaju. Możesz przewracać mi kartki?

– Oczywiście.

Sfotografowałem wszystkie dokumenty, teraz wystarczyło je wywołać i przekazać bandytom.

– Herbaty? – zaproponowała.

– Chętnie.

Rozsiadłem się w fotelu, roztarłem zgrabiące dłonie. Mimo że w gabinecie napalono, czułem chłód.

Tymczasem na stole pojawiła się nie tylko herbata i konfitury, ale i kruche ciasteczka. W Listwiance był tylko jeden sklep spożywczy i słodczyce trafiały do niego przeważnie w rocznicę rewolucji. Ki czort?

– Widzieliście kiedyś morze? – rzuciła zniecierpliwiona dziewczyna.

– Nawet kilka – odparłem rozbawiony.

Sawicka wyglądała, jakbym miał właśnie wyjawic jej tajemnice wszechświata.

– Byliście nad Morzem Czarnym?

– Tak, stacjonowałem kiedyś przez rok w Odessie.

– Przed wojną?

– W dwudziestym siódmym – przytaknąłem.

– I jak tam było?

– Nudno. – Wzruszyłem ramionami. – Służba garnizonowa na zmianę ze szkoleniem. Nic ciekawego. Dlaczego pytasz?

– Tak sobie – odparła z udawaną nonszalancją. – A jak miejscowe dziewczęta? Pewnie mieliście jakieś bale garnizonowe, wieczorki zapoznawcze?

– O co ci chodzi?!

– Poznaliście tam kogoś? – nie ustępowała.

Dopiero teraz wszystkie części układanki ułożyły się w zrozumiałą całość. Jęknąłem w duchu, Poliakow, ty chuju, w coś ty mnie wrobił?!

– Nie jestem twoim ojcem! – powiedziałem ostro.

– Ja przecież... – urwała bezradnie.

– Urodziłaś się w dwudziestym siódmym w Odessie?

– W dwudziestym ósmym – poprawiła.  
– Wierz mi, że nie miałem wtedy czasu na dziewczęta. Przecież potrafisz rozpoznać prawdę?

– Już nie.

– Nie rozumiem...

– Kiedy słyszę kłamstwo, dźwięki są chropawe, a prawda odwrotnie, jest gładka jak jedwab. Jednak jeśli kogoś lubię, wszystko, co mówi, przypomina dotyk nagrzanego słońcem bawełny: jest miękkie i ciepłe. Ja już nie potrafię powiedzieć, czy kłamięcie...

Zakląłem na głos, nie krępując się obecnością dziewczyny. Widać Poliakov doszedł do wniosku, że Sawicka nie będzie słuchać dobrych rad i z czystej przekory zrobi wszystko po swojemu, a wtedy zginie albo wyląduje w łagrze, więc uderzył w najczulszy punkt i zasugerował Adzie, że jestem jej ojcem. Szlag! I kto by pomyślał, że twarda na pozór baba marzy o spotkaniu z tatusiem? Ech, kobiety...

– Jedno w tym wszystkim jest prawdą, chcę ci pomóc. Słuchaj, co mówię, a wyjdiesz z tego cało. I nie waż się kontaktować z tym *gebesznikiem*! Jak będę miał chwilę czasu, sprawdzę, kim jest ten twój Romeo.

– On dzwonił do mnie wczoraj, ale go zbyłam. Będę go unikała, dopóki to wszystko się nie wyjaśni – obiecała. – A jak wasze zdrowie?

– Bo ja wiem? Pewien szaman twierdzi, że mam szansę – odparłem niechętnie.

– Szaman?

– Znajomy babki Kiry.

– Ten Chińczyk?

– Tak, a co, znasz go?

– Wszyscy go tu znają, od lat leczy ludzi w okolicy. Za darmo. To dość tajemniczy człowiek, ale ciesz się dobrą opinią.

– Znakomicie – mruknąłem. – A teraz wezwij Pietkę.

– Już lecę!

Wracając do domu, obiecałem sobie, że Poliakow drogo zapłaci za numer, jaki mi wywinął. Wiedział, że nie złamię obietnicy i nie zdradzę Sawickiej, kto jest jej prawdziwym ojcem, więc wykorzystał i ją, i mnie. No nic, grunt, żeby wszystko dobrze się skończyło, na rozliczenia przyjdzie czas później. A zacznę od Abakumowa. Nienawidziłem go od dawna, jednak dopiero po śmierci Lizy uświadomiłem sobie, że nie spocznę, póki nie zabiję szefa bezpieczeństwa jak wściekłego psa. Później przyjdzie czas na Berię. O ile będzie jakieś później...



Sun przyjrzał mi się krytycznie i jeszcze raz zbadał tętno, pokręcił fraszobliwie głową.

– Nie ma w tobie nawet odrobiny siły – powiedział. – Na pewno masujesz się trzy razy dziennie?

– Na pewno.

– A jak ci idzie machanie rękoma?

– Machanie?

Sun wysyczał coś po chińsku, później przeszedł na rosyjski. Wyłowiłem jedynie dwa słowa, brzmiały jak „pieprzeni heretycy”.

– To coś tak oczywistego, że ci twoi Doskonali pewnie nawet nie opisywali tego ćwiczenia. Oddychanie przeponą i masaż „pola eliksiru” mają za zadanie zgromadzenie energii. Jednak żeby mogła ona leczyć ciało oraz zwiększać siłę i szybkość uderzeń, trzeba ją skierować do kończyn. Alchemia wewnętrzna zakłada, że energia przemieszcza się z krwią i oddechem. Stań na lekko ugiętych nogach – zakomenderował.

Wyszedłem na środek pokoju i wykonałem polecenie.

– Teraz unieś ręce na wysokość barków i opuść je swobodnie,

bez napinania mięśni. Dobrze! Podnosisz i opuszczasz ręce cztery razy, za piątym jednocześnie przysiadasz. Nie tak głęboko! To nie gimnastyka, mięśnie muszą być rozluźnione. Przysiadając, jednocześnie kołysziesz rękoma. O tak, teraz dobrze.

– Co to daje? – odważyłem się spytać.

– Mówiłem, dzięki temu, że *qi* wraz z krwią koncentruje się w twoich dłoniach i nogach, twoje ruchy, uderzenia i kopnięcia stają się silniejsze i szybsze. Kiedy skończysz ćwiczyć, fala energii powraca z dłoni i nóg i rozchodzi się po całym ciele, usuwając wszelkie choroby.

– Jak długo mam ćwiczyć?

– To już zależy od ciebie – stwierdził obojętnie Chińczyk. – Dawniej ciężko chorzy i ludzie, którzy chcieli osiągnąć mistrzostwo w sztukach walki, ćwiczyli trzy razy dziennie po pół godziny, a nawet dłużej, ale na początek, dopóki się nie wzmocnisz, wystarczy dziesięć minut. Stare traktaty podają, że po dziesięciu minutach energia wzmacnia twoje mięśnie i system krwionośny, po dwudziestu zaczyna leczyć organy wewnętrzne, a po półgodzinie dochodzi do mózgu, aby wykorzenić ciężkie dolegliwości.

– Dziękuję – wymamrotałem.

Sun niemal niedostrzegalnie skinął głową i skierował się do wyjścia.

– Jeszcze jedno – powiedział, stając w drzwiach. – Dobrze by było, gdybyś zabrał się wreszcie za poszukiwania mordercy mojej wnuczki.

Wzdrygnąłem się, słysząc ton Chińczyka, w jego słowach można było wyczuć gniew hamowany niemal nieludzkim wysiłkiem woli.

– Postaram się – obiecałem.

Zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa tym razem nie miał nic wspólnego z chorobą. Uspokoilem się, dopiero ujrawszy Suna na ulicy.



– Skończyłeś? – zapytała Kira Folle.

Odwróciłem się od okna, moja gospodyni zaglądała do pokoju.

– Prawie. Coś się stało?

– Tak. Do Listwianki przyjechało kilku ludzi Barkina.

– Skąd wiecie, że to akurat oni?

– Jednego z nich widziano z Barkinem – odparła enigmatycznie. – A i maskowanie mają nie najlepsze, sprzedają artykuły pasmanteryjne.

– Przecież czasem odwiedzają was tacy handlarze.

Mimo rozwiniętego podobno komunizmu w kraju kwitła prywatna inicjatywa, tyle że część asortymentu sprzedawano spod lady wtajemniczonym, a domokrażcy starali się o papiery przedstawiające ich jako wysłanników kołchozów lub spółdzielni produkcyjnych.

– Owszem, ale nie poniżej ceny – wyjaśniła cierpko.

– Ilu ich jest?

– Pięciu. Mają ciężarówkę.

– Pewnie są uzbrojeni po zęby – stwierdziłem w zamyśleniu. – Zrobią rekonesans, a w razie czego zwieją. Trzeba powiadomić ludzi Timy, żeby się im pokazali. I niech Sawicka sprawdzi ich dokumenty.

– Nie nabiorą podejrzeń?

– Nabraliby, gdyby ich nie skontrolowała. Obcy w małej miejscowości zawsze budzą zainteresowanie. Założę się, że są przygotowani na taką ewentualność. Dzwoncie!

Babka Kira wyszła do kuchni, po chwili usłyszałem szmer rozmowy.

– Wezwałam ich tutaj – poinformowała, wróciwszy. – Tima gdzieś wyjechał, ale kazał ludziom, żeby wykonywali twoje rozkazy, kiedy go nie będzie. Sawicka też tu jedzie. Zjesz coś?

– Jedzie?

– Pietka ją podwiezie – odparła niecierpliwie. – Pewnie będziesz chciał rzucić okiem na tych bandziorów, a lepiej, żebyś

nie łąził na piechotę po mrozie. No i nie wypuszczę cię, dopóki czegoś nie zjesz. Rosół czy gulasz?

– Rosół – zdecydowałem bez entuzjazmu.

Z jakiegoś powodu nie miałem apetytu, a smakowita przecież zupa – babka Kira znakomicie gotowała – nie mogła przejść mi przez gardło. Przełknąłem kilka łyżek pod surowym spojrzeniem staruszki, po czym zdecydowanie odsunąłem talerz.

– Może później – wymamrotałem przepraszająco.

Kira Folle wyduła gniewnie usta, stukanie do drzwi uratowało mnie od reprimendy.

– Jeszcze o tym porozmawiamy! – obiecała złowrogo.

Ludzie Tima ustawili się w karnym szeregu, siedmiu młodzieńców i jedna dziewczyna. Wszyscy w wieku dwudziestu paru lat, znaczy kursanci albo świeżo po kursie. Dowodziła panienska. W sumie nic dziwnego, praca w wojskowym wywiadzie to ciężka robota, kobieta, która decyduje się na coś takiego, musi udowodnić, że jest lepsza od innych.

– Spocznij! – zezwoliłem.

Dziewczyna i jeden z chłopaków usiedli za stołem, reszta otoczyła nas luźnym kręgiem.

– Rozumiem, że Tima przekazał mi dowodzenie? – upewniłem się.

– Tak jest! – potwierdziła dziewczyna.

– Jak masz na imię?

– Aurora – odpowiedziała z uśmiechem.

Choć w naszym kraju zdarzały się dziwniejsze imiona, figlarny błysk w oku dowódczyni sugerował, że to pseudonim operacyjny. Niech i tak będzie.

– A ty? – zwróciłem się do chłopaka.

– Wład.

– Podzielimy się na dwie grupy – powiedziałem. – Ja i Aurora będziemy ubezpieczali z bliska miejscową milicjantkę, która sprawdzi dokumenty tych urków, a Wład osłoni nas w razie

konfrontacji, wyznaczy snajperów, sektory ognia i tak dalej. Wszystko jasne?

– Tima mówił, że będziecie udawać szefa bandy – odezwała się Aurora.

– Owszem.

– A ja?

– Jeszcze się nie domyśliłaś? Będiesz moją *maruchą*.

Wyraźnie rozbawiona dziewczyna błysnęła białymi zębami, chłopcy wybuchnęli śmiechem. Choć nie wszyscy, mina Włada świadczyła, że pomysł niespecjalnie mu się podoba. Cóż, nie zawsze dostajemy to, czego chcemy...



Rozpiąłem futro tak, że pod spodem widać było marynarkę założoną na koszulkę w paski, szerokie spodnie wpuściłem w buty z cholewami, nasunąłem kaszkiet na bakier. W Moskwie milicja zatrzymałaby mnie za sam wygląd, na szczęście byłem w Listwiance. Także moja towarzyszka całkiem udatnie upodobniła się do kochanki szefa: kosztowny półkożuszek, tandetna sukienka w kwiatki, do tego walonki i czapka z soboli. Jednym słowem, ostatni krzyk *blatnej* mody.

– Wszystko w porządku – zapewniła mnie Aurora.

Wyszliśmy z za rogu, od razu zauważyłem zbiegowisko, ale ostentacyjnie udawałem zajętego rozmową.

– Na godzinie trzeciej – powiedziała dziewczyna.

Mruknąłem potakująco: ludzie Barkina ustawili na ulicy trzy kulawe stoliki zagracone wszelkiego rodzaju pasmanteryjnym chłamem. Dwóch sprzedawało, jeden palił papierosa, obserwując nas spod nasuniętej na oczy czapki, pozostałych nie było widać, pewnie siedzieli na pace ciężarówki.

– W plandece są wycięcia – kontynuowała Aurora. – Na pewno

nas obserwują. I trzymają na muszce – dodała.

– Widzę – zapewniłem.

– Wołałam się upewnić – powiedziała z udanym zakłopotaniem. – Wiecie, w waszym wieku...

Trzepnąłem ją w tyłek, to też pasowało do wizerunku urki, bo *błatni* uważali kobiety za stworzenia niższe i traktowali wyłącznie instrumentalnie. Dziewczyna pisnęła zaskoczona i szturchnęła mnie łokciem.

– Wiedzieliście, że *błatny* może stracić swój status, jeśli wyjdzie na jaw, że pocałował kobietę poniżej pępka? – spytała, zerkając spod opuszczonych rzęs.

Roześmiałem się mimo woli, a to kokietka!

– Powiedziałam coś zabawnego?

– Poniekąd. Zawsze mnie bawi głębokie przekonanie dzieciaków, że to właśnie one wynalazły seks. Wiesz, ludzie robili to, kiedy byłaś jeszcze w kołysce, a nawet przed twoim narodzeniem. Chciałaś, żebym się zaczerwienił?

– To prawda, że kochały się w was jakieś hrabianki czy księżne? – odbiła pytanie.

– Nieprawda – uciąłem zdecydowanie.

Tymczasem do ciężarówki podeszła Sawicka, przystanęliśmy z Aurorą, zachowując dystans kilkunastu metrów, żeby nie budzić podejrzliwości bandytów.

– Odległość w sam raz dla pistoletu – szepnęła dziewczyna.

Nie odpowiedziałem, dłonie trzymałem w kieszeniach, szykując się do strzelania z obu rąk, po macedońsku.

– Ten w kufajce pokazuje jej jakieś dokumenty.

– Mówiłem, że się przygotowali.

Tak jak się umówiliśmy, po skontrolowaniu *błatnych* Sawicka skierowała się w naszą stronę i zatrzymała w pół drogi, dobrze udając zaskoczenie. Wykonałem wymowny gest, znaczący tyle co „wynocha”, i milicjantka zawróciła, nie ukrywając złości. Jeszcze jeden sygnał dla *błatnych*, że w Listwiance pojawiła się nowa

władza.

– Wracamy – powiedziałem. – Jeśli nas nie zauważyli, to znaczy, że są ślepi, nie ma sensu przesadzać.

– Myślicie, że wypadliśmy wiarygodnie?

– Mam nadzieję, przekonamy się za kilka dni.

– Kim jest Pokrowska? – spytała niespodziewanie. – Bo momentami sprawia wrażenie żony oficera, choć widać, że była w łagrze.

Zastanowiłem się nad odpowiedzią, nie miałem zamiaru przedstawiać dziewczynie życiorysu Nataszy, z drugiej strony musieliśmy współpracować jeszcze przez jakiś czas, a byłem pewien, że Tima nie zabrał ze sobą byle kogo.

– Była żoną oficera – przyznałem. – On wstąpił do Hiwi, więc wylądowała na Kołymie.

– Co was z nią łączy? Widziałam, jak na was patrzy.

– Nic – rzuciłem sucho. – Ale lepiej pilnuj swoich kolegów. Bo jeśli któryś z nich zapomni, że jest dżentelmenem, odpowie za to przede mną.

– Oni ją lubią – zapewniła.

– Świetnie – stwierdziłem bez zainteresowania.

– Co teraz będzie? Myślicie, że ludzie Barkina zostaną tu do jutra?

– Wątpię, pewnie już dawno dowiedzieli się wszystkiego, wyobrażasz sobie, jak te baby plotkują przy kupowaniu wstążek czy innych koronek? A *błatni* potrafią rozwiązywać języki na różne sposoby, nie tylko za pomocą rozgrzanego pogrzebacza. Pewnie postoją jeszcze godzinę albo dwie i wrócą do Irkucka.

– I wtedy wyślemy do miasta Nataszę?

– Owszem, za dzień lub dwa. Nie ma co się spieszyć.

– A jeżeli zaatakują wcześniej?

– Nie zaatakują. Przede wszystkim będą chcieli ustalić, czy nie mamy za sobą jakiegoś *wora w zakonie*. Wtedy nasz konflikt rozwiązałyby złodziejska *schodka*.

– A jeśli oni nie przestrzegają *poniatij*?

– Całkiem możliwe – przytaknąłem. – Ale nie wdadzą się z marszu w konfrontację z grupą, która może mieć poparcie bandyckich hersztów. Nawet jeśli sami są poza systemem, najpierw oszacują ryzyko. Kopalnia złota to nie paczka banknotów, którą można włożyć do kieszeni i uciec. Jeśli udałoby im się ją przejąć, zostaną tu na lata.

Aurora skłoniła głowę, przyznając mi rację.

– Dobra, kończymy akcję – zdecydowałem. – Odeślij ludzi, ale niech któryś pilnuje tych urków.

– Odprowadzę was – zaproponowała.

Na pierwszy rzut oka banalnie ładna buzia Aurory nie przykuwała męskiej uwagi, ale gibka sylwetka i otaczająca dziewczynę aura witalności czyniły ją interesującą. Tyle że nie dla mnie. Nie teraz.

– Dam sobie radę – uciąłem szorstko.

– *Komandir* – powiedziała, biorąc mnie pod rękę – nie jestem wami zainteresowana w sensie romantycznym. Jesteście dla mnie trochę za starzy – dodała złośliwie. – Chodzi raczej o kolejność dziobania.

– A konkretnie?

– Tima zrobił mnie dowódcą drużyny – wyjaśniła, patrząc mi prosto w oczy. – Niestety, fakt, że rządzi kobieta, powoduje dodatkowe napięcia. Wiecie, jak to jest.

– Nie za bardzo – mruknąłem z przekąsem. – Kiedy ostatni raz sprawdzałem, byłem mężczyzną.

Aurora westchnęła cierpiętniczo, ale nie podjęła żartu.

– W czasie akcji każdy z nich oddałby za mnie życie – wróciła do tematu. – Jednak później sytuacja zmienia się radykalnie i jak w stadzie wilków, od czasu do czasu ktoś rzuca wyzwanie przywódcy. Kilkakrotnie przeżyłam już coś takiego, Niestety, nie obyło się bez strat. Ostatni pretendent wylądował w szpitalu na dwa miesiące. Wolałabym w przyszłości tego uniknąć.

– No dobrze, a co mi do tego?

– Jesteście żywą legendą *wojennej rozwiadki* – odparła cierpliwie. – I wszyscy wiedzą, że nie prowadzicie bujnego życia towarzyskiego. Jeżeli pozwolicie mi sobie towarzyszyć, urosnę w oczach chłopaków i być może nie będę musiała posuwać się do ostateczności, bo zamiast robić mi koło pióra, zaczną się zastanawiać, co we mnie zobaczyliście.

– A co, jeśli pomyślą, że posłużyłaś mi w charakterze grzałki?

– Nic. – Wzruszyła ramionami. – A bo to pierwszy raz? Do tego też nas szkolą.

Mimo ostentacyjnie okazywanej nonszalancji w głosie Aurory pojawiła się jakaś zgrzytliwa nuta.

– Co masz na myśli?

– Opowiem w domu – obiecała. – Nie powinniście zbyt długo przebywać na mrozie – dodała chytrze.

– No dobrze. – Uśmiechnąłem się. – Wygrałaś, wracajmy do domu.

Aurora włożyła dwa palce w usta i gwizdnęła przeraźliwie, przywołując czekającego nieopodal Pietkę. Jeśli *blatni* nadal nas obserwowali, jej zachowanie utwierdziło ich w przekonaniu, że jesteśmy tymi, za których się podajemy. Zuch dziewczyna!



Uniosłem ręce na wysokość barków i opuściłem swobodnie, po chwili powtórzyłem ruch. I jeszcze raz.

– Co to za ćwiczenie? – spytała z ciekawością Aurora.

– Później ci powiem, a teraz czekam na twoje wyjaśnienia.

– Niewiele tu do wyjaśniania, to część treningu – odparła. – Kursant wsiada do tramwaju razem z instruktorem i ten wybiera spośród pasażerów obiekt, który trzeba rozpracować przez łóżko. Mężczyznę dla kobiety, kobietę dla mężczyzny. To może być

ktokolwiek: młody, stary, zamożny albo obszarpaniec.

– Znaczy trzeba się z obiektem przespać?

– Nie tylko. Kursant musi wyciągnąć z niego jakąś kompromitującą informację, instruktor sprawdza, czy sekret jest autentyczny, jeśli nie, nie zalicza ćwiczenia.

– Rozumiem, że ty zaliczyłaś?

– Zaliczyłam. Jak i każdy z chłopaków. Dlatego nie ma wśród nas nikogo nadmiernie przywiązanego do swojej cnoty. I nikt nie będzie mi robił wyrzutów, gdybyście chcieli, no, wiecie... – Wykonała nieokreślony gest.

– Nie martw się, nie będę chciał.

– Dlaczego myślicie, że miałabym coś przeciwko? Wyglądam na słabą? Zapewniam was, że rozpracowywałam już gorsze... obiekty.

Z trudem opanowałam rozbawienie. Dla dzieciaków w wieku Aurory każdy, kto przekroczył czterdziestkę, musiał uchodzić za starca. Niespecjalnie atrakcyjnego starca.

– Chcesz rady?

– Oczywiście!

– Nie staraj się być we wszystkim najlepsza i nie bój się okazywać słabości.

– Bo?

– Nikt nie lubi ludzi doskonałych. A podwładni w szczególności. W pewnych dziedzinach musisz być lepsza, ale niekoniecznie we wszystkich. Niech chłopcy wiedzą, że nie lubisz gzić się w łóżku ze śmierdzącymi prostytutkami, w niczym ci to nie zaszkodzi, a wręcz przeciwnie, pomoże. Program szkoleniowy ułożono nie po to, żeby zrobić z ciebie kurwę doskonałą, a jedynie przekonać się, czy potrafisz kontrolować naturalny w takiej sytuacji strach, obrzydzenie, zachować zimną krew. Nie mniej, ale i nie więcej. Nie musisz tego lubić ani nawet traktować obojętnie. Dowództwo chce wiedzieć, czy może na ciebie liczyć w sytuacjach ekstremalnych, to wszystko. Teraz już wie, więc po



co udawać?

– Jesteście pewni?

– Całkowicie. Podejrzewam, że osoby wyrażające nadmierny entuzjazm do tego typu zadań są dyskretnie obserwowane. Podstawową cechą kurwy jest brak lojalności, a *wojennaja razwiedka* czegoś takiego nie toleruje, z oczywistych względów. Więc uważaj, żeby nie przesadzić.

– Rozumiem. – Przygryzła z namysłem wargę. – I dziękuję.

Wykonałem kolejny półprzysiad, kontynuując wahadłowe ruchy rękoma.

– Powiecie mi teraz, co to za ćwiczenie?

– Mój osobisty szaman twierdzi, że może mi uratować życie – odrzekłem cierpko.

– Ten Chińczyk?

– Tak. Znasz go?

– Z widzenia. Ma chatę niedaleko stąd. Zamaskowaną. Chłopcy chcieli ją przeszukać, ale Tima kazał zostawić w spokoju.

– Mądra decyzja – mruknąłem.

– Dlaczego? To tylko nieszkodliwy zielarz. Czy może jednak nie? – dorzuciła po chwili milczenia.

– Trzymaj się od niego z daleka – poleciłem.

– Oczywiście! Przecież nie złamię rozkazu Timy. Naprawdę was otruto?

Skrzywiłem się niechętnie, nie miałem zamiaru dyskutować o stanie zdrowia z panienką, którą poznałem kilka godzin wcześniej, z drugiej strony fakt, że Tima powiedział Aurorze o mojej przypadłości, świadczył, że można jej ufać.

– Naprawdę. I dość o tym! – uprzedziłem kolejne pytanie.

– A to ćwiczenie... – zawiesiła wymownie głos.

– Ma leczyć wszelkie choroby, zwiększać poziom energii wewnętrznej oraz siłę i szybkość – poinformowałem z ironią.

– To prawda czy żartujecie sobie ze mnie?

– Powtarzam słowa szamana...

Aurora stanęła naprzeciwko mnie i zaczęła naśladować moje ruchy. Nie sprzeciwiałem się. Cóż, zawsze lepiej machać rękoma w towarzystwie, przynajmniej ten drugi nie weźmie nas za wariata...



Mężczyzna miał metr osiemdziesiąt wzrostu, bary i dłonie kowala, a grubo ciosana twarz pasowała do sylwetki, jednak w jego oczach można było dostrzec błysk inteligencji. Może nie był tytanem intelektu, ale na pewno nie głupkiem. Człowiek Barkina. Kuwałda. Młot. Za jego plecami stało dwóch urków, kilku innych czekało na zewnątrz, przy ciężarówce. Ja przyszedłem jedynie w towarzystwie Timy, reszta jego ekipy ubezpieczała nas z zewnątrz. Spotkaliśmy się w bufecie ośrodka turystycznego na skraju Listwianki. W sumie dobrze, jakby co, cywile nie będą plątać nam się pod nogami.

– Zabiliście naszego człowieka – powiedział Kuwałda. – Za coś takiego można i *priediawit'*.

Po kilku lekcjach grypsery, jakich udzieliła mi Natasza, wiedziałem, że chodzi o oskarżenie przed złodziejskim sądem.

– I kogo poprosicie o zebranie *schodki*? – spytałem kpiąco. – Kołymę? Weszliście na jego teren bez zezwolenia i zabiliście mu czterech ludzi. Wołodię Archangielskiego? I temu zepsuliście biznes. Kto wam jeszcze zostaje? Artiom Irkucki? Co prawda jemu nie zdążyliście jeszcze nasolić, ale to przyjaciel Kołymy...

Mięśnie na policzkach Kuwałdy zagrały jak potraktowane prądem, bandyta jednak zdołał się opanować.

– A wy? – rzucił zaczepnie. – Na kogo wy możecie liczyć?

– Damy sobie radę sami – odparłem spokojnie. – A może podrzucimy parę groszy na *obszczak*?

– Jeśli powiecie o kopalni któremuś z *worow w zakonie*, będzie

chciał ją kontrolować.

– Chcieć i móc to dwie różne rzeczy...

– A może załatwimy to między sobą? – rzucił znienacka. – Po co nam walka? Jakoś się dogadamy.

– Gdzie i kiedy?

– Jest taka wioska pod Irkuckiem, Piwowaricha. Po tej samej stronie Angary co Listwianka. Dalej, dwa kilometry na zachód, są ruiny karczmy, tam się spotkamy. Czas wybierz sam.

– Nie znam tego terenu.

– Jak chcesz, podeślemy ci babę, ona wie, gdzie to jest.

– Co za baba? Z waszych?

– Raczej z waszych – odparł ze złośliwym uśmiechem. – Kiedyś tu mieszkała, ma ciotkę w Listwiance. Niejaką babkę Kirę, kojarzysz?

– Coś mi się obilo o uszy – wycedziłem.

– To co? Wysłać ci Nataszkę?

– Wyślij – odburknąłem.

Ot i wdzięczność *blatnych*. Gdybym naprawdę był szefem konkurencyjnej bandy, rozpocząłbym rozmowę z Nataszą od łamania jej palców, i mój rozmówca świetnie o tym wiedział. Tyle że miał to gdzieś, a przecież dziewczyna dostarczyła im fotokopie dokumentów...

– To kiedy?

– Pojutrze?

– Stoi.

Kuwałda wstał od stołu i skinieniem dłoni przywołał swoich ochroniarzy, niedługo po tym, jak wyszli, usłyszałem warkot silnika. Jeden problem z głowy.

Dopiero teraz Tima usiadł za stołem, w chwilę później dołączyła do nas Aurora.

– Jak myślicie, odeślą nam Nataszę? – spytała z niepokojem. – Bo jeśli coś podejrzewają...

– Nie podejrzewają – uciałem. – A jeśli nawet, zemsta nie jest

dla nich ważniejsza niż kopalnia złota. Żeby ją przejąć, muszą zabić nas wszystkich. Gdyby zrobili coś Nataszy, stalibyśmy się dużo ostrożniejsi.

– Nie ma powodu do obaw – oświadczył pewnie Tima. – Przygotowaliśmy wam już kryjówkę – dodał, zwracając się do mnie. – Wszystko będzie dobrze.

Pokiwałem głową, starając się nie okazywać wątpliwości. Plan był dobrze przemyślany, jednak skrajnie niebezpieczny i byle drobiazg mógł spowodować, że coś nie wypali. Nie wątpiłem, że Kotuszew wykończy wszystkich urków, tylko możliwe, że w straty własne trzeba będzie wpisać niejakiego pułkownika Razumowskiego. To właśnie ja miałem być przynętą...



Wciągnąłem głęboko do płuc mroźne powietrze, wydech zmaterializował się w postaci mgiełki. Nic dziwnego, minus piętnaście. Jak na tę okolicę i porę roku, ciepły dzień. Kuwałda przesadził, mówiąc o ruinach. Po starej gospodzie został tylko kawałek pustego placu na środku otoczonej lasem polany, gdzie miałem spotkać się z Barkinem.

– Idą – powiedział spokojnie Tima.

Szli. Na oko ponad dwudziestu chłopów. Biorąc pod uwagę liczebność bandy, reszta pewnie zachodziła nas od tyłu. Cóż, było nie było, to zawodowcy, choć posunięcie niespecjalnie wymyślne. Pewnie Barkin uznał, że zebrałem grupkę małych niemających pojęcia o prawdziwej walce – wiek ludzi Timy usprawiedliwiał to przypuszczenie, więc nie ma co komplikować sprawy.

Ruszyłem naprzód. Sam. Kątem oka widziałem, jak Aurora szarpie za włosy Nataszę, grożąc jej pistoletem. Jeszcze jeden kawałek układanki: bandyci mieli widzieć, że traktujemy

dziewczynę jak zakładniczkę.

Kursanci pozostali za moimi plecami, ustawieni w luźną tyralierę. Spod płaszczy wystawały im lufy karabinów. *Błatni* nieśli broń otwarcie. Trzy mosiny, dwie myśliwskie strzelby, pepesza, kilka rewolwerów, luger, pistolet Mausera z doczepianą kolbą, pewnie chińskiej produkcji, wreszcie parę niezidentyfikowanych spluw. Niby wszyscy uzbrojeni, ale nie ta siła ognia, co u ludzi Timy, nasi byli zaopatrzeni w erkaemy Johnsona i mosiny z celownikiem optycznym.

Zerknąłem na omotaną wokół gałęzi rachitycznej sosny poszarpaną szmatę: słaby wiatr od wschodu, wskazówka dla snajperów Timy.

Przystanąłem tuż obok niewielkiego stosu cegieł, na jednej z nich ktoś namalował kredą znak podobny do gwiazdki śniegu. Siłą woli powstrzymałem się przed tupnięciem. Jeśli Tima źle wyliczył wytrzymałość konstrukcji, umrę tu i teraz. I nikt nie pomści Lizy...

Uczyniłem zachęcający gest. To, czy Barkin podejdzie, żeby zabić mnie osobiście, nie miało specjalnego znaczenia, ale musiałem grać swoją rolę. Podszedł. Najwyraźniej postanowił pokazać swoim ludziom, jaki jest twardy. Poczekąłem, aż znajdzie się na odległość wyciągniętej ręki, po czym nacisnąłem spust.

Korzystając z osłony, jaką dawało mi padające już ciało bandyty, podskoczyłem energicznie i opadłem poniżej poziomu gruntu, łamiąc pokryte śniegiem deski przykrywające starą piwnicę. W uderzenie serca później byłem już bezpieczny.

Sycząc z bólu – przy upadku nadwerżyłem kostkę – wyciągnąłem z kieszeni granat i cisnąłem w stronę, gdzie wcześniej znajdowała się największa grupa *błatnych*. Nie widziałem efektu, piwnica była zbyt głęboka, jednak kilka następujących po sobie eksplozji świadczyło, że ekipa kapitana Kotuszewa nie próżnuje. Po chwili ujadanie erkaemów

zagłuszyło wszelkie inne odgłosy.

Strzelanina trwała zaledwie kilka minut, tyle tylko potrzeba było ludziom Tima, żeby zlikwidować wszystkich urków. No a przynajmniej wszystkich w zasięgu wzroku, bo tętent koni sugerował, że ktoś wymknął się z zasadzki. Cóż, bywa, las to specyficzne pole bitwy, ale nic straconego, po prostu kursanci będą mieli dodatkowy trening.

– *Komandir?* – odezwała się Aurora. – *Żyjecie?*

Dziewczyna zajrzała do piwnicy, ocierając krew z policzka.

– *W porządku* – mruknąłem. – *A co z tobą?*

– *Rykoszet.* – Machnęła niecierpliwie ręką. – *Drzazga wbiła mi się w ucho. Dacie radę sami wyjść?*

– *Nie żartuj. Nie w mojej kondycji.*

Zza pleców Aurory wychynął Wład, bez słowa rzucił mi linę, obwiązałem się pod pachami, skinąłem. Chłopak podciągnął mnie bez specjalnego wysiłku, Aurora podała rękę i pomogła stanąć na nogi.

– *Jak wygląda sytuacja?* – spytałem.

Zanim którekolwiek z nich zdążyło odpowiedzieć, podszedł do mnie Tima i lekkim, niemal niedostrzegalnym ruchem podbródka odprawił swoich ludzi.

– *Dołączcie do pościgu* – polecił im krótko. – *Zabiliśmy wszystkich oprócz Kuwałdy, gość w ostatniej chwili prysnął w las* – zameldował, zwracając się do mnie. – *Daleko nie ucieknie, snajper ranił go w udo i bark. Ścigają go już moje dzieciaki.*

– *Dziękuję* – powiedziałem. – *Jutro dam wam złoto.*

Ku mojemu zdumieniu Tima przecząco pokręcił głową.

– *Nie mówiłem im, o co chodzi, i lepiej, żeby tak pozostało. Może jedna Aurora czegoś się domyśla, reszta uważa, że to normalny trening. Czasem pomagamy w pacyfikacji co bardziej niebezpiecznych band* – wyjaśnił. – *Sami wiecie, że pewne sprawy najlepiej przetestować w praktyce.*

– *No dobrze* – westchnąłem. – *W takim razie ty weź to złoto.*

Stwórz fundusz wojenny dla rannych i zabitych.

– Dacie mi te sztabki ot tak? Zamiast skorzystać z okazji i je zatrzymać?

Niedowierzenie w głosie Tima sprawiło, że oniemiałem z wściekłości i trzasnąłem go w twarz. Nie bronił się przed ciosem, ospałym ruchem dotknął rozciętej wargi.

– Przepraszam, *komandir* – powiedział miękko. – Ostatnio dziwnie się czuję.

– Jesteś chory? – rzuciłem z niepokojem.

– Nie, chyba nie. Po prostu coś mi się zmienia, tu. – Stuknął się w głowę. – Czasem zachowuję się jak dureń.

Zamyśliłem się, Tima miał tak już wcześniej, po kontuzji, jakiej uległ. Miałem wrażenie, że ten stan tylko mu się pogłębił. Przystawał rozumieć emocje i działał jak maszyna: sto procent logiki, zero uczuć.

– I coś poza tym, że zachowujesz się jak dureń? – drążyłem.

– Zacząłem czytać książki, ale wyłącznie naukowe, beletrystyka mnie drażni.

– I rozumiesz, co czytasz? – upewniłem się.

Nawet w kilka lat po postrzale Tima intelektualnie odstawał od otoczenia. Bynajmniej nie na plus...

– Rozumiem. Sam się temu dziwię. Ostatnio wygrałem w szachy z Josifem Topolewem.

– A to kto?

– Ma tytuł mistrza międzynarodowego.

– Gratuluję – powiedziałem niepewnie.

– Czasem chciałbym, żeby było jak dawniej, ale... – Rozłożył bezradnie ręce. – Chyba nie potrafię już inaczej.

Wyszliśmy na drogę, samochodu pilnowało dwóch ludzi Kotuszewa. Jeden z nich miał ramię na temblaku, choć nie wyglądał na ciężko rannego.

– Jakie straty? – spytałem.

– W zasadzie bez strat – odparł chłopak obojętnie. – Postrzał

w łydkę, w biodro, parę draśnień, jeden stracił palec, to wszystko.  
– Wzruszył ramionami. – Zaskoczyliśmy ich.

Tima otworzył przede mną drzwi, usiadł za kierownicą.

– Odwiozę was – powiedział. – A to akta tego *gebesznika*. –  
Podał mi tekturową teczkę.

Zerknąłem na zdjęcie. Tak jak mówiła Ada, irkucki Romeo nie był zbyt przystojny, do tego w jego fizjonomii było coś odpychającego. Arogancja ożeniona z pychą, a to wszystko podszyte prymitywnym cwaniactwem. Gdzie ta dziewczucha miała oczy?

– Mam to załatwić? – spytał.

– Nie, ja sam. To nic pilnego. Zajmij się jeszcze tym jubilerem z Irkucka i możesz wracać.

Tima skinął głową, ale nie wyglądało na to, żeby moja odpowiedź go usatysfakcjonowała.

– Coś jeszcze?

– Nie, wszystko jasne – zapewnił bez przekonania.

Czekałem w milczeniu, ciszę przerywał tylko szum motoru.

– To sprawa osobista – odezwał się wreszcie. – Byłem niedawno w domu u rodziców. Przez kilka dni było dobrze, tak mi się wydaje, bo długo ich nie widziałem. Później...

– Tak?

– Widziałem, jak matka płacze, a ojciec siedzi z takim wyrazem twarzy, jakby... – nie dokończył, zacisnął dłonie na kierownicy, aż pobielały mu palce.

Najwyraźniej coś jeszcze pozostało z dawnego Timy. Nie żeby wiele...

– Kiedyś zauważyłem, jak pisze coś na kartce, potem ją zmiął i wyrzucił.

– Co to było? – spytałem drewnianym głosem.

Kotuszew sięgnął do kieszeni i podał mi pognieciony świstek papieru. Rozprostowałem go ostrożnie.



*Pochłonął cię mrok,  
zagubiony błądzisz  
w ciemnym lesie  
bez wyjścia.  
Została po tobie  
tylko kartka  
z rysunkiem słonia.  
I napis:  
dla mamusi  
i tatusia.  
Pamiątka z czasów,  
kiedy jeszcze wiedziałeś,  
co znaczy kochać.*

- Oni cierpią, prawda?  
Niechętnie skłoniłem głowę w geście potwierdzenia.
  - To moja wina. Gdybym ci nie podał swojej krwi wtedy w szpitalu...
  - Wtedy byłbym martwy albo w psychuzce – przerwał mi stanowczo. – A tak kto wie co jeszcze przyniesie przyszłość? Może coś się zmieni na lepsze?
  - Oby – westchnąłem.
- Dojechaliśmy do Listwianki w milczeniu.



Skończyłem ćwiczenia, na stole czekał już kubek imbirowej herbaty. Odkąd Sun zasugerował, że picie tego świństwa przyspieszy wzrost mojego *qi* (cokolwiek to znaczyło), babka Kira z żelazną konsekwencją podawała mi napar trzy razy dziennie i pilnowała, czy wszystko wypijam.

- Już! – mruknąłem, odstawiając opróżnione naczynie.

– Co teraz? – spytała Kira Folle.

– A co ma być? Pojadę na posterunek, muszę pogadać z Sawicką.

– Ja o kopalni.

– Możecie wznowić wydobywanie. Gdy wyzdrowieję i wrócę do Moskwy, załatwię wam zbyt, jednak musicie pilnować czystości kruszcu.

– To żaden kłopot – zapewniła staruszka. – Mamy wszystko, co trzeba, żeby uzyskać złoto o próbie dziewięćdziesięciu czterech złotych.

– Ile to będzie w przeliczeniu na tysiączne?

– Dziewięćset siedemdziesiąt dziewięć.

– Może być.

– O czym chcesz rozmawiać z Adą?

– A jak myślicie? – odparłem zgryźliwie. – Jeszcze trochę i Sun straci cierpliwość, trzeba wreszcie wyjaśnić, co stało się z jego wnuczką.

– Dasz radę? W końcu minęło już tyle czasu.

– Od zniknięcia tego... Wowy chyba nie aż tak wiele.

– O ile te sprawy są ze sobą związane.

– Są – zapewniłem. – To seryjny morderca, działa w okolicy od lat.

– Zwariowałaś! – wzdrygnęła się babka Kira. – Znam tu wszystkich, to niemożliwe!

Wzruszyłem ramionami, nie było sensu przekonywać miejscowych, że za porwaniem dzieci stoi jeden z nich – znajomy, sąsiad, a może nawet krewny. W takich sytuacjach ludzie zawsze wierzą, że to ktoś z zewnątrz, obcy.

– Zobaczymy, co wykaże śledztwo – powiedziałem wymijająco.

– Zadzwońcie po Pietkę.

Chłopak co prawda nie miał w domu telefonu, bo gdzie robotnikowi tartaczemu do takich luksusów, jednak mieszkający nieopodal geolog pozwalał mu korzystać ze swojego

aparatu.

– Pietka będzie za dziesięć minut – oznajmiła babka Kira. – Nie mogę uwierzyć, że to już koniec. – Pokręciła głową. – Że nikt już nie zginie z powodu tego złota.

Roześmiałem się bezradośnie. Nie zginie? Akurat! Prędzej czy później tajemnica kopalni wyjdzie na jaw, a wtedy niejednego skusi cenny kruszec. Tyle że amatorzy cudzej własności tym razem nie napotkają na swojej drodze babki Kiry i gromady wiejskich osiłków, ale pewnego pułkownika *wojennej rozwiadki*...

– To się jeszcze okaże – mruknąłem.

– Aresztowaliście wszystkich? – spytała. – Nie chciałabym, żeby ktoś nas znowu nękał, jak tylko wyjedziesz.

– Nikt was nie będzie nękał – obiecałem.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie – zripostowała, mrużąc oczy.

Przez chwilę rysy jej twarzy przypominały profil drapieżnego ptaka.

– Kiro Andriejewna, wierzcie, że więzienie by ich nie zatrzymało, a przynajmniej nie na długo. Jeśli ktoś ma pieniądze, a oni mają, dogada się z każdym sędzią. Wyjątkiem są tylko sprawy polityczne. A gdyby któryś wspomniał o kopalni w trakcie przesłuchania, mielibyście na karku nie paru *blatnych*, tylko bezpiekę.

– Więc wy ich wszystkich...

Przytaknąłem.

Wbrew moim oczekiwaniom Kira Folle tylko skinęła z rezygnacją głową. Żadnej hysterii, wymówek czy choćby płaczu. Zastanawiające...

– Jeszcze jeden grzech na duszy – wymruczała.

– A macie takich więcej? – podchwyciłem.

Kobieta nie odpowiedziała, podeszła do okna i zapatrzyła się w siebie tylko wiadomą dal.

– Twoja karoca przyjechała – poinformowała roztargnionym tonem. – Zbieraj się.

Energiczne tupanie w sieni potwierdziło słowa mojej gospodyni, sięgnąłem więc po palto.

Pietka wpadł do pokoju jak bomba i przywitawszy się w biegu z babką Kirą, chwycił mnie w objęcia. Odruchowo złapałem go za ramię, żeby złamać rękę w łokciu, ale opanowawszy odruch, poklepałem młodzieńca po plecach.

– Co się stało? – spytałem.

– Mama czuje się lepiej! – wykrzyknął. – Już nie pluje krwią, ci lekarze z Moskwy mówią, że wyzdrowieje! Wczoraj przespala spokojnie całą noc, ani razu nie zakaszłała!

– Świetnie – wymamrotałem. – A teraz chodź, musimy zajechać na posterunek – powiedziałem skrępowany wylewnością chłopaka.

– Co tylko zechcesz, wujku!

Maleńkie, twarde niczym pokruszony lód drobinki śniegu siekły w twarz, postawiłem kołnierz i naciągnąłem czapkę głęboko na oczy, puszczając mimo uszu radosną paplaninę Pietki. Mimo tego, co powiedziałem babce Kirze, wcale nie byłem pewien sukcesu. Fakt, że mordercy tyle lat udawało się pozostać niezauważonym, świadczył, że nie brakuje mu zimnej krwi ani doświadczenia. A ja nie mogłem siedzieć tu wiecznie; jeśli dochodzenie potrwa dłużej niż dwa, góra trzy tygodnie, będę miał problemy nie tylko ze strony Suna. Musiałem jak najszybciej dowiedzieć się, dlaczego zginęła Liza. I nie chodziło tylko o zemstę, najwyraźniej Abakumow coś planował, a osoba pułkownika Razumowskiego przeszkadzała mu w realizacji tych planów. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że ludzie, którzy kiedykolwiek weszli w drogę szefowi bezpieczeństwa, albo śpią snem wiecznym, albo wycinają tajgę przy akompaniamencie strzałów, wrzasków ochrony i ujadania psów wartowniczych. Nie miałem ochoty ani na jedno, ani na drugie.



Ada Sawicka ułożyła na biurku akta w ośmiu stosach, każdy z nich miał około metra wysokości. Inne zajmowały pół podłogi.

– To dokumenty dotyczące zniknięcia dzieci – powiedziała, ocierając czoło.

Na twarzy została jej szara smuga kurzu, najwyraźniej do tej pory nikt nie był zainteresowany grzebaniem w starych papierach.

– Co zrobimy? – spytała. – Bo zanim to wszystko przeczytamy, minie parę miesięcy. A dokładna analiza zajmie przynajmniej rok. Wiecie, poza pierwszym przypadkiem zaginięcia wszystko robiono bardzo porządnie, przyjeżdżali ludzie z rejonu i w ogóle. Mamy zdjęcia, mapki sytuacyjne, rysunki, zeznania świadków, opisy działań operacyjnych, protokoły z przesłuchań podejrzanych liczą dziesięć tomów.

– Wytypowano podejrzanych?

– A jakże! Tylko że nic z tego nie wyszło. Co prawda jeden wylądował w łagrze, ale z zupełnie innego powodu.

– Tak?

– Artykuł sto sześćdziesiąty drugi, paragraf czwarty.

– Kradzież mienia państwowego z magazynów, wagonów i statków?

Sawicka potwierdziła nieartykułowanym pomrukiem.

– No dobrze, a co z naszym problemem? Nie znaleźli żadnego mordercy czy choćby pedofila?

– Nic z tych rzeczy.

Jeszcze raz spojrziałem na dokumenty. Ze dwa metry sześcienne jak nic.

– Zrobimy inaczej – zdecydowałem. – Zamiast szukać winnych, weźmiemy się za eliminację niewinnych. I zobaczymy, kto nam zostanie.

– Jak to sobie wyobrażacie?

– To proste. – Wzruszyłem ramionami. – Stworzymy klucz.

– Jaki, do licha, klucz?!

– Ustalimy, jakimi cechami musiał charakteryzować się przestępca, i będziemy odsiewać wszystkich, którzy ich nie posiadają – odpowiedziałem cierpliwie.

– Aha. To ma sens – przyznała dziewczyna. – Napijecie się herbaty?

Spojrzałem wymownie na zawałone dokumentami biurko.

– Zaraz to sprzątnę, siadajcie – zaprosiła.

Do herbaty znalazły się dwa rodzaje ciasta i konfitury.

– Skąd te luksusy? – spytałem, kosztując aromatycznego napoju.

– Wypieki moje, reszta od babki Kiry.

Milicjantka popatrzyła na mnie jak szczeniaczek dopraszający się pochwały, ale z rozmysłem nie skomplementowałem całkiem smacznego placka. Jeszcze czego! Jak tak dalej pójdzie, pannica zacznie mnie witać na sposób Pietki: rzucając się na szyję. A wszystko z powodu bredni, jakich nagadał jej Poliakov. Już ja się z nim rozmówię po powrocie do Moskwy...

– Do rzeczy! – rzuciłem niecierpliwie. – Czytałaś te akta?

– Tak, zaraz gdy objęłam posterunek.

– Dobrze, w takim razie zaczynaj.

– Cóż, na pewno jest sprawny fizycznie – powiedziała niepewnie. – W dwóch przypadkach tropiący go myśliwi stwierdzili, że niósł porwane dziecko.

– Kogo?

– Walę Iwanową i Olega Stiepnina.

– Daj mi wszystko, co mamy na temat tych dzieciaków – zażądałem.

Dziewczyna bez słowa wręczyła mi dwie cienkie teczki.

– Niedużo tego, ale chyba wystarczy – mruknąłem, zapoznawszy się z aktami. – Wala była chudziną, ważyła ledwo

dwadzieścia sześć kilogramów, ale Oleg już czterdzieści siedem, a to oznacza, że możemy wykluczyć z naszego spisu kobiety. No a przynajmniej większość kobiet.

– Byliście kiedyś w sklepie, *komandir*? – spytała nagle.

– Nie, a jakie ma to znaczenie? Może najpierw skończymy nasz spis?

– Tam jest taka ekspedientka, Lena Azarowa, ma prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i posturę zapaśnika. W zeszłym roku Jasza Fokin zrobił jej awanturę, bo zabrakło mu pieniędzy na wódkę, a Lenka nie chciała sprzedawać na kredyt.

– I? – ponagliłem.

– Złapała go za kołnierz, podniosła i wyrzuciła na ulicę. Jedną ręką. Prawda, że Fokin to chuderlak, ale nie wykluczałabym Leny z naszego spisu.

– Słusznie – przytaknałem. – Zajmiemy się nią w pierwszej kolejności. Co jeszcze?

– Zimna krew? – poddała dziewczyna.

– To także. I inteligencja. Nie mówię, że to jakiś geniusz zbrodni – zastrzegłem – ale osoba niegłupia. O ile dobrze pamiętam, potrafił zmylić psy tropiące?

– Tak. Użył nafty.

– Nic skomplikowanego – skomentowałem. – Zawodowiec znałby lepsze sztuczki, z drugiej strony pewnie przewidywał, że będzie go ścigać co najwyżej lokalna milicja. No i potrafi poruszać się po lesie.

– Tak, wykorzystał strumienie i skały, żeby zgubić trop.

– Czyli raczej polował. Może nie zawodowo, ale z pewnością nie jest nowicjuszem.

– To dotyczy połowy tutejszych mężczyzn – oświadczyła kwaśno Ada. – Wielu poluje albo łowi ryby.

– Spokojnie, jeszcze zawężymy krąg podejrzanych.

– Ciekawe jak?! – parsknęła. – Na razie szukamy sprawnego fizycznie mężczyzny potrafiącego poruszać się w lesie. Też mi

klucz!

Uśmiechnąłem się rozbawiony. Dziewucha odziedziczyła temperament po ojcu, Poliakov także był w gorącej wodzie kąpany, choć potrafił pohamować niecierpliwość.

– Znajdź mi fotografię jego śladów – poleciłem.

Milicjantka zakłęła pod nosem i po kwadransie przerzucania dokumentów podała mi kilka zdjęć.

– Buty równomiernie zagłębiały się w ziemię, więc możemy założyć, że to prawdziwy rozmiar stóp porywacza – orzekłem po krótkich oględzinach. – Zresztą tylko skończony idiota założyłby za duże lub zbyt małe buty do takiej roboty. Nie mógł przecież przewidzieć, czy nie przyjdzie mu uciekać.

– I co z tego?

– Na podstawie wielkości stóp można z grubsza określić wzrost. To nie jest precyzyjny sposób, bywa, że ktoś niski ma duże stopy, ale na razie nie mamy niczego więcej. To spory rozmiar, więc myślę, że nasz morderca ma około metra osiemdziesiąt. Powiedzmy, od metr siedemdziesiąt pięć do metr osiemdziesiąt pięć.

– To wyklucza Lenę, ona jest wyższa.

– Niekoniecznie. Kobiety mają nieco drobniejsze stopy. Może mieć metr dziewięćdziesiąt i rozmiar stopy jak niższy mężczyzna.

– Czyli zostawiamy ją w naszym spisie?

– Zostawiamy.

– Coś jeszcze?

– Tak, czas. Szukamy kogoś, kto był na miejscu, w czasie kiedy popełniono te wszystkie przestępstwa.

– Mógł sobie zapewnić fałszywe alibi – zauważyła Sawicka. – Jeśli śledczy popełnili jakiś błąd dziesięć lat temu, nie wykryjemy go teraz, bo i jak?

– Wątpię, w tak niewielkiej miejscowości nie ma gdzie się ukryć, ktoś by go zauważył, bo nawet jeśli porwał dziecko



w jakimś ustronnym miejscu, najpierw musiał tam dojść. A większość dzieciaków zniknęła w drodze ze szkoły. Niemniej jednak weźmiemy to pod uwagę. Zrobisz osobną listę dla osób, które mają alibi na czas jednego porwania.

– Dlaczego tak?

– Nie ma mowy, żeby przestępca dwa razy oszukał milicję. Niemożliwe, nie w trakcie tak poważnego śledztwa. Przecież nasi musieli się zorientować, że mają do czynienia z serią.

– Co nie przeszkodziło im wmieść wszystkiego pod dywan.

– Owszem – przyznałem. – Ale dopiero kiedy dochodzenie utknęło w martwym punkcie. Teraz ta sprawa jest jak gorący kartofel, wszyscy boją się sparzyć.

– Nikt nam nie pomoże, prawda?

– Na pewno nie miejscowi – odparłem wymijająco.

– Więc kto?

– MUR. Lecz tylko w ostateczności i w ściśle określonych przypadkach, na przykład jeśli będzie potrzebna jakaś ekspertyza. Miejscowe władze nie byłyby zachwycone ingerencją stołecznej milicji w ich sprawy. Ty zajmiesz się sporządzaniem listy podejrzanych, ja przesłuchaniami. Nie mamy czasu na głupstwa! – upomniałem dziewczynę, widząc jej niezadowoloną minę. – Niedługo muszę wracać do Moskwy, jeśli do mojego wyjazdu nie rozwiążemy tej zagadki, zostaniesz sama z tym całym burde... bałaganem.

– Damy radę? – spytała cichutko.

– Musimy się postarać, nie mamy innego wyjścia.

– Chyba nie pośpię długo tej nocy – stwierdziła ponuro, patrząc na stosy dokumentów.

– Lepiej ty niż ja – zapewniłem z uśmiechem. – No, uszy do góry! Teraz wróć do siebie, muszę odprawić rytuały, jakie zalecił mi mój szaman, a ty wyślij swojego sierżanta po tę zapaśniczkę.

– Co za rytuały? – zainteresowała się, ignorując polecenie.

– Złożę w ofierze młodą dziewicę, powinniście mieć tu kilka, w końcu to prowincja...

Sawicka obrzuciła mnie zniesmaczonym spojrzeniem i ostentacyjnie sięgnęła po pierwszą z brzegu teczkę.

– Grzeczna dziewczynka! – pochwaliłem ją, wychodząc.

Kiedy wracałem, nadal padał śnieg, jednak zimno nie dokuczało mi już tak bardzo jak rankiem. Czyżby nadchodziła wiosna?



Lena Azarowa przewyższała mnie o pół głowy, jednak okazała się proporcjonalnie zbudowaną kobietą o zadziwiająco subtelnym rysach twarzy. Rzecz jasna, w niczym nie przypominała zapaśniczki, najwyraźniej panienska Sawicka dała upust zazdrości, bo ekspedientka mogła podobać się mężczyznom.

Mimo zapewnienia, że rozmawiam z nią nieoficjalnie, *sudarynia* Azarowa nie potrafiła ukryć niepokoju i siedząc na wąskim krzeselku naprzeciwko biurka Ady, nerwowo wyłamywała palce. Z dokumentów wynikało, że była na miejscu za każdym razem, kiedy zniknęło jakieś dziecko. I przy pierwszym porwaniu miała tylko osiemnaście lat. Teoretycznie mogła popełnić i tę zbrodnię, ale patrząc na nią, wątpiłem, czy potrafiłaby kogoś zabić. Oczywiście mogłem się mylić, nikt nie ma napisane na czole „morderca”, problem w tym, że nie miałem czasu na subtelności, trzeba było wyjaśnić sprawę tu i teraz.

– Stańcie pod ścianą – poleciłem.

Dziewczyna posłusznie wykonała rozkaz, w jej oczach pojawił się strach.

– A teraz zdejmijcie buty.

– Słucham?

– Zdejmijcie buty! – huknąłem.

Wziąłem ze stołu centymetr, zmierzyłem rozmiar buta i stopy Azarowej. Ledwo dwadzieścia siedem centymetrów. Sporo, jak na kobietę, ale nic dziwnego przy jej wzroście. I zdecydowanie mniej niż stopa mordercy – przy fotografiach śladów umieszczono miarkę. Szlag!

Zawahałem się na moment, po czym ostentacyjnym ruchem wyjąłem z kieszeni nóż sprężynowy i wdusiłem przycisk. Rozległ się złowrogi szcęk, błysnęło ostrze. Dziewczyna pisnęła z przerażenia, zasłoniła twarz rękoma jak małe dziecko. Test na agresję: agresja zero. Z zimną krwią też nie za bardzo. Ech, chuj by to strzelił!

– Przepraszam – powiedziałem ze skruchą.

Azarowa nie odpowiedziała, zobaczyłem tylko białka jej oczu i dziewczyna runęła niczym podcięte drzewo. Spróbowałem ją podtrzymać, ale nie wziąłem pod uwagę swojej obecnej kondycji i w rezultacie oboje znaleźliśmy się na podłodze. Zanim stanąłem na nogi, do gabinetu wpadła Sawicka z pistoletem w garści.

– Co tu się dzieje?! – zawołała.

– A jak myślisz? Prowadzę przesłuchanie – syknąłem, spychając z siebie bezwładne ciało.

– Widzę, że nie patyczkujecie się z podejrzanymi, *komandir* – zauważyła, tłumiąc śmiech.

– Lepiej spróbuj ją ocucić! – warknąłem.

– A wy?

– Znikam stąd, bo dziewczucha dostanie zawału, jak mnie zobaczy. Przepróż Azarową w moim imieniu.

– Za co?

– Wystraszyłem ją niechcący.

– A konkretnie?

– Konkretnie: to nie twoja sprawa.

Pospiesznie opuściłem posterunek i kazałem Pietce odwieźć się do domu. Pierwszy dzień śledztwa nie tylko nie przyniósł

żadnych rezultatów, ale i spowodował potencjalne zagrożenie. Jeśli Azarowa poskarży się, że straszyłem ją nożem, mogą mnie zmusić do opuszczenia Listwianki. A wolałbym nie podpaść Sunowi, Chińczyk budził we mnie niemal zabobonny lęk. No nic, zobaczymy, może nie będzie tak źle. W naszym kraju ludzie rzadko skarżą się na cokolwiek, bo często to najkrótsza droga do łagru.

## Rozdział szósty



Sun ujął moje nadgarstki i zastygł w bezruchu z przymkniętymi oczyma. Po chwili poczułem napięcie, w miarę jak Chińczyk zaciskał palce.

– Widać poprawę – oznajmił beznamietnie. – Energia życiowa wraca do twojej wątroby i nerek, ale serce jest jeszcze słabe. Nie próbuj dźwigać niczego ciężkiego.

– Postaram się – mruknąłem.

– Podobno rozpocząłeś śledztwo. Najwyższy czas.

– Pamiętam o naszej umowie – odparłem urażony.

– To dobrze. Gdybyś jej nie dotrzymał, potraktowałbym to bardzo osobiście.

Spieliśmy się wzrokiem, ale szybko odwróciłem głowę. Sun nie patrzył na mnie jak na wroga czy choćby przeciwnika, to było spojrzenie kogoś stojącego nieskończenie wyżej w łańcuchu pokarmowym. Nawet Beria czy Stalin nie przyglądali mi się w ten sposób.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy – zapewniłem.

– Mam nadzieję – odparł, kierując się do wyjścia.

Odgłos kroków i szcęk naczyń poinformowały mnie, że babka Kira zabrała się do przygotowywania posiłku. Ostatnio menu było mało urozmaicone: kasza w różnych wariantach na zmianę z jajecznicą. Rosołu nie jadłem od tygodnia, widać moja gospodyni oszczędzała kury.

– Chodź do stołu – zaprosiła Kira Folle. – Bo zupa wystygnie.

– Znowu kasza?

– Nie, dla odmiany owsianka – odburknęła, strzepnąwszy gniewnie ścierką. – Nie marudź, mam trochę miodu – dodała łagodniej. – Jutro albo pojutrze będzie dziczyzna.

– A to skąd?

– Jefim wybrał się na polowanie.

– Jefim Czumak?

– Tak. Znasz go?

– Tylko ze słyszenia. Sawicka chciała go kiedyś przesłuchać. On naprawdę tak nie lubi kobiet?

– Jefim nikogo nie lubi – sprostowała babka Kira. – Po co ci on?

– Będę musiał z nim pogadać. Słyszałem, że włóczy się po okolicy. Może coś zauważył?

– Wątpię. Gdyby zobaczył coś podejrzanego, zaraz by mi powiedział.

– Podobno nikogo nie lubi.

– Powiedzmy, że jestem wyjątkiem.

Ton głosu mojej gospodyni sugerował, że lepiej nie drążyć tematu.

– Chcę przesłuchać miejscowych. Na poważnie.

– Co to znaczy?

– Że będą musieli mówić mi prawdę. I dobrze by było, gdyby ktoś dał im do zrozumienia, że nie interesują mnie ich drobne grzeszki, a jedynie zaginione dzieci.

– Zajmę się tym – obiecała. – Wszyscy odpowiedzą na twoje pytania. No, prawie wszyscy.

– Nie rozumiem? Przecież obiecaliście...

– Obiecałam – weszła mi w słowo. – Ale jest tu paru mętów, na których nie mam żadnego wpływu. Nie drobnych pijaczków jak Fokin, a prawdziwych bandziorów. No, może nie do końca prawdziwych – rzuciła po zastanowieniu. – Kiedy przyjechał ten człowiek Barkina, najpierw polazł do knajpy, a tamci to stali bywalcy tego przybytku, więc się spotkali.

– I co?

– Odniosłam wrażenie, że ci miejscowi panicznie się go bali, mimo że nie wiedzieli, kim jest i po co tu przyjechał. Wystarczyło, że rozpoznali w nim *błatnego*.

– To możliwe – przyznałem. – Nie każdy urka cieszy się szacunkiem wśród *błatnych*, bywa, że zajmuje bardzo niskie miejsce w ich hierarchii. Wystarczy, że złamie *poniatija*. Jeśli wykroczenie jest z gatunku poważnych, czeka go śmierć.

– To oni mają jakieś zasady?! – parsknęła kobieta z pogardą. – W każdym razie będziesz musiał sam spacyfikować te męty. Gadałeś już z kimś?

– Tak, z Leną Azarową.

– I jak?

– Wątpię, żeby miała coś wspólnego z porwaniem dzieci.

– Zwariowałaś?! Znam ją od dziecka, to bardzo wrażliwa i uczuciowa dziewczyna. Mogłam oszczędzić ci fatygi, wystarczyło, żebyś zapytał.

– Niewykluczone, że mordercę też znacie od dziecka – zauważyłem.

Kira Folle sposepniała, przez chwilę nerwowo bawiła się łyżeczką.

– Może masz rację – przyznała cicho. – Nikt nie jest nieomylny. Niemniej jednak są osoby, za które mogę ręczyć, takie jak Lena.

Skinąłem głową, zawsze warto zasięgnąć opinii kogoś z miejscowych.

– Wezmę to pod uwagę – obiecałem. – À propos dochodzenia, ktoś plotkuje na ten temat?

– Nie słyszałam – odparła obojętnie.

Czyżby panienska Azarowa nie poskarżyła się na brutalność milicji? Ciekawe dlaczego?

– Co teraz zrobisz?

– Pojadę na posterunek.

– Ubierz się ciepło – poleciła.

Po raz kolejny zauważyłem, że w głosie babki Kiry

pobrzmiewa autentyczna troska. Co dziwne, nie było w tym nic z ostentacji, jej zachowanie wyglądało na podświadomy odruch, tak jakby było oczywiste, że martwi się o moje zdrowie. Niestety, odpowiedź na pytanie dlaczego, znała tylko ona. Kolejna zagadka do wyjaśnienia, bo trudno przypuszczać, żeby przejmowała się mną do tego stopnia tylko z powodu prośby Lidii Zosimowny. Choć prawda, że *sudarynia* Siwers potrafiła być przekonująca.

Cóż, chwilowo, tak czy owak, miałem większe problemy. Prawdę powiedziawszy, dużo większe problemy...



Sklep znajdował się w niewielkim budynku zbudowanym w typowo syberyjskim stylu: grube belki, niewielkie okna, zdobione zręby dachu i okiennice. Wewnątrz zastałem dwie starsze kobiety i, rzecz jasna, Lenę Azarową.

Na mój widok staruszki pospiesznie zabrały zakupy i po chwili zostałem sam na sam z ekspedientką. Ku mojemu zdziwieniu *barysznia* Azarowa wyglądała bardziej na zakłopotaną niż wystraszoną.

– Chciałem jeszcze raz przeprosić – powiedziałem. – Mam nadzieję, że nic się wam nie stało.

– Nic specjalnego – zapewniła. – Strasznie mi głupio, ja nigdy nie mdleję, coś takiego zdarzyło mi się pierwszy raz w życiu. I nie musicie przeproszać, Ada wyjaśniła mi, w czym rzecz. Mam nadzieję, że złapiecie tego zwyrodnialca.

Uniosłem głowę, zaalarmowany tonem dziewczyny.

– Pawka Trzmielow był moim kuzynem – wyjaśniła, prawidłowo interpretując mój gest. – Kiedy zaginął, miał dziewięć lat.

– Możecie coś powiedzieć o tych porwaniach? – spytałem. – Przypominacie sobie coś podejrzanego, czy choćby dziwnego?



– Nic z tych rzeczy – zaprzeczyła stanowczo. – Wszyscy robili, co mogli, myśliwi przeczesywali okoliczne lasy dzień i noc, a nasz ówczesny posterunkowy, Rogozin, chyba w ogóle nie sypiał. Mimo że psy zgubiły trop, ciągle krążył wokół miejsc, gdzie ostatnio widziano dzieci, sprawdzał każdy centymetr, raz widziałam go nawet z lupą w ręku.

Obiecałem sobie, że porozmawiam z emerytowanym milicjantem. Jeśli tak się przejął dochodzeniem, mógł wpaść na jakiś ślad.

– Naprawdę wszyscy byli tacy pomocni? – kontynuowałem.

– Oczywiście! – obruszyła się. – Przecież chodziło o dzieci!

Widziałem, że wierzy w to, co mówi, ale zanim dokończyła zdanie, na jej twarzy pojawiła się niepewność.

– A jednak? – zachęciłem delikatnie.

– No wiecie, mamy tu kilku takich...

– A konkretnie?

– Urków. W okolicy są kolonie karne i kopalnie, gdzie pracują więźniowie, niektórzy zostają u nas po odbyciu kary. Większość z nich to porządni ludzie, głównie polityczni, ale zdarzają się i inni.

– Bandydzi?

Ekspedientka przytaknęła z ponurą miną.

– Na samym początku było ciężko, dwa lata temu pobili do nieprzytomności miejscowego nauczyciela i zgwałcili Swietkę. Kelnerkę z gospody – dodała tytułem wyjaśnienia.

– I co? Wasz posterunkowy aresztował sprawców?

– Nie zdążył.

– Nie rozumiem?

– Oni zniknęli.

– Uciekli?

– Być może – odparła z wahaniem.

– Leno...

– Markowna – poddała z uśmiechem.

– Leno Markowna, nie interesują mnie lokalne... zwyczaje, a już na pewno nie będę się przejmował faktem, że zwłoki paru urków użyźniają glebę gdzieś w okolicy. Ale jeśli mam wyjaśnić, co się stało, nie możecie niczego przede mną ukrywać.

– Nie znam detali – wymamrotała ze spuszczoną głową.

– Wystarczy mi ogólna informacja.

– Podobno ktoś zrealizował ten wariant ogrodniczy, z użyźnianiem... W dwa dni po tym, jak tych trzech bydlaków skrzywdziło Swietkę, ślad po nich zaginął.

Roześmiałem się mimo woli, dziewczyna miała poczucie humoru.

– A co z pozostałymi?

– Stali się ostrożniejsi. Dalej wywołują burdy i zaczepiają kobiety, ale trzymają się w ryzach, wiedzą, że jakby co, miejscowi im nie darują. To tchórze, silni czują się tylko w grupie – stwierdziła z pogardą. – A ludzie u nas twardzi, nie dadzą się terroryzować. No i mają broń, bo co drugi poluje.

– Gdzie ta knajpa?

– Dwieście metrów dalej, w stronę poczty. Taki piętrowy, murowany budynek.

Skinąłem Lenie na pożegnanie i wyszedłem na ulicę, było względnie ciepło, kilka stopni poniżej zera. Nic dziwnego, koniec marca. Postanowiłem przejść się do gospody. Odprawiłem Pietkę i poprosiłem, żeby za dwie godziny zajechał po mnie na posterunek.

Początkowo z trudem stawiałem kroki, jednak stopniowo czułem się coraz pewniej, choć osłabione chorobą mięśnie reagowały niebornie i z opóźnieniem. Najwyższy czas zabrać się do ćwiczeń.

Knajpa przypominała wiejskie gospody z zeszłego wieku. Topornie zbite drewniane stoły, porysowany kontuar przy barze, wysypana trocinami podłoga. Krzyki dochodziły tylko z jednego miejsca, pozostali klienci rozmawiali, nie podnosząc głosu.

Hałaśliwe towarzystwo zajmowało kąć przy oknie, wytatuowane na palcach „pierścienie” nie pozostawiały wątpliwości, z kim mam do czynienia. Mimo że pomieszczenie było zatłoczone, bez trudu znalazłem wolny stolik, najwyraźniej nikt nie chciał siedzieć w pobliżu bandytów.

– Co podać? – zapytał młody chłopak o wąskiej, nerwowej twarzy.

Obecne na sali kelnerki omijały urków jak zadżumionych.

– A co macie?

– Wódkę i piwo żygulowskie. Jak chcecie coś zjeść, do wyboru jest grochówka, barszcz i pierogi z kapustą.

– Woda mineralna?

– Skończyła się dwa dni temu, następną partię dowiozą za tydzień, ale możecie dostać herbaty.

– Poproszę.

Kiedy tylko kelner zniknął, wrzaski nagle ucichły i do mojego stołu podszedł krępy mężczyzna w nasuniętej na oczy cyklistówce. Podwinięte rękawy pasiastej koszulki odsłaniały pokryte tatuażami łapska.

– Spierdalaj stąd, wujku – rozkazał cichym, złowrogim głosem.

Bez słowa złapałem go za jądra i zacisnąłem palce, nie zwracając uwagi na cienki, świdrujący w uszach krzyk. Pierwsze, czego uczy się każdy oficer milicji, to nigdy nie dać się obrażać bandytom. W tym środowisku wieści rozchodzą się z prędkością światła, a straconej reputacji nie da się już odzyskać.

Wstałem, wymierzyłem solidnego kopniaka skulonemu na podłodze urchy.

– Kto następny? – spytałem, sięgając do kieszeni.

– Spokojnie, *naczalnik* – odezwał się pojednawczo chudy drab w eleganckiej, choć przyciasnej marynarce. – Na żartach się nie znasz? Nie chcemy zadzierać z MUR-em. Idziemy stąd! – rzucił pod adresem kompanów.

Odprowadziłem ich wzrokiem. Wyszli gęsiego, gwizdząc

i rzucając wulgarne uwagi pod adresem kobiet, ale żaden z nich nie odważył się na fizyczną zaczepkę. Najwyraźniej lekcja, jakiej udzielili im mieszkańcy Listwianki, została zapamiętana.

Tymczasem na moim stole pojawiła się szklanka herbaty, konfitury malinowe, talerz złocistych grzanek i elegancka miseczka z kawiozem.

– A to co? – spytałem, siadając. – Nie zamawiałem...

– Na koszt zakładu – wszedł mi w słowo chłopak. – Gdybyście chcieli się tu stołować albo chociaż zająć od czasu do czasu, dostaniecie zniżkę.

Podziękowałem gestem, łyknąłem herbaty. Była dokładnie taka, jak lubię: mocna, o cierpkim posmaku i lekko dymnym aromacie, ale nieoczekiwanie poczułem na języku nutę słodczy.

– Co w niej jest? – rzuciłem ostro, chwytając kelnera za ramię.

– Nie mam pojęcia – odparł przestraszony. – Szykowała ją dla was Galina Piotrowna. Mam ją zawołać?

Potwierdziłem nieartykułowanym pomrukiem. Nie czekałem długo, najwyraźniej moje życzenie potraktowano poważnie. Galina Piotrowna okazała się średniego wzrostu pięćdziesięciolatką w nieskazitelnie białym fartuchu, ze znaczkiem GTO na obfitej piersi. Sprężyste ruchy świadczyły, że odznaka nie jest tylko dekoracyjnym dodatkiem. Nie pamiętałem norm, jakie musiały zaliczyć kobiety w jej wieku, aby otrzymać odznakę *Gotow k Trudu i Oboronie*, ale na pewno przewyższała sprawnością fizyczną swoje rówieśniczki.

– Chcieliście mnie widzieć, pułkownika Razumowski?

– Owszem. Co jest w tej herbacie?

– Nie smakuje wam? – odparła z niepokojem.

– Smakuje. Ale czuję, że czegoś do niej domieszaliście.

Dyplomatycznie nie wspomniałem, że od czasu kiedy mnie otruto, zwracam szczególną uwagę na to, co jem i piję.

– Iwan-czaj! – rozpromieniła się kobieta. – Dodałam iwan-czaju. Jest dużo smaczniejszy od herbaty, no i oczywiście

zdrowszy. Przed rewolucją eksportowaliśmy go na cały świat. Ma tylko jedną wadę, nie orzeźwia jak czarna herbata, dlatego robię mieszanki. Rzecz jasna, tylko dla specjalnych klientów.

– Dziękuję.

– Jakbyście czegoś potrzebowali, wystarczy zawołać – zapewniła, odchodząc.

Pociągnąłem kolejny łyk, napój był rzeczywiście smaczny. No cóż, tutaj mnie raczej nie otrują...



Ada Sawicka położyła na blacie listę z sześcioma nazwiskami. Błada, zmęczona twarz i podkrążone oczy sugerowały, że dziewczyna nie spała kilka nocy z rzędu.

– To wszystko, co znalazłam – oznajmiła, z trudem hamując ziewanie. – Pięć osób było w okolicy przy każdym porwaniu, jedna przy czterech. Nie brałam pod uwagę zniknięcia Wowy, bo nie prowadzono żadnego śledztwa, nasi z rejonu od razu założyli, że chłopak utonął w Angarze.

– No dobrze, a teraz powiedz mi krótko, kto jest kim – poleciłem.

– Już – wymamrotała. – Tylko się czegoś napiję.

Sięgnęła po kubek z czarną jak smoła substancją. Zabrałem jej naczynie, powąchałem. Czajura.

– Zwariowałaś? Chcesz się wykończyć? Ile tego gówna wypijaś? I kto cię tego nauczył?

– Nie tak dużo – mruknęła. – Oddajcie.

– Obejdiesz się. A teraz odpowiedz na pytanie.

– No dobrze, niech wam będzie. Anton Wierniak ma pięćdziesiąt cztery lata, ale jest bardzo silny. To nasz miejscowy kowal. Sama widziałam, jak zginał w ręku podkowę. Wszyscy go lubią, te dzieci by mu zaufały.

- To on adoptował tę małą? Irmę?
- Tak. Wpisałam go tylko dla porządku, on nie skrzywdziłby dziecka.
- Zobaczymy.
- To dobry człowiek, naprawdę kocha Irmę.
- I co z tego?
- Jak i co z tego?
- Kiedyś aresztowałam zwyrodnialca, który kochał swoją małą córeczkę i w tym samym czasie gwałcił i mordował jej rówieśniczki. Uważał, że w ten sposób ratuje córkę przed swoimi skłonnościami.
- Straszne! – wzdrygnęła się milicjantka.
- Dalej – ponagliłem.
- Maks Godowski pracuje w tartaku, ma trzydzieści pięć lat. Jest brygadzystą. Były żołnierz, dosłużył się stopnia porucznika. Silny, odważny, potrafi się bić. Kiedyś napadło go dwóch urków, ledwo ich odratowali.
- Lubi dzieci?
- Nie mam pojęcia.
- No dobrze, kto następny?
- Michaił Zajcew. Czterdziestolatek, hydrolog. Od lat bada okoliczne rzeki i Bajkał. Był żonaty, obecnie rozwiedziony, bezdzietny. Miejscowi wielokrotnie widzieli go, jak snuł się z ciężkim plecakiem po okolicy. To spokojny człowiek, unika awantur, ale robi wrażenie takiego, któremu lepiej nie wchodzić w drogę, jeśli wiecie, co mam na myśli.
- Kto następny?
- Leon Kotrikadze, dyrektor naszej szkoły. Czterdzieści osiem lat, były atleta. No i na ostatek Jefim Czumak, sześćdziesiąt dwa lata, myśliwy. Bo o Lenie już mówiliśmy. Czumaka nie było w Listwiance w czasie porwania Emmy Popowicz w czterdziestym siódmym. Leżał w szpitalu w Irkucku, wyrostek robaczkowy.

– To chyba dość pewne alibi? – zauważyłem.

– Bo ja wiem? Kiedyś rozciął sobie nogę, głęboko, na kilka centymetrów. Zszył ranę zwykłą nitką i dokuśtykał do Listwianki. To żyłasty staruch. Gdyby wymknął się ze szpitala...

– Wątpię, ale zostawmy na razie Czumaka. Co sądzisz o pozostałych?

– Mój faworyt to Zajcew.

– Dlaczego?

– Chyba najmniej o nim wiadomo – odparła, marszcząc brwi.

– Będiesz mogła stwierdzić, czy ci ludzie kłamią?

– Nie jestem pewna co do Godowskiego.

– Dlaczego?

– My... kiedyś... – Spuściła głowę.

Zakląłem pod nosem.

– To jedyny wyjątek czy wymieniałaś płyny fizjologiczne jeszcze z kimś z naszej listy?

– Jedyny!

– Jakże się cieszę! Ostatnia sprawa. Dasz radę, jeśli trafimy na jakiegoś maniaka?

– A co to za różnica?

– Skup się! – powiedziałem ostro, widząc, że dziewczyna przymyka oczy. – Załóżmy, że spytamy, czy zabił te dzieci, a on będzie przekonany, że ratował ich dusze czy coś w tym rodzaju?

Milicjantka zamrugła, usiłując strząsnąć z siebie zmęczenie, wreszcie wzruszyła ramionami.

– Nie mam kontaktu z siłami wyższymi, po prostu widzę, kiedy ktoś kłamie. Ale ta osoba musi mieć świadomość, że to robi. W innym wypadku nie wykryję kłamstwa, bo i jak? Jeśli dzieci zabił wariat, wierząc, że działał dla ich dobra, nie będzie myślał o tym jak o morderstwie, a wtedy będę bezsilna.

Pokiwałem głową, nie spodziewałem się niczego innego. Być może dar Sawickiej uda się jakoś wykorzystać w śledztwie, jednak wątpiłem, żeby dziewczyna zdemaskowała porywacza.

Pomijając wszystko inne, sprawca na pewno wiedział o jej talencie, w Listwiance plotkowano o tym od dawna. A skoro nic z tym nie zrobił, widać uznał, że mu nie zagraża. Tylko dlaczego? Czyżby był na tyle blisko z Adą, że nie musiał się jej obawiać? Trzeba o tym pogadać, ale nie teraz, dziewczyna ledwo trzymała się na nogach.

– Idź spać – poleciłem.

Kiedy tylko Sawicka poczłapała do siebie – miała służbowy pokój w domu niedaleko posterunku, wysłałem sierżanta po Pietkę, a sam podszedłem do telefonu. Nie podejrzewałem o nic Klimowa, ale wolałem, żeby nikt nie podsłuchiwał mojej rozmowy. Połączyłem się z Katią Romanienko i kazałem jej znaleźć wszystko na temat piątki podejrzanych, po wczorajszej rozmowie definitywnie wykreśliłem Lenę Azarową ze spisu.

Właśnie pytałem Katię o znane przypadki synestezji, kiedy za oknem rozległy się krzyki, drzwi otworzyły się z trzaskiem i do gabinetu wpadł blady jak płótno Klimow.

– Zabił lekarza! – wydyszał. – Wziął zakładniczkę! Strzela przez okno!

Odłożyłem słuchawkę, nie troszcząc się o wyjaśnienia, złapałem sierżanta za ubranie i pchnąłem na ścianę.

– Kogo zabili? – warknąłem. – I kto?!

– Jakiś bandyta – zajęczał. – Zastrzelił tego lekarza z Moskwy i trzyma pod lufą pielęgniarkę. Chce z wami rozmawiać.

– W ośrodku zdrowia?

– Tak.

Wybiegłem z komisariatu tak, jak stałem. Na zewnątrz zebrało się kilkunastu ludzi, nie zatrzymując się, roztrąciłem tłum. Przebiegłem może ze sto metrów, później zatrzymała mnie zadyszka, resztę drogi przebyłem szybkim krokiem.

Ośrodek zdrowia otaczali mężczyźni z bronią w ręku, kilku zajęło stanowiska na dachu sąsiedniego budynku. Tuż przy drzwiach, przytulona do ściany, stała Sawicka z pistoletem



w garści.

– Co się dzieje?! Melduj!

– W środku jest jeden z urków Barkina. Myślałam, że załatwiliście tę sprawę!

– Jak widać, nie do końca. On naprawdę zabił Markowa?

– Naprawdę, widziałam ciało przez okno.

– Co z Nadiędą? Żyje?

– Chyba tak, on chce z wami rozmawiać, grozi, że jak nie przyjdziecie, zabije i pielęgniarkę.

– W porządku, trzymaj. – Podąłem jej pistolet.

– Zwariowaliście? Nie możecie tam iść bez broni!

– Jeśli wejdę z bronią, pierwsze, co zrobi, to każe mi oddać tokariewa. Nie mam zamiaru dostarczać mu dodatkowych naboju czy uzbrojenia.

– Co chcecie zrobić? – spytała z niepokojem.

– Pogadać z nim, a co innego? Nie mam wyboru, bo inaczej rzeczywiście zastrzelili Nadię... Idę! – krzyknąłem głośno.

Stał w korytarzu, zasłaniając się Nadiędą, jedną ręką obejmował dziewczynę za szyję, drugą mierzył we mnie z pistoletu. Z trudem opanowałem wściekłość. Kuwałda! Poobijany, ale jak najbardziej żywy, widać jakimś cudem przeżył obławę i podleczył rany.

– Czego chcesz? – rzuciłem ostro.

– Zamknij drzwi, ręce na głowę!

Wykonałem rozkaz, urka powalił pielęgniarkę na kolana, obszukał mnie sprawnie i znowu skrył się za Nadię.

– Chcę złota! – oznajmił głośno. – Dziesięć kilo! I samochód. A jak zobaczę twoich kumpli z MUR-u, zabiję tę suczkę!

– A co mnie to obchodzi? Zabij, a nie wyjdiesz stąd żywy.

Drapieżny uśmiech bandyty przypominał błysk brzytwy.

– Naprawdę? – rzucił drwiąco. – A jej kolega twierdził, że bawiliście się w doktora. Prawda, dopiero jak przestrelałem mu kolano.

Zacisnąłem zęby, bo zrozumiałem, że blef nie pomoże. Kuwałda był wyjątkowo dobrze poinformowany, inaczej nie wiedziałby, że jestem milicjantem, a tym bardziej że mam coś wspólnego z MUR-em. Jednak tym mogłem zająć się później, na razie musiałem ratować Nadię. Nie miałem zamiaru pozwolić, żeby zginęła przede mną kolejna kobieta.

– W porządku – powiedziałem. – Ale muszę wyjść, żeby wydać dyspozycje.

– Stań w drzwiach – sprostował. – Pamiętaj, jeden podejrzany ruch i strzelam!

Otworzyłem drzwi i spojrzałem na sprężoną do skoku Sawicką.

– Żadnych głupstw! – ostrzegłem przyciszonym głosem.

– Gadaj głośniej, tak żebym słyszał, bo inaczej obetnę tej twojej suczce ucho i nie będzie już taka ładna! – warknął bandyta.

– Zawołaj babkę Kirę – poleciłem głośno milicjantce. – Już!

Dziewczyna popatrzyła na mnie niezdecydowanie, wreszcie ponaglona stanowczym gestem pobiegła do sań.

– Martyniuk! – zawołałem. – Martyniuk!

– Co za Martyniuk? – syknął Kuwałda. – Uważaj, *mient*, bo...

– Ktoś musi przypilnować porządku – przerwałem mu bezceremonialnie. – Widzisz tych praworządnych obywateli ze strzelbami? Nie chciałbyś chyba, żeby spróbowali sami wymierzyć sprawiedliwość. Bo oni mają gdzieś twoją zakładniczkę, jedna baba więcej, jedna mniej...

Urka oblizał językiem wąskie, bezkrwiste wargi, zmełł w ustach przekleństwo.

– Dobra! Jakby co, jej mózg wyląduje na ścianie!

– Martyniuk! – powtórzyłem.

Nie widziałem nigdzie byłego sierżanta, ale wyczuwałem, że musi się czaić gdzieś w pobliżu. Gdzieżby przepuścił takie atrakcje!

W końcu pokazał się w wylocie ulicy, naprzeciwko wejścia do

ośrodka zdrowia. W ręku trzymał karabin Mosina z celownikiem optycznym. Pewnie wypatrywał okazji do celnego strzału, jednak Kuwałda nie podchodził do drzwi czy okien, tak jakby doskonale wiedział, że co trzeci mężczyzna w Listwiance ma broń i potrafi się nią posługiwać.

Martyniuk oddał karabin chudemu jak szczapa, siwowłosemu brodaczowi, po czym podszedł do mnie niespiesznym krokiem.

– Pułkowniku? – odezwał się neutralnym tonem.

– Utworzysz dwa kordony – poleciłem. – Wewnętrzny nie dopuści, żeby ktokolwiek wyszedł z tego budynku bez mojej zgody, zewnętrzny ma trzymać na odległość miejscowych. Czy to jasne?

– Tak jest! – szczerknął służbiście.

Najwidoczniej doszedł do wniosku, że można mi zaufać, dobre i to.

– Co ty robisz?! – zaryczał wściekle bandyta. – Jakie kordony?! Ja ją zaraz...

– Spróbuj! – powiedziałem zimno. – Zależy mi na tym, żeby Nadia przeżyła, lecz nie myśl, że dam się wodzić za nos. Spełnię twoje warunki, ale jeśli spadnie jej chociaż włos z głowy, dam rozkaz do szturm. A wtedy będziesz miał szczęście, jak zginiesz od razu.

Kuwałda przełknął z wysiłkiem ślinę, lufa pistoletu nadal celowała w skroń dziewczyny, jednak w jego głosie pojawiła się ostrożność.

– Kiedy dostanę swoje złoto? Chcę stąd odjechać przed zmrokiem.

– Niedługo – zapewniłem.

– Masz szluga? – rzucił ochryple.

No, no, czyżby zaczynał się denerwować? W sumie nic dziwnego, może dopiero teraz dotarło do niego, że jest otoczony przez ludzi, z których każdy chętnie wyprułby mu flaki.

Z demonstracyjną powolnością sięgnąłem do kieszeni

marynarki, wyjąłem papierośnicę.

– Połóż na podłodze i cofnij się trzy kroki – rozkazał.

Bandyta po raz kolejny brutalnie powalił Nadię na kolana i trzymając mnie na muszce, wyjął kilka papierosów.

– Ja też mogę? – spytałem.

Przyzwolił gestem, więc zapaliłem.

– Po coś wezwał tę staruchę?

– To ona trzyma kasę – poinformowałem.

– Z kopalni?

– Tak.

– Skąd wiesz?

– Mam tam udziały.

– Nieźle zrobiliście nas w chuja, nie wiedzieliśmy, że jest w to zamieszany MUR.

– Nie jest, to tylko ja.

– Skąd wzięłeś tych morderców?

– Pomyślałby kto, że wy chcieliście tylko pogadać – zakpiłem.

Odwróciłem się, słysząc tętent kopyt.

– Babka Kira przyjechała – powiedziałem. – Muszę podejść do drzwi.

– Podejdz, tylko pamiętaj, że mam cię na muszce. A jak spróbujesz coś wywinąć, zdążę wykończyć i dziewczynę.

– Pamiętam.

Kira Folle wysiadła z sań i podeszła do budynku. Zatrzymałem ją ruchem ręki.

– Zawołam ją tu, pogadamy w korytarzu – powiedziałem do bandyty.

– Nie ma mowy!

– Chcesz, żeby wszyscy dowiedzieli się, że staruszka ma ci przywieźć dziesięć kilogramów złota? – spytałem przyciszonym głosem. – Jak uważasz, tylko nie miej do mnie pretensji, jeśli ktoś zgarnie po drodze te sztabki.

– Jakie sztabki? – spytał szybko.

– Złota – wyjaśniłem cierpliwie. – Oni przetapiają je w sztabki.

– Dużo ich mają?

– Nie próbuj kombinować – uprzedziłem. – Dziesięć kilo to dziesięć kilo. Dobrze, jeżeli tyle naskrobiemy, bo musieliśmy się rozliczyć z...

– Ze skurwielami, którzy nas wystrzelali – dokończył z nieprzyjemnym grymasem. – Rozumiem, niech będzie dziesięć. Starucha może wejść.

Odsunąłem się, żeby przepuścić kobietę, stanąłem plecami do wyjścia.

– Potrzebuję dziesięciu kilogramowych sztabek złota – poinformowałem babkę Kirę. – I samochodu.

– Złoto to nie problem – odparła spokojnie. – Gorzej z samochodem. Auto ma tylko sekretarz *rajkomu*.

– Tu, w Listwiance?

– Tak.

– Odda nam je?

– Wątpię. Poznałeś go w szkole.

– To ten grubas?

Kobieta skinęła głową.

– Niech Sawicka skonfiskuje mu wóz. Na moją odpowiedzialność.

– Dobrze.

– Ile macie tych sztabek? – zapytał bandyta z chciwym błyskiem w oku.

Babka Kira odwróciła się do urki, trącając mnie ramieniem, jakby chciała dać mi jakiś znak. Ki czort?

Cofnąłem się o krok, dopiero teraz zauważyłem niemal niewidoczne rozcięcie w płaszczu kobiety na plecach, na wysokości talii.

Ożeż kurwa! Znaczy wszystko rozstrzygnie się tu i teraz. Tylko czy wróciłem do dawnej sprawności? Bo jeśli nie, podpiszę wyrok śmierci na Nadię, a możliwe, że i na siebie, i babkę Kirę.

Szlag!

– Co z tym złotem? – ponaglił Kuwałda.

Lufa pistoletu bandyty zmieniła położenie o kilka milimetrów, oczy błyszczały jak wilcze.

– A co to ma za znaczenie? Umówiliście się na dziesięć kilogramów.

– Ja tu rządzę, głupia babo! – wrzasnął urka. – Rozumiesz?! – Wycelował w staruszkę.

Spokojnym, płynnym ruchem sięgnąłem pod płaszcz babki Kiry, namacałem rękojeść zatkniętego za brzeg spódnicy pistoletu. Mój pierwszy strzał trafił Kuwałdę w bark, następny w głowę, policzek Nadii opryskała zmieszana z mózgiem krew bandyty. Cóż, przy strzale z takiej odległości nie sposób uniknąć bałaganu, jednak efekt nieco mnie zdziwił: prawa strona twarzy urki zamieniła się w krwawą masę. Dopiero teraz dotarło do mnie, co trzymam w ręku: colt M1911. No, przy takim kalibrze nic dziwnego, że Kuwałda niemal stracił głowę. Trzeba przyznać, że jeśli chodzi o broń, babka Kira miała dobry gust...

– Och, Saszka!

Zanim zdążyłem zareagować, Nadieżda znalazła się w moich ramionach, a w korytarzu zaroilo się od uzbrojonych mężczyzn.

– Martyniuk! – krzyknąłem. – Zabierz ich stąd! Bo jeszcze komuś drgnie palec na spuście, jak będą się tak kotłować. Wystarczy trupów na dzisiaj!

– *Komandir!* Nic wam nie jest?

Przypadła do mnie milicjantka, przez chwilę wyglądało, jakby chciała rzucić mi się na szyję.

– Jak widzisz. Pomóż Martyniukowi, a potem przenieście zwłoki do kostnicy.

Jeszcze zanim skończyłem zdanie, dotarło do mnie, że wzmianka o ciałach nie była najlepszym pomysłem. Gdybym nie podtrzymał Nadii, dziewczyna by upadła.

– Spokojnie – szepnąłem. – Zabiorę cię stąd.

Zaprowadziłem ją na górę – oboje z Markowem mieszkali na piętrze nad ośrodkiem – usadziłem w fotelu. Westchnąłem bezradnie, widząc, jak wpatruje się pustym wzrokiem w ścianę. Szok, o ile nie coś gorszego.

Zagrzałem trochę wody na kuchence, wytarłem wilgotną szmatką twarz Nadii.

– Może się położysz? – zaproponowałem.

Przytaknęła ospałym gestem, sięgnęła do kołnierzyka, ale palce nie były w stanie poradzić sobie z guzikami. Pomogłem jej się rozebrać, okryłem kołdrą, mimo to drżała z zimna. Zaparzyłem herbaty, dodałem hojną ręką wygrzebanego z szafki spirytusu.

– Wypij – poprosiłem.

Przełknęła dzielnie kilka łyków, podziękowała drżącym uśmiechem.

– Boję się, Saszka – wyszeptała.

– Chcesz, żebym został z tobą?

– Tak.

– W porządku, ale muszę wyjść na chwilę.

– Poczekam.

Na dole zastałem tylko babkę Kirę i Sawicką, Martyniuk przegonił resztę gapiów.

– Jak ona się czuje? – spytała z troską Ada.

– Nic jej nie będzie, to twarda dziewczyna, frontowa sanitariuszka.

– Wracasz do domu? – wtrąciła Kira Folle.

– Nie, na razie zostanę z Nadią. Jest w szoku.

– Jakby co, dzwoń, w gabinecie lekarskim jest telefon. Sprawdzałam, działa, ten bandzior go nie uszkodził.

– Dobrze. Ada – zwróciłem się do milicjantki – jak tylko skończymy rozmawiać, pójdziesz po Martyniuka, zbierzecie kilku ludzi i będziecie pilnować tych waszych urków. Gdzie oni mieszkają?

– W chałupie na skraju Listwianki. To stary magazyn, ale im odpowiada. Ale po czorta ich pilnować?

– Bo oni pomogli Kuwałdzie. Zapewnili mu schronienie, podleczyli i pewnie umówili się co do udziału w zyskach. On wiedział, że jestem z MUR-u, a to mógł mu powiedzieć tylko ktoś z miejscowych. Wcześniej wiedziało o tym ledwo parę osób, plotki zaczęły się rozchodzić dopiero po likwidacji bandy Barkina. Teraz ci wasi bandyci spodziewają się zemsty, więc lepiej mieć na nich oko, zanim coś wykombinują. Na przykład wezmą kolejnego zakładnika.

– Już lecę!

Poczekaj, aż milicjantka wyjdzie, rozmasowałem skronie.

– Zwłoki Markowa przenieśli do kostnicy?

Babka Kira przytaknęła ruchem głowy.

– Tego urkę też. Choć paru chłopu wpadło na pomysł, żeby go wrzucić do szamba, ale Sawicka im nie pozwoliła.

– Zuch dziewczyna! Mogę zatrzymać broń? Myślę, że to koniec atrakcji na dzisiaj, ale wolałbym mieć coś pod ręką.

– Pewnie. Masz, trzymaj. – Babka Kira podała mi magazynek i garść naboju. – Możesz to uznać za prezent, mnie się już nie przyda.

– Dziękuję.

– Chcesz, żeby ktoś posiedział na dole? Na wszelki wypadek?

– To chyba niegłupi pomysł.

– W takim razie przyślę tu Jefima.

– Tego myśliwego?

– Owszem. A co? Masz coś przeciwko?

– Jeśli mu ufacie...

– Nie martw się, to porządny człowiek. A teraz idź do Nadii i może trochę się prześpij. Bo nie najlepiej wyglądasz.

Podziękowałem jeszcze raz i powlokłem się na górę. Zmęczenie spowolniło moje ruchy, wchodząc po stopniach, musiałem trzymać się poręczy.



Nadieżda siedziała w łóżku, otulona kołdrą, z wypisanym na twarzy niepokojem, kontemplując na wpół opróżnioną szklankę.

– Kręci mi się w głowie – powiedziała ni to z pretensją, ni to z rozbawieniem.

– Odrobina alkoholu ci nie zaszkodzi – orzekłem stanowczo.

Umościłem się wygodnie w fotelu, załadowałem broń i położyłem pistolet na nocnym stoliku, tuż obok lampy z wesołym żółtym abażurem.

– Możesz potrzymać mnie za rękę? – poprosiła.

Usiadłem na skraju łóżka, dotknąłem dłoni dziewczyny. Była lodowata. Czasem tak bywa, to atawistyczna reakcja z czasów, kiedy uczucie strachu związane było z walką na śmierć i życie, organizm obniża temperaturę, żeby zminimalizować ewentualny wpływ krwi.

– Zimno ci?

– Troszkę.

– Przysunę fotel i posiedzę przy tobie.

– Może połów się ze mną. Będzie ci wygodniej.

Nie bardzo wiedziałem, jak mam to interpretować, więc na wszelki wypadek zdjąłem tylko buty i ułożyłem się w ubraniu obok owiniętej kołdrą Nadii.

– Jesteś chory, zmarzniesz – zaprotestowała. – Rozbierz się i chodź tu do mnie. Tylko wiesz... To nie jest niemoralna propozycja.

Roześmiałem się cicho; biorąc pod uwagę mój stan zdrowia, nie przedstawiałem zagrożenia dla żadnej kobiety.

– Dlaczego się śmiejesz? – spytała podejrzliwie Nadieżda.

– Tak bez powodu. Nie będę cię nieskromnie zaczepiał, słowo oficera!

Dziewczyna uniosła sceptycznie brwi, ale odsunęła się, robiąc mi miejsce. Pospiesznie zrzuciłem ubranie, po czym przytuliłem Nadię.

– Od razu mi lepiej – wymruczała.

Ja też nie narzekałem. Oddech Nadzieży łaskotał mi szyję, jej ciało stopniowo odzyskiwało normalną temperaturę. Czułem delikatny zapach perfum i włosów Nadii, podszyty niemal niewyczuwalną wonią prochu i krwi. Nie przeszkadzało mi to, po raz pierwszy od wielu miesięcy zasnąłem w objęciach kobiety.



Obudził mnie delikatny dotyk, ktoś głaskał mnie po głowie.

– Obudź się, śpiochu – powiedziała Nadia. – Czekają na ciebie.

– Kto taki? – spytałem, trąc kułakami oczy.

Dziewczyna wyglądała na wypoczętą, na jej twarz powróciły kolory, z oczu zniknął strach.

– Martyniuk i paru innych. Chcieli cię zerwać z łóżka dwie godziny temu, ale im nie pozwoliłam.

– Co znowu?

– Nie wyjaśnili mi, wiesz, jak oni tutaj traktują kobiety, ale mam wrażenie, że to coś ważnego.

Usiadłem z głuchym stęknieniem, ze zdziwieniem skonstatowałem, że nic mnie nie boli, a wczorajsze zmęczenie zniknęło bez śladu. Czas na masaż, choć biorąc pod uwagę wczorajsze wydarzenia, szamańskie praktyki muszą poczekać, lepiej dowiedzieć się, czego chce Martyniuk. Były sierżant nie wyglądał na takiego, który zawracałby mi głowę bez powodu.

– Jak chcesz, przygotuję ci kąpiel – zaproponowała.

– Nie da rady – westchnąłem. – Nie teraz. Ubiorę się i zejść zobaczyć, co się stało.

– Najpierw coś zjesz – poleciła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Nie wypuszczę cię głodnego na ten mróz.

– Jaki mróz? – spytałem, podchodząc do okna. – Plus dwa stopnie. Idzie wiosna.

– Wszystko jedno! – Tupnęła nogą. – Siadaj i jedz!

– Tak jest, pani doktor!

Ubrałem się pospiesznie, odruchowo sprawdziłem broń i wsunąłem pistolet za pasek. Nadia przywlokła skądś niski, kulawy stolik i podała mi miskę jajecznicy i kromkę czarnego chleba. Niby nic nadzwyczajnego, ale jadłem już gorsze rzeczy, a zapach jedzenia sprawił, że zaburczało mi w brzuchu.

– Herbaty?

– Chętnie.

Pochłonałem jajecznicę, zagryzłem chlebem, popiłem kilkoma łykami gorącego napoju. Nie było czasu na delektowanie się posiłkiem.

– Zostań tu! – powiedziałem rozkazująco. – Ani kroku z ośrodka!

– Dobrze, Saszka – powiedziała ulegle.

Zszedłem na parter, w gabinecie lekarskim zastałem Martyniuka i starszego mężczyznę o pobrużdżonej zmarszczkami, osmaganej wiatrem twarzy. Trzymany na kolanach sztucer sugerował, że to myśliwy. Czyżby Jefim Czumak?

Martyniuk skinął mi na powitanie, o wiele bardziej interesująca była reakcja nieznanego. Zerwał się na równe nogi, poruszył wargami, jakby chciał coś powiedzieć, a na jego twarzy odmalowało się osłupienie. A przecież widziałem go pierwszy raz w życiu. Ki czort?

– Wybaczcie, pułkowniku, że was fatyguję, mieliście wczoraj ciężki dzień, ale sprawa jest ważna – powiedział Martyniuk.

– O co chodzi? – rzuciłem, obserwując czujnie starszego mężczyznę.

– Bandyci próbowali wziąć zakładników, doszło do strzelaniny, a teraz siedzą w tym swoim magazynie. Gdybyście nie kazali ich pilnować, mielibyśmy tu niezłą jatkę. Mają broń.

– Straty?

– Bez strat – odparł z satysfakcją. – Za to położyliśmy jednego

urkę i raniliśmy dwóch innych, nie spodziewali się oporu.

– Jak wygląda sytuacja?

– Oni nie mogą wychylić nosa z tego budynku, a my podejść.

– To gdzieś na peryferiach?

– Tak, dobre dwa kilometry stąd.

– Wezwaliście milicję z rejonu?

– Wolelibyśmy się tym zająć sami, a milicję wezwać po fakcie.

Popatrzyłem na Martyniuka z namysłem. Najlepiej byłoby wykończyć wszystkich, Kuwałda na pewno powiedział miejscowym bandytom o kopalni. Tylko jak do tego podejda mieszkańcy Listwianki i śledczy z rejonu? Nie za dużo trupów? Co, jeśli jakiś nadgorliwiec zainicjuje śledztwo albo co gorsza, powiadomi bezpiekę?

– Dlaczego? I jak to sobie wyobrażacie?

– Jestem Jefim Czumak – przedstawił się towarzysz Martyniuka. – Dlaczego? Ze względu na nasze małe przedsięwzięcie. Obaj pomagamy Kirze Andriejewnie – dodał tytułem wyjaśnienia.

Uścisnąłem dłoń starszego mężczyzny, była twarda i poznaczona odciskami, a jednak w sposobie, w jaki podał mi rękę, było coś dziwnego, jakieś... Bo ja wiem? Niepasujące do syberyjskiego wieśniaka poczucie własnej wartości.

– Rozumiem...

– Z milicją nie będzie problemu – zapewnił Martyniuk. – Od czasu kiedy zamknięto dochodzenie w sprawie zniknięcia dzieciaków, rejonowa milicja unika jak ognia mieszania się w sprawy Listwianki. Boją się trafić na coś, co zmusi ich do wznowienia śledztwa. A to tylko banda urków, nic politycznego.

– A co z ludźmi? Nikt nie poleci z donosem, wstrząśnięty brutalną rozprawą z tymi bandziorami? Bo rozumiem, że chcecie pozbyć się ich definitywnie?

– Wykluczone! Nikt się nie wyłamie, mieliśmy tu podobne sytuacje – zapewnił Martyniuk.

– Więc czego ode mnie chcecie?

– Żeby pan pokierował akcją – wyjaśnił Czumak. – Jeśli załatwimy urków, nikogo to nie obejdzie, ale jeżeli zginie ktoś z naszych, urzędnicy z rejonu zlecą się jak sępy.

Zmartwiałem, użyte przez Czumaka słowo „pan” sprawiło, że zadziałała podświadomość i mój mózg odtworzył słowo, jakie bezgłośnie wyszeptał myśliwy, kiedy mnie zobaczył. „Graf”. Tylko skąd ten hrabia? A może mi się wydawało? Co prawda potrafiłem czytać z ruchu warg, ale nie byłem w tym mistrzem. Tak czy owak, teraz tego nie wyjaśnię.

– To co, jedziemy? – spytał niecierpliwie Martyniuk. – Ludzie czekają jedynie na was.

Narzuciłem palto, wyszliśmy na ulicę. Gęste błoto oblepiło mi buty, po śniegu nie zostało nawet śladu. Na koźle furmanki siedział z dziarską miną Pietka, piastując na kolanach strzelbę.

– A ten co tu robi?

– On nic nie wie o kopalni – wyjaśnił półgłosem Martyniuk. – Za to świetnie strzela, a my będziemy potrzebowali każdego mężczyzny.

Z westchnieniem rezygnacji wgramoliłem się na wóz, pomyślałem, że na prowincji inaczej pojmowano definicję mężczyzny, ale nie widziałem powodu do kłótni. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, może uda się uniknąć ofiar. Rzecz jasna, po naszej stronie...



Niewielki parterowy budynek otoczony był na w pół rozwalonym płotem, solidne drzwi i zakratowane okna sprawiały, że przypominał fortecę. Problem w tym, że musiałem go zdobyć. Na wojnie wezwałbym artylerię albo żołnierzy z miotaczami ognia, w ostateczności użył granatów. Niestety, tu i teraz nie mogłem

sobie na to pozwolić. Śledczy z rejonu z pewnością zainteresowaliby się, skąd w Listwiance taki sprzęt. Ech, biednemu zawsze wiatr w oczy...

– Ilu ich tam jest? – spytałem.

– Nie mniej niż ośmiu – odpowiedział Martyniuk. – Można łatwo podpalić ten magazyn, w środku jest parę ton wiórów drzewnych, bo dawniej wysyłano stąd towar w skrzyniach napełnionych wiórami, ale trzeba by podejść blisko. Próbowaliśmy rzucać zza płotu butelkami z benzyną, jednak większość rozbija się na kratkach, a jak jedna wpadła przez okno, to ugasili.

– Wystarczy podejść z boku. Trzeba by tylko coś zrobić z tym piwnicznym oknem.

– Ale co? Zastanawiałem się nawet, czy nie podjechać wozem strażackim, bo mamy tu taki, i może zalać piwnicę wodą, choć zbyt długo by to trwało. A przez ten czas spalą nam maszynę albo podziurawią cysternę. To na nic. Wreszcie jak to zrobić? Lać wodę przez okno do piwnicy to samobójstwo, bo natychmiast zastrzelą. Wrzucić końcówkę węża też nie za bardzo, bo wystarczy, że ją usuną, te piwniczne okna są jakieś czterdzieści centymetrów nad ziemią.

Mruknąłem potakująco, sytuacja wyglądała nieciekawie. Budynek w kształcie prostokąta miał jakieś dwadzieścia metrów długości, od frontu i z tyłu trzy okna parterowe i pięć piwnicznych. Rzecz jasna, wszystkie zakratowane, co nie dziwiło, jeśli kiedyś wykorzystywano go jako skład. Z boków tylko jedno, niewielkie, na wysokości półtora metra. Teoretycznie rzecz biorąc, można by podjechać wozem strażackim, zablokować cysterną wylot okna w bocznej ścianie, przeciągnąć wąż do skrajnego okna piwnicznego od frontu i spróbować zalać piwnicę wodą. Teoretycznie. Tyle że dalej wszystko potoczyłoby się tak, jak opisał Martyniuk. Chyba żeby zamiast wody użyć czegoś, co zmusiłoby bandytów do momentalnej ucieczki. Tylko czego?

Benzyny? Wpompować do piwnicy kilkadziesiąt litrów i podpalić? Pewnie dałoby radę, chociaż czort wie, czy pożar nie sięgnąłby cysterny, bo pewnie trochę rozlałoby się po ziemi. No i na pewno bandyci mierzyliby w zbiornik z paliwem. Jeden celny strzał i koniec pieśni. Wreszcie skąd wziąć taki wóz? W końcu to wiocha. Nie, trzeba wymyślić coś innego.

– Te wióry są w piwnicy?

– Tak.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, dojrzałem w oknach jakiś ruch.

– Coś się dzieje!

Martyniuk bez słowa podał mi lornetkę. Wyregulowałem ostrość, zakląłem.

– Co tam? – spytał niespokojnie Czumak.

Obserwowaliśmy magazyn z za sterty bali, za naszymi plecami tłoczyło się kilkunastu mężczyzn.

– Rozpinają w oknach sieci rybackie. Możemy zapomnieć o butelkach z benzyną – poinformowałem ponuro. – Sieci je zatrzymają.

– Gdyby podejść blisko, wlać benzynę przez któreś z piwnicznych okien, puścilibyśmy z dymem tę budę – odezwał się z namysłem Czumak. Starzec miał podobne pomysły, co ja.

– Do tego trzeba zneutralizować strzelca w tym oknie, a nie ma jak – powiedziałem.

– Mógłbym spróbować – zaproponował. – Dalibyście mi osłonę ogniową i...

– Nie! – przerwałem stanowczo. – To samobójstwo.

– A może jednak wziąć ten wóz strażacki? Zasłonić okno w bocznej ścianie cysterną, wychylić się z za węgła i wlać do wewnątrz benzynę. Choćby przyszło stracić auto. I tak wszystko będzie na nich.

– Wychylić z za węgła? Nie żartujcie! – zaproponowałem. – Żeby wlać cokolwiek do piwnicy, trzeba klęknąć przy tym okienku.

Opróżnienie kilkilitrowego kanistra to przynajmniej dziesięć sekund. Jeśli ktoś tam będzie czuwał, a będzie na pewno, to zastrzeli was trzy razy.

– Więc co proponujecie? – rzucił gniewnie myśliwy. – Opuścić?

– Dajcie mi pomyśleć, oni nigdzie nie uciekną. Ktoś sprawdzał drzwi wejściowe?

– Nie, bo i jak? Na pewno są zabarykadowane, no i to lite drewno wzmocnione żelaznymi sztabami. Dawniej robiono takie rzeczy solidnie, przed rewolucją był tu magazyn kupca Agafona Rybakowa.

– No dobrze – powiedziałem. – Jakie jeszcze pojazdy macie w okolicy?

– Pomyślmy: dwa traktory, ciężarówkę i gównowóz, nie licząc limuzyny sekretarza *rajkomu*, ale ona raczej nam się nie przyda – odpowiedział Martyniuk.

– Gównowóz?

– No wiecie, szambiarkę.

– Kto kieruje tym krążownikiem?

– Zachar Dziuba.

– Gdzie on jest?

– A gdzie ma być? Pewnie leży pijany w swojej chałupie.

– Macie tu jakąś spawarkę?

– A jakże! Przy tartaku jest warsztat remontowy.

– A przyczepy do traktorów?

– Znajdą się.

– No to słuchajcie, zrobimy tak...



Skinąłem ręką i przed budynek zajęchały dwa traktory, holując przyczepy wyładowane okorowanymi pniami. Z bali utworzono



barykady, za którymi przycupnęli uzbrojeni mężczyźni. Bandyci natychmiast rozpoczęli ostrzał, ale nie przejmowałem się tym, to była tylko przynęta. Grube na kilkadziesiąt centymetrów kłody całkowicie chroniły przed kulami.

Kolejny gest i do akcji ruszyła szambiarka. Pobiegłem i ja, kryjąc się za wozem. Strzegący bocznego okna urka wypruł długą serię z pepeszy, lecz pociski odbijały się od zabezpieczonej blachą kabiny. Przyspawana naprędce osłona ograniczała widoczność kierowcy, ale w końcu ten miał tylko podjechać pod ścianę i zasłonić cysterną okno. Jeszcze chwila i przed piwnicznym okienkiem wyrósł Martyniuk, trzymając oburącz grubego węża, a kierowca pociągnął umieszczoną z tyłu cysterny wajchę. W tym samym momencie rozstawieni wokół budynku mężczyźni rozpoczęli huraganowy ogień, nie pozwalając bandytom na dokładne celowanie.

Ktoś strzelił z piwnicy, raniąc w nogę Martyniuka, ale były sierżant nadal trzymał bluzgający nieczystościami wylot węża, skierowany w okienko. Usłyszałem spazmatyczny kaszel, tupot nóg i odgłos wymiotów. Cóż, trudno walczyć, stojąc pod strumieniem gówna...

– Wystarczy! – wrzasnąłem.

Chlusnąłem benzyną, stojący obok mnie Czumak rwał nożem zabezpieczające okno sieci.

– Wycofać się! – zakomenderowałem.

Uciekając, szarpnąłem za ramię myśliwego, który wrzucił do piwnicy koktajl Mołotowa i właśnie wyjmował drugą butelkę.

– Za mną! – warknąłem.

Skryliśmy się za szambiarką, tymczasem strzelanina słabła. Wyrzałem zza węgła, przez piwniczne okno wydobywała się smużka dymu. Zacisnąłem zęby. Jeśli Martyniuk przesadził, zalane gównem wióry nie będą się palić i cały plan spełźnie na niczym.

– Może poprawię? – rzucił nerwowo Czumak.

Myśliwy trzymał w jednej ręce butelkę zaopatrzoną w szmaciany lont, w drugiej zapalniczkę.

– Nie! – zdecydowałem. – Jeśli podpaliliśmy wióry, wystarczy poczekać, aż ogień przeskoczy na pozostałe pomieszczenia. W innym wypadku wycofamy się, za duże ryzyko.

– Piwnica podzielona jest na boksy – wycedził Martyniuk, obwiązując ranę. – Wszystkie ściany są z drewna. Powinno zadziałać.

– O ile nie zalałeś całej podłogi – mruknąłem sceptycznie.

Martyniuk nie wyglądał na obrażonego sposobem, w jaki się do niego zwróciłem, tak jakby zaakceptował, że jestem jego dowódcą.

– Tylko przy oknie – zapewnił. – Za to obsrałem tego bandziora od stóp do głów, wyglądał jak rzeźba z czekolady. No, pomijając woń i konsystencję materiału...

Wybuchliśmy śmiechem, poczęstowałem towarzyszy papierosem. Żaden z nas nie pachniał zbyt pięknie, a dym pozwalał nieco osłabić smród ekskrementów.

– Jak twoja noga? – spytałem.

– Draśnięcie. Parę śrucin w udo. Nawet specjalnie nie krwawi. Wcale nie są tak dobrze uzbrojeni, jak się obawialiśmy.

– Oby – wtrącił Czumak. – Bo może będziemy musieli załatwić to konwencjonalnie.

– Chyba nie – stwierdziłem, usłyszawszy stłumiony wybuch.

Wychyliłem się zza rogu, dym walił już z dwóch piwnicznych okienek.

– Zabieramy się stąd – rozkazałem. – Jedź na wstecznym – poleciłem Martyniukowi. – Tak, żeby chroniła nas osłona. Dasz radę z tą nogą?

– Bez problemu.

Upchnęliśmy się w kabinie, zawarczał silnik i Martyniuk zaczął cofać wóz. Miałem nadzieję, że bandyci nie mają ciężkiego sprzętu, bo pięciomilimetrowa blacha nie powstrzyma pocisku

z panzerfausta. A niemal każdy żołnierz przywiózł z wojny coś na pamiątkę...

Spodziewałem się kolejnej serii, lecz z okna nie padł nawet jeden strzał. Czyżby bandyci się wystraszyli? Jeśli zadymiło parter...

– Stój! – krzyknąłem. – Osłaniajcie mnie!

Zabrałem Czumakowi butelkę z płynem zapalającym i wyskoczyłem z kabiny. Zakląłem, widząc, że myśliwy biegnie za mną.

– Tnij siatkę!

Czumak przełożył ręce przez kraty i jednym szarpnięciem zerwał rybacką sieć o drobnych oczkach.

– Teraz! – zawołał.

Podpaliłem lont i cisnąłem koktajl Mołotowa do pomieszczenia, celując w zawalony papierami i resztkami jedzenia stół. Po chwili siedzieliśmy już bezpiecznie w kabinie.

Martyniuk objechał szerokim łukiem magazyn i zatrzymał się dopiero za stertą bali.

– Pali się – zameldował jeden z ostrzeliwujących budynek mężczyzn. – Teraz to tylko kwestia czasu, nie dadzą rady tego ugasić.

Wyjrzałem ostrożnie, jedno skrzydło magazynu stało w płomieniach, ogień przeskoczył nawet na dach.

– Pewnie spróbują uciec – ocenił Czumak.

– Niech próbują. – Wzruszyłem ramionami. – Wyjście jest tylko jedno, przez drzwi. Przerwać ogień! – zakomenderowałem.

Bandyci przestali strzelać, nie było sensu marnować amunicji.

– Przenoszą meble – poinformował Martyniuk, odejmując od oczu lornetkę.

– Likwidują barykadę przy drzwiach – mruknąłem. – Uwaga!

Dwóch urków wyprysnęło niespodziewanie na plac przed magazynem, pobiegli każdy w inną stronę. Huknęły strzały i dwa ciała zwały się na ziemię.

– Poddajemy się! – krzyknął któryś z bandytów przez uchylone drzwi.

Po chwili wyszedł z podniesionymi rękoma. Martyniuk spojrział na mnie pytająco. Wyjąłem mu z dłoni mosina, strzeliłem urce w głowę.

– Żadnych jeńców! – powiedziałem twardo.

Zakotłowało się w drzwiach, tym razem wybiegło sześciu. Myśliwi z Listwianki zabijali ich jednego po drugim. Usłyszałem, jak ktoś wymiotuje, odwróciłem się. Pietka. Ech, trzeba go było zostawić...

Przez dłuższy czas nic się nie działo, wreszcie na placu pojawił się chudzielec, którego poznałem w gospodzie. Tym razem nie był już tak elegancki, w biegu zrzucił płonącą marynarkę. Pędził prosto na mnie, w pokrytej bąblami, osmalonej twarzy widać było jedynie oszalałe z bólu oczy.

Wyszedłem mu naprzeciw, wyjąłem pistolet, strzeliłem jak na treningu: dwa razy w pierś, kontrolny w głowę.

– To już chyba wszyscy – powiedział z ulgą Martyniuk. – Jak wieść się rozejdzie, każdy *blatny* będzie omijał Listwiankę szerokim łukiem. To koniec koszmaru!

Czumak odpowiedział aprobującym pomrukiem, rozległy się radosne okrzyki. Wydawało się, że nadeszło długo oczekiwane święto. Przez chwilę.

– Nie, to jeszcze nie koniec – zaprzeczyłem.

– Co macie na myśli, *komandir*? – spytał niespokojnie Martyniuk.

– Zanim wrócę do Moskwy, chcę odkryć, kto porywa i morduje dzieci – powiedziałem.

Na placu zapadła martwa cisza.

– Myślicie, że to ktoś z naszych? – odezwał się w końcu Czumak.

Usiadłem, rozmasowałem skronie, zmęczenie zwały się na mnie jak lawina.

– Wszystko na to wskazuje – odparłem apatycznie.  
– Dacie radę? – rzucił ktoś z nutą wątpliwości. – Rejonowa milicja całe lata węszyła wokół tej sprawy, teraz nawet nie chcą o tym słyszeć.  
– Postaram się.  
– Pomożemy wam – obiecał Martyniuk. – A później załatwimy chuja jak tych urków. Ktokolwiek by to był – dodał z zawziętością.  
– Pomożemy – potwierdził spokojnie Czumak. – Ale to jutro. Teraz odwieziemy was do domu, ledwo trzymacie się na nogach.  
Wracaliśmy w ponurym milczeniu, Pietka nadal walczył z mdłościami. Jutro zacznę przesłuchania, postanowiłem. Jutro...

## Rozdział siódmy



**A**da Sawicka czekała na mnie w swoim gabinecie, tym razem przemeblowano go tak, żeby zrobić miejsce na dodatkowe krzesło. Dziewczyna siedziała za biurkiem z plikiem czystych kartek pod ręką – postanowiliśmy, że będzie udawać protokolantkę, ja zająłem fotel tyłem do okna, a więc miałem Adę po prawej stronie. Krzesło dla świadków i podejrzanych ustawiliśmy naprzeciwko okna, aby widać było w najdrobniejszych szczegółach twarz przesłuchiwanego. Ta odbijała się też w odpowiednio ustawionym lustrze. Jednym słowem, pełna gotowość bojowa, daj Boże, żeby to wystarczyło...

– Wszyscy już czekają – zameldował dziarsko sierżant Klimow.  
– Kogo prosić pierwszego?  
– Czumaka – zdecydowałem.

Nie chciało mi się wierzyć, że myśliwy miał coś wspólnego ze zniknięciem dzieci, dlatego chciałem go wyeliminować w pierwszej kolejności. Prawda, że miałem też zamiar skorzystać z uzdolnień Ady, aby sprawdzić hipotezę zupełnie niezwiązaną ze śledztwem.

Jefim Czumak ubrany był w stare drelichowe spodnie i watowaną kurtkę z demobilu, a jednak w jego sylwetce i ruchach było coś nieuchwytnego, co sugerowało, że przywykł i do bardziej wytwornych ubrań. Nie żebym się dziwił, w Listwiance nie brakowało oryginałów.

– Jestem podejrzany? – zapytał, zakładając nogę na nogę.

– Na razie nie – odparłem szczerze. – Ale muszę zadać wam kilka pytań.

– Rozumiem. Pytajcie.

– Czy macie coś wspólnego z porwaniem dzieci?

– Nie.

Spojrzałem na Adę, dziewczyna nie podniosła głowy, notowała coś gorliwie. Znaczący prawdę.

– Co byście zrobili, gdybyście dowiedzieli się, kto skrzywdził te dzieciaki?

– Zabiłbym jak psa.

Ada nawet nie drgnęła. Prawda.

– Czy przypominacie sobie coś dziwnego czy podejrzanego w sprawie tych porwań?

– Nie bardzo rozumiem pytanie.

– Jesteście inteligentnym człowiekiem, wiecie, o co mi chodzi.

Myśliwy zapatrzył się w okno, pokręcił głową.

– Nie.

Sawicka znowu nie zareagowała, lecz w oczach Czumaka pojawił się cień niepewności, a może odbicie jakiejś myśli? W uderzenie serca później jego twarz wyglądała jak wykuta z kamienia, równie nieruchoma i pozbawiona emocji.

– Kiedy zobaczyliście mnie pierwszy raz, wyglądaliście na zaskoczonego. Dlaczego?

– Wydawało się wam – odpowiedział bez namysłu.

Ada leniwym gestem dotknęła ucha. Kłamstwo.

– Spotkaliśmy się wcześniej?

– Nie.

Milicjantka oparła brodę na pięści. W ustalonym wcześniej kodzie był to znak niepewności. Znaczący synestezja nam nie pomoże. Trudno.

– Kogoś wam przypominam?

– Być może, sami rozumiecie, lata lecą i pamięć już szwankuje. Starość nie radość – odparł z wyraźną kpina.

Nie musiałem patrzeć na Sawicką, żeby zrozumieć, że czas kończyć przesłuchanie. Czumak zorientował się, co robimy, i tak dobierał słowa, żeby nie można było stwierdzić, czy mówi prawdę. Szlag!

– No dobrze, jesteście wolni – zadecydowałem.

– Pokornie dziękuję, *wasze wysokobłagorodie!* – Myśliwy skłonił się w pas niczym pańszczyźniany chłop.

– Wynocha! – warknąłem, popierając polecenie energicznym gestem.

Czumak skłonił się jeszcze raz i wymknął z gabinetu, cicho zamykając za sobą drzwi. A to gadzina!

– To tylko zramolały, stary dziad – odezwała się pocieszająco Ada. – Nie ma się czym przejmować.

– Nie przejmuję się, zastanawiam.

– Nad czym?

– Skąd syberyjski chłop zna tak dobrze tabelę rang?

– Jaką tabelę?

– Dawno temu car Piotr Wielki wprowadził tabelę rang, żeby uporządkować hierarchię urzędniczą w Rosji – wyjaśniłem, tłumiąc zniecierpliwienie. – Słyszałaś, jak się do mnie zwrócił?

– *Wysokobłagorodie.* No i co z tego?

– Każdej randze przysługiwała odpowiednia tytułatura. Pułkownik to szósta ranga i zwracano się do niego właśnie w taki sposób. Sprawa była skomplikowana, bo to zmieniał się w zależności od rozporządzeń kolejnego cara. Tabela, w której stopień pułkownika przyporządkowano szóstej randze, obowiązywała do tysiąc dziewięćset siedemnastego roku.

– Myślicie, że to jakiś biały arystokrata? – Oczy dziewczyny niemal wyszły z orbit.

– Niekoniecznie, choć nie ulega wątpliwości, że *gospodin* Czumak posiada wiedzę, której trudno oczekiwać po syberyjskim myśliwym. Mniejsza z tym. – Machnąłem ręką. – Kiedyś jeszcze do tego wrócimy, teraz mamy robotę. Klimow! – krzyknąłem.



– Tak? – Chłopak zajął do gabinetu.

– Wołaj tego kowala.

– *Słuszajus'!*

Wbrew oczekiwaniom Anton Wierniak okazał się średniego wzrostu, proporcjonalnie zbudowaną mężczyzną, choć grube nadgarstki i potężny kark świadczyły o niebagatelnej sile. Łagodna twarz o wysokim czole mogłaby należeć do profesora uniwersytetu, szare oczy miały nieco roztargniony wyraz.

– Chciałem wam podziękować za Irmę – powiedział w progę, wyciągając rękę.

– Nie ma za co – mruknął, ściskając mu dłoń.

Odpowiedział z siłą, która niemal zmusiła go do jęku.

– Wybaczcie – przeprosił natychmiast. – Czasami się zapominam.

– Ależ nic nie szkodzi – odparł z bladym uśmiechem.

Miałem wrażenie, że jeszcze trochę i zmiażdżyłby mi kości.

– Usiądźcie – powiedziałem. – Musimy porozmawiać.

– Nic nie wiem o tych porwaniach – zastrzegł od razu.

Ada Sawicka przytaknęła niemal niewidocznym gestem. Cóż, nie spodziewałem się, że to akurat kowal okaże się mordercą.

– Niepokojcie się o przybraną córkę?

– Może opuścimy tę „przybraną”? – zaproponował łagodnie. – Niepokoję. Odkąd zaginął Wowa Mikulin, nie pozwalam jej chodzić samej do szkoły ani na dalekie spacer. Tylko po głównej ulicy i do babki Kiry. Tam cały czas jest na widoku.

– Macie może jakieś podejrzenia?

– Myślę, że to ktoś przyjezdny albo jeden z bandytów. Na szczęście ci ostatni to już przeszłość.

– Wielu macie tu gości?

– Przeważnie po kilku w miesiącu, czasem więcej. Geolodzy, górnicy, turyści.

– Skrzywdziliście kiedyś jakieś dziecko?

– Nigdy – odparł zdecydowanie.

Ada udawała, że wypełnia jakiś formularz. Prawda.

– To wszystko – powiedziałem. – Możecie iść.

Dziewczyna odprowadziła wzrokiem kowala, roztarła oczy kułakami.

– Zmęczona?

– Trochę – przyznała. – Na dłuższą metę to wyczerpujące, zawsze potem boli mnie głowa.

– To co, kończymy?

– Może przesłuchajcie jeszcze jednego? – zaproponowała. – Resztę zostawimy na później.

– Niech będzie. Klimow!

– Tak?

– Poproś jeszcze Godowskiego, pozostali są wolni, pogadam z nimi jutro.

Usłyszałem odgłos pospiesznych kroków, trzasnęły drzwi, widać Kotrikadze i Zajcew skwapliwie skorzystali z możliwości opuszczenia posterunku.

Mężczyzna, który pojawił się w gabinecie, miał złamany nos, ale regularne rysy twarzy, muskularna sylwetka i widoczna w każdym ruchu pewność siebie sprawiały, że mógł podobać się kobietom. Także dużo ładniejszym od milicjantki Sawickiej.

Godowski zatrzymał się na środku pomieszczenia i zmierzył mnie badawczym wzrokiem, nie poświęcając Adzie nawet spojrzenia.

– Słucham was, pułkowniku – zagaił. – W czym mogę wam pomóc?

– Siadajcie.

Mężczyzna skorzystał z zaproszenia, ale w jego pozie widać było ukryte napięcie.

– Byliście w Listwiance, kiedy porywano dzieci?

– Tak.

Krótko, sucha odpowiedź, żadnych wyjaśnień czy oznak niepokoju.

– Co wam wiadomo o porwaniach?

– To, co wszystkim – odparł obojętnie, wzruszając ramionami.

Kłamstwo, zasygnalizowała Ada. Czyżby jednak mogła odczytać emocje Godowskiego? Chyba że chce wkopać byłego kochanka. Ech, baby...

– Zrobiliście krzywdę któremuś z tych dzieciaków?

– Nie.

Sawicka dotknęła ucha. Kłamstwo.

– W zasadzie – uzupełnił Godowski. – Edik Kowalow był niezłym urwisem, wybił mi szybę. Złapałem go i przetrzepałem skórę.

Milicjantka pisała coś gorliwie. Znaczy prawda.

– Podejrzewacie kogoś?

– Nie.

Spojrzałem na Adę: kłamstwo.

Aha, tu jest pies pogrzebany. Jednak dlaczego Godowski nie chce powiedzieć, w czym rzecz? Boi się? Wątpliwe. Czyżby chciał chronić sprawcę?

– Wiecie, kim jestem? – spytałem.

– Pułkownikiem milicji.

– To prawda, ale przede wszystkim jestem kimś, kto może zamienić twoje życie w koszmar – powiedziałem, rezygnując z konwenansów. – A w tym momencie wiem, że kłamiesz. Nie próbuj nawet nadymać się i prężyć mięśni – ostrzegłem, widząc, jak mężczyzna zaciska pięści. – Zastrzelę cię, zanim zdążysz wstać. A gdybym był w lepszej kondycji, połamałbym ci gnaty, ot tak, tylko po to, żeby zetrzeć z twojej gęby ten wyraz głupawego samozadowolenia!

Dźwięk, jaki wydobył się z ust Godowskiego, bardziej przypominał warknięcie dzikiego zwierzęcia niż odgłos, jaki mogła wydać istota ludzka.

– A teraz do rzeczy, gadaj, co wiesz!

– Chcecie znaleźć kozła ofiarnego? – wycedził.

– Nie! Chcę znaleźć mordercę, ty głupi chuju! W przeciwnym wypadku jechałbyś już pod konwojem do Irkucka!

Żyły na skroniach Godowskiego nabrzmiały jak powrozy, a twarz zastygła w wyrazie wściekłości, jednak po chwili mężczyzna zdołał się opanować.

– To nic konkretnego – zastrzegł, splatając z chrzęstem palce. – Być może zwykłe bajdurzenie alkoholika.

– Słucham! – ponagliłem.

– Jestem brygadzystą w tartaku i to ja przyjmuję do pracy i zwalniam robotników. To największy zakład w okolicy, około dwustu chłopów. W sezonie mamy spory ruch i wielu przyjezdnych, ludzie często przychodzą na miesiąc czy dwa, żeby zarobić trochę grosza i wyrwać się z tej głuszy, ale są i tacy, którzy zostają dwa, trzy lata. Wielu z nich to byli więźniowie.

Godowski zamilkł, więc zachęciłem go gestem, aby kontynuował.

– Pracował tu taki jeden – wymamrotał niechętnie. – Urka. Facet chciał skończyć z tym całym gównem, nie pociągała go już *blatna* romantyka, ale znał środowisko jak mało kto. Pochodził z Moskwy.

– Tak?

– To było zaraz po tym, jak miejscowi bandyci pobili naszego nauczyciela. Wtedy Mitia Kuzaj, tak się nazywał, powiedział, że gdyby przestrzegali zasad, to powinni rozprawić się nie z belfrem, tylko z dyrektorem szkoły. I dodał, że może wtedy dzieciaki przestałyby znikać.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia, nie drążyłem tematu.

– Nie byłeś ciekawy?

– Miałem wówczas sprawę do załatwienia – odparł defensywnie. – Myślałem, że pogadam z nim później. Tymczasem Mitka wziął urlop i wyjechał do Irkucka.

– No i co z tego?

- On już nie wrócił...
- Zabili go? – spytałem szybko.
- Napił się fałszowanej wódki i nie przeżył tego eksperymentu. Mówiłem, że był alkoholikiem.
- Co za sprawę musiałeś tak pilnie załatwić?
- Artiom Lewszenko, ten nauczyciel, był moim kolegą, postanowiłem więc wyrównać rachunki – odburknął, unikając mojego wzroku. – Złamali mu rękę, kilka żeber, wybili zęby. Jakby nie przegonił ich nasz kowal, pewnie zatłukliby Artiona na śmierć.
- Dlaczego go pobili?
- Przyszli kiedyś do szkoły i zaczepiali dziewczuszki z dziesiątej klasy, a on kazał im się wynosić. Była akurat jakaś akademia i kręciło się tam paru rodziców, więc poszli, ale postanowili się z nim rozliczyć. No i złapali go po zmroku w takiej uliczce niedaleko sklepu.
- No dobrze, wracając do rzeczy, o co chodziło z tym dyrektorem?
- Skąd mam wiedzieć?! – warknął gniewnie. – Mitka nic konkretnego nie powiedział!
- Westchnąłem ciężko, nikt nie lubi, jak się mu grozi, dlatego doświadczony śledczy nigdy nie wymusza zeznań, bo wówczas nie ma mowy o dobrowolnej pomocy ze strony świadka, problem w tym, że ja nie miałem czasu na subtelności. Zegar tykał. W tej sytuacji istniały tylko dwie opcje: albo złamię Godowskiego, albo się z nim dogadam. Pierwsza odpadała z oczywistych względów – nie wyglądał na mięczaka, a ja nie miałem ochoty torturować niewinnego, niechby i upartego jak osioł człowieka. Zresztą nikt by mi nie pozwolił. Nie tu, w Listwiance.
- Przepraszam – powiedziałem.
- Słucham...?
- Powiedziałem przepraszam – powtórzyłem. – Jak wiesz, trochę się tu ostatnio działo i jestem przemęczony. I naprawdę

chcę znaleźć gnoja, który zabija wasze dzieci. Bo zdajesz sobie chyba sprawę, że na miejscową milicję nie ma co liczyć?

Sawicka splonęła krwistym rumieńcem i spuściła głowę. No ładnie, za chwilę będę miał kolejną obrażoną, widać marnuję się w milicji, trzeba mi do dyplomacji...

– Nie mówiłem o tobie, smarkulo – sprostowałem znużonym tonem. – Akurat ty robisz, co możesz.

Tym razem Ada zaczerwieniła się z zadowolenia i kokieteryjnie wypięła biust, popatrując spod opuszczonych rzęs na Godowskiego.

– Czego ode mnie chcecie?

– Żebyś przestał się dąsać jak baba i powiedział mi wszystko, co wiesz, łącznie z tym, co tylko podejrzewasz. Jeśli wyjadę, nie rozwiązawszy tej sprawy, śledztwo zostanie wznowione nie wcześniej, aż umrze kolejne dziecko. O ile miejscowi decydenci nie znajdą sposobu, jak wmieść to pod dywan. A wierz mi, postarają się ze wszystkich sił! Nikt nie ma ochoty zajmować się grasującym od wielu lat nieuchwytnym maniakiem.

Godowski ponownie splótł palce, aż zachrząściło w stawach.

– Nie pamiętam detali, ale wydaje mi się, że chodziło o jakąś nieprzyjemną historię, w którą wplątana była młoda, być może nieletnia panienska – odparł niechętnie. – Mitka sugerował, że Kotrikadze musiał wynieść się z Moskwy w obawie o swoje życie. Nic więcej nie wiem.

Mruknąłem potakująco. Jeśli dziewczuszka pochodziła z *blatnych*, a Kotrikadze ją zgwałcił, miałby szczęście, gdyby pierwsza dorwała go milicja.

– Mogę iść? – wyrwał mnie z zadumy Godowski.

– Oczywiście.

Podniosłem się z fotela ze stęknieniem, wyciągnąłem rękę, przyjął ją bez wahania, patrząc mi prosto w oczy. No i dzięki Bogu, wrogów i tak mi nie brakowało.

– Koniec na dzisiaj – oznajmiłem, kiedy zostaliśmy sami.

- Dobrze się czujecie?
- Niespecjalnie – przyznałem.
- Może położycie się na godzinkę?
- Gdzie? Macie tu jakieś łóżko?
- Nie, ale przecież mieszkam dwa domy dalej.
- To chodźmy.

Dziewczyna pomogła mi się ubrać i wyszliśmy na ulicę. Ciepły wiosenny wiatr przyniósł zapach ziemi i lasu.

- To tutaj – powiedziała.

Stare drewniane drzwi pamiętały pewnie czasy wojny krymskiej, Ada otworzyła je żelaznym kluczem, poprowadziła do swojego pokoju. Pomieszczenie zastawione było meblami rozmaitego autoramentu, pod oknem stało potężne łoże z rzeźbionym oparciem. Roślinne wici otaczały szlachecki herb, mebel z pewnością nie był przeznaczony dla proletariatu.

– Skąd masz to łóżko? – spytałem, siadając. – Wyszabrowałaś je z jakiegoś pałacu?

– Nie ja – odparła obojętnie. – To graty mojej gospodyni, Klaudii Władimirowny. – Zatoczyła ręką krąg. – A ja już dawno nauczyłam się, że o pewne rzeczy lepiej nie pytać. Miejscowi nie lubią ciekawskich.

- Grozili ci?

– Ależ skąd! Tylko że gdybym była zbyt dociekliwa, spałabym na materacu, a tak mam wygodnie urządzone pokój.

- Mądra dziewczynka – pochwaliłem.

Ada podziękowała za komplement uśmiechem, włączyła kuchenkę.

- Odgrzeję wam pierogi – zaproponowała.

– Może później, ale ty zjedz, jeśli jesteś głodna, ja na razie muszę odprawić szamańskie ceremonie.

Zdjąłem buty i z ulgą wyciągnąłem się na łóżku, zacząłem masować brzuch.

Milicjantka przyglądała mi się chwilę, po czym wzięła się do

przygotowania posiłku. Stopniowo moje powieki nabierały ciężaru, jakby ktoś położył na nich ołowiane monety, wreszcie zapadłem w niespokojny, pełen koszmarów sen.



Obudził mnie zapach smażonej słoniny, zasyczało wrzucone na patelnię jajko. Podniosłem się ostrożnie, zerknąłem na zegarek: przespałem trzy godziny.

– Siadajcie do stołu – poleciła Ada. – Zaraz skończę.

Zwlokłem się z łóżka, zrobiłem kilka przysiadów. Coś chrupnęło mi w krzyżach, odwykłe od wysiłku mięśnie zareagowały bólem. Czas umierać albo na poważnie wziąć się do ćwiczeń. Jedno z dwóch...

– Chcecie chleba?

Potwierdziłem nieartykułowanym pomrukiem.

– Smacznego.

– A ty?

– Już jadłam. Herbaty?

– Poproszę.

Dziewczyna postawiła przede mną patelnię, nie fatygując się przekładaniem jajeczniczy na talerz.

– Skąd taka rozkosz? – spytałem. – Jajka, słonina?

– Och, wiecie, tu wszyscy coś hodują. W końcu to wieś. A wy macie specjalny status.

– Co za status?

– Jak zasnęliście, wyszłam do sklepu, żeby kupić coś do jedzenia, bo z tych pierogów niewiele zostało. Kiedy ludzie dowiedzieli się, że to dla was, dostałam kilo słoniny, kosz jaj i paczkę herbaty spod lady. Troszczą się o was.

– Wariactwo – wymamrotałem.

– Tak to jest w tych stronach, wy pomogliście im, oni pomagają



wam. Może zostaniecie? – zaproponowała z kpiącym uśmiechem.  
– Pomyślcie: dożywotnia darmowa wyżerka, szacunek miejscowych, do tego wystarczy skinąć, a tutejsze ślicznotki...

Pacnąłem Adę w czoło otwartą dłonią, odskoczyła, chichocząc złośliwie.

– Chcecie wrócić do siebie? Bo mogę zadzwonić po Pietkę.

– Nie, odwiedzę poprzedniego komendanta, najwyższy czas z nim pogadać. Ale zajdziemy na posterunek, muszę zatelefonować.

– Zaprowadzę was do komendanta Rogozina, to niedaleko.

– Wolałbym rozmawiać z nim sam na sam.

– Przydam się – zaproponowała.

– Nie tym razem. Przecież nie potrafisz odczytać jego emocji, prawda?

– Bardzo mi pomógł, kiedy się tu pojawiłam – odparła obronnym tonem. – Tak, lubię go.

– Na zdrowie. Sama widzisz, że w niczym mi nie pomożesz. Do tej pory radziłem sobie bez żywego wykrywacza kłamstw, dam radę i teraz.

– Jak uważacie – parsknęła rozzłoszczona.

– Chodźmy – ponagliłem.

Na posterunku sierżant Klimow przekomarzał się przyjaźnie z przysadzistą kobietą pod czterdziestkę, biurko, za którym siedział, zastawione było butelkami wypełnionymi przezroczystą cieczą.

– Marina? Co się dzieje? – rzuciła Sawicka. – Archipycz znowu wziął się za swoje?

– Ano wziął, gadzina! – odparła zapytana, zaplatając ręce na obfitym biuście.

– Mąż Mariny pędzi bimber – wyjaśniła na mój użytek milicjantka. – Nie wiemy, gdzie trzyma aparaturę, ale mniej więcej raz na kwartał robimy nalot na jego skrytki i konfiskujemy alkohol.

– Z jakim skutkiem?

– Niespecjalnym – przyznała. – Jednak na jakiś czas pomaga. Rozumiecie, on po wypiciu staje się agresywny. Normalnie nie skrzywdziłby muchy, ale jak mu w porę nie zabierzemy zapasów, robi się nieprzyjemnie. W zeszłym roku złamał Marinie dwa żebra.

Pokiwałem głową, oto problemy Listwianki: nielegalny bimber i pijak tłukący swoją babę.

– Może porozmawialibyście z nim, towarzyszu Razumowski? – zaproponował Klimow.

– Ja? Jestem przekonany, że dasz sobie radę – zapewniłem chłopaka.

Przeszedłem do gabinetu Ady, zamknąłem za sobą drzwi, po chwili połączyłem się z Moskwą.

– *Komandir?* – odezwał się w słuchawce Kotuszew.

– Kto z twoich ścigał Kuwałdę?

– Wład – odpowiedział natychmiast. – Było z nim dwoje innych, ale to on zameldował, że go zastrzelił.

– Najwyraźniej nie do końca – poinformowałem zimno. – Kuwałda zmartwychwstał i nieźle tu zaszalał.

– Straty?

– Zastrzelił lekarza.

– Chcecie, żebym sam to załatwił?

– Nie, poczekaj na mnie.

– Jak sobie życzycie.

Głos Timy jak zwykle brzmiał obojętnie, choć tym razem można w nim było wychwycić metaliczne nutki. I nic dziwnego, to Kotuszew był odpowiedzialny za szkolenie kursantów, a wyglądało na to, że jeden z nich naruszył wszelkie możliwe zasady i puścił wroga wolno. No nic, niedługo dowiemy się dlaczego i winny zostanie ukarany. Bywa, że *wojennaja razwiedka* patrzy przez palce na niektóre sprawy, w naszej firmie nikogo nie bulwersuje fakt, że pewien procent zdobyczy

trafia bezpośrednio do kieszeni żołnierzy, ale jest jedna rzecz, jakiej nie toleruje w żadnych okolicznościach: zdrada. I wszyscy wiedzą, że nie będzie przedawnienia, a winny prędzej czy później zapłaci za swój postępek. Przekona się o tym i *gospodin* Wład...

Kolejny telefon wykonałem do MUR-u i poprosiłem Katię Romanienko, żeby odszukała dla mnie akta Kotrikadze. Jeśli Godowski mówił prawdę, być może został jakiś ślad w papierach.

Kiedy wróciłem do pomieszczenia, w którym przyjmowano interesantów, sierżant Klimow właśnie likwidował dowody winy nieznanego mi bliżej Archipycza. Chłopak kilkoma łykami opróżnił napełnioną do połowy szklanę, zakąsił suszoną kiełbasą, która nie wiadomo skąd pojawiła się na biurku.

– Czterdzieści procent jak obszył – zawyrokował ze znanstwem. – Z ziemniaków. Poczęstujecie się? – zaproponował. – Archipycz wie, jak pędzić bimber.

– Dziękuję, może innym razem.

Ada pierwsza wyszła przed komisariat, przytrzymała mi drzwi.

– To co, pokazać wam, gdzie mieszka Rogozin?

– Pokaż.

– To niedaleko, jakieś czterysta metrów. Dacie radę?

– Postaram się – mruknąłem.

Po paru minutach pogratulowałem sobie przezorności, wybrukowana była tylko główna ulica, wszędzie indziej błoto sięgało powyżej kostek. Gdybym nie włożył wysokich butów, nie uszedłbym daleko.

– To tutaj – powiedziała Ada, wskazując murowany parterowy dom.

Mimo że usytuowany blisko centrum, budynek znajdował się na peryferiach osady, a prowadząca do niego wąska uliczka była raczej mało uczęszczana.

– Dalej pójde sam – oznajmiłem. – Nie chcę, żeby to wyglądało

na oficjalne przesłuchanie.

Milicjantka zbyła moje obiekcje wzruszeniem ramion, jednak posłusznie zawróciła.

Chałupę otaczał zaniedbany ogród pełen chaotycznie rozmieszczonych drzew i krzewów, ale wyznaczający granicę posesji płot zbudowano solidnie, podobnie jak zbitą z grubych desek bramę.

Podszedłem bliżej i użyłem mosiężnego dzwonka, najwyraźniej gospodarz cenił sobie spokój i odosobnienie. Nie żebym się dziwił, od lat mieszkałem w Moskwie, lecz czasem denerwował mnie nawet przytłumiony nocny szum wielkiego miasta.

Szpakowaty mężczyzna, który wyszedł przed dom, musiał mieć przynajmniej sześćdziesiąt lat, jednak poruszał się energicznie, zachowując doskonałą koordynację. Krzepka budowa ciała i płaski brzuch świadczyły, że mimo wieku utrzymuje się w formie. W zgięciu ramienia trzymał starą amerykańską strzelbę okopową, pamiętającą czasy pierwszej wojny światowej, choć dało się zauważyć, że broń jest w doskonałym stanie.

– Kto tam? – zapytał.

– Pułkownik Razumowski, z MUR-u.

– Wejdźcie – zaprosił. – Nigdy nie zamykam bramy.

No tak, Listwianka...

– Przepraszam za bałagan – uprzedził. – Ale sami rozumiecie, brak kobiecej ręki.

Okrągły dębowy stół w pomieszczeniu pełniącym funkcję salonu zasłany był wyglądającymi oficjalnie dokumentami i odręcznymi notatkami. Poznałem kilka szkiców, jakie widziałem wcześniej w aktach dotyczących zaginionych dzieci. Stojące wzdłuż ścian regały wypełnione były książkami.

– Siadajcie. – Wskazał wygodny fotel.

Sam zajął miejsce naprzeciwko, założył nogę na nogę.

Zauważyłem niewielkie wybrzuszenie w cholewie prawego buta. Znaczący nóż. Po czorta zbroił się po zęby we własnym domu? Z drugiej strony, biorąc pod uwagę, że w okolicy znajdowało się kilka łagrów, a przez Listwiankę przewijali się świeżo oswobodzeni więźniowie, w tym wielu kryminalnych, ostrożność była zrozumiała.

– Czasem bywa tu niespokojnie – powiedział, kiedy przechwycił moje spojrzenie. – Może nie aż tak jak ostatnio, ale i wcześniej zdarzały się różne incydenty. A w latach dwudziestych mieliśmy tu prawdziwą wojnę.

– Tak?

– Kręcił się tu wtedy ataman Trofimow, rozmaite bandy, niedobitki kappelowców, wreszcie Biała Żmija.

– Co za żmija?

– Kobieta, arystokratka. Dowodziła oddziałem białej partyzantki, podobno utrzymywała kontakt z wielkim księciem Mikołajem Mikołajewiczem. Jej ludzie walczyli do tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego, później słuch o nich zaginął, jakby rozplłynęli się w powietrzu.

– Naprawdę nikogo z nich nie schwytano?

– Naprawdę. To nie była zwykła banda.

– Byliście tu wtedy?

– Tak, przyjechałem do Listwianki w dwudziestym drugim. Raz nawet spotkałem Białą Żmiję.

Uniosłem w zdziwieniu brwi. W czasie wojny domowej rzadko brano jeńców, chyba żeby ich potem publicznie rozstrzelać lub powiesić, żadna ze stron nie przejmowała się nijakimi zasadami, obie brodziły po kolana we krwi.

– Też się dziwię, że przeżyłem – przytaknął moim myślom Rogozin. – Ale powtarzam, to nie byli bandyci. W jej oddziale zawsze panowała żelazna dyscyplina, a jeśli kogoś zabijali, to albo w walce, albo z konkretnego powodu. Oczywiście, jeśli podziela się ich punkt widzenia – dodał pospiesznie.

– I z jakiego powodu zabijali?

– Wielu naszych uważało, że ogień najlepiej zwalczać ogniem, to znaczy terrorem... Komendantem był wówczas niejaki Komenko. Pankrat Komenko. Małorolny, gdzieś spod Pskowa. Obsesyjnie nienawidził białych i mścił się na nich przy każdej okazji, a takich wówczas nie brakowało. Miarka się przebrała, kiedy zastrzelił miejscowego popa i aresztował jego żonę. To była ładna dziewczyna, miała dwadzieścia pięć lat, pamiętam jak dzisiaj. – Zamyślił się na moment. – Rozumiecie, nie tylko aresztował. Wtedy posterunek był o wiele większy, mieścił się w budynku dzisiejszej szkoły, wszyscy, którzy tamtędy przechodzili, słyszeli jej krzyki... Biali zaatakowali nad ranem, wartownicy byli pijani, więc nawet nie stawiali oporu. Komenkę znaleźli w jego pokoju razem z nagą, przykutą do łóżka popadką. Zamknęli nas wszystkich w więzieniu i zaczęli sądzić. Miejscowi mogli składać skargi, anonimowo, na piśmie. A Biała Żmija czytała je i decydowała, co z kim zrobić... Siedzieli w Listwiance dobry tydzień, musieli zablokować wszystkie drogi, żeby nikt nie dał znać do Irkucka. No, Komenkę powiesili od razu, podobnie jak kilku innych towarzyszy wybijających się w walce z kontrą – dorzucił z ledwie wyczuwalną ironią. – Resztę sądzili, w tym i mnie. Uczciwie sądzili – zapewnił, widząc moją minę. – Każda skarga była sprawdzana. Ja zostałem uniewinniony.

– Jak ona wyglądała?

– Smukła, średniego wzrostu, ciemne włosy. Twarzy nie widziałem, bo nosiła maskę.

– Jak ocenilibyście jej wiek?

– Bo ja wiem? Wydaje mi się, że między trzydzieści a czterdzieści lat. Ale przecież nie odwiedziliście mnie, żeby wspominać stare dzieje?

– Macie rację. Chciałbym wiedzieć, co sądzicie o porwaniach dzieci. Pracowaliście nad tą sprawą dłużej niż ktokolwiek inny.

– Pracowałem – odparł ponuro. – Niestety, bez rezultatu.

Pewnie jestem ostatnią osobą, która powinna się wypowiadać na ten temat.

– Nie przesadzajcie, śledczy z rejonu też nic nie działali, mimo że mieli większe możliwości.

– Możliwości! – parsknął wzgardliwie. – Od lat zastanawiam się, gdzie popełniłem błąd, tylko że nic z tego nie wynika. – Wskazał na zasłany papierami stół.

– Może ktoś wydał się wam szczególnie podejrzany? Jak uważacie, to miejscowy?

Rogozin bez słowa wstał z fotela, podszedł do regału i wyciągnął zza książek butelkę koniaku.

– Prezent od sekretarza *rajkomu* – wyjaśnił. – Za to, że znalazłem jego córkę, kiedy bryknęła do Irkucka zaznać miejskiego życia.

Przyjąłem alkohol w poobijanym kubku, skosztowałem. Trunek był naszej produkcji, ale z wyższej półki, taki robią tylko dla nomenklatury.

– Jest jedna sprawa, która nie daje mi spokoju – przyznał niechętnie. – I owszem, moim zdaniem to miejscowy. Człowiek z zewnątrz nie mógłby działać tak długo niezauważony.

– Więc?

– Swego czasu zwróciłem uwagę na dyrektora szkoły.

– Kotrikadze?

Rogozin skinął głową.

– Rozumiecie, to nie było nic konkretnego, zaledwie wrażenie, być może mylne.

– A konkretnie?

– Chodzi o sposób, w jaki traktował dzieci. Głaskał, przytulał, zarówno chłopców, jak i dziewczęta, szczególnie z młodszych klas. Z jednej strony to naturalne, z drugiej w świetle tego, co się stało... – Machnął bezradnie ręką.

– To wszystko?

– Nie. Niezupełnie. Mieliśmy tu taką dziewczuszkę, Marusię

Kurilenko. Nie wiem, co zaszło między nią a Kotrikadze, ale matka Marusi zabroniła jej przychodzić na dodatkowe zajęcia prowadzone przez dyrektora i nie puściła na wycieczkę szkolną do Leningradu, a wierzcie mi, że taka gratka rzadko się u nas zdarza. Dzieciaki prawie biły się o możliwość wyjazdu. Z wyjątkiem Marusi...

– Można porozmawiać z tą dziewczyną albo jej matką?

– Pewnie tak, z tym że nie tutaj. Dwa lata temu przeniosły się do Moskwy. Tatiana Kurilenko wydała się za jakiegoś przyjezdnego inżyniera i wyjechała z nim do stolicy. Oczywiście zabrała ze sobą córkę.

– Nie próbowaliście dowiedzieć się, w czym rzecz?

– Próbowałem, ale Tatiana nie chciała ze mną gadać, stwierdziła, że to nie moja sprawa, i tyle. Rozumiecie, miejscowi są dość specyficzni, a ja nadal, mimo że spędziłem tu pół życia, jestem obcy.

– A Zajcew?

– Ten hydrolog? Nie sędzę.

– Dlaczego? Czyżby miał alibi?

– Wręcz przeciwnie, jednak to mało prawdopodobne. Uważam, że sprawca musiał budzić zaufanie, po pierwszym porwaniu dzieci były ostrożne. Tymczasem Zajcew...

– Tak? – ponagliłem niecierpliwie.

– Dzieciaki go nie lubiły, zresztą z wzajemnością. Wyśmiewały go na każdym kroku.

– Nie studiowałem dokładnie dokumentów, ale Sawicka owszem i nic mi nie mówiła, jakoby Zajcew był mniej podejrzany niż inni.

– Nikt tego nie opisał w dokumentach. Rozumiecie, sprawa była nieco wstydliva, a śledczy z rejonu żądali tylko faktów.

– No, wyduście to z siebie wreszcie!

– Dziesięć, a może jedenaście lat temu szkoła rozpoczęła kampanię na rzecz higieny. Tak było w całym kraju. W klasach



sprawdzano, czy uczniowie mają czyste ubrania i ręce, robiono regularne przeglądy, propagowano mycie zębów, sami wiecie, jak to wyglądało. Jednym słowem, dzieci były uczulone na tym punkcie, tymczasem towarzysz Zajcew nie przykładła specjalnej wagi do ablucji, więc jakiś chuligan nazwał go śmierdzielem, za nim poszli inni i od tej pory raczej nie cieszył się szczególnym autorytetem. Wątpię, żeby jakiegokolwiek dziecko zaufało mu na tyle, żeby pójść z nim do lasu. A w przynajmniej dwóch przypadkach sprawca spotykał swoje ofiary niemal w centrum Listwianki. Nie mógł ich z miejsca ogłuszyć i nieść przewieszonych przez plecy!

Mruknąłem potakująco, to miało sens. Postanowiłem mimo wszystko przesłuchać Zajcewa, lecz w świetle tego, co powiedział Rogozin, nie obiecywałem sobie zbyt wiele po rozmowie z niedomytym hydrologiem. Co innego Kotrikadze. Ten imponował dzieciakom i jako atleta, i ze względu na stanowisko, dla uczniów dyrektor szkoły jest pierwszy po Bogu. Taaak, najwyższy czas uciąć sobie pogawędkę z towarzyszem dyrektorem.

Pożegnałem się z byłym komendantem i pomaszerowałem do domu, musiałem porozmawiać z babką Kirą i poćwiczyć machanie rękoma.



Na śniadanie dostałem apetyczne trójkątne pierożki smażone na głębokim tłuszczu, nadziewane mięsem i kapustą. Danie w sam raz na chłodny syberyjski dzień. No, względnie chłodny, bo od tygodnia temperatura nie spadała poniżej zera.

– Marusia Kurilenko? – powtórzyła w zadumie babka Kira. – Przypominam sobie tę dziewczynę. Rzeczywiście, była zamieszana w jakąś nieprzyjemną historię z dyrektorem, ale nie

wiem dokładnie, o co chodziło.

– Nie szkodzi – odparłem ponuro. – Towarzysz Kotrikadze wyjaśni mi to ze szczegółami.

– Co jeszcze powiedział ci Rogozin?

– Nic specjalnego, wspominał dawne czasy.

– A konkretnie?

– Kontrrewolucję. To prawda, że ludzie Białej Ziemi opanowali na tydzień Listwiankę?

Moja gospodyni skrzywiła się, jakby poczuła na języku jakiś nieprzyjemny smak.

– Stary pleciuga! – burknęła.

Skosztowałem kolejnego pierożka, popiłem herbatą.

– Było coś takiego – przyznała niechętnie. – Wyciągnęli z lochów miejscowej czerezwyczajki kilkunastu więźniów i powiesili czerwonego komisarza.

– Czerezwyczajki? Myślałem, że chodziło o milicję.

– Milicja była swoją drogą, a bezpieka swoją. Ci nasi czekałsi należeli do najokrutniejszych w okolicy. Rabowali, gwałcili, mordowali, wymuszali kontrybucje. W końcu się doigrali, po śmierci Komenki zlikwidowano oddział terenowy, została tylko milicja.

– Co to za człowiek ten Rogozin?

Babka Kira wzruszyła ramionami, zapatrzyła się w dal.

– Normalny. Można się było z nim dogadać. Zresztą po rajdzie partyzantów na Listwiankę nagle te wszystkie czerwone sokoły zrobiły się dużo grzeczniejsze, wiesz, wcześniej niektórzy czuli się nieśmiertelni...

Obrzuciłem starszą panią szybkim spojrzeniem, użyła słowa „partyzanci”, nie zastanawiając się, co mówi, a raczej wypowiadając na głos myśli. A przecież żaden praworządny obywatel naszego kraju nie mógł tak nazywać kontrrewolucjonistów. Dla nich zarezerwowane były inne terminy, takie jak „bandyci” czy, w najlepszym wypadku, „siły

reakcji”. Wniosek? Babka Kira sympatyzowała ze stroną, która przegrała wojnę domową, a biorąc pod uwagę jej zachowanie w czasie konfrontacji z Kuwałą, wątpliwe, żeby ograniczyła się do modlitwy za cara. Kto wie czy sama nie wykopała stołka spod nóg jakiegoś czerwonego aktywisty?

– Może spróbujcie używać innych określeń? – poradziłem sucho. – Bo jeszcze ktoś weźmie was za sympatyczkę Białej Gwardii.

– Nie sądzisz chyba, że rozmawiam z innymi tak swobodnie jak z tobą? – odparła z roztargnieniem. – A teraz zbieraj się, miałeś być u Ady o dziewiątej. Naprawdę myślisz, że to Kotrikadze?

– Trudno to już teraz przesądzać, zobaczymy, co powie.

– Uważaj na siebie. Jeśli to on, nie da się ot tak aresztować. Nie po tym, co zrobił.

– Będę uważał – obiecałem.

W drodze na posterunek nie myślałem wiele o dochodzeniu, zastanawiałem się raczej nad osobą mojej gospodyni. Jak znalazła się na Syberii? Co robiła w czasie wojny domowej? Czy uczestniczyła w ataku na Listwiankę? A może sama była Białą Żmiją? I najważniejsze: co mam z tym robić? Drążyć temat czy udawać, że nic się nie stało? Bo o ile przeżyję kilka najbliższych miesięcy, przyjdzie mi z nią współpracować. Dwieście kilogramów złota nie w kij dmuchał, przy tym czort wie, ile jeszcze można wydobyć z tej zapomnianej przez Boga i ludzi kopalni. Podobne bogactwo może skusić nie tylko lokalnych bandytów, a przy takich stawkach przez trupa przestępuje się jak przez kłodę, bez nijakich wyrzutów sumienia...

Odpowiedziałem uśmiechem na pozdrowienie Leny Azarowej, po raz kolejny podziwiając zgrabną sylwetkę ekspedientki. Może kiedyś nadejdą czasy, kiedy wysoka, długonoga dziewczyna nie będzie traktowana jak dziwadło. Może. Jednak z pewnością nieprędko, i raczej nie w syberyjskiej głuszy.

Przed posterunkiem kręciło się kilku mężczyzn, gdybym spotkał ich w innych okolicznościach, pomyślałbym, że spacerują. Tylko jakie spacerują w Listwiance o tej porze roku? Żaden z nich nie trzymał broni, choć założyłbym się, że nie przyszli tu z pustymi rękoma. Cóż, nie tylko ja wyczuwałem, że śledztwo zbliżało się ku końcowi.

Pchnąłem energicznie drzwi, obaj podejrzani siedzieli naprzeciwko sierżanta Klimowa. Kotrikadze na mój widok zerwał się na równe nogi, krzycząc coś z oburzeniem, ale powstrzymałem go gestem i wszedłem do gabinetu Ady.

– Co tam się dzieje? – Wskazałem okno.

– Rozeszły się wieści, że porywaczem jest albo Kotrikadze, albo Zajcew – odparła, wzruszając ramionami. – Więc ludzie czekają na finał.

– Idiotyzm! A co, jeśli przesłuchania nic nie dadzą?

– Skąd mam wiedzieć? Jestem tu od niedawna. Ale wątpię, żeby odpuścili.

– No dobrze – westchnąłem. – Dawaj tu tego hydrologa!

Uniosłem głowę, kiedy Zajcew wszedł do gabinetu, ale i bez tego wiedziałbym o jego obecności. Miejscowe dzieciaki nie przesadzały, mężczyznę otaczała woń zastarzałego potu i niepranej od dawna odzieży. Wąska, niesymetryczna twarz zastygła w wyrazie niepokoju.

– Czego wam? – burknął niegrzecznie. – Nie mam czasu na głupoty!

– Chciałbym, żebyście odpowiedzieli na kilka pytań, to wszystko – powiedziałem uspokajająco.

– Nie macie prawa mnie przesłuchiwać! Ciekawe, czy nasze władze wiedzą, że prowadzicie nielegalne śledztwo?

– Wolicie, żebym was wezwał do Moskwy? – rzuciłem cicho.

Zajcew wzdrygnął się gwałtownie i skulił ramiona.

– Pytajcie! – wycedził. – Nie mam nic do ukrycia.

– Macie coś wspólnego z porwaniami dzieci?

– Nie!

Spojrzałem na Adę, dziewczyna niezdecydowanie pokręciła głową. Czyli ani tak, ani nie. Też mi wykrywacz kłamstw!

– Zabiliście jakieś dziecko?

– Nie!

Milicjantka Sawicka gorliwie przeglądała akta, znaczy prawda.

– Wiecie, kto to zrobił?

– Nie.

Ada nie uniosła głowy znad papierów. Prawda.

– Zauważyliście coś podejrzanego?

– Żeby to raz!

– Nie rozumiem?

– Włóczę się po okolicy, więc czasem widzę to i owo. Ale nie wiem, czy będziecie zainteresowani – dodał z przekąsem.

– Na przykład?

– Nooo, wiem na przykład, że Lusja Gorobiec spotyka się ze swoimi absztyfikantami w dawnej cerkwi, a Archipycz trzyma swoją aparaturę w jaskini niedaleko...

– Miałem na myśli rzeczy związane z porwaniami dzieci – doprecyzowałem.

– Skąd mogę wiedzieć? W dniu, kiedy zniknął Wowa Mikulin, widziałem w lesie Czumaka. Może zakopał zwłoki gówniarza i właśnie wracał do swojej chaty? A kiedy szukali Olega Stiepnina, Rogozin łąził po krzakach z lupą. Kto wie czy nie zacierał śladów zbrodni?

Z trudem opanowałem chęć kopnięcia w wyszczerzone w złośliwym uśmiechu zęby.

– Jesteście wolni – oznajmiłem sucho.

Zajcew wymamrotał coś pod nosem i wyszedł z gabinetu, trzaskając drzwiami.

– Mogę, *komandir*? – Ada podeszła do okna. – Choćby na chwilkę, bo mam wrażenie, że powietrze stało się nadmiernie... ekhmm... aromatyczne.

– Otwieraj – przyzwoliłem.

– Co za ulga! – westchnęła dziewczyna. – Dlaczego niektórzy faceci się nie myją?

– Pewnie z tych samych powodów co niechlujne kobiety – odpowiedziałem. – Z dwojga złego wolę niedomytych samców. Wyobrażasz sobie, jak śmierdzi kompania brudnych miesiączkujących bab? A wiem, co mówię, siedziałem kiedyś z takimi w koszarach. Przez pół roku nawet nie spojrzałem na żadną kobietę.

– Jesteście uprzedzeni! – prychnęła.

– Jasne! – przyznałem zgodnie. – A teraz wołaj naszego Gruzina.

Leon Kotrikadze, postawny mężczyzna, wmaszerował do gabinetu z zaciśniętymi ustami i oczyma miotającymi błyskawice.

– Chciałem stanowczo zaprotestować przeciwko...

– Protestujcie – przerwałem mu w pół słowa. – Ale na razie usiądźcie i bądźcie uprzejmi odpowiedzieć na pytania.

Nigdy nie byłem zwolennikiem oceniania ludzi po wyglądzie, często najgorszy skurwysyn wygląda jak aniołek, ale gdy patrzyłem na Kotrikadze, trudno mi było uwierzyć, że ma coś wspólnego ze śmiercią dzieci. Rzecz nie tylko w aparycji, tej nikt nie wybiera, ale było w mężczyźnie coś wzbudzającego zaufanie, jakaś pozytywna energia widoczna w każdym słowie czy geście.

– Macie coś wspólnego z porwaniami dzieci?

– Zwariowaliście! Skąd takie podejrzenia?!

– Odpowiadajcie „tak” lub „nie”! – upomniałem go stanowczo.

– Nie!

Zerknąłem na Adę, milicjantka leciutko pokręciła głową. Czyżby nie była w stanie ocenić emocji dyrektora? Jeszcze tego mi brakowało...

– Zabiliście kiedyś kogoś?

– Ja nie...

Sawicka dotknęła ucha. Kłamstwo.

– Skrzywdziliście kiedyś dziecko?

– Zależy, co rozumiecie pod pojęciem „krzywdzić”. Jako dyrektor szkoły nie raz i nie dwa musiałem dyscyplinować różnych chuliganów, co nie było przyjemne ani dla nich, ani dla mnie.

Szlag! Teraz nie pomoże mi żaden wykrywacz kłamstw. Albo facet jest szczerzy do bólu, albo świetnie zdaje sobie sprawę z talentu Ady i znalazł sposób, aby uczynić go bezużytecznym. A to przecież Listwianka, plotki rozchodzą się z szybkością błyskawicy. No i biorąc pod uwagę, że nie trafiłem na idiotę, dużo bardziej prawdopodobny jest ten drugi wariant.

Jakby wtórując moim myślom, Kotrikadze uśmiechnął się złośliwie. Ech, w takich chwilach człowiek miałby ochotę poprowadzić przesłuchanie w trybie nadzwyczajnym, jak na wojnie, używając kolby karabinu, pięści i podkutych butów...

– Obezwładniliście kiedyś kogoś?

– Tak, na zajęciach sambo.

Nawet nie spojrzałem na Sawicką, a to sukinsyn!

– Potraficie poruszać się po lesie?

– Owszem, mój ojciec był myśliwym.

– Spacerowaliście w lesie z którymś z zaginionych dzieciaków?

– Pewnie tak, czasem organizujemy w szkole takie zabawy.

Czekaj, gnojku, już ja cię załatwię, pomyślałem ze złością.

– Uprawialiście seks z dzieckiem?

– Razumowski! – warknął, zrywając się na nogi.

– Tak czy nie?!

– Nie!

– Kłamstwo – powiedziała zimno Ada.

Dziewczyna podeszła do dyrektora, sprawnie założyła mu kajdanki.

– Jesteście aresztowani – oznajmiła.

Patrzyłem w milczeniu, jak prowadzi go do celi.

– Pozwólcie, że wytłumaczę! – zawołał rozpaczliwie Kotrikadze. – Nie rozumiecie, ja...

Milicjantka z rozmachem zatrzasnęła masywne drzwi, przekręciła klucz w zamku, nie zwracając uwagi na krzyki dyrektora. Cóż za sympatyczny mężczyzna, nic, tylko zacząć studiować frenologię i wróżyć z kształtu czaszki...



Nacisnąłem klamkę. Oho, niespodzianka! Zamknięte. Choć biorąc pod uwagę, co mogliśmy znaleźć wewnątrz, nie takie znowu dziwne.

– Może spróbujcie tego? – Ada podała mi niewielki łom.

– Skąd to masz?

– Ze zbiorów mojego poprzednika, na wszelki wypadek zabrałam z magazynu.

Wsunąłem żelastwo między drzwi i futrynę, napałem całym ciałem. Trzask pękającego drewna potwierdził, że skutecznie.

Przestąpiłem zaścielony drzazgami próg, wyciągnąłem rękę w poszukiwaniu przełącznika. Dziewczyna zapaliła latarkę, skierowała ją w stronę majaczących w mroku mebli.

– Poświeć tutaj! – rozkazałem gniewnie.

– Chcecie zapalić światło? Ktoś może zobaczyć, dopiero po dwudziestej.

– I co zrobi? Pobiegnie na milicję?

Elegancki żyrandol rozbłysnął przefiltrowanym przez barwione szkło blaskiem, Kotrikadze miał dobry gust.

– Czego szukamy?

– Czegokolwiek, co potwierdziłoby jego winę – odpowiedziałem. – Przecież nie możemy oskarżyć dyrektora szkoły o wielokrotne morderstwo, argumentując, że miejscowa wiedźma w mundurze złapała go na kłamstwie!



– Od kilku godzin cały czas na mnie krzyczycie – odparła z wyrzutem. – A przecież rozwiązaliśmy zagadkę, teraz to tylko kwestia zebrania dowodów.

– Przeważnie najpierw zbieramy dowody, dopiero później oskarżamy – zripostowałem zjadliwie. – Mniejsza z tym! Zaczynamy! Ty od kuchni, ja od salonu.

Nie siląc się na delikatność, sprawdzałem książki na sięgających sufitu regałach, przekartkowane ciskałem na dywan. A było co przeglądać, Kotrikadze posiadał imponującą bibliotekę, na oko jakieś pięć, sześć tysięcy tomów. Nie ma co, jeśli nie pomoże nam przypadek, zabawimy tu do rana.

– Już – zameldowała Ada. – W kuchni nie ma niczego podejrzanego poza alkoholem imperialistycznej produkcji.

– Bierz się za łazienkę.

Mina panienci Sawickiej sugerowała, że polecenie niespecjalnie się jej podoba, ale spojrzała mi w oczy i pomknęła do toalety niczym spłoszony jelonek. I dobrze, nie byłem w nastroju, aby wysłuchiwać cudzych pretensji, chciałem jak najszybciej zakończyć śledztwo.

Kolejna godzina upłynęła mi na wdychaniu książkowego kurzu, najwyraźniej nie tylko w mieszkaniu Rogozina brakowało kobiecej ręki. Mankiety koszuli miałem ubabrane na szaro.

– *Komandir?*

– Czego? – burknąłem.

– Tu chyba jest jakaś skrytka – powiedziała Ada. – Ale są kafelki, nie chciałabym...

Odepchnąłem dziewczynę, nie pozwalając jej skończyć zdania, wszedłem do łazienki.

– Gdzie?

– Tutaj, tuż pod półką.

Wróciłem po łom, po czym z rozmachem uderzyłem w ścianę. Stłukłem trzy płytki, zanim natrafiłem na tę właściwą. W niewielkiej wnęce leżało owinięte w szary papier zdjęcie.

Fotografia przedstawiała nastolatkę wiszącą na szyi wyraźnie nietrzeźwego Kotrikadze, całość miała zdecydowanie erotyczny charakter.

– Mamy go! – krzyknęła tryumfalnie Ada. – Teraz wiadomo, kto jest mordercą!

Zakląłem z bezsilną wściekłością, patrząc na wyzywający makijaż dziewczuszki i rozpierające tandetną bluzeczkę piersi. Razumowski, ty idioto...

– Co wam, *komandir*?

– Nic – wycodziłem przez zęby. – Masz rację, wiemy, kto jest mordercą.



Drzwi uchyliły się bez najmniejszego dźwięku, tak jakby ktoś je niedawno naoliwił. Odruchowo sięgnąłem za pasek od spodni, ale cofnąłem rękę, przypomniawszy sobie, że nie mam przy sobie broni. Szlag!

Zgięty w pół, postąpiłem w ciemność, starając się zminimalizować możliwość, że gospodarz odstrzeli mi głowę. Kiedy poczułem na twarzy podmuch powietrza, rzuciłem się w tył, ale i tak oberwałem kolbą karabinu. Rozbłysła lampa naftowa i ujrzałem wylot lufy.

– A jednak domyśliłeś się, gnoju – powiedział ze złym uśmiechem Rogozin. – Szkoda tylko, że rozwiązanie zagadki zabierzesz ze sobą do grobu.

Nie odpowiedziałem, liczyłem sekundy. Mijały powoli, kontrapunktowane przez mój ciężki oddech i gesty Rogozina, który z wirtuozerią dyrygenta orkiestry symfonicznej zapalił jedną ręką papierosa. Drugą celował we mnie z mosina. Pojmowałem jego dylemat: a nuż ktoś usłyszy strzał i przybiegnie zobaczyć, co się stało? Ostatnio ludziska w Listwiance nerwowe,

więc kto wie? Na pewno przygotował odpowiednią legendę na taką okoliczność, ale co, jeśli miejscowi nie uwierzą? Po rozprawie z urkami cieszyłem się w okolicy pewnym prestiżem. A jeśli zadziała kapryśny dar Sawickiej? Bo do odkrycia prawdy niewiele potrzeba, wystarczy rozkopać ogród byłego komendanta, w końcu musiał gdzieś chować swoje ofiary.

– Wstawaj! – rozkazał. – Odwróć się w lewo, teraz trzy kroki naprzód. Podnieś klapę.

Podniosłem. W półmroku zamajaczyła prowadząca w dół drabina. Logiczne. Potrzebne było mu dźwiękoszczelne pomieszczenie, póki zabawiał się z dziećmi. Ciekawe, czy to zwykła piwnica, czy jeszcze coś poniżej. Cóż, za chwilę się przekonam...

Kątem oka dojrzałem niewielki cień, który prześliznął się przez nadal otwarte drzwi i na mgnienie złączył z cieniem rzucanym przez Rogozina, bezszelestny jak sama śmierć.

– Myślałem już, że nie przyjdiesz – odezwałem się z wyrzutem, łapiąc padające ciało.

– Musiałem się upewnić, że to on – odparł Sun bez cienia skruchy.

– Upewniłeś się? – spytałem zgryźliwie.

– Owszem.

Wzdrygnąłem się, słysząc ton Chińczyka, poczułem na karku krople potu. Nie jestem tchórzem, ale mimo że gniew Suna nie był skierowany przeciwko mnie, nagle poczułem chęć, aby znaleźć się jak najdalej stąd.

– Potrzeba ci czegoś od niego?

– Jest twój, masz dwa dni – powiedziałem. – Później zostawisz to, co z niego zostanie, w widocznym miejscu niedaleko Listwianki. – Zastanowiłem się i dodałem: – I jeszcze jedno.

– Tak?

– Poczekaj chwilę, ja też muszę się upewnić. – Wymownym gestem wskazałem ogród.

Oczy Chińczyka zabłyśły w półmroku jak kocie, w końcu skinął głową.

Wyszedłem ciężkim krokiem na zewnątrz, zabrałem przyniesioną przezornie łopatę i powlokłem się w stronę najbliższego krzaka. Mordercy chowający swoje ofiary w przydomowych ogródkach zawsze sadzili coś na zwłokach. Taka, kurwa, romantyka...

Na szczęście ziemia była rozmiękła, przez ostatnie dni niemal nieustannie padało i ostrze łopaty wbijało się w nią z łatwością.

– Czekaj, poświęcę ci – powiedział Sun.

Jego głos brzmiał dziwnie głucho, tak jakby tłumiała go niewidzialna bariera.

– Co z Rogozinem? Nie ucieknie?

– Nie ucieknie. Jest sparaliżowany.

Po kilkunastu minutach natrafiłem na coś twardego. Zanim zdecydowałem, co robić, Chińczyk odtrącił mnie i zaczął odgarniać ziemię gołymi rękoma.

– Czaszka – poinformował. – Dziecięca. Jest tu i więcej kości.

– Zostaw to! – rzuciłem rozkazująco. – Wróć tu później z ludźmi. Nie chcę ich wykopywać w nocy, na oślep.

– Dobrze – odparł Sun z nieoczekiwaną pokorą. – Pochowajcie i Yu Tian – poprosił.

– Myślałem, że ty sam...

– Nie, ja pożegnałem się z nią już dawno temu.

Odetchnąłem głęboko, czując na twarzy ciepłe krople. Zagrzmiało. Nadchodziła wiosna.

– Wiesz, że Yu Tian znaczy „deszcz”? To niebo płacze – wymamrotał.

Odszedłem, używając łopaty jak laski, z przygarbionymi ze zmęczenia barkami. Nad moją głową błyskawice z sykiem rozcinały noc, pachniało elektrycznością i ziemią. Stałem na środku drogi, wpatrzyłem się w niebo, nie przejmując się narastającą ulewą. W deszczu nie będzie widać łez. Gdybym

płakał.



W wykopie klęczało dwóch mężczyzn, reszta stała wokół, oparta na łopatach. Martyniuk i Kotrikadze z pietyzmem odkładali drobne dziecięce kości na brezentową płachtę. Nikt nie przeprosił dyrektora za niesłuszne podejrzania – jeszcze wczoraj uważano go za mordercę – ale kiedy tylko zjawił się przed domem Rogozina, zrobiono mu miejsce wśród kopiących.

Coś rozbłysło w promieniach bladego, na poły wiosennego słońca i z grupy stojących za płotem kobiet rozległ się przeraźliwy skowyt.

– To matka Wali Iwanowej – szepnęła Ada. – Rozpoznała wisiorek córki.

Zagryzłem wargi, bo i co tu komentować? Z ogrodu Rogozina wykopano już zwłoki czwórki dzieciaków, w tym także Wowy Mikulina. Chłopak nie utonął w Angarze, spotkał śmierć tutaj, blisko domu. Drobiazgi znalezione przy szczątkach świadczyły, że nie wszystkie ofiary pochodziły z Listwianki.

– Skąd wiedzieliście, że to nie Kotrikadze? – spytała.

Zapaliłem papierosa, nie kłopotząc się częstowaniem dziewczyny, Sawicka prowadziła zdrowy tryb życia.

– Po zdjęciu.

– Przecież obściskiwał się na nim z jakąś smarkulą.

– Czort wie, czy obściskiwał, sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, co się wokół dzieje. Pijanego możesz upozować, jak chcesz. Ale nawet jeśli się z nią zabawiał, ważne, jak wyglądała.

– Na pewno nie miała osiemnastu lat.

– Wystarczy, że skończyła czternaście – osadziłem dziewczynę.

– Pamiętasz kodeks karny? Ścigane z urzędu są jedynie stosunki z osobami, które nie osiągnęły dojrzałości płciowej, co

w praktyce oznacza czternaście lat. Mniejsza z tym, jeszcze zdążymy wypytać *gospodina* Kotrikadze, choć nie wydaje mi się, żeby był amatorem nieletnich ślicznotek. Przypominasz sobie jej sylwetkę?

– Macie na myśli...

– Mam na myśli! – przedrzeźniałem. – Dziewucha z fotografii ma cyce jak donice, a udami mogłaby udusić byka. Konkludując, nieważne, ile ma lat, wygląda jak kobieta. Tymczasem nasz morderca interesował się dziećmi, rozumiesz?

– Jesteście trywialni. – Wydęła usta. – Rozumiem. A Marusia Kurilenko? Nie za szybko go wypuściliście?

– Zapytamy i o Marusię – zapewniłem. – Ale pomyśl logicznie, gdyby dyrektor naprawdę próbował podszczypywać uczennicę, myślisz, że matka Marusi trzymałaby to w sekrecie? Założę się, że tego samego dnia napisałaby skargę do pięciu różnych instancji i obleciała wszystkie kумы w okolicy. A tymczasem miejscowe plotkarki nie wiedzą niczego konkretnego.

– Nie ma dymu bez ognia.

– Pewnie, szczególnie jak ktoś chce ten ogień specjalnie rozpalić i rozpuszcza plotki. A propos plotek, przypominasz sobie jakieś na temat Rogozina? Wiesz, z tych pikantnych?

– Nie było żadnych takich.

– No właśnie! Jesteśmy parą idiotów, bo nie zwróciliśmy na to uwagi. Naprawdę wyobrażasz sobie młodego, zdrowego mężczyznę, a Rogozin siedzi tu bez mała prawie trzydzieści lat, który zupełnie nie interesuje się kobietami? A przecież komendant w takiej wiosce to ważna figura, założę się, że niejedna panienska chciałaby mu ogrzać łóżko. Może nawet znalazłby taką, która depilowałaby sobie nogi – dodałem złośliwie.

Szturchnęła mnie łokciem – rozzuchwaliło się dziewczuszyko – lecz przyznała mi rację zrezygnowanym gestem.

– Przegapiliśmy to – przytaknęła. – Ale mimo wszystko

najpierw przesłuchałabym Kotrikadze, a dopiero potem wypuściła go z aresztu.

– On nam nigdzie nie ucieknie – wyjaśniłem cierpliwie. – Aresztowanie w takiej sytuacji to nie byle co, mało nie złamaliśmy mu życia. Samo „przepraszam” tu nie wystarczy, niech wie, że mamy do niego zaufanie.

– Mieliśmy powody, żeby go zatrzymać – mruknęła. – Humanitarysta z was.

– Pragmatyk – sprostowałem, zaciągając się papierosem. – Jeśli to konieczne, nie oglądaj się na nic, ale nie zrażaj sobie niepotrzebnie ludzi, nigdy nie wiesz, kiedy i w jakich okolicznościach ponownie ich spotkasz. Tylko głupiec robi sobie wrogów bez potrzeby.

Skrzywiłem się, słysząc świdrujący w uszach wysoki krzyk i podobne do odgłosów wydawanych przez ranne zwierzę łkanie mężczyzny. Wykopano kolejne zwłoki.

– Edik Kowalow – powiedziała szara na twarzy milicjantka. – Poznali go po nożu, ojciec sam mu go zrobił.

– Nic tu po nas! – zdecydowałem. – Wracajmy na posterunek, Klimow da sobie radę. Tak czy owak, trzeba zadzwonić do Irkucka, zawiadomić władze.

Dziewczyna nie protestowała, więc wziąłem ją pod ramię, ale drogę zablokował nam mur złożony z mieszkańców Listwianki.

– Chcemy Rogozina, *komandir* – odezwał się miękko, prawie przeproszającym tonem Martyniuk. – Pomóżcie nam go znaleźć. Wybaczcie, ale nie oddamy go milicji, takie sprawy załatwiamy sami.

– Znajdziecie go – odparłem zdecydowanym tonem. – Za dwa dni.

Ktoś z tłumu zakrzyczał gniewnie, Martyniuk uciszył go jednym gestem.

– Jak to rozumieć? Bo jeśli uciekł, ma nad nami kilka godzin przewagi.

– Nie uciekł.

– Zabiję go! – wrzasnął potężnie zbudowany mężczyzna ze śladami łez na twarzy. – Chcę go zabić!

– I co zrobisz?! – zawołałem, tracąc cierpliwość. – Zatłuczesz szpadlem? Wyprujesz flaki? On powinien zapłacić za to, co zrobił, i zapłaci. Wierz mi, że będzie umierał długo. Jest teraz w ręku kogoś, kto wystawi mu rachunek i za siebie, i za was, i zada taką śmierć, jakiej nie potrafilibyście nawet sobie wyobrazić.

W tłumie zapadła cisza, ludzie spoglądali na siebie niepewnie.

– Wszyscy nasi są tutaj – powiedział wreszcie Martyniuk.

– On zabijał nie tylko dzieci z Listwianki, w jednym grobie znaleźliście srebrne kolczyki, jakich nikt tu nie nosił – przypomniałem. – Nie powiem wam nic więcej, ale proszę, nie szukajcie Rogozina. Za dwa dni znajdziecie jego zwłoki, przyrzekam.

– Za dwa dni?

– Tyle będzie umierał.

Martyniuk wzdrygnął się nerwowo, jakaś kobieta przeżegnała się ukradkiem.

– Jak chcecie, *komandir*. Zostaniecie tu z nami do tego czasu? – spytał z udaną niedbałością.

– Zostanę – obiecałem.

Ada postanowiła odprowadzić mnie do domu. Kiedy szliśmy przez niemal opustoszałą osadę – większość mieszkańców zebrała się wokół ogrodu byłego komendanta – co jakiś czas zerknęła dyskretnie na boki.

– Śledzą nas – powiedziała.

– Nic dziwnego. Dopóki nie znajdzie się ścierwo Rogozina, jesteśmy zakładnikami – odparłem szorstko. – Dlatego lepiej, żebyś na razie zrezygnowała z dalekich spacerów.

– Żartujecie?

– Ani trochę. Twój poprzednik zniknął w tajemniczych



okolicznościach, więc chcą mieć pewność, że nie jesteśmy z nim w zмовie. Nie przejmuj się, to tylko dwa dni. Później zostaniesz gwiazdą.

– Przecież to wy odkryliście, kto jest mordercą!

– Potraktuj to jako prezent, za kilka dni wracam do Moskwy, laury za wykrycie Rogozina nie są mi do niczego potrzebne, a tobie się przydadzą. Zresztą pomogłaś mi, gdyby nie twój... talent, dochodzenie potrwałoby dłużej.

– A co z waszym zdrowiem?

– Lepiej. Nadal jestem słaby, ale wygląda na to, że jeszcze trochę pożyję.

– Cieszę się.

Odpowiedziałem niechętnym pomrukiem, rzeczywiście najgorsze minęło, jednak nadal marzły mi dłonie i stopy, a niespieszny spacer powodował zadyszkę. Tymczasem potrzebowałem pełnej sprawności fizycznej i intelektualnej, inaczej czekała mnie bezimienna mogiła lub krematoryjny piec, jak Lizę. Co by o tym nie mówić, nie mogłem w żaden sposób uniknąć konfrontacji z Abakumowem, Bogiem a prawdą, nie chciałem jej unikać. Cóż, niedługo okaże się, komu życie, komu śmierć...



Kotrikadze przyszedł wieczorem, akurat kiedy skończyłem zalecone przez Suna rytuały. Usiadł za stołem w moim pokoju, uprzejmie odmówił poczęstunku. Babka Kira z nietypową dla siebie delikatnością wyszła do kuchni.

– Chciałem się wytłumaczyć – powiedział prosto z mostu. – I podziękować za to, że nie powiedzieliście nikomu o tym zdjęciu. W normalnej sytuacji nie miałyby to znaczenia, ale teraz...

Przytaknąłem, rzeczywiście, obecnie lepiej było nie drażnić

i tak nerwowych mieszkańców Listwianki.

– To było po śmierci żony – zaczął, przymknąwszy oczy. – Długo nie mogłem dojść do siebie, piłem, włóczyłem się po różnych spelunkach. W jednej z nich paru przedsiębiorczych obszczymurków doszło do wniosku, że mogą na mnie dodatkowo zarobić, więc podsunęli mi jakąś młodocianą lafiryndę i zrobili zdjęcie. Myśleli, że się wystraszę. Gdyby pokazali je w szkole, miałbym kłopoty, jednak wówczas było mi wszystko jedno. Więc odmówiłem.

– I jak zareagowali?

– Dorwali mnie kiedyś, jak wracałem do domu, wieczorem, niedaleko Arbatu. We dwóch. Dzisiaj pewnie bym zapłacił, ale wtedy było we mnie zbyt wiele złości. Jednego zabiłem jego własnym nożem, drugi uciekł. Nie bałem się specjalnie urków, ale na wszelki wypadek wolałem zniknąć z Moskwy. Tak znalazłem się w Listwiance.

– A ta druga? Jak jej tam...? Marusia...

– Kurilenko – podpowiedział, krzywiąc się z niesmakiem. – Wiecie, niektóre kobiety zostają dziwkami, a inne nimi się rodzą. Marusia należała do tej drugiej kategorii. W dziewiątej klasie miała na koncie kilkanaście złamanych serc, parę drobnych kradzieży i bogate doświadczenie erotyczne. Kiedy zagięła na mnie parol, wezwałem matkę i zagroziłem, że jeśli nie weźmie córki na smycz, wyślę tę małą flądę do kolonii dla nieletnich. Więc trzymała ją na odległość. – Wzruszył ramionami.

W zamyśleniu zabębniłem palcami po blacie, spodziewałem się czegoś podobnego. Kolejna zagadka wyjaśniona, teraz pozostaje mi tylko wyjechać z tej dziury. Za kilka dni powinienem być w Moskwie. No chyba że Sun nie dotrzyma słowa, wtedy sprawy się skomplikują...

– Potrzebujecie jeszcze czegoś ode mnie? – przerwał mi zadumę Kotrikadze.

– Nie. Dziękuję za wyjaśnienia – powiedziałem.

Mężczyzna wstał i wyszedł bez pożegnania. Nie dziwiłem mu się specjalnie, mógł być mi wdzięczny za rozwiązanie sprawy, ale przecież nie zapomniał, że pozwoliłem go zamknąć Sawickiej. Bywa. Genialni, niepopołniający pomyłek detektywi występują tylko w książkach, w realnym życiu śledczym często pomaga przypadek, a zanim znajdzie się winnego, przychodzi nieraz oskarżać osoby niemające ze zbrodnią nic wspólnego. Grunt, żeby osiągnąć pozytywny rezultat. I przeżyć...



Nadieżda pochyliła się nad zwłokami, zbadała plamy opadowe, po czym nie zdejmując gumowych rękawiczek, zapisała coś w formularzu.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałam – powiedziała.
- I ja – przyznałem.

Zwłoki Rogozina znaleziono rano u podnóża Góry Czerskiego, niedaleko Listwianki. Skóra nieboszczyka wyglądała, jakby oblano ją wrzątkiem, gdzieś tam utworzyły się krwawe wybroczyny. Kości obu nóg były połamane, więzadła zerwane, choć nie towarzyszyły temu najmniejsze ślady zewnętrznej przemocy. Pokruszone zęby i na wpół odgryziony język dopełniały obrazu. Całe ciało zastygło wykręcone w groteskowy sposób.

- Rogozin musiał cierpieć ból przechodzący wszelkie wyobrażenia. Krzyczał i zaciskał zęby tak, że je pokruszył, w podobny sposób uszkodził sobie język.

- A połamane kości?
- Może wił się w konwulsjach?
- To chyba niemożliwe.
- Kto wie? W Irkucku obejrzą go fachowcy – odparła wymijająco dziewczyna. - Jesteś zadowolony? - spytała

z goryczą.

Westchnąłem bezradnie, panienska Nadia obarczała mnie winą za los Rogozina, podejrzewając, że aktu zemsty dokonał mój tajemniczy wspólnik. Podobnie rozumowali mieszkańcy Listwianki, choć ci bynajmniej nie żalowali byłego komendanta. Z oczywistych względów nikomu nie powiedziałem o umowie z Sunem, prawdę znała tylko babka Kira, a ta potrafiła dochować tajemnicy.

– To naprawdę nie była moja decyzja – zapewniłem po raz nie wiadomo który.

– Mogłeś go ochronić! – wybuchła. – Aresztować i przekazać władzom!

– Nie mogłem! Gdybym spróbował, leżałbym tu teraz obok niego w podobnym stanie! A nie sądzę, żeby morderca dzieci był wart mojego życia – dodałem z goryczą.

– Może masz rację – wymamrotała Nadieżda. – Po prostu to wszystko jest takie... – nie dokończyła, zamiast tego skuliła ramiona, jakby nagle zrobiło się jej zimno.

– Jest – potwierdziłem pośepnie. – Ja też mam dosyć Listwianki. Milicja z Irkucka przysłała po mnie samochód, chcesz jechać ze mną?

Przez chwilę myślałem, że odmówi, ale w końcu skinęła głową, nie patrząc mi w oczy.

– Tylko zabiorę swoje rzeczy. Poczekasz?

– Poczekam – obiecałem.

Przeszedłem do gabinetu, przymknąłem oczy, słysząc, że dziewczyna wchodzi na górę. Miałem nadzieję, że pakowanie pójdzie jej równie sprawnie jak oględziny zwłok. Nie zawiodłem się, nie minął kwadrans i Nadia stanęła przede mną z niewielką walizką w ręku.

– Zupełnie nie po kobiecemu – zażartowałem.

Odpowiedziała mi smutnym uśmiechem, jej spojrzenie uciekło na moment w bok, na biurko Markowa. Cóż, nie ma co się dziwić,

przyjechała tu w towarzystwie, a wraca sama...

Bez słowa wziąłem Nadieżdę za rękę i poprowadziłem do wyjścia; jeśli mieliśmy zdążyć na pociąg, czas był jechać.

Zakląłem w duchu na widok tłumu wokół samochodu, niektórych ludzi rozpoznawałem, innych widziałem pierwszy raz w życiu, najwyraźniej mieszkańcy Listwianki poczuli palącą potrzebę pożegnania pułkownika Razumowskiego. W chwilę później zrozumiałem swoją pomyłkę, co najmniej tyle samo osób przyszło tu dla Nadieżdy.

– Uważaj na siebie – wyszeptwała babka Kira.

Ścisnąłem twarde, naznaczone pracą dłonie, poklepywano mnie po plecach, a kilka starszych kobiet skłoniło się przede mną po chłopsku, na tylne siedzenie auta wsuwano kolejne paczki i zawiniątka. Szofer, starszy mężczyzna o twarzy poznaczonej śladami ospy, otworzył drzwi i znacząco postukał w zegarek.

– Musimy ruszać – zakomunikował stanowczo. – Pociąg do Moskwy odjeżdża za trzy godziny.

Dopiero w samochodzie przypomniałem sobie o dziwnym zachowaniu starego myśliwego, ale to nie był najlepszy moment, żeby wypytywać o tajemnice Jefima Czumaka. *Niczego*, najwyżej odwiedzę Listwiankę ponownie.

Szum motoru przeważnie mnie uspokajał, ale tym razem mimo zmęczenia nie mogłem zasnąć. Słyszałem cichutkie posapywanie Nadii, za oknem migały słupy telegraficzne, a ja siedziałem z napiętymi jak przed walką mięśniami, co jakiś czas rozluźniając zaciśnięte pięści. Wracalem do Moskwy, lecz dziś wizja domu nie wywoływała poczucia bezpieczeństwa. Wiedziałem, że czekają na mnie obowiązki, kierowanie wydziałem śledczym to nie synekura, jednak w tym momencie interesowało mnie tylko jedno: zemsta...

## Rozdział ósmy



Sala budziła skojarzenia z pałacem jakiegoś przedrewolucyjnego dostojnika: jedwabne tapety, kryształowe żyrandole, stoły do gry z palisandru i kaukaskiego orzecha, kelnerzy we frakach, do tego młode, piękne kobiety obnoszące z wdziękiem kreacje w najmodniejszych fasonach. Kto by pomyślał, że to jedynie nielegalne kasyno połączone z burdelem?

Kilka z towarzyszących graczom dziewcząt obrzuciło mnie dyskretnymi spojrzeniami, ale żadna nie zdradziła się, że mnie zna. Gdyby wydało się, że lokal należy do pułkownika Razumowskiego, niejeden z wysokich rangą działaczy partyjnych czy oficerów byłby zaniepokojony. Dlatego wolałem pozostać anonimowy.

Stojący w rogu pomieszczenia Paszka Zwiercow skinął w moim kierunku nieznacznie i uchylił ukryte za kotarą drzwi.

– Jak sytuacja? – spytałem.

– W zeszłym tygodniu musieliśmy wycofać z obiegu jedną z panienek, bo klient zaraził ją rzeżączką. Poza tym wszystko w porządku.

– Kto taki?

– Liwanow. Zastępca ministra transportu.

– Zablokujcie mu kartę wstępu na dwa miesiące i zanim ponownie wpuszczcie, niech go zbada nasz lekarz. Do tego zapłaci grzywnę, powiedzmy, dziesięć tysięcy dolarów – zdecydowałem.

– Z tego tysiąc dla dziewczyny.

– *Słuszajus'!* – odparł służbiście Zwiercow.

Paszka służył ze mną w wywiadzie, dopóki kontuzja nogi nie zmusiła go do porzucenia munduru.

– Jak kolano?

– Prawie nie boli – odparł rażno. – Doktor Miro powiedział, że za parę miesięcy wszystko wróci do normy.

Mruknąłem z zadowoleniem, jeszcze raz gratulując sobie, że wysłałem go do paryskiej kliniki.

– Dato już czeka – uprzedził.

Podziękowałem skinieniem i wszedłem do pokoju. Przeznaczono go dla potrzeb podobnych spotkań i specjalnie urządzono tak, że przypominał magazyn, ale ściany, podłogę i sufit zabezpieczono grubą warstwą korka, uniemożliwiającą podsłuchiwanie. Ludzie Paszki raz dziennie sprawdzali pomieszczenie na obecność urządzeń rejestrujących dźwięk.

Dato, postawny mężczyzna o szerokiej, mięsistej twarzy, wstał zza kulawego stolika i powitał mnie uściskiem dłoni.

– Jak twoje zdrowie? – zapytał.

– Lepiej – odparłem lakonicznie.

Wiedziałem, że jego troska nie wynika z uprzejmości, Dato przedstawiał interesy Chruszczowa, a ten potrzebował pułkownika Razumowskiego do swoich celów.

Usiedliśmy, po minie Dato widziałem, że zastanawia się, czy złożyć mi kondolencje z powodu śmierci Lizy.

– Do rzeczy – zaproponowałem.

– Jesteś w stanie... pracować?

– Oczywiście.

– Na pewno?

– Dostałeś chyba raport z Listwianki?

– Dostałem – potwierdził, mierząc mnie uważnym spojrzeniem.

– Jak wygląda sytuacja?

– Wreszcie udało nam się umieścić swoich ludzi w otoczeniu

Abakumowa – powiedział ostrożnie. – Ale na efekty przyjdzie pewnie poczekać.

– Mam czas – odparłem ponuro. – Kto poza nim zamieszany jest w śmierć Lizy?

Dato odruchowo sięgnął ku stołowi, ale ten był pusty, żadnego wina, zakąsek ani słodyczy, nic, co można by wykorzystać, żeby zastanowić się nad odpowiedzią.

– Zastępca naczelnika Butyrek, Szniagin – odparł wreszcie. – Major Szniagin. Jeden strażnik, niejaki Daniłow, i pięciu urków w press-chacie. Jednak na razie nie możesz ich tknąć.

– A to dlaczego?

– Bo priorytetem jest Abakumow, a ich śmierć ostrzegłaby go, że coś się szykuje.

– Dlaczego zabili Lizę?

– Nie mam pojęcia. Wydaje mi się, że albo usłyszała coś, co nie było przeznaczone dla jej uszu, albo nie chciała zeznawać przeciwko tobie.

– Głupie dziewczuszyko! – wycodziłem przez zaciśnięte zęby. – Powinna podpisać wszystko, co jej kazali!

– A ty byś podpisał?

Zamiast odpowiedzieć, wyjąłem z kieszeni sztabkę złota. Na oko nie wyglądała imponująco, dwanaście na pięć centymetrów, kto by pomyślał, że to kilogram złota?

– Skąd to masz? – zainteresował się Dato.

Ze zdumieniem stwierdziłem, że w jego oczach nie widać chciwości.

– Prosto z kopalni. Mam tego dwieście kilo, z możliwością dalszego wydobycia.

– Listwianka?

Skinąłem głową.

– Co z czystością kruszcu?

– Mennicza – zapewniłem. – Możesz sprawdzić w laboratorium.



– To carskie punce?

– Tak. Pomyślałem, że to niezły kamuflaż. Jakby co, wszyscy pomyślą, że sztabki pochodzą jeszcze z przedrewolucyjnych zapasów.

– Dobry pomysł – przyznał. – Za tydzień w tym samym miejscu?

– Może być – mruknąłem.

Pożegnaliśmy się krótko i Dato wyszedł, zabierając ze sobą sztabkę. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, rozkręcę błyskawicznie kolejny interes. Tylko co mi z tego? Choćbym spał na pieniądzach, nie przywrócę życia Lizie...

Kiedy wyszedłem na ulicę, poczułem nieprzyjemne mrowienie między łopatkami. Nie zauważyłem niczego podejrzanego, ale moja podświadomość była na alarm. Leniwym, jakby mimowolnym gestem sięgnąłem do kieszeni, namacałem rękojeść tokariewa. Czyżby znaleźli mnie ludzie Abakumowa? Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie wrócić do kasyna, jednak po namyśle pomaszerowałem dalej. Wątpiłem, żeby Abakumow zdecydował się na otwarty atak. Morderstwo pułkownika milicji to nie byle co, tym bardziej w sytuacji, kiedy resort Abakumowa podejrzany był o poprzedni zamach. Drugiego nikt by mu nie darował. Gdybym nagle zniknął albo gdyby znaleziono moje zwłoki, generał Leontiew jeszcze tego samego dnia zameldowałby się u Stalina. Ten oczywiście popierał międzyresortową rywalizację – mimo formalnego podporządkowania milicji MBP nadal traktowano nas jako odrębny wydział – jednak nigdy nie pozwoliłby na otwartą walkę i Abakumow musiał zdawać sobie z tego sprawę. Niemniej jednak ktoś mnie śledził. Wypadało sprawdzić kto, wolałem, żeby nie kojarzono mnie z Dato ani grupą Chruszczowa.

Wszedłem w bramę, po czym przebiegłem przez podwórze, aby wyjść na zupełnie inną ulicę. Nie zdziwiłem się, usłyszawszy za sobą odgłos pospiesznych kroków. Przystanąłem, kryjąc się za

węglem, kilkakrotnie zgiąłem i rozprostowałem palce, wsłuchałem się w tupot butów ścigających mnie ludzi: dwie osoby. Cóż, mogło być gorzej, choć kto wie jak sobie poradzę w obecnej kondycji...

Pierwszego napastnika złapałem za ramię i przerzuciłem przez bark, o dziwo, bez specjalnego wysiłku. Wylądował na bruku z głuchym stęknieniem, uderzając głową o mur budynku. Dopiero w tym momencie zdałem sobie sprawę, że był podejrzenie lekki, i poczułem zapach perfum. Szlag! Kobieta. Drugi objął mnie od tyłu, przyciskając mi ręce do ciała, i powalił kopnięciem w zgięcie podkolanowe. Kiedy pochylił się nade mną, złapałem go za uszy i trzasnąłem kolanem w twarz. Błyskawicznie zerwałem się na nogi i poprawiłem podbródkowym; kiedy upadł, kopnąłem w brzuch.

– Nie bijcie, *komandir* – wyjął prosząco.

Gwałtownym szarpnięciem postawiłem napastnika na nogi, zmarszczyłem brwi, rozpoznając chłopaka, którego ostatnio widziałem w Listwiance wśród kursantów Timy Kotuszewa.

– Dlaczego mnie śledziliście?! – warknąłem.

– My tylko tak – wymamrotał ze spuszczonego wzrokiem. – Mieliśmy zawieźć was do koszar.

Odwróciłem się, słysząc jęk, Aurora na czworakach usiłowała zatamować krew z rozbitej głowy. Wygrzebałem z leżącej pod ścianą torebki buteleczkę perfum, skropiłem chustkę i przyłożyłem do rany.

– Nie mogliście wymyślić niczego głupszego? – spytałem surowo. – A co, jeśli użyłbym broni?

– Przepraszamy – odparła, krzywiąc się, dziewczyna. – Chcieliśmy tylko sprawdzić, na ile jesteśmy dobrzy.

– No i sprawdziliśmy – dorzucił gorzko jej towarzysz.

– Co z tymi koszarami?

– Tima prosił, żeby was przywieźć, powiedział nam, gdzie was znajdziemy, dwie ulice dalej mamy samochód.

– Prowadźcie! – poleciłem.

Fakt, że Kotuszew wiedział o kasynie, specjalnie mnie nie zdziwił. Szkoląc kursantów, dysponował grupą wysoko wykwalifikowanych agentów, którym mógł wyznaczać dowolne zadania, prawdopodobnie należał do najlepiej poinformowanych ludzi w Moskwie. Nie ma co ukrywać, że odetchnąłem z ulgą, moje tajemnice były u Tima bezpieczne.

– Możesz kierować? – spytałem chłopaka, kiedy wsiedliśmy do auta.

– Bez problemu – zapewnił. – Na treningach gorzej obrywałem.

Przez chwilę obserwowałem go nieufnie, ale zdecydowane, płynne ruchy kursanta świadczyły, że nie odniósł większych obrażeń.

– To dobrze – skwitowałem. – Aurora?

– Przeżyję – powiedziała dziewczyna. – Gdyby nie ta ściana...

– I tak złagodziłem rzut, inaczej kręgosłup trzasnęłoby ci jak zapalka – poinformowałem zimno. – Na przyszłość radzę wam skończyć z takimi zabawami.

Aurora wymamrotała coś mało przyjaznym tonem, podejrzewałem, że nie było to błogosławieństwo, ale puściłem komentarz mimo uszu, w końcu wychowywaniem agentów zajmował się Tima.

– Jak wasze zdrowie? – odezwała się po chwili.

– Lepiej.

– To widać – wtrącił chłopak. – Szykuje się coś nowego?

– Skąd mam wiedzieć?

– Myślałem, że wasza wizyta...

– Od dawna nie pracuję w wywiadzie, jestem milicjantem – wszedłem mu w słowo. – A moja wizyta dotyczy zupełnie innej kwestii, można powiedzieć, że to sprawa dyscyplinarna.

Aurora spojrzała na mnie z niepokojem, lecz nie kontynuowała tematu.

– Obudźcie mnie, jak dojedziemy – poprosiłem. – Muszę się

zdrzemnąć, jestem jeszcze osłabiony.

Tym razem szum motoru uspił mnie błyskawicznie, cóż, byłem wśród swoich, bezpieczny.



Spotkaliśmy się w starym bunkrze. Tima rozstawił krzesła w kręgu. Kiedy zająłem swoje miejsce, po obu stronach miałem kursantów. Idea była oczywista: „Nie ma żadnych dowódców, tu wszyscy jesteście równi”.

– Zebraliśmy się w konkretnym celu – zagaił bez wstępu Kotuszew. – Jeden z nas zdradził i musimy osądzić, co z nim zrobić.

Prowadzone półgłosem rozmowy urwały się jak ucięte nożem i zapanowała martwa cisza. Większość dzieciaków nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat, ale wszyscy znali cenę zdrady, wiedzieli, że ktoś dzisiaj umrze.

– W raporcie po akcji w Listwiance napisano, że trzyosobowa grupa zlikwidowała bandytę o pseudonimie Kuwałda – kontynuował. – W skład grupy wchodził Wład, Timur i Aurora. To właśnie Wład miał zastrzelić Kuwałdę. *Komandir?*

– Ten bandzior nie zginął – poinformowałem. – Nie tylko przeżył, ale też zwąchał się z miejscowymi urkami i nieźle namieszał. Zanim zginął, zdążył zabić lekarza.

– Aurora, Timur?

– Słyszałam strzał – powiedziała łamiącym się głosem dziewczyna. – On naprawdę strzelił. Z odległości metra.

– Widziałaś, czy trafił?

– Nie, bo Wład zasłonił Kuwałdę.

– Timur?

Drobny blondyn o subtelnych, nieledwie kobiecych rysach twarzy pokręcił przecząco głową.

– Ja też nie widziałem, czy trafił. Kuwałda leżał w wykrocie, a Wład stanął tak, że widzieliśmy tylko jego plecy. Ale kiedy odchodziliśmy, trup miał zakrwawioną głowę, jakby dostał między oczy.

– Wcześniej nie był tak pokrwawiony? – upewnił się Tima.

– Nie, zauważyłem tylko rozciętą wargę. Dlatego żadne z nas niczego nie podejrzewało.

– Wład?

Zapamiętałem go z Listwianki, ale nawet gdybym zapomniał, jak wygląda, wiedziałbym, o kogo chodzi. Tylko jeden z kursantów siedział blady jak trup, z rękoma złożonymi na kolanach.

– Timur i Aurora wiedzieli, że darowałeś mu życie? – spytał miękko Tima.

– Nie – odpowiedział Wład po długiej jak wieczność chwili.

– Dlaczego?

– Przez niego – wyjaśnił, wskazując mnie podbródkiem. – Byłem zazdrosny o Aurorę. Miałem nadzieję, że Kuwałda go zabije.

– Mówiłam ci, że z nim nie spałam! – wybuchła dziewczyna.

– Nie w tym rzecz. Kiedy wróciłaś od niego, mówiłaś tylko o pułkowniku Razumowskim i ćwiczyłaś to idiotyczne machanie rękoma. Wtedy zrozumiałem, że nigdy mnie... że ja nigdy... – zająknął się, bezradnie opuszczając ręce.

– Co stało się z Kuwałdą? – ponaglił go Katuszew.

– Ktoś ranił go w udo. Szmata, którą przewiązał ranę, była całkiem przesiąknięta krwią. Zanim strzeliłem, kazałem mu ją zdjąć i wymazać sobie twarz. Pojął wszystko w mgnieniu oka i udawał martwego.

Tima przytaknął gestem, tak jakby nie spodziewał się niczego innego, po czym wstał z krzesła.

– Znasz zasady – oznajmił. – Nie wykonałeś mojego rozkazu i rozmyślnie naraziłeś na śmierć towarzysza broni.

– Masz na myśli pułkownika Razumowskiego?! – zawołał urągliwie Wład. – On już od dawna nie jest jednym z nas!

– *Komandir?*

– Mam z nim dyskutować? – rzuciłem wzgardliwie. – Przekonywać, że walczyłem za swój kraj, kiedy on biegał jeszcze w pieluchach? A może przypomnieć, że z *wojennej rozwiadki* się nie odchodzi? Wolne żarty!

– Niech będzie i tak. Głosujemy! – zarządził Tima.

Pierwszy podniósł rękę Timur.

– Śmierć! – powiedział stanowczo.

Zawtórowali mu inni, słowo „śmierć” wracało odbite od ścian złowrogim echem. Tylko Aurora milczała. Wład spojrzał na nią z nadzieją w oczach, wargi dziewczyny zdrząły jak u przestraszonego dziecka, ale szybko opanowała słabość.

– Śmierć – powiedziała suchym, wypranym z emocji głosem.

Kotuszew wyciągnął ręce i któryś z kursantów włożył mu w dłonie pistolety. Tima złapał je za lufy, podał blondynowi i Aurorze rękojeściami do przodu.

– Wiecie, co macie robić – powiedział.

Timur popchnął Włada do wyjścia i sam ruszył w ślad za nim. Aurora nie zareagowała, tak jakby wciąż nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje, jednak w końcu i ona podążyła za Władem. W chwilę później usłyszałem zgrzyt pancernych drzwi i rozległy się strzały. Najpierw dwa szybkie, w sekundę później jeszcze jeden, wreszcie dwa kolejne, oddane z opóźnieniem, jakby strzelec zmuszał się do naciśnięcia spustu.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, dwóch żołnierzy z oznaczeniami służby medycznej na mundurach kładło na nosze ciało Włada. Stojący niedaleko ambulans i niespieszne ruchy sanitariuszy sugerowały, że podobna procedura to dla nich nie pierwszozna. Timur przyglądał się temu, przygryzając nerwowo wargę, Aurora wyglądała na nieobecną.

– Co z tą dziewczuchą? – spytałem Kotuszewa cicho. – Byli

kochankami?

– To nie ma znaczenia – odparł spokojnie. – Tak czy owak, sprawa została załatwiona. Definitywnie.

Nie byłem tego taki pewien, ale nie widziałem powodu, żeby sprzeczać się z Timą. Nie moje małpy, nie mój cyrk. No i wystarczyło mi własnych kłopotów.

– Odwieszysz mnie do miasta?

– Odwiozę, ale jeszcze nie teraz. Dowódca chce się z wami spotkać.

– Gdzie?

– Niedaleko. Wsiadajcie.

Dopiero teraz spostrzegłem zaparkowanego na uboczu gazika. Bez słowa zająłem miejsce w samochodzie, bo i cóż mogłem zrobić? Skoro Zacharow chce ze mną rozmawiać...

Obecnie *wojennoj razwiedkoj* kierował Matwiej Zacharow, człowiek wyróżniający się nawet spośród innych dowódców GRU, o niebanalnych przecież życiorysach. Wśród żołnierzy cieszył się opinią kogoś potrafiącego przemykać między kroplami deszczu, a jednocześnie tańczącego na ostrzu brzytwy. Do dziś opowiadano sobie historię, jak to Zacharow, będąc szefem sztabu Odeskiego Okręgu Wojskowego, tuż przed wybuchem wojny postawił wojska okręgu w gotowości bojowej, kazał obsadzić przygraniczne fortyfikacje i przeniósł samoloty na lotniska polowe. To wszystko na bazie interpretacji lekceważonych przez Moskwę danych wywiadowczych. W efekcie oskarżono go o samowolę, dywersję i Bóg wie co jeszcze, a życie ocalił mu wybuch wojny. Dopiero wówczas doceniono, że jego oddziały nie dały się zaskoczyć i jako jedne z nielicznych przystąpiły do walki w sposób zorganizowany.

– Wiesz, o co chodzi? – przerwałem przedłużającą się ciszę.

– Nie. Mam was tylko zawieźć na miejsce.

– To znaczy gdzie?

– Pamiętajcie ten domek niedaleko strzelnicy?

Poczułem suchość w gardle, sprawdziłem, czy łatwo dam radę sięgnąć po pistolet. Irracjonalny odruch, bo tokariew nie mógł mi pomóc w konfrontacji z Zacharowem, a nie wątpiłem, że ten będzie czegoś ode mnie chciał. I z pewnością nie chodziło o drobnostkę, inaczej dowódca wywiadu wojskowego nie spotykałby się ze mną na podmoskiewskim poligonie.

– Masz coś do picia? – spytałem.

Tima sięgnął do schowka i podał manierkę. Łyknąłem ostrożnie, w środku była woda. Od czasów kontuzji Tima niemal nie pił alkoholu. Cóż, miejmy nadzieję, że jeszcze nie raz skosztuję wódki...



Generał Zacharow niewiele zmienił się od czasów wojny – spotkałem go kiedyś na jakiejś naradzie – jedynie stracił nieco włosów, a pełna, choć nie puciołowata twarz świadczyła, że nie ogranicza się już do połowych racji.

Spotkaliśmy się w chłopskiej chacie, jedynej pozostałości dawnej wsi, na której terenie stworzono poligon. Chałupa dziwnym trafem przetrwała, traktowana jako miejsce nieoficjalnych spotkań oficerów i, nie ma co ukrywać, pułkowych popijaw. *Wojennaja razwiedka* miała kilka swoich poligonów, ale często korzystała z uprzejmości zaprzyjaźnionych jednostek. Obecnie naszych kursantów gościli artylerzyści.

Usiedliśmy za stołem nakrytym jak do obiadu, dopiero teraz uświadomiłem sobie, że od rana nic nie jadłem. Zacharow uśmiechnął się, słysząc, jak burczy mi w brzuchu.

– Czym chata bogata! – zaprosił, nalewając wódki.

W talerzach parowała aromatyczna solanka. Widząc, że generał sięga po łyżkę, poczęstowałem się i ja.

– Za spotkanie! – wzniósł toast Zacharow.



Tręciliśmy się kieliszkami, zadźwięczało szkło.

– Zastanawiacie się pewnie, czego od was chcę? – zagaił.

– Owszem – przyznałem. – Przez kilka ostatnich lat kontaktowałem się tylko z Timą Katuszewem.

– Niemniej obserwowaliśmy was – zapewnił.

Westchnąłem ciężko, nie wypadało pytać, co z tego? Bo jakoś ta obserwacja nie przeszkodziła w zamachu na mnie.

– Parę razy udało nam się zapobiec różnym... incydentom, macie wielu wrogów, jednak Abakumow nas zaskoczył. Rozumiecie, on niczego nie planował, decyzję, żeby was otruć, podjął nagle, z godziny na godzinę. W takiej sytuacji nawet najlepsza agentura jest bezsilna.

Odchrząknąłem dyplomatycznie, informacja, że w otoczeniu Abakumowa działają nasi agenci, była dla mnie zaskoczeniem. Najwyraźniej coś się szykowało, nikt nie zaryzykowałby starcia z pupilem Stalina dla pułkownika Razumowskiego.

– W czym mogę pomóc?

– Wiecie, dlaczego bezpieka tak nas nienawidzi? – odpowiedział pytaniem.

– Bo jesteśmy dla nich konkurencją?

– To także, ale są i inne powody. Nasza organizacja jako jedyna po rewolucji odważyła się przyjąć w swoje szeregi szlachtę, a nawet arystokratów. Bezpieka nie może nam tego darować i oskarża o kontrrewolucję. Oczywiście to nieprawda – zapewnił natychmiast. – Nie występujemy przeciwko systemowi, jednak mamy nieco inne podejście do pewnych spraw.

– Tak?

– Na przykład uważamy, że przy pewnej dozie dobrej woli można złagodzić część... niedogodności. Weźmy choćby masowe represje, które tak osłabiają nasz kraj, czy niewolniczą pracę setek tysięcy więźniów w łagrach. Pomyślcie, czego moglibyśmy dokonać, gdyby tym samym ludziom zapewnić odpowiednie narzędzia i godziwe warunki życia. Zrozumcie mnie dobrze, nie

bronimy wrogów systemu, jednak nie chcemy, żeby szukano ich tam, gdzie ich nie ma. Pamiętajcie, ilu naszych w czasie wojny przeszło na stronę Niemców? Gdyby nie rasistowskie poglądy Hitlera, po jego stronie stanęłyby miliony Rosjan mających dość terroru i życia w nędzy.

Z trudem przełknąłem ślinę, za samo słuchanie takich rozważań można było dostać skierowanie do wyrębu tajgi na najbliższe dwadzieścia lat. W najlepszym razie...

– Nie interesuję się polityką – powiedziałem.

– To chyba nie do końca prawda – zauważył z dobrodusznym, choć niezupełnie szczerym uśmiechem. – W końcu poparliście grupę Chruszczowa.

– Macie coś przeciwko?

– Skądże znowu! Obecnie to najlepsza opcja dla Rosji.

Starąłem się nie okazać zdziwienia, usłyszawszy słowo „Rosja”. Niby nie było zakazane, ale wykorzystywano je głównie w kontekście historycznym, mówiąc o teraźniejszości, wszyscy używali określeń w rodzaju „Kraj Rad” czy „Związek Radziecki”.

– Dlatego nie tylko nie będziemy wam przeszkadzać, ale i pomożemy – kontynuował. – Oczywiście, w miarę możliwości.

Milczałem, nie komentując słów generała. „W miarę możliwości”, też coś!

– Zaczniemy od kwestii waszego bezpieczeństwa...

– Myślałem, że Abakumow nie zaryzykuje ponownej konfrontacji z milicją.

– Zaryzykuje, a raczej zaryzykowałby, gdyby nie my. Nie wiem, w czym rzecz, ale jest zdesperowany. Kiedy dowiedział się, że przeżyjecie, zaczął szykować kolejny zamach.

Poczułem na skroniach krople potu.

– Niemożliwe! – odparłem stanowczo. – Przecież wie, że tym razem Leontiew poskarżyłby się na Kremlu.

– Wie! – przytaknął Zacharow. – Dlatego to takie dziwne. Bo nie ulega wątpliwości, że morderstwo pułkownika milicji nie

uszloby mu płazem. Nie wiem, jak zareagowałyby towarzysze Stalin, ale z pewnością ściągnąłby mu smycz. Ostro ściągnął. Nie uwierzyłyby w ani jedno słowo Abakumowa, nawet gdyby ten przedstawił dziesięciu świadków, że potknęliście się na schodach. A jednak Abakumow gotów jest postawić wszystko na jedną kartę. To do niego niepodobne.

– Ale dlaczego?

– Wiem tyle co wy, a raczej mniej niż wy, niewykluczone, że albo posiadacie informację będącą kluczem do rozwiązania tej zagadki, albo jesteście w stanie ją zdobyć. Inaczej Abakumow nie nastawałby tak uparcie na wasze życie.

– O co mu może chodzić? – wymamrotałem.

– Jak powiedziałem, konkrety znacie lub możecie poznać tylko wy – odparł Zacharow z lekkim zniecierpliwieniem. – Jednak można wyciągnąć pewne wnioski. Pomyślcie logicznie: gdyby was zabił, Stalin nie bawiłby się w półśrodki, musiałby go ukarać tak, żeby los Abakumowa stanowił ostrzeżenie dla wszystkich innych nadmiernie ambitnych ministrów.

– Nie jestem aż taki ważny.

– Rzecz nie w was, tylko w równowadze między ministerstwami. Brak surowej kary byłby przyzwoleniem na stosowanie podobnych metod, a gensek nie może pozwolić na międzyresortową wojnę. Najprawdopodobniej Abakumow straciłby stanowisko i wylądował w jakiejś zapadłej dziurze jako urzędnik trzeciej kategorii. Wniosek? Jeśli Abakumow jest gotów na coś takiego, musicie mieć na niego potężnego haka. Haka, który może go zniszczyć. Nie poniżyć, ograniczyć władzę czy narobić kłopotów, ale zniszczyć totalnie, tylko wówczas wszystko ma sens. Dlatego się was boi, dlatego chce zabić za wszelką cenę, nie ma innego wytłumaczenia.

– Mówiliście, że jesteście w stanie zapewnić mi bezpieczeństwo.

– Już to zrobiłem, choć to tylko czasowe rozwiązanie. Jesteśmy

w posiadaniu pewnej informacji bardzo niewygodnej dla Berii i Abakumowa. Daliśmy im obu do zrozumienia, że jeśli coś wam się stanie, kompromitujący ich raport wyląduje na biurku towarzysza Stalina. Z tego, co wiemy, Beria kategorycznie nakazał Abakumowowi, żeby zostawił was w spokoju. Jak by nie był zdesperowany, Abakumow nie zaryzykuje starcia z Leontiewem, Berią i GRU naraz. Jednak niewykluczone, że w przyszłości Beria i Abakumow jakoś się dogadają, tym bardziej że obaj najchętniej widzieliby was w mogile. Trudno stwierdzić, ile macie czasu, powiedziałbym, że nie mniej niż kilka tygodni, ale nie więcej niż parę miesięcy. Jeżeli do tego czasu nie wyjaśnicie tej sprawy... – Rozłożył wymownie ręce.

Milczałem, bo i co można było powiedzieć? Chyba jeszcze nigdy w życiu nie byłem w podobnej sytuacji; miałem przeciwko sobie Berię i Abakumowa, gdzieś w pobliżu czaił się generał Wołkow, chcący pomścić śmierć córki, obalenia szefa bezpieczeństwa oczekiwali też ludzie Chruszczowa, a i *wojennaja razwiedka* nie pomagała mi bezinteresownie. Nie wątpiłem, że Zacharow powiedział mi prawdę i rzeczywiście zablokował kolejny ruch Abakumowa, tyle że ta przysługa miała swoją cenę i generał wyraźnie dał do zrozumienia, czego ode mnie oczekuje. Ni mniej, ni więcej, tylko głowy Abakumowa.

– Kapitan Kotuszew odwiezie was do miasta. – Zacharow wstał od stołu. – Powodzenia. Będzie wam potrzebne – dodał, ściskając mi dłoń.

Podziękowałem, jak lunatyk pomaszerowałem do samochodu. Powodzenia? Wolne żarty! Żebym wyszedł z tego cało, potrzebowałem nie tyle powodzenia, co Boskiej interwencji. Problem w tym, że Bóg – o ile istniał! – nie miał specjalnych powodów, aby wspierać pułkownika Razumowskiego.



Nie wiem, co mnie ostrzegło – zamek był nienaruszony – może zapach, szmer oddechu, ciepło ludzkiego ciała? Teoretycznie to niemożliwe, zbyt duża odległość, ale w moim fachu nie takie cuda się zdarzają. Nasz mózg to najbardziej leniwa część ciała, na co dzień wykorzystuje jedynie ułamek swoich możliwości, na pełnych obrotach działa tylko w sytuacjach ekstremalnych.

Pchnąłem lekko drzwi i wkroczyłem do mieszkania, trzymając pistolet gotowy do strzału, z lewą ręką wysuniętą przed siebie. Kiedy wszedłem do salonu, wrażenie, że w pomieszczeniu jest ktoś obcy, nasiliło się, zapaliłem światło i przykucnąłem w głębokim przysiadzie.

– Nie strzelajcie, *komandir* – powiedziała apatycznie Aurora. – To tylko ja. Nie mam broni.

Dziewczyna siedziała w fotelu, piastując na wpół opróżnioną butelkę koniaku.

– Przepraszam za najście, ale muszę z kimś pogadać. Wiecie, że go zastrzeliłam? Choć może był już martwy i tylko zdawało mi się, że na mnie patrzy? Wynajmuję tu pokój u takiej jednej, ale nie chciałam być dzisiaj sama. Wiedziałam, że w końcu wrócicie.

– Skąd znasz mój adres?

– Tima kazał mi was śledzić. W ramach treningu – dodała szybko. – Nie zauważyliście mnie, więc zaliczył mi ćwiczenie. Jako jedynej – uzupełniła z odcieniem dumy.

Zmarszczyłem brwi, pod koniec zeszłego roku zaczęły za mną chodzić jakieś dziwne indywidua, a ponieważ odwiedzałem kasyno, na wszelki wypadek starałem się zgubić swoich prześladowców.

– Jadłaś coś? – spytałem.

– Nie, tylko piłam.

– W lodówce jest mięso i jajka, zrób coś do jedzenia – poleciłem. – Ja muszę się wykąpać.

Poczłapałem do łazienki, nie interesując się, czy panienka Aurora wejdzie w rolę kucharki. Byłem śmiertelnie zmęczony.

Z westchnieniem ulgi zanurzyłem się w pachnącej drzewem cedrowym wodzie, przymknąłem oczy. Z drzemki wyrwał mnie zaniepokojony głos dziewczyny:

– Aleksandrze Nikołajewiczu?

Dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, że wciąż leżę w wannie.

– Już idę – wymamrotałem.

Aurora nakryła do kolacji w kuchni, na stole stała miska jajecznicy, herbata i czarny chleb.

– Jedz! – burknąłem, widząc, że patrzy na mnie pytająco.

Dziewczyna uniosła łyżkę do ust, przełknęła, po czym rozplakała się bezradnie. Westchnąłem ciężko, wyciągnąłem do niej rękę. W mgnieniu oka przypadła do mnie, nadal wstrząsana szlochem.

– Nie nadaję się do tego – wyszeptała. – Nie potrafię.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałem ze znużeniem. – To normalne.

– Co? To, że ryczę jak przedrewolucyjna pensjonarka?

Potwierdziłem nieartykułowanym pomrukiem.

– Ja też płakałem, kiedy przyszło mi zabić przyjaciela.

– Żartujecie?!

– Ani trochę – zapewniłem ponuro. – Ale dość o tym!

– Przepraszam, pójdę sobie. Ja zaraz...

– Możesz zostać na noc – wszedłem jej w słowo. – Ale będziesz spała na podłodze albo w fotelu, ja już jestem za stary na takie wyczyny.

Zanim skończyłem zdanie, zniknęła w salonie. Co prawda łóżko było dwuosobowe, lecz nie zamierzałem zapraszać ledwo poznaną, niechby i sympatycznej dziewczuski tam, gdzie jeszcze niedawno spała Liza. Do tej pory moje myśli o Lizie podszyte były urazą i zimną złością, teraz zaczynałem do tego podchodzić z dystansem. W końcu powiedziała mi otwarcie, że odchodzi do Galicza, a jej śmierć i okoliczności, w jakich zginęła, dowodziły,

że mnie nie zdradziła, także w tym mniej konwencjonalnym sensie tego słowa.

– Posłałam – poinformowała Aurora, wyrywając mnie z zamyślenia. – Chodźcie spać, bo ledwo trzymacie się na nogach.

Powlokłem się do salonu i wsunąłem pod kołdrę. Dziewczyna rozłożyła koce tuż przy łóżku.

– Tylko nie nadepnijcie mnie, jakbyście wstali w nocy – ostrzegła.

– A niby po co mam wstawać? Nie jestem lunatykiem.

– Bo wiecie, w waszym wieku bywa, że pęcherz szwankuje...

– Przyłożę ci za to – obiecałem. – Jutro.

Zasnąłem, słysząc dziewczęcy chichot.



Obudził mnie dzwonek przejeżdżającego kilka ulic dalej tramwaju, zza okna dochodziły odgłosy wielkiego miasta: warkot samochodowych silników, gwizdki regulujących ruch milicjantów, przytłumiony uliczny gwar. Zerknąłem na zegarek, dochodziła dziesiąta. Teoretycznie nadal byłem na urlopie zdrowotnym, ale wypadało zobaczyć się z Poliakowem i zajrzeć na Pietrowkę. Było nie było, dowodziłem wydziałem śledczym.

W kuchni znalazłem gotowe śniadanie i karteczkę od Aurory z jednym wyrazem: „dziękuję”, do tego numer telefonu. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że nie spytałem jej nawet, jak dostała się do mojego mieszkania. Pewnie bestia dorobiła klucze, bo zamek nie nosił śladów manipulacji. No nic, jeszcze zdążę z nią pogadać, coś mi mówiło, że to nie ostatnie spotkanie z panienką Aurorą.

Nie zabawiłem długo w łazience, dziś z rur płynęła tylko zimna woda, pospiesznie przełknąłem kilka kanapek, popijając wystygłą herbatą. Kiedy wychodziłem, niemal zderzyłem się

z Nataszą Pokrowską. Natasza była moją sąsiadką i prowadziła finanse kasyna, ale od kiedy wydała mnie w ręce generała Wołkowa, rozmawiałem z nią tylko w razie absolutnej konieczności. Do dziś nie w pełni rozumiałem, dlaczego darowałem jej życie.

– Dzień dobry, Saszka – powiedziała, mijając mnie ze spuszczoną głową.

– Dobry – odburknąłem. – Czeka! Muszę z tobą porozmawiać, zajdę do ciebie dziś wieczorem.

– Może być o ósmej? Chciałabym odebrać syna ze szkoły, mają dziś zajęcia do późna.

– Niech będzie.

Wzmianka o synu Nataszy nie poprawiła mi humoru, to właśnie Losza posłużył Wołkowowi za kartę przetargową w rozgrywce przeciwko mnie. Porwawszy dzieciaka, zmusił Nataszę, żeby podsypała mi do herbaty narkotyku. Ech, czasami chciałbym choć tydzień przeżyć jak normalny człowiek, bez konieczności oglądania się za siebie i chwytania za broń przy każdym niespodziewanym dźwięku. Chociaż jaka tam u nas normalność? Wystarczy głupi donos i do twoich drzwi zapukają czekaści...

Wyszedłem na ulicę, przystanąłem, słysząc klakson samochodu. Przed wejściem do mojej kamienicy zatrzymała się czarna pobieda i z wozu wyskoczył krępy, niewysoki kierowca, żeby otworzyć mi drzwi.

– Dzień dobry, *komandir!* – powitała mnie, szczerząc zęby, Ada Sawicka.

Zamrugąłem oszołomiony, ale Sawicka nie zniknęła.

– Dostałam przeniesienie – wyjaśniła. – I awans – dodała, wskazując na pagony. – A wy samochód służbowy z kierowcą.

– No dobrze – westchnąłem. – Jedźmy.

– Nie pogratulujecie mi awansu?

– Gratuluję – odparłem bez entuzjazmu.



Dziewczyna świeciła się jak nowa kopiejka, ale ja byłem nieco mniej entuzjastycznie nastawiony do jej obecności w Moskwie. Co ten Poliakow znowu kombinuje? Bo przecież gdyby nie interweniował osobiście, Sawicka zostałaby w Listwiance. Gdzie tu konspiracja? Co, jeśli ktoś się domyśli, że to jego córka?

– I dziękuję!

– Za co?

– No przecież to wy zarządziliście, żeby mnie przeniesiono do Moskwy. Generał Poliakow powiedział, że na razie nie może mnie przydzielić do waszej ekipy, bo mam za mało doświadczenia, ale jeśli będę was wozić, to się przypatrzę działalności grupy śledczej, a później...

– Co takiego?!

Sawicka spojrzała na mnie ze zdziwieniem, samochodem zarzuciło, tuż obok ktoś zatrąbił gniewnie.

– Patrz przed siebie! – warknąłem. – To nie twoja wioska!

– Uczyłam się jeździć w Irkucku – odparła niefrasobliwie.

– Zabiję go – wymamrotałem. – Uduzę gada!

– Kogo?

– Nieważne, jedź.

Spodziewałem się, że na Pietrowkę dotrzemy dużo później niż normalnie, bo Ada przecież nie znała Moskwy, jednak ku mojemu zdumieniu dziewczyna nie tylko wybrała właściwą trasę, ale i wykorzystywała skróty znane tylko mieszkańcom stolicy.

– Byłaś już kiedyś w Moskwie? – spytałem.

– Dawno temu, na wycieczce.

– To skąd znasz drogę?

– Kierowca generała Poliakowa pokazał mi, jak najszybciej dojechać do MUR-u.

No ładnie... Tak czy owak, musiałem pogadać z Poliakowem. Jeśli go nie powstrzymam, to zamelduje dziewczynę w moim mieszkaniu.

– Gdzie się zatrzymałaś?

– W milicyjnym hotelu – odparła szybko. – Nie musicie się martwić, generał zatroszczył się o wszystko.

Wysiłkiem woli powstrzymałem się od poinformowania pani Szwedki, że problem, gdzie będzie mieszkać, nie spędza mi snu z powiek.

– Jesteśmy! – zameldowała wesoło dziewczyna.

Wysiadłem z wozu, kiedy tylko zaparkowała, i popędziłem do gabinetu Poliakowa. Nie przewidziałem, że na korytarzu będą mnie oczekiwać przyjaciele i współpracownicy. Cóż, w końcu to MUR...

– Jak się czujesz, Saszka? – spytała z troską Katia Romanienko.

– Nieźle – uciałem stanowczo temat mojego zdrowia. – Później pogadamy, teraz muszę się zobaczyć z Nikołajem. Poczekajcie na mnie w moim gabinecie – poprosiłem.

Starcew ponuro skinął głową, Rudenko stał nieruchomo, z zaciśniętymi pięściami. Zanotowałem sobie w myśli, żeby przypilnować chłopaków. Obaj służyli wcześniej pod dowództwem Lizy, było oczywiste, że zechcą wyrównać rachunki z bezpieczeństwem.

Najwyraźniej Poliakow spodziewał się, że rozmowa nie będzie należała do przyjemnych, bo dyżurujący w poczekalni oficer zameldował mnie i natychmiast wyszedł.

– Posłuchaj! – zaczął generał, unosząc ręce w obronnym geście. – Musiałem ją tu ściągnąć.

– Jasne! – warknąłem. – A zasugerować, że jestem jej ojcem, też musiałeś?!

– Chciałem ci ułatwić zadanie. – Wyraźnie unikał mojego wzroku. – Żeby zaczęła cię słuchać, wiesz, że jest uparta jak osioł.

– Po tatusiu!

– Możliwe – westchnął. – Siadaj i proszę, uspokój się.

Zająłem miejsce po przeciwnej stronie biurka, zabębniłem nerwowo w blat.

– W Listwiance byłaby bezpieczna – wróciłem do tematu.

– Nie byłaby. W irkuckiej bezpiece jest chujek, który ubzdurał sobie, że Ada ma coś wspólnego z kradzieżą złota. Gość próbował ją podrywać, a kiedy nie wyszło, wysmażył raport, przedstawiając Adę jako jedną z podejrzanych w tej sprawie.

– Skąd wiesz?

– Mam swojego człowieka w tamtejszej centrali łączności. Cała korespondencja przechodzi przez jego ręce.

– Kiedy tam nie ma żadnych kradzieży, a jedynie parę kłamliwych donosów!

– Już są, tydzień temu w kopalni „Czerwony Sztandar” odkryto brak kilograma kruszcu i teraz czekiści są przekonani, że w okolicach Listwianki działa znakomicie zakonspirowana banda. Może te donosy nie były aż tak kłamliwe? Oczywiście obserwacja Ady nic by nie dała, ale sam wiesz, że taki drobiazg jak brak dowodów winy nigdy nie peszył bezpieki. Musiałem ją stamtąd zabrać!

– Może i tak – przyznałem niechętnie.

Biorąc pod uwagę metody śledcze czekistów, Ada przyznałaby się nie tylko do kradzieży złota, ale i kanibalizmu.

– Ale po czorta przyczepiłeś ją do mnie? – kontynuowałem. – Wiesz, w jakiej jestem sytuacji. Jak się zacznie rozpierducha, dziewczyna może oberwać tylko dlatego, że zobaczą ją ze mną!

– Gdyby nie ty, zginęłaby w Listwiance, a ja dowiedziałbym się o tym po tygodniu! Tu przynajmniej mam ją na oku – zripostował gniewnie. – Bezpieka nie może zabijać każdego, kogo znasz, musieliby wytłuc pół MUR-u. A ona jest tylko twoim kierowcą.

– Dzięki wielkie!

– No, nie złość się już, wiesz, jak jestem ci wdzięczny. Gdzie niby miałem ją wysłać? To zادیorna koza, a tobie jest posłuszna na każde skinienie.

– Przeniesienie z Listwianki nikomu nieznaney dziewczuchy nie wyda się podejrzane?

Zamiast odpowiedzieć, Poliakov wywrócił oczyma i przyjrzał mi się, jakbym był niespełna rozumu.

– Nie, jeśli się rozniesie, że to ty o to poprosiłeś – odparł sucho.  
– Wszyscy wiedzą, że masz zachcianki jak primabalerina, a ja idę ci na rękę. Wreszcie Ada wykryła mordercę dzieci, przypisałeś jej całą zasługę, pamiętasz? Więc nikt się nie zdziwi, że wziąłeś ją do swojej ekipy i chcesz szkolić. Ot, kolejna wschodząca gwiazda wydziału śledczego, jak ten twój Bugrowski.

– Niech ci będzie – westchnąłem. – Ale pamiętaj, że to twój pomysł. Co byś nie powiedział, moje towarzystwo nie należy teraz do najbezpieczniejszych.

– Wiem – przytaknął Poliakov. – Ale nie widzę innej możliwości. Przeniesienie do Moskwy usunie ją z pola widzenia czekistów, a z tym głównym tutaj jakoś sobie poradzimy. Jak zareagowała na przeniesienie?

– A jak miała zareagować młoda dziewczyna na wyjazd do stolicy? Cieszy się jak cholera.

– Nie będzie problemów z dyscypliną? Nie zhardziała?

– Nie sądzę. Podlizuje mi się jak może.

– To dobrze – powiedział generał z ulgą. – W takim razie jeszcze jedna sprawa: twoi ludzie. Musisz ich uspokoić, szczególnie smarkaczy, jeszcze chwila i zerwą się ze smyczy.

– Wiem, zaraz się tym zajmę. Co z moim urlopem?

– Jeśli masz coś zdziałać w sprawie Lizy, potrzebna ci swoboda ruchów, więc od jutra wracasz do służby. Zadaniem wydziału zajmie się Maksimow i dzieciaki, tak jak do tej pory, tobie daję wolną rękę, choć dobrze by było, jakbyś od czasu do czasu poudawał, że coś robisz. Włączysz się tylko w razie konieczności.

Mruknąłem potakująco, Maksimow radził sobie doskonale na stanowisku mojego zastępcy, a Bugrowski już teraz uchodził za jednego z najlepszych śledczych MUR-u, jednak czasem ofiarą przestępstwa stawał się ktoś z partyjnej elity, a wówczas trzeba było dołożyć wszelkich starań, żeby jak najszybciej znaleźć

winnego. Takie sprawy prowadziłem osobiście.

– Dziękuję – powiedziałem szczerze.

Poliakow praktycznie dał mi *carte blanche*, świetnie zdając sobie sprawę, że jeśli przegram z Abakumowem, za porażkę przyjdzie zapłacić nie tylko mnie, ale i jemu.

Generał machnął lekceważąco ręką, wstał zza biurka i zamknął mnie w niedźwiedzim uścisku.

– To ja dziękuję ci za Adę – powiedział. – A teraz zajmij się swoją ekipą.

Łatwo powiedzieć, pomyślałem. Starcew i Rudenko podkochiwali się w Lizie i byłem pewien, że zażądają, aby ich włączyć w akcję przeciwko bezpieczeństwu. Cóż, może jakoś uda się ich spacyfikować...



Katia Romanienko siedziała w moim fotelu, Maksimow stał przy oknie, wpatrując się w podłogę, tak jakby zafascynowały go kolorowe wzory na dywanie, obaj porucznicy spacerowali nerwowo po niewielkim gabinecie, miotając się od ściany do ściany.

– Stańcie gdzieś albo usiądźcie – mruknąłem. – Bo dostanę oczopląsu.

– Co robimy, *komandir*? – zapytał Starcew.

– Już ci mówię: nic. Literalnie.

Chłopak otworzył usta, żeby zaprotestować, uciszyłem go gniewnym gestem.

– Co ty sobie wyobrażasz? Myślisz, że mamy do czynienia z jakimś obszczymurkiem z ulicy? Abakumow to trzecia najważniejsza osoba w państwie, zaraz po Stalinie i Berii!

– Ale...

– Żadne ale! Ostatnie, czego mi potrzeba, to was dwóch

plączących się pod nogami!

– Macie jakiś plan? – rzucił domyślnie Rudenko.

– Jeśli nawet, na pewno nie będę ci go przedstawiał.

– Nie ufacie nam? – wybuchnął Starcew.

– Ufam, ale jestem ostrożny. Jak myślisz, jak długo wytrzymałbyś w tej samej celi co Liza? Nawet ja nie jestem pewien swojego bezpieczeństwa, a na zniknięcie porucznika milicji, niechby i z MUR-u, nikt nie zwróci uwagi. Dlatego nie będziemy o tym rozmawiać, wszystko jasne?

Starcew zacisnął zęby, lecz nie odpowiedział.

– Poruczniku Starcew? – ponagliłem cichym, złowrogim tonem.

– Jasne! – odburknął.

– Bo jeśli wejdiesz mi w drogę... – zawiesiłem wymownie głos.

Nikt nie odważył się odezwać, nawet Maksimow stanął wyprostowany, w pozycji niemalże na baczność.

– Od czasu do czasu mogę was poprosić, żebyście zrobili coś dziwnego, niezwiązanego z pracą – kontynuowałem po dłuższej chwili. – Nie będziecie mogli o tym rozmawiać, nawet między sobą. Oficjalnie zajmujecie się tylko sprawami wydziału i we wszystkim słuchacie mojego *zama*.

– *Tak toczno!* – odpowiedzieli służbiście porucznicy.

– Jeszcze jedno, sami wiecie, jakie jest ryzyko, Liza zginęła, a ja ledwo przeżyłem, muszę wiedzieć, czy się na to piszecie?

– *Ja w diele!* – wykrzyknął natychmiast Starcew.

– I ja – potwierdził Rudenko.

Katia i Maksimow zgłosili swój udział z dużo mniejszym entuzjazmem, choć równie stanowczo.

– A teraz do roboty!

Katia poczekała, aż wszyscy wyjdą, po czym podeszła i przytuliła mnie, obejmując ciasno w pasie. Spróbowałem się odsunąć, wiedziałem, że dziewczyna nie przepada za bliskością z mężczyznami, ale nie pozwoliła mi na to.

– Gdybym mogła ci jakoś pomóc... – wyszeptała.  
Pogładziłem ją po twarzy, poczułem pod palcami wilgoć.  
– Pomagasz – zapewniłem.  
– Jakie mamy szanse? – spytała cichutko.  
– Niewielkie – powiedziałem otwarcie. – Dlatego póki można, chcę was trzymać na dystans.

Rozległo się energiczne pukanie, w progu stanął Dima Bugrowski.

– Wybaczcie, *komandir* – wysapał. – Musiałem podpisać dokumenty i...

– Nic się nie stało – przerwałem mu bezceremonialnie.  
– To ja już pójdę – oznajmiła Katia. – Jakby co, jestem w laboratorium.

Kiedy tylko za dziewczyną zamknęły się drzwi, Dima usiadł, nie czekając na zaproszenie, i frasobliwie rozmasował skronie.

– Kłopoty – odpowiedział na niezadane pytanie. – Chce z wami gadać niejaki Fiłatow.

– Kto zacz? Bo chyba nie ten Fiłatow z Wydziału Wojskowego KC?

– Niestety, ten sam.  
Zakląłem z bezsilną złością. Komitet Centralny zarządzał w praktyce państwem i w całym kraju było co najwyżej kilka osób, które mogły nie przejmować się jego decyzjami. Pułkownik Razumowski z pewnością do nich nie należał.

– O co chodzi?  
– Dwa lata temu jego córkę napadli i pobili na ulicy, a ona uparła się zeznawać i rozpoznała bandziora. Nasi go dorwali, człowiek okazał się poszukiwanym od dawna recydywistą.

– Jakie paragrafy? – rzuciłem szybko.  
Recydywista recydywiście nierówny, a Kodeks karny mamy surowy, może to jakiś drobny żulik?

– Zabójstwa i grabieże – Bugrowski rozwiął moje nadzieje.  
– Co dalej?

– A co miało być? Wysłali gada do łagru. Normalnie dostałby wyrok śmierci, ale akurat trafił na szczęśliwy moment.

Mruknąłem potakująco, w maju tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego Prezydium Rady Najwyższej ZSRR wydało dekret o likwidacji kary śmierci w czasie pokoju. Co prawda już na początku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego przywrócono wyszkę, ale na razie kara dotyczyła jedynie „zdrajców ojczyzny, dywersantów i szpiegów”.

– Ale co to ma wspólnego ze mną?

– Ten bandzior nazywa się Kotowski, Awram Kotowski, pseudo „Kot”. Tydzień temu zwiął z Magadanu i jedzie do Moskwy. Panience odgrażał się już na procesie, nic dziwnego, że tatuś rwie włosy z głowy.

– Skąd wiadomo, że do Moskwy?

– Bo zostawił po drodze trzy trupy – odparł ponuro Bugrowski.

– Nasi próbowali go złapać.

Zakląłem ponownie.

– I co teraz?

– Generał Leontiew był już wzywany do KC i rekomendował was jako najlepszego śledczego. Oczywiście dziewczynie przydzielono ochronę, ale ten gnojek jest naprawdę dobry, więc podejrzewam, że macie być kozłem ofiarnym resortu, na wypadek jeśli coś jej się stanie.

Zacisnąłem pięści, jeszcze tego mi brakowało. Nie spytałem, skąd u Dimy takie informacje, jego ojciec był jednym z zaufanych ludzi Leontiewa.

– To pseudo to nie tylko od nazwiska?

– Nie tylko – przytaknął Dima.

Co oznaczało, że w bandyckim świątku facet był rzeczywiście kimś, abrewiatury KOT, *koriennoj obitatiel tiurmy*, mogli używać tylko przestępcy po długoterminowych wyrokach, uważający więzienie za swój prawdziwy dom.

– Na kiedy mam spotkanie?



– Jutro, dziesiąta rano.  
– W KC?  
– Nie, za wysokie progi, w podmiejskiej willi towarzysza Fiłatowa.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, do gabinetu wszedł Poliakov. Bugrowski natychmiast zerwał się z miejsca i stanął na baczność.

– Wiesz już o Fiłatowie? – spytał generał, nie zwracając uwagi na chłopaka.

– Tak. Dima mnie uprzedził.

– Przed chwilą dostałem telefon z KC. Wyślę jutro po ciebie swój samochód.

Skinąłem głową, Ada nie знаła jeszcze na tyle Moskwy, żeby trafić na osiedle dla prominentów, a i lepiej, żeby Fiłatow nie widział jej ze mną.

– Uważaj, Saszka – powiedział Poliakov z troską. – To naprawdę głębokie wody.

Westchnąłem ciężko, głębokie wody? Tak jakbym sam nie wiedział. Komitet Centralny, kurwa jego mać...



Mieszkanie Nataszy zmieniło się od czasu mojej ostatniej wizyty. Tandetne, obdrapane sprzęty zostały zastąpione przez meble z okresu belle époque, pojawiły się ręcznie tkane dywany, obrazy i ze smakiem dobrane bibeloty, także sama gospodyni ubrana była według najnowszej mody. Najwyraźniej zarządzanie kasynem jej służyło.

Natasza posadziła mnie za stołem, podała herbatę, podsunęła ciepłe jeszcze ciasteczka. Przez chwilę zastanawiałem się, czy przyjąć poczęstunek, ostatecznie jednak sięgnąłem po słodycze. Potrzebowałem informacji, a obrażanie sąsiadki nie było najlepszym sposobem, aby zapewnić sobie jej pomoc.

– Co muszę zrobić, żeby dostać się do więzienia i zabić ludzi odpowiedzialnych za śmierć Lizy? – spytałem wprost.

– Zakładam, że chcesz to załatwić dyskretnie?

Przytaknąłem.

– Nie da rady. – Popatrzyła mi prosto w oczy. – Butyrki to więzienie pod specjalnym nadzorem, kontrolowane przez ludzi Abakumowa.

– Cichy mi nie pomoże?

Od kilku lat Tichonow, pseudo „Cichy”, rządził światem przestępczym stolicy. Swego czasu oddałem mu kilka przysług, ustaliliśmy też strefy wpływów. Natasza pośredniczyła w kontaktach z bandyckimi hersztami.

– Nawet jeśli spróbuje, to nie da ci takiej przewagi, jak sądzisz.

– A to dlaczego?

– Nie będziesz w stanie przenieść żadnej broni, a w tej celi jest pięciu urków. Cichy może przesłać gryps do *błatnych* w więzieniu, żeby ci pomogli, ale jeśli cię zdemaskują, zabiją na miejscu.

– Zdemaskują?

– Cichy nie może skłamać wprost, bo musiałby za to odpowiedzieć przed innymi *worami w zakonie*. Jedyne wyjście to przedstawić cię jako człowieka, który w jego imieniu ukarze urków nieprzestrzegających zasad. Jeśli twoje nazwisko wypłynie, a to bardzo prawdopodobne, może zasugerować innym *worom*, że cię przekupił i wykonałeś wyrok za pieniądze, co nie narusza *poniatij*, ale lepiej, żebyś w więzieniu uchodził za *błatnego*. Nie możesz przecież wyjaśniać każdemu zekowi, że jesteś przekupionym przez Tichonowa pułkownikiem milicji, bo umrzesz, zanim dokończysz zdanie!

– W czym problem? Będę tam tylko kilka godzin, a Cichy napisze gryps.

– W ciągu tych kilku godzin ferajna przeświecili cię jak rentgenem. W razie najmniejszego podejrzenia zabije.

– Znam żargon *błatnych*!

– Tyle o ile. Wystarczy nieprawidłowe użycie jednego słowa i wszyscy rozumieją, że jesteś oszustem. W więzieniu istnieją setki zwyczajów i tabu, a niektóre wyrażenia mają zupełnie inny sens. Na przykład słowo *sprasziwat*' nie oznacza pytania, tylko pociągnięcie do odpowiedzialności. Jeśli powiesz komuś, że chcesz go o coś spytać, dostaniesz nożem pod żebro. W więzieniu nie można pytać, można się jedynie interesować.

– Nie mogę powiedzieć po prostu, że chcę pomścić śmierć przyjaciółki?! O ile pamiętam, *błatni* nie popierają bicia kobiet, a tym bardziej gwałtów!

– Owszem, o ile chodzi o normalne kobiety – odparła Natasza z odcieniem współczucia w głosie. – To nie dotyczy milicjantek. Według *błatnych* pojęć Liza to milicyjna suka i każdy mógł z nią zrobić, co zechciał. Jeśli pragniesz wsparcia Cichego, liczy się tylko złamanie złodziejskich zasad, o Lizie nawet nie wspominaj!

– Ale pomoże mi, jeśli obiecuję, że zabiję tamtych pięciu?

– Tak. Jednak na pewno sformułuje wiadomość dla *błatnych* w taki sposób, żeby w razie czego uniknąć oskarżenia o współpracę z milicją. Nie ma mowy, aby napisał, że jesteś jednym z nich, co najwyżej to zasugeruje. Jeśli się czymś zdradzisz, zginiesz.

– Pomożesz mi?

– W czym?

– W przyswojeniu tego całego żargonu i więziennych zwyczajów.

– Zabiją cię!

– Na pewno spróbują – przyznałem. – Więc?

Natasza splotła palce z taką siłą, że pobielały, zagryzła wargi.

– Pomogę ci, jeśli chcesz – zgodziła się niechętnie.

Dobrze, jedna rzecz załatwiona, teraz tylko – bagatela! – trzeba zniszczyć Abakumowa, bo jeśli ruszę wcześniej urków, gość potraktuje to jako sygnał ostrzegawczy i zabije mnie bez względu

na konsekwencje. No i złapać wariata, który prześladowuje córkę Fiłatowa. Ech, chuj by to strzelił..



Willa Fiłatowa przypominała posiadłość rzymskiego konsula: wszędzie marmury, mozaiki i dzieła sztuki. Do tego wszechobecna służba, po drodze spotkałem kilka kobiet w fartuszkach pokojówek, szofera, ogrodnika i oczywiście sekretarza ekscelencji. Ten ostatni zaprowadził mnie na oszklony taras i zostawił samego, choć cały czas miałem wrażenie, że jestem obserwowany. Być może towarzysz Fiłatow chciał się przekonać, czy nie nasikam mu do doniczek z palmami...

Założyłem nogę na nogę i ostentacyjnie spojrzałem na zegarek. Przypuszczałem, że ta niedwuznaczna aluzja może mocno zdenerwować kogoś nieprzywykłego do arogancji zwykłych śmiertelników, jednak nie miałem nic do stracenia. Tak jak mówił Bugrowski, przeznaczono mi rolę kozła ofiarnego i nic, co bym zrobił, nie mogło tego zmienić. Na stole położyłem teczkę zawierającą akta Kotowskiego, jej zawartość bynajmniej nie podniosła mnie na duchu, teraz już nie dziwiłem się, że Kot zostawił za sobą kilka trupów.

Trzasnęły energicznie otwarte drzwi i na taras wyszedł starszy, szpakowaty mężczyzna w towarzystwie blondwłosej ślicznotki. Ani chybi towarzysz Fiłatow z córką. Dziewczyna usiadła przy oddalonym o kilka metrów stoliku, a Fiłatow stanął przede mną z niewróżącą nic dobrego miną.

Podąłem swoje nazwisko i stopień suchym, rzeczowym tonem, nie miałem zamiaru podlizywać się jakiemuś partyjnemu satrapie. Poza wszystkim innym niczego by to nie dało. Fiłatow winił milicję za to, że nie złapała prześladowcy córki, a ponieważ nie mógł wyżyć się na Leontiewie, pozostawał pułkownik

Razumowski...

– Zdajecie sobie sprawę z sytuacji?! – wysyczał. – Ja was...

Nie dokończył, odtrącony przez córkę, dziewczyna nagle zerwała się z fotela, podbiegła do mnie i chwyciła za rękę.

– Nie poznajecie mnie? – spytała łamiącym się głosem.

Zmarszczyłem brwi, kogoś mi przypominała. Przepastne zielone oczy, subtelne rysy, włosy w odcieniu jasnego złota...

– Breslau, czterdziesty piaty – rzuciła gorączkowo.

Teraz skojarzyłem: Aleksandra, jedna z poznanych we Wrocławiu robotnic przymusowych.

– Saszka? – spytałem z niedowierzaniem.

– Tak! – zawołała, rzucając mi się w ramiona.

Objąłem ją niepewnie, obawiając się reakcji Fiłatowa, ale ten patrzył na mnie jak na dawno niewidzianego syna. Znienacka złapał moją prawicę i potrząsnął nią kilkakrotnie.

– To wy pomogliście mojej córce? Dziękuję wam, towarzyszu! I siadajcie!

Przywołany jakimś sekretnym sygnałem kelner podał herbatę w filiżankach z delikatnej chińskiej porcelany, w chwilę później zostaliśmy sami.

– Przepraszam was za powitanie – usprawiedliwił się Fiłatow.

– Myślałem, że Leontiew przysłał mi jakiegoś nieudacznika, na którego mógłby w razie czego zwalić winę.

Odchrząknąłem dyplomatycznie, nadal oszołomiony rozwojem wydarzeń. Niewiele razy w życiu spotykałem się z ludzką wdzięcznością, widać dzisiaj dopisało mi szczęście.

– Generał robi, co może – odpowiedziałem. – Ale sytuacja nie wygląda najlepiej.

– Wiele o was słyszałem od córki, jestem pewien, że bez trudu poradzicie sobie z tym zbiegłym zekiem. Dotychczasowe działania milicji były całkowicie nieskuteczne. Dziwię się, że generał Leontiew toleruje taki brak kompetencji u swoich podwładnych!

Skosztowałem herbaty, żeby zyskać na czasie, ostatnie, czego mi było trzeba, to wrogość Fiłatowa, jednak ktoś musiał powiedzieć mu prawdę. Myślałem o tym, odkąd przeczytałem akta Kotowskiego.

– Pułkowniku? – ponaglił mnie łagodnie.

– To dość skomplikowana sprawa – powiedziałem wymijająco.

– Może omówilibyśmy to...

– Beze mnie – dokończyła sarkastycznie Aleksandra. – Nie ma mowy! – zawołała, łagodząc sprzeciw uśmiechem. – Chcę wiedzieć, co się dzieje! To mnie grozi ten bandyta.

Spojrzałem pytająco na Fiłatowa, ten skinął głową. Wyciągnąłem z teczki dokumenty, położyłem na stole.

– Problem leży w Kotowskim, a nie w niekompetencji milicji – oznajmiłem z westchnieniem. – Nikt nie zlekceważył waszej prośby, towarzyszu, ani bezpieczeństwa waszej córki. Gdyby Kotowski był zwykłym bandytą, dawno zostałby złapany. No i nie uciekłyby z łagru.

– Co tu jest? – spytał Fiłatow, wskazując tekturową teczkę z takim obrzydzeniem, jakby zawierała nieprzyzwoite zdjęcia.

– Informacje. Wczoraj poprosiłem o akta Kotowskiego.

– I dostaliście je tak szybko? To przecież niemożliwe. Zresztą nie ma w nich nic specjalnego, czytałem te dokumenty!

– To akta *wojennej rozwiadki*, nie milicji – wyjaśniłem. – W czasie wojny zaistniała konieczność podjęcia kilku bardzo ryzykownych, wręcz samobójczych akcji. Dlatego do ich przeprowadzenia wybrano więźniów. Część z nich zgłosiła się do armii, żeby odkupić winy własną krwią...

Fiłatow zacisnął usta, może przypominał sobie, że to właśnie Komitet Centralny w obliczu klęsk ponoszonych przez Armię Czerwoną zaproponował takie rozwiązanie?

– Wszyscy przeszli szkolenie dywersyjne, uczyli ich najlepsi instruktorzy – kontynuowałem. – Z pięćdziesięciu trzech osób ocalały jedynie dwie, w tym właśnie Kotowski. Po wojnie

utajniono ich akta, więc milicja nie miała pojęcia, kogo ściga. Stąd to niepowodzenie, stąd trupy.

– Jakie trupy? – wtrąciła z niepokojem Aleksandra.

– Trzech milicjantów, którzy próbowali zatrzymać Kotowskiego.

– Co proponujecie? – rzucił ostro Filatow.

– Milicja nie poradzi sobie z Kotowskim, dlatego chcę, żeby zajął się tym wywiad wojskowy. To my go wyszkoliliśmy i nam wypada go powstrzymać.

– Nam? Przecież jesteście milicjantem?

– Zostałem czasowo oddelegowany do pracy w milicji, rozkazem towarzysza Stalina, jednak nadal... – zawahałem się, nie wiedząc, jak dokończyć.

– Rozumiem! – Powstrzymał mnie stanowczym gestem. – Co proponujecie? – powtórzył. – Mam na myśli konkretne rozwiązania.

– Od dzisiaj Aleksandrę będą chronić nasi ludzie, chciałbym też, żeby zaprzyjaźniła się z pewną dziewczyną.

– Co to za dziewczyna? I dlaczego nie złapiecie tego bandyty, zanim zaatakuje moją córkę?

– Bo to trudne, o ile w ogóle możliwe – poinformowałem. – Będziemy próbowali, ale trzeba liczyć się z najgorszym. Kotowski został przygotowany do infiltracji tyłów przeciwnika, doskonale potrafi wtopić się w tłum, zmienić osobowość, wygląd, zdobyć pieniądze czy fałszywe dokumenty. Do tego ma znajomości wśród *błatnych*. Teraz co do dziewczyny: są takie miejsca, gdzie ochrona złożona z mężczyzn ma utrudniony dostęp, co innego kobieta. Ona jest nieco młodsza od waszej córki, ale przeszła pełny kurs agenta polowego i brała udział w akcjach bojowych.

– Od kiedy mogłaby się zająć Aleksandrą?

– Od jutra, choć parę godzin musi spędzić na zakupach.

– Na jakich zakupach?

– Aurora, bo tak ma na imię, nie może wyglądać jak uboga

krewna Aleksandry – wyjaśniłem. – Bo jeśli Kotowski uzna ją za jedną z naszych, zabije w pierwszej kolejności. Dlatego najpierw chcę ją odpowiednio ubrać.

– Może weźmiecie i moją córkę? Przy was nic jej nie grozi...

– Chętnie pojedę na zakupy – zadeklarowała Aleksandra.

Westchnąłem ciężko, nie obawiałem się specjalnie Kotowskiego, jednak nie sądziłem, żeby towarzyszenie panience Fiłatowej było dobrym pomysłem. Prędzej czy później zauważą nas agenci bezpieczeństwa, a jeśli Abakumow weźmie Aleksandrę za moją kochankę, nie uratuje jej nawet ojciec, członek KC.

– Towarzyszu Razumowski? – odezwał się zaniepokojony Fiłatow.

– Saszka, przynieś mi zimnej wody – poprosiłem.

Dziewczyna spojrzała na mnie ostro, ale wstała i wyszła z tarasu, zostawiając nas samych.

– Żeby mnie tak słuchała – skomentował markotnie Fiłatow. – I czego nie mogliście powiedzieć przy niej?

– Lepiej, żeby mnie nie widziano z waszą córką – odparłem bez ogródek. – Niedawno Abakumow zabił bliską mi osobę i próbował mnie otruć. Chwilowo mamy rozejm, jednak wolę dmuchać na zimne.

Fiłatow nie okazał strachu, choć widać było, że nowina niespecjalnie mu się spodobała.

– Co takiego mu zrobiliście? – spytał.

– Nic. Jeszcze nic.

– A możecie konkretniej?

Wzruszyłem ramionami, po czym opowiedziałem mu całą historię, począwszy od próby otrucia.

– Jednym słowem, on się was boi, ale nie wiecie dlaczego? – skomentował.

Przytaknąłem znużonym gestem.

– Ta wasza przyjaciółka musiała się czegoś dowiedzieć, być może przypadkiem. Czegoś, co mogłoby zniszczyć Abakumowa.



Jednak ta informacja nie była groźna w jej rękach, mogła się taką stać, dopiero gdyby ją wam przekazała – orzekł po zastanowieniu Fiłatow. – Dlatego dali jej wybór. Gdyby was oskarżyła, pozwoliliby jej żyć, bo wy, będąc w więzieniu, nie przedstawialibyście już zagrożenia. Kiedy odmówiła, otruli was i spróbowali ją złamać. Na wszelki wypadek, gdyby trucizna nie zadziałała.

– Być może macie rację – przyznałem.

– Teraz wszystko zależy od tego, na ile była przewidująca – kontynuował.

– Myślicie, że znalazła sposób, żeby przekazać mi tę informację? – odparłem z powątpiewaniem.

– To wasza jedyna szansa – stwierdził poważnie. – Inaczej umrzecie.

Wracając do Moskwy, analizowałem bez końca wypowiedź Fiłatowa. Do tej pory unikałem podobnych rozważań, myślenie o Lizie sprawiało mi ból, jednak nadszedł czas, żeby zmierzyć się z rzeczywistością. Co by nie powiedzieć o moim rozmówcy, do Komitetu Centralnego mógł dotrzeć tylko po trupach konkurentów i lepiej niż ja orientował się w zakulisowych intrygach. Nie liczyłem na jego pomoc, mimo okazanej mi życzliwości na pewno nie zaryzykuje kariery, nie mówiąc o życiu swojej rodziny, choć niewykluczone, że gdybym zdobył informacje kompromitujące Abakumowa, doradziłby mi, jak je wykorzystać. Cóż, pozostaje tylko odkryć sekret, przez który zginęła Liza. O ile coś takiego w ogóle istnieje...

## Rozdział dziewiąty



Zapaliłem lampkę, przez chwilę mrugałem oślepiiony światłem, potem sięgnąłem po leżący na nocnym stoliku zegarek. Dochodziła czwarta w nocy. Zwlokłem się z łóżka i okrywszy szlafrokiem, podszedłem do okna. Spływające po szybach krople – padał ciepły czerwcowy deszcz – ograniczały widoczność, sprawiając wrażenie, że za oknem czai się jakaś mroczna siła.

Wróciłem do łóżka i zapaliłem papierosa. Nie wiem, co mnie wyrwało ze snu, może myśli o Lizie? Jeśli zostawiła coś dla mnie, wypadaloby zacząć od przeszukania domu.

Zważyłem w dłoni niewielkie drewniane puzderko, które przywoziłem kiedyś z domu ciotki. Podobno należało do mojej matki. Na jednej ze ścianek ze zdumiewającą precyzją wyrzeźbiono kontur zamku. Liza przepadała za tą szkatułką, nazywając ją „kuferkiem księżniczki”, i trzymała w niej biżuterię. Uchyliłem wieczko i uśmiechnąłem się gorzko. Wewnątrz był tylko stary kwit z pralni, pęk kluczy i złoty pierścionek, który jej kiedyś podarowałem. Zwróciła go, odchodząc do Galicza. Oczywiście fakt, że oddała klucze, o niczym nie świadczył, mogła zrobić duplikaty i podłożyć pod moją nieobecność, co tylko chciała. A może zostawiła mi wiadomość w pracy? W końcu moje mieszkanie byłoby pierwszym celem ludzi Abakumowa.

Postanowiłem, że jeszcze dziś sprawdzę swój gabinet. Problem

w tym, że Liza była doświadczonym oficerem i w swojej karierze widziała setki, o ile nie tysiące skrytek, dlatego swoją wiadomość mogła ukryć tak dobrze, że szukałbym jej miesiącami.

Przeszedłem do kuchni, nalałem kieliszek wódki, wychyliłem jednym haustem. Alkohol podrażnił mi gardło, po czym spłynął palącą strugą do żołądka, zostawiając na języku metaliczny posmak. Zdecydowanym gestem odłożyłem butelkę, to nie był czas na picie.

Poczłapałem z powrotem do sypialni, sięgnąłem po telefon i wykręciłem numer Aurory. Po chwili usłyszałem w słuchawce spokojny oddech dziewczyny.

– Dzień dobry – mruknąłem.

– Nie możecie spać, *komandir*? – rzuciła. – Ja też.

– Co byś sobie kupiła, gdybyś nie musiała liczyć się z pieniędzmi? – spytałem. – Mam na myśli ubranie.

– To jakiś test?

– Nie, nagły atak hojności – odparłem zmęczonym głosem.

– Wszystko – odpowiedziała zdecydowanie. – Wytworną bieliznę, pończochy, suknie. I strój do jazdy konnej – dodała z rozmarzeniem.

– Pomyśl o tym, o ósmej masz być u mnie, zabiorę cię na zakupy.

– Żartujecie chyba! Wiecie, jak trudno dostać nylonowe pończochy? A modną bieliznę można zobaczyć tylko w amerykańskich filmach.

– To specsklep – poinformowałem z rozbawieniem. – Uruchom wyobraźnię.

– Naprawdę? Jak wam się odwdzięczę?

– To konieczny kamuflaż, dostaniesz ważne zadanie.

– Rozmawialiście z Timą?

– Nie, z generałem Zacharowem. Przechodzisz pod moje rozkazy.

– I co mam robić?

– To nie rozmowa na telefon, pogadamy, jak do mnie przyjedziesz.

– Mogę nawet zaraz – zaproponowała z ożywieniem.

– O ósmej – powtórzyłem. – Chciałbym jeszcze trochę pospać.

– Ale ja...

– Do zobaczenia. – Zdecydowanym gestem odłożyłem słuchawkę.

Wróciłem do łóżka, ale sen nie nadchodził, moje myśli nadal krążyły wokół Lizy i sekretu Abakumowa. Teoretycznie rzecz biorąc, informację kompromitującą szefa bezpieczeństwa Liza mogła ukryć jedynie w dwóch miejscach – u mnie albo na Pietrowce. Niestety, oba warianty były dość przewidywalne, a więc miały słabe strony, zarówno moje mieszkanie, jak i gabinet na Pietrowce można było z łatwością przeszukać. No i sama Liza: czy mogła logicznie rozumować, wiedząc, że za godzinę czy dwie aresztują ją czekiści? Być może Abakumow już dawno odzyskał kompromat i teraz śmiał się w kułak? Chociaż nie, jeśli chciał mnie zabić, znaczy, że nadal nie znalazł jeszcze informacji pozostawionej przez Lizę. Wniosek? Rozpoczął się wyścig i kto pierwszy, ten lepszy. A stawką jest moja głowa z jednej i życie Abakumowa z drugiej strony. Cóż, w takim razie pościgamy się, *gospodin gienierał połkownik...*



Specsklep na placu Smoleńskim był dokładnie taki, jakim go zapamiętałem, skromne witryny – po co niepotrzebnie drażnić ludzi! – kontrastowały z przepychem wnętrza, które widzieli tylko wtajemniczeni. Umiejętnie wyeksponowane kosztowne futra, jedwabne suknie, francuskie perfumy, garsonki od Coco Chanel i garnitury od Diora sprawiały wrażenie iście sułtańskiego przepychu. Wrażenie jak najbardziej prawdziwe,

partyjna elita w kraju proletariuszy żyła lepiej niż carscy dostojnicy.

– Wybieraj – powiedziałem do Aurory.

– Ja... naprawdę?

– Naprawdę! – potwierdziłem z rozbawieniem.

Lubiłem obserwować kobiety w trakcie zakupów, rzecz jasna, jeśli miały co kupować, bo podobny asortyment można było zobaczyć jedynie na filmach kapitalistycznej produkcji.

– Mamy jakieś ograniczenia? – spytała szybko.

– Żadnych. Poza tym, żeby twoja zdobycz zmieściła się w samochodzie – uprzedziłem.

Rozmowę przerwało nam ciche chrząknięcie, u mojego boku wyrósł jak spod ziemi młody, szczupły mężczyzna w okularach. Zapewne nowy kierownik...

– W czym mogę pomóc? – zagaił, popatrując niespokojnie.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, jeden z pracowników podsunął mi krzesło, znaczy ktoś jeszcze pamiętał pułkownika Razumowskiego. Dobre i to, kierownicy specklepu zmieniali się co kilka miesięcy z regularnością metronomu, a tłumaczenie kolejnemu, że mam prawo korzystać z oferty dla wybranych, nudziło mnie śmiertelnie.

– W niczym – odparłem. – Pani poradzi sobie sama.

Mężczyzna poczerwieniał, lecz towarzyszący mu sprzedawca o nalanej twarzy pochylił się i zaczął coś gorączkowo tłumaczyć pryncypałowi.

– Przepraszam, towarzyszu Razumowski – usprawiedliwił się po chwili okularnik. – Oczywiście zastosujemy się do waszego życzenia. Czy mógłbym was poprosić o chwilę rozmowy? Rzecz nie dotyczy zakupów! – dodał na widok mojej miny.

Podniosłem się z westchnieniem i pomaszerowałem na zaplecze. W końcu co mi szkodzi pogadać?

Kierownik zaprowadził mnie do elegancko urządzonego gabinetu, przedstawił się jako Piotr Ignatow i poczęstował

kieliszkiem wina. Dobór alkoholu świadczył, że rozmowa będzie dotyczyć interesów, w innym wypadku na stole pojawiłaby się wódka.

– Słyszałem o was jako o wpływowym człowieku – zaczął Ignatow lekko stremowany. – Podobno na Arbacie nic nie dzieje się bez waszej wiedzy.

– Poniekąd – przyznałem. – O co chodzi?

– Mogę was prosić o dyskrecję? Chciałbym, żeby to zostało między nami.

– Owszem, chyba że przyznacie się do popełnienia przestępstwa – ostrzegłem z uśmiechem.

Ignatow osuszył czoło chusteczką, najwyraźniej moja uwaga mocno go wystraszyła.

– W zasadzie nie – odparł z wahaniem w głosie. – Niemniej jednak nie wszystko jest zgodne z literą prawa...

– Interesują mnie tylko ciężkie przestępstwa – uspokoiłem.

– Zapewne wiecie, że moi poprzednicy nie kierowali tym sklepem zbyt długo?

Przytaknąłem, tłumiąc rozbawienie.

– Nie mam zamiaru kraść jak oni, interesuje mnie projekt przewidziany na lata.

– Tak?

– Mam dostęp do materiałów najwyższej jakości i kadre wykwalifikowanych pracowników – oznajmił. – Krawców, kuśnierzy, szewców. Wzorując się na tym, co trafia do mojego sklepu, jestem w stanie wytwarzać rzeczy podobnej jakości. Problemem jest zbyt, no i bezpieczeństwo całego przedsięwzięcia. Gdybyście zechcieli mi pomóc...

– Komu chcecie to sprzedawać?

– Och, zapotrzebowanie jest ogromne! – zapewnił. – Mimo że ceny byłyby nieco wyższe niż te oficjalne.

Skinąłem głową, wszystkie towary w specsklepach sprzedawano grubo poniżej kosztów. Naród fundował...

– Czego ode mnie oczekujecie?

– Ochrony i interwencji, jeśli zdarzy się coś nieprzewidzianego: kradzież, donos niezadowolonego klienta, tego typu sprawy. Mam odpowiednie kontakty. Chcę to zorganizować jako firmę państwową, z normalnym asortymentem dla wszystkich i specjalnym dla wtajemniczonych. Tu, na Arbacie. Ryzyko jest minimalne, a zysk pokaźny – kusił. – Liczę na średniozamożnych. Nie bogaczy, ale takich, którzy posiadają nadmiar gotówki, a nie bardzo mają gdzie ją wydać. Ci zapłacą każdą cenę za odzież dobrej jakości. Być może z czasem poszerzymy ofertę o perfumy albo żywność? Co o tym sądzicie?

Mruknąłem z aprobatą, pomysł wyglądał sensownie.

– Zgoda, ale pozostają dwie sprawy – powiedziałem. – Pierwsza to mój procent. Ile proponujecie?

– Trzydzieści? – rzucił niepewnie.

Roześmiałem się mimo woli, czyżbym trafił na człowieka uczciwego, a przynajmniej takiego, który nie chce mnie oszukać? Opłata za ochronę w podobnych sytuacjach wynosiła nie więcej niż dwadzieścia procent zysku.

– To za dużo – orzekłem. – Dwadzieścia. Jednak jeśli dowiem się, że próbujecie mnie oszukać... – zawiesiłem wymownie głos.

– Mój ojciec i dziadek byli kupcami drugiej gildii i nigdy nikogo nie oszukali! – odparł ze zmarszczonymi brwiami Ignatow. – I ja nie mam zamiaru!

Pokręciłem głową, co za dzień. W naszym kraju nikt nie chwali się przedrewolucyjnymi korzeniami. Jak tak dalej pójdzie, to jeszcze przed południem poznam jakiegoś hrabiego lub księżniczkę. Ciekawe, jakie koligacje ma Aurora?

– Znakomicie! – pochwaliłem. – Uczciwość to podstawowy warunek długiej i owocnej współpracy.

– A ta druga sprawa?

– Chwilowo nie mogę wam zagwarantować bezpieczeństwa, wrócimy do tej rozmowy, kiedy klimat będzie bardziej

sprzyjający.

– A konkretnie?

– Nie później niż za dwa miesiące. Możecie tyle poczekać?

– Oczywiście. Byle nie dłużej.

– Dwa miesiące – powtórzyłem.

Mówiłem prawdę, do tego czasu albo ja będę martwy, albo Abakumow...



Popatrzyłem z rezygnacją na stos szmat u swoich stóp, odłożyłem nóż. Jak się okazało, Liza zostawiła w mojej szafie kilka bluzek i dwie sukienki, ale pocięcie ich nie przyniosło żadnego efektu, Liza niczego w nich nie ukryła, zapewne po prostu zostawiła przez zapomnienie. Przez cały wieczór przeszukiwałem mieszkanie, opukiwałem parkiet i ściany. Niestety, niczego nie znalazłem.

Z zamyślenia wyrwał mnie dźwięk elektrycznego dzwonka, na wszelki wypadek wsadziłem za pasek tokariewa, spojrzałem przez wizjer. Natasza. A ta czego tu chce? Moja sąsiadka wiedziała, że nie wybaczyłem jej zdrady. Klnąc pod nosem, otworzyłem drzwi, ciekawe, co tym razem się stało? W moim obecnym położeniu trudno było liczyć na dobre nowiny...

Dziewczyna wyglądała na zmieszaną – jak zwykle w mojej obecności – ale energiczne gesty i roziskrzony wzrok sugerowały, że nie przyszła poinformować o kolejnej kłęsce. Zaprosiłem ją do pokoju, usiedliśmy przy stole.

– Mogę? – spytała, wskazując na wpółopróżnioną szklanę herbaty.

Przyzwoliłem skinieniem, widząc, że oblizuje spierzchnięte wargi i ociera pot z czoła. Czyżby biegła?

Natasza kilkoma łykami osuszyła naczynie i westchnęła z ulgą.



– Mam dobrą wiadomość – oznajmiła. – Wiem, jak możesz przekonać Cichego, żeby ci pomógł. A w zasadzie w ogóle nie będziesz musiał go przekonywać.

Rozluźniłem napięte mimowolnie mięśnie, co prawda założenie, że pomoc Cichego w ogóle mi się przyda, było mocno optymistyczne, najpierw musiałem poradzić sobie z Abakumowem, jednak po raz pierwszy od dłuższego czasu wieści były pomyślne. Zawsze to coś.

– Słucham – powiedziałem.

– Kilka dni temu do press-chaty w Butyrkach trafił niejaki Wiktor Słoniew, pseudonim „Słoń”. *Wor w zakonie*. Kiedy stamtąd wyszedł, stracił swój status i stał się jednym z kasty niedotykalnych. Administracja więzienia zademonstrowała w ten sposób swoją władzę. Na *blatnych* w Butyrkach padł błady strach, a i ci na wolności są zaniepokojeni, w więzieniu siedzi sporo osób zamieszanych w bandyckie interesy, jeśli zaczną sypać...

– A zaczną? – wszedłem jej w słowo.

– Ktoś, kogo zgwałcą w więzieniu czy na zonie, nieważne, z jakich powodów, przestaje być człowiekiem. – Natasza wzruszyła ramionami. – I nie ma znaczenia, kim był wcześniej, nie liczy się „przed”, tylko „po”. Jeżeli bezpieka zaproponuje urkom, żeby donosili na kumpli, grożąc przeniesieniem do press-chaty, niejeden się zgodzi. Bo zawsze jest nadzieja, że o donosach nikt się nie dowie, a o wizycie w press-chacie będą wiedzieć wszyscy...

– Coś jeszcze?

– Tak. Wczoraj w Moskwie miała miejsce złodziejska *schodka*, zebrało się kilkudziesięciu *worow w zakonie*. Mówiąc krótko, Cichy otrzymał polecenie załatwienia sprawy.

– To znaczy?

– Ma zabić tych gnojków zasiedlających press-chatę i zastępcę dyrektora więzienia. Bo to on tym wszystkim kieruje, dyrektor

jest tylko figurantem. Innymi słowy, pokazać władzom, że nie opłaca się zadzierać z *worami w zakonie* i że każde naruszenie bandyckich zasad zostanie ukarane.

– Podobno tam nie można się dostać. Do tej press-chaty.

– W zasadzie nie. Ale Cichy ma w więzieniu swojego człowieka, strażnika. Ten może w czasie swojego dyżuru zaprowadzić do tej celi jednego więźnia. Jednego – podkreśliła. – Dlatego Cichy jest w kropce, jeszcze się nie urodził taki urka, który dałby radę tamtym pięciu, bo każdego z nich wybrano ze względu na siłę i brutalność. A broni nie da się przemycić, tam przy wejściu kontrolują nawet personel.

– I tu wkraczam ja?

– Tak. Tylko błagam cię, bądź ostrożny, to prawdziwe zwierzęta!

Uciszyłem Nataszę ruchem dłoni, musiałem pilnie zastanowić się nad sytuacją.

Jeśli Cichy był w takiej potrzebie, mogłem skłonić go nie tylko do tego, aby pomógł mi dostać się do więzienia, ale i zasugerować, że to ja wyrządzam mu przysługę. A wówczas będzie mi winien rewanż. Taaak, rysowały się ciekawe perspektywy.

– Zorganizuj mi spotkanie z Cichym – poprosiłem.

– Na kiedy?

– Jak najszybciej, najlepiej na jutro.

– Postaram się – obiecała. – I dziękuję.

Odprowadziłem ją do drzwi; dopiero kiedy wyszła, uświadomiłem sobie, że piliśmy z jednej szklanki. Czyżby myślała, że jej darowałem? Niedoczekanie! Jednak ze zdumieniem skonstatowałem, że myśl o zdradzie Nataszy nie wywołuje we mnie takiej złości jak dawniej. W końcu ratowała dziecko i nie wydała mnie w ręce Wołkowa dla własnej korzyści. Nawet argument, że mogła mi powiedzieć o szantażu, nie wydał mi się już taki ważny, Wołkow był legendą *wojennej rozwiadki*,

Bogiem a prawdą, nie byłem pewien, czy zdołałbym uratować Lońkę. Może i dobrze, że jej nie zabiłem? Niech sobie żyje, teraz, tak czy owak, mam inne priorytety.



Pietrowka przywitała mnie gwarem wielu głosów i krzykami milicjantów usiłujących opanować kłębiący się w korytarzach tłum. Śmierdziało czosnkiem, potem i lizolem. Jednym słowem, nic nadzwyczajnego, dzień jak co dzień.

Wdrapałem się na pierwsze piętro i pomaszerowałem w kierunku swojego gabinetu, ale dochodzące z dołu okrzyki i przerażone kobiece piski zmusiły mnie do powrotu na parter. Zatłoczony korytarz wyglądał, jakby przeszedł po nim huragan, ludzie leżeli pod ścianami niczym powalone drzewa, zauważyłem wśród nich kilka osób w mundurach. Ki czort?

Łoskot łamanych mebli zaprowadził mnie do pokoju zajmowanego przez dochodzeniowców. Jeden ze śledczych, Wańka Łakutin, leżał na podłodze z przekrzywioną pod nieprawdopodobnym kątem głową, na szyi drugiego zaciskały się muskularne łapska. Zamrugalem z zaskoczenia, widząc na przegubach napastnika rozerwane kajdanki. A myślałem, że takie numery to tylko w cyrku. Szlag!

Mężczyzna miał ponad dwa metry wzrostu, budową przypominał postawioną na sztorc ciężarówkę. Korzystając z tego, że był odwrócony plecami, uderzyłem go pięścią w nerkę, poprawiłem kopnięciem pod kolano. Nie podziałało, a nad moją głową przeszedł zadany z ogromną siłą sierpowy. Miałem wrażenie, że pęd powietrza rozwichrzył mi włosy. Oblał mnie zimny pot, cofnąłem się na korytarz, zawsze to więcej miejsca na manewry niż w zastawionym meblami pomieszczeniu.

Odruchowo sięgnąłem za pasek spodni, zakląłem,

przypomniawszy sobie, że nie wziąłem pistoletu. No bo któż mógłby mi zagrozić w siedzibie MUR-u? Dzisiaj otrzymałem odpowiedź na to pytanie...

Twarz napastnika przypominała koszmarny sen chirurga plastycznego: blizny po oparzeniach, szramy po nożach, wielokrotnie złamany nos, guzy, łuki brwiowe składały się w całości ze zmasakrowanej, ciemnoróżowej tkanki. Wyglądało, jakby cały świat uparł się, żeby zabić jej właściciela. I nie dał rady...

Wielkolud zawył z uciechy, widząc, że nie mam broni, i skoczył w moją stronę. Biorąc pod uwagę posturę, poruszał się zadziwiająco zwinnie i szybko.

– Biegnijcie na piętro po naszych! – zawołałem.

Któryś z powalonych milicjantów niemrawo próbował się podnieść, ale po chwili opadł bezwładnie na podłogę. Rozlewająca się wokół jego głowy kałuża krwi świadczyła, że raczej nie spełni mojego polecenia.

Szybki rzut oka na pobojuwisko uświadomił mi powagę sytuacji, najwyraźniej olbrzym rozerwał kajdanki i pobił wszystkich, którzy stanęli mu na drodze. Albo zabił, jak Wańkę Łakutina. Jeśli ktoś mi nie pomoże, ten wariat załatwi mnie, jak i całą resztę.

Uniknąłem kolejnego ciosu, kontratakowałem uderzeniem pod serce. Bezskutecznie.

Napastnik zmylił mnie pozorowanym prawym prostym, a kiedy się uchylilem, zaatakował sierpowym drugą ręką. Bokser, psia jego mać! Wydawało się, że jego pięść ledwo musnęła mój bark, ale i tak poleciałem w tył jak kopnięty przez konia. Wykonałem przewrót i błyskawicznie stanąłem na nogach, przeskakując leżące na podłodze ciało jakiegoś nieszczęśnika.

– Na pomoc! – wrzasnąłem.

Znienacka za plecami olbrzyma otworzyły się drzwi i na korytarz wybiegła niewysoka, szczupła milicjantka. Widziałem ją

pierwszy raz w życiu, zapewne niedawno przyszła na Pietrowkę. Dziewczyna niezgrabnym ruchem wydobyła pistolet z kabury i skierowała w mojego przeciwnika.

– Ręce do góry! – krzyknęła.

– Strzelaj! – zawyłem.

Jednak dziewczuszka, celując w zastygłego w bezruchu napastnika, wolną ręką wyciągnęła kajdanki.

– Podejdź! – rozkazała.

Rzuciłem się do ataku, ale olbrzym był szybszy. Ignorując broń w ręku milicjantki, doskoczył do niej i uderzył pięścią w podbródek. Suchy trzask pękającego kręgosłupa złał się z odgłosem upadającego ciała.

Z całej siły kopnąłem mężczyznę w zębra, uniknąwszy kolejnego ciosu, rąbnąłem go w krocze, po czym kostkami zgiętych palców trafiłem pod pachę. Według księgi Doskonałych wielkolud powinien momentalnie stracić przytomność i umrzeć w ciągu kilkunastu sekund. Mój adwersarz krzyknął z bólu, ale nie wyglądało na to, żeby zamierzał zemdleć, nie mówiąc o umieraniu. Szlag!

Cofnąłem się zaatakowany nawałą bokerskich ciosów, nie blokując żadnego z nich. Nie ta kategoria wagowa. Zwaliste, obrośnięte sadłem cielsko kryło pod warstwą tłuszczu stalowe mięśnie.

Próbowałem kontratakować, ale nawet jeśli trafiałem, nie robiło to specjalnego wrażenia na napastniku, po chwili uświadomiłem sobie ze zgrozą, że spycha mnie do kąta. Jeśli nie będę mógł robić uników, zatłucze mnie albo udusi na śmierć.

– Pomocy! – krzyknąłem ponownie.

Odpowiedziały mi zaniepokojone głosy, w końcu ktoś się zorientował, że coś jest nie tak, jednak zanim zejdzie, zanim trafi do tego skrzydła, może być za późno. Przynajmniej dla mnie...

Uchyliłem się po raz kolejny, ale wielkolud dopadł mnie i chwycił za ramiona, niemal paraliżując mięśnie. Skąd wziął się

taki wybryk natury? Z laboratorium Frankenstein? Kopnąłem olbrzyma w brzuch, co zmusiło go do rozluźnienia uścisku, jednak w sekundę później szarpnął mnie za rękaw i wyłożyłem się jak długi na śliskiej podłodze. Zahaczyłem jego nogę lewą stopą, prawą pchnąłem poniżej kolana. Upadł z hukiem na plecy, lecz nie miałem złudzeń, pewnie nawet gdybym go zrzucił na beton z pierwszego piętra, bydlak by się pozbierał. Jednak podsunęło mi to pewien pomysł, nie żebym miał wiele wariantów do wyboru...

Kiedy wstał – a zrobił to zdumiewająco szybko! – przykleknąłem i uderzyłem go z całej siły w kolano. Coś chrupnęło. Nie miałem czasu cieszyć się sukcesem, bo ogromna pięść trafiła mnie z siłą rzeźnickiego topora. Poleciałem w tył, boleśnie uderzając głową w ścianę. Zaparło mi dech, na moment niemal straciłem przytomność. Po chwili usłyszałem suche trzaski. Raz, dwa, trzy. I znowu trzy, w uderzenie serca później – dwa. Tokariew. Zawyłem z bólu, kiedy masywne cielsko przygniotło mi nogi, zalewając krwią ubranie. Gdzieś z oddali dochodziły krzyki i kobiecy płacz, nie mogłem oddychać. Ostatnie, co zapamiętałem, to przeraźliwy, bolesny skurcz sięgający serca.



Syknąłem, czując, jak stalowa igła wbija mi się w policzek. Ostrożnie, czubkiem języka dotknąłem opuchniętego dziąsła, poczułem ostre odłamki zębów.

– Nie ruszaj się! – ofuknęła mnie Katia Romanienko. – Bo cię źle poceruję.

Siedzieliśmy w moim gabinecie, przylegająca do laboratorium Katii kostnica była przepełniona: trzech zabitych milicjantów i czterech cywilów. Do kompletu dobry tuzin rannych, pobliskie

szpitale miały ostry dyżur. Oczywiście sam napastnik też leżał w chłodni, trudno przeżyć z trzema kulami w głowie i kilkoma w okolicy serca...

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i w progu stanął Poliakov. Po minie przyjaciela widziałem, że kipi z wściekłości.

– Jak się czujesz? – spytał.

Dałem do zrozumienia gestem, że nie mogę mówić.

– Co z nim? – zwrócił się do Katii.

– Nic specjalnego, stracił parę zębów i ma ranę na policzku, założę mu szwy i będzie jak nowy – odpowiedziała.

– Dlaczego tak się krzywi?

– Szyję go bez znieczulenia, bo ma wstrząs mózgu. Moim zdaniem niegroźny, ale wolałabym nie kombinować.

– Jak skończysz, zabierz się za tego potwora – polecił. – Chcę mieć jak najszybciej wyniki analiz!

– A pozostali?

– Później. To tylko rutyna, nie ma wątpliwości, jak zginęli i kto ich zabił.

– Już – oznajmiła Katia, dotykając mojego ramienia. – Za tydzień zdejmę ci szwy. Tylko pamiętaj, żeby odwiedzić dentystę, musi ci usunąć odłamki zębów.

– Zapamiętam – wymamrotałem ponuro. – Po co ci sekcja tego typu? – zwróciłem się do generała.

– Podejrzewam, że był czymś naćpany.

– A jeśli nawet? I tak nie żyje.

– Pomyśl, Saszka, chyba że ci całkiem mózg odbili! U nas ćpają tylko wyższe sfery, proletariat zalewa się wódką. Tymczasem facet trzymał się na nogach, nawet kiedy dostał cztery kule w pierś. To nie jest zwyczajne zachowanie, nawet dla takiego wielkiego bydlaka!

– Myślisz, że to Abakumow?

– Kto wie? A może to pozdrowienia od Doskonałych? Pamiętasz szpital numer siedemdziesiąt cztery?

Oblał mnie zimny pot, jeszcze tego mi brakowało.

– O czym mówicie? – zainteresowała się Katia.

– Nieważne! – machnął ręką Poliakov. – Saszka ci kiedyś opowie.

– Doskonali? Wątpię – odpowiedziałem, opanowawszy falę paniki. – Ten gość to było tylko bezmózgie bydlę. Może naćpane – przyznałem. – Nie wiem nawet, czy to akurat mnie chciał zabić. Kiedy wpadł w szal, byłem już pod swoim gabinetem, piętro wyżej. Gdybym nie wrócił...

– Ale wróciłeś – przerwał mi Poliakov. – I kto wie? Gdybyś nie zszedł, może poszedłby cię szukać?

– Może – odburknąłem. – A może nie. Pogadamy po sekcji.

– Tymczasem uważaj na siebie – powiedział szorstko. – I nie ruszaj się nigdzie bez broni!

Przyznałem mu rację ruchem głowy, dzisiejsza niefrasobliwość mogła mnie drogo kosztować.

– Może pojedę z tobą do kliniki? – zaproponowała Katia. – Mam tam znajomą dentystkę.

– Oby dobrą – mruknąłem.

– Bardzo – zapewniła. – Ale ona nie przepada za pacjentami poza godzinami przyjęć, muszę cię zaprotegować. W ogóle jest trochę dziwna, nazywają ją King-Kong, ale...

– Jak?! – przerwałem zaskoczony.

– No wiesz, nazywa się Kinga Kongariewa i wygląda jak młodsza siostra tego tutaj. – Skinęła w kierunku kostnicy. – Ale zna się na swojej robocie.

Dotknąłem pulsującego bólem, opuchniętego policzka, nie byłem zachwycony perspektywą kolejnego zabiegu, a tym bardziej opisem dentystki, jednak liczyłem się z opinią Katii, dziewczyna nie rozdawała pochwał na prawo i lewo.

– Zgoda – zdecydowałem. – I będziesz siedziała ze mną w czasie zabiegu.

– Będę – obiecała z wyrozumiałym uśmiechem. – Mogę nawet



potrzymać cię za rękę.

– Wyślę z wami ludzi – powiedział Poliakov. – Bez dyskusji! – uprzedził, widząc moją minę. – Ledwo trzymasz się na nogach.

– Niech będzie – przyzwoliłem.

Jadąc samochodem – prowadził kierowca Poliakowa – rozglądałem się nerwowo. Myśl, że Abakumow mimo wszystko postanowił mnie wykończyć, nie napawała optymizmem.

Początkowo sądziłem, że dzisiejsze zdarzenie to zwykły wypadek, w swojej karierze widziałem niejednokrotnie, jak zatrzymany ni stąd, ni zowąd wpadał w szal, jednak nie lekceważyłem opinii Nikołaja. „Polak” wyczuwał takie szwindle przez ścianę, a gdyby wariatowi udało się mnie zabić, nikt nie byłby w stanie udowodnić, że szef bezpieczeństwa maczał w tym palce. No nic, zobaczymy, co wykaże sekcja zwłok, Katia obiecała, że na rano będzie gotowa, choćby miała siedzieć całą noc.



Kinga Kongariewa rzeczywiście przypominała posturą szaleńca, który o mało mnie nie zabił, miałem wrażenie, że jej ramię mierzy w obwodzie tyle, co moje udo, jednak operowała narzędziami z gracją skrzypka wirtuoza i wbrew sprzeciwom Katii dała mi znieczulenie.

– Nie jestem pewna, czy to wszystko – powiedziała, odkładając nieprzyjemnie wyglądający stalowy haczyk. – Ale macie tak zmasakrowane mięso, że boję się w nim grzebać. Gdybyście poczuli coś pod językiem, natychmiast zgłóście się do mnie.

– Przypilnuję go – obiecała Katia.

Dziewczyna stała za moimi plecami i z zainteresowaniem oglądała zabiegi, jakim poddawała mnie stomatolożka.

– Mamy coraz więcej pacjentów z dentofobią – kontynuowała Kongariewa. – Dorośli, a boją się jak dzieci. Ale wy, towarzyszu

Razumowski, chyba do nich nie należycie?

Odchrząknąłem niepewnie, jako dziecko bałem się panicznie dentysty, sam zapach gabinetu przyprawiał mnie o mdłości, później, kiedy zostałem oficerem GRU, stomatolodzy zrobili się nagle uczynni i okazało się, że niemal każdy zabieg można przeprowadzić w znieczuleniu.

– Nie, skądże – wymamrotałem niewyraźnie.

– Nie gadajcie za dużo, dopóki dziąsło się nie zagoi, i płuczcie usta tym płynem. – Kongariewa podała mi butelkę napełnioną zjadliwie zieloną cieczą. – Oczywiście żadnego alkoholu, a napoje najlepiej pijcie przez słomkę. Co do jedzenia, to dobrze będzie, jeśli przez kilka dni ograniczycie się do rzeczy niewymagających gryzienia.

– Dobrze.

– Pozostaje jeszcze kwestia wynagrodzenia.

– Ile jestem wam winien?

– Rzecz nie w pieniądzech – odparła. – Wiecie, że mogę stosować znieczulenie tylko przy poważnych zabiegach?

– Domyślam się – mruknąłem.

– Dorośli pal łycho, ale dzieci strasznie boją się borowania, nie mówiąc o wyrywaniu mlecznych zębów. Gdybym miała więcej środków znieczulających, mogłabym je namówić, żeby regularnie odwiedzały mój gabinet.

– Zobaczę, co da się zrobić – obiecałem.

W naszym kraju najnowsze techniki medyczne zarezerwowane były dla partyjnej elity, zwykli ludzie musieli zadowolić się usługami na dużo niższym poziomie. O ile w ogóle dopchali się do lekarza...

– Katia mówiła, że nie rzucacie słów na wiatr.

– Staram się – odparłem sucho. – Zapiszcie mi, czego wam trzeba.

Kongariewa wyczarowała skądś kartkę i ołówek, po czym wyraźnymi drukowanymi literami wypisała nazwę specyfiku.

– Będę wdzięczna – powiedziała. – I jakby co, możecie na mnie liczyć.

– Wyplujcie – mruknąłem. – Mógłbym nie przeżyć drugiej takiej przygody.

– Przepraszam, nie chciałam...

Drzwi gabinetu otworzyły się z trzaskiem i w progu pojawił się otyły mężczyzna o nalanej, pijackiej twarzy. Zaczesane w tył resztki włosów nie maskowały łysiny, wokół rozchodził się zapach alkoholu.

– Kingo Romanowna, zastąpcie mnie na dyżurze – rzucił bez powitania. – Jestem niedysponowany. Skierowałem już do was swoich pacjentów.

Zanim dentystka zdobyła się na odpowiedź, grubas zniknął za drzwiami.

– Znowu! – warknęła Kongariewa, zaciskając potężne pięści. – Znowu będę pracowała za tego opoja!

– Nie możecie poskarżyć się kierownictwu? – spytałem.

– Myślicie, że nie próbowałam? Ten dupek jest zięciem dyrektora kliniki! – odparła z bezsilną złością.

Katia wyjrzała ostrożnie na korytarz, cofnęła się z cichym przekleństwem.

– Będzie ze dwadzieścia osób – poinformowała. – I nie wyglądają na robotników fabrycznych.

– A jakże! To klinika dla prominentów, nie mogę ich pogonić.

– Myślę, że mógłbym rozwiązać ten problem – wtrąciłem.

– Żartujecie?! Nie możecie im grozić.

– Nie będę – zapewniłem. – Sami poszukają innego dentysty.

– Naprawdę?

– Razumowski, co ty kombinujesz? – odezwała się niespokojnie Katia.

Zawyłem przeraźliwie, wkładając w krzyk wszystkie siły, i zrzuciłem na podłogę metalową tacę na narzędzia. Po chwili ponownie wrzasnąłem, kończąc makabrycznym bulgotem,

sugerującym, że żegnam się z życiem. Kobiety patrzyły na mnie z osłupieniem.

– Założę się, że za chwilę większość waszych pacjentów ucieknie – powiedziałem. – Ale trzeba kuć żelazo, póki gorące. Katia, wyprowadzisz mnie z gabinetu – poleciłem.

Po chwili wyszedłem na korytarz, wspierając się na ramieniu dziewczyny i eksponując poharatany policzek.

– Co wam się stało, towarzyszu? – zapytał z troską starszy mężczyzna w okularach.

– Zobaczcie sami. A mówili, że to tylko drobny zabieg – wymamrotałem z goryczą.

Kilka kobiet ruszyło do wyjścia, nie czekając na dalsze wyjaśnienia, ktoś poinformował, że ma ważne zebranie, i podążył w ślad za nimi, jednak pod gabinetem nadal pozostała grupka pacjentów.

– Mówią, że to dobra dentystka – powiedziała niepewnie młoda kobieta.

Otoczający ją zapach ekskluzywnych perfum świadczył, że na pewno nie pracuje w fabryce.

– Kto następny? – W drzwiach stanęła Kongariewa.

Odpowiedziała jej cisza, wszyscy wpatrywali się w potężną sylwetkę lekarki. Widok robił wrażenie. Dentystka podwinęła rękawy, eksponując muskularne przedramiona, w ręku trzymała złowrogo połyskujący przyrząd, wyglądający jak średniowieczne narzędzie tortur.

– A wy, Razumowski, zejdźcie mi z oczu! – warknęła. – Przez was zламаłam swój ulubiony retraktor!

Zanim dokończyła zdanie, korytarz opustoszał. Pomachałem dentystce na pożegnanie i pociągnąłem za rękę chichoczącą Katię. Sam nie odczuwałem specjalnej radości, czas był wracać do domu, postanowiłem jeszcze raz przeszukać chałupę. Jeśli niczego nie znajdę, niedługo podzielę los Lizy...



Ledwo wszedłem do mieszkania, odwiedziła mnie Natasza z informacją, że Cichy chce się ze mną spotkać, tak więc musiałem odłożyć powtórne przeszukanie pomieszczeń. Może i dobrze, bo chwilowo nie miałem żadnej koncepcji, a nie było sensu pruć ścian dla samej idei. Nocna przechadzka – dochodziła jedenasta w nocy – dobrze mi zrobiła, pozwoliła przemyśleć pewne sprawy. Przede wszystkim było jasne, że безпеka już dawno zlustrowała moją chałupę, a prawdopodobnie i gabinet na Pietrowce. Być może jedynie przewencyjnie, Abakumow nie mógł mieć pewności, że Liza zostawiła coś dla mnie, niemniej musiał liczyć się z taką możliwością. Wniosek? Biorąc pod uwagę, że nadal chciał mnie zabić, jego ludzie niczego nie znaleźli. Tylko co z tego wynikało? Na pewno informacji nie było u mnie ani na Pietrowce. Zawodowcy nigdy by jej nie przeoczyli, tym bardziej że mieli na przeszukanie mnóstwo czasu, bo przecież spędziłem kilka miesięcy w Listwiance. Wynikało z tego, że Liza liczyła się z rewizją i ukryła wiadomość dla mnie w innym miejscu, a w mieszkaniu lub na Pietrowce zostawiła jedynie wskazówkę, jak ją znaleźć. Wskazówkę zrozumiałą wyłącznie dla mnie. Problem w tym, że nic takiego nie rzuciło mi się w oczy.

– Tędy – wyrwała mnie z zamyślenia Natasza.

Skręciliśmy w wąską uliczkę, z pobliskiej bramy wychynęły dwa cienie i przepity bas poprosił o drobne na piwo. Natasza bez wahania podeszła do wyższego z mężczyzn, szepnęła mu coś do ucha, a tamten natychmiast rozpląnął się w mroku wraz z kompanem. Cóż, byliśmy na terenie Cichego i słowo mojej sąsiadki najwyraźniej miało tu swoją wagę. Tym lepiej, nie miałem ochoty szarpać się z miejscowymi obszczymurkami.

Dziewczyna poprowadziła mnie przez podwórka, wreszcie

stanęliśmy przed niewielkim drewnianym domkiem. I jak taki uchował się w stolicy? O drzwi opierał się niepozornie wyglądający chudzielec w nasuniętym na oczy kaszkiecie, na nasz widok uczynił przyzwalający gest dłonią. Natasza nacisnęła klamkę i po chwili stałem przed Tichonowem. Stary złodziej nie wyglądał najlepiej, podkrążone oczy i ospałe ruchy świadczyły o zmęczeniu. No i nic dziwnego, nadzorowanie bandyckiego świata Moskwy to nie synekura, tu za każdy błąd można drogo zapłacić, bywa, że głową. A od wyroku złodziejskiego sądu nie ma odwołania...

– Podobno masz do mnie jakąś sprawę? – zagaił bez wstępu Cichy.

– Owszem – przyznałem.

Nie zdziwiło mnie oschłe powitanie, mimo że znaliśmy się od dawna, a nawet ufaliśmy sobie – rzecz jasna, do pewnego stopnia! – byłem przedstawicielem znienawidzonej przez bandytów władzy.

– Potrzebuję twojej pomocy w odszukaniu pewnego typu – powiedziałem. – To jeden z waszych, ale nie przestrzega zasad.

Cichy z namysłem łyknął czarnego jak smoła płynu, na jego twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień, choć u normalnego człowieka czajura wywołałaby mdłości albo biegunkę.

– Niby dlaczego mam ci pomagać? – odparł. – Nawet jeśli to *biespriedielszczik*?

– Bo gość chce zabić córkę członka Komitetu Centralnego – wyjaśniłem sucho. – Jeśli mu się uda, bezpieka dostanie wolną rękę i towarzysz Abakumow otworzy sezon polowań na *błatnych*. A może nie tylko on.

Czoło Tichonowa przecięła pozioma zmarszczka.

– Co znaczy „nie tylko on”?

– Kiedy wybuchła wojna, ten człowiek zgłosił się do armii, wyszkoliła go *wojennaja razwiedka*. Jeśli zabije tę dziewczuchę, przyjdzie nam dołączyć do polowania.

- Co w zamian? – spytał wprost.
  - Będę ci winien przysługę.
  - Jakiego typu?
  - Jakiego zechcesz. Oczywiście w granicach rozsądku – zastrzegłem.
  - A gdybym chciał, żebyś kogoś zabił?
  - Żaden kłopot – odparłem z kamiennym wyrazem twarzy. – Ale zanim się zgodzę, muszę poznać szczegóły.
- Cichy ponownie sięgnął po blaszany, poobijany kubek, ale tym razem jedynie wziął go w dłonie, tak jakby chciał się ogrzać.
- Jest kilku takich w więzieniu – powiedział. – W osobnej celi. Administracja ich chroni, więc trudno się do nich dostać.
  - Press-chata? – spytałem domyślnie.
- Tichonow skinął głową.
- Press-chata – przyznał. – Próbowaliśmy, ale nam nie wyszło, trzech ludzi zginęło na darmo. Kłopot w tym, że można się tam dostać tylko pojedynczo, a ich jest pięciu. Ale ty pewnie dasz radę to przeskoczyć.
  - Jakie to więzienie?
  - Butyrki.
  - Nie ma mowy. To oczko w głowie bezpieki i samego Abakumowa, musiałbym działać incognito. To znaczy...
  - Wiem, co to znaczy „incognito” – przerwał mi stary urka. – Czyli nie dasz rady?
  - Tego nie powiedziałem, zależy mi na twojej pomocy w złapaniu tego Kotowskiego. Bo on się nazywa Kotowski. Awram Kotowski, pseudo „Kot”. Po prostu będę musiał sam zabić tych pięciu w Butyrkach.
  - Dasz radę?
  - Myślę, że tak – odparłem spokojnie.
  - Wiesz, to potężne bydlaki. Oni...
- Tym razem to ja powstrzymałem Cichego ruchem dłoni.
- Wiem, kogo umieszczają w press-chatach, dam radę –

powtórzyłem. – To już nie twoje zmartwienie, po prostu przerzucisz mnie do Butyrek, tak jak wcześniej swoich ludzi. O resztę zatroszczę się sam.

– Jak uważasz – westchnął Tichonow. – A twoi nie mogliby ci pomóc? Słyszałem, że tamci zabili jedną z waszych. Znaczą milicjantkę – doprecyzował.

Z trudem opanowałem nerwowy tik, a zatem Cichy wiedział o Lizie, ale jego reakcja wskazywała, że Natasza nie powiedziała mu, co mnie z nią łączyło.

– Zwariowałaś?! – warknąłem. – Jako resort podlegamy Abakumowowi, a to na jego rozkaz aresztowali Wierchońską. Nikt nie zaryzykuje wojny z bezpieczeństwem!

– No dobrze, kiedy? Bo sprawa jest pilna.

Zabębniłem palcami w stół, zastanawiając się nad odpowiedzią. Natychmiastowa akcja nie wchodziła w grę, bo choćby udało mi się zabić urków, Abakumow bez trudu dowiedziałby się, że to moja robota, i skończyłbym w jakiejś katowni, a kto wie czy nie w press-chacie.

– Najpierw trzeba zneutralizować Abakumowa – powiedziałem. – To potrwa i jest cholernie ryzykowne.

– Potrwa? Potrzebuję tego na zaraz!

– Mogę zaryzykować, ale nie popełnię samobójstwa! – odparłem, patrząc urce prosto w oczy. – Jeśli Abakumow będzie nadal szefem MGB, prędzej czy później dowie się, że brałem w tym udział. A wtedy mnie zabije.

– Co rozumiesz przez neutralizację? – spytał ostrożnie Tichonow. – I jak to sobie wyobrażasz? Przed chwilą powiedziałeś, że nikt z twoich nie pójdzie na wojnę z bezpieczeństwem?

– Nie mogę o tym rozmawiać, ale nie tylko milicja jest zainteresowana upadkiem Abakumowa.

– A co, jeśli się nie uda? Zostanę z niczym? Bo przecież on się zemści.

– Zostaniesz z niczym – potwierdziłem. – Bo ja będę już



martwy.

- Muszę to skonsultować – wymruczał.
- Konsultuj. A tymczasem znajdź mi Kota.
- Niech będzie – powiedział. – Znajdę ci Kota.

Wracałem do domu w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, przynajmniej jedną sprawę miałem z głowy. Kotowski mógł się ukrywać tylko wśród moskiewskich bandytów. Jeśli Tichonow ogłosi go *persona non grata*, znajdziemy go w mgnieniu oka. Chyba że wcześniej ktoś wsadzi mu nóż pod żebro, ale tym akurat się nie przejmowałem. Nie ma człowieka, nie ma problemu...



Obudził mnie dzwonek telefonu, wyćwiczonym ruchem sięgnąłem po słuchawkę i przyłożyłem do ucha, starając się nie wpuścić pod kołdrę porannego chłodu.

- Razumowski, słucham – burknąłem.
- Wstawajcie, *komandir* – powiedział Dima Bugrowski. – Ostrzelano dom Fiłatowa. Nie znam szczegółów, ale podobno ktoś został ranny. Ekipa od nas jest w drodze, samochód zaraz po was podjedzie.

– Dziękuję! – pożegnałem się krótko.

Zapaliłem lampkę i spojrzałem na zegarek, dochodziła piąta rano. To sobie pospałem...

Popędziłem do łazienki, ochlapałem twarz zimną wodą, umyłem pospiesznie zęby, po czym ubrałem się, nie zapominając tym razem o broni. Po namyśle wziąłem dwa zapasowe magazynki, chuj wie co tam się stało, lepiej mieć i nie potrzebować niż odwrotnie.

Kiedy wybiegłem na ulicę, czekał już na mnie wóz Poliakowa. Z generałem na tylnym siedzeniu.

– Co tu robisz? – spytałem zaskoczony.

– A jak myślisz? – odparł ponuro. – Jeśli tej małej coś się stało, głowy polecą jak gruchy. A moja pierwsza.

– Może nie będzie tak źle – powiedziałem bez przekonania.

– Pewnie! Przecież morderstwo córki członka KC to drobiazg niewart wspomnienia! Wiesz, oni wszyscy tam na górze gryzą się jak wściekłe psy, ale w tym jednym wypadku bez wahania poprą Fiłatowa. Bo też mają rodziny.

Obaj milczeliśmy w drodze, nie było o czym mówić, wiedziałem, że Poliakov ma rację. Ludzi należących do ścisłego kręgu władzy nie dotyczyły problemy zwykłych śmiertelników, nic dziwnego, że czuli się jak półbogowie. Równie oczywiste było, że nigdy i w żadnych okolicznościach nie darują temu, kto przypomni im, że krwawią i umierają jak każdy.

Wjechaliśmy na podjazd pod domem Fiłatowa, Poliakov zaklął, po chwili mu zawtórowałem, drogę zablokował nam trupowóz. Znaczy ktoś dostał konkretnie, nie tylko go ranili...

Wyskoczyłem z samochodu, podbiegłem do drzwi pilnowanych przez dwóch uzbrojonych milicjantów.

– Co tu się stało? – warknął zza moich pleców Poliakov. – Meldujcie!

– Zabili dwóch naszych – odparł ponuro barczysty sierżant. – Później napastnik wdarł się do domu.

– Co z małą Fiłatową? – rzuciłem bez tchu.

– Nie wiem – odpowiedział. – Nie chcą wpuścić nas do środka.

– Kto? – zmarszczył brwi Poliakov.

– *Wojennaja razwiedka.*

Poliakov spojrzał na mnie wymownie, otworzyłem więc drzwi i wszedłem do przedpokoju. Powitał mnie średniego wzrostu mężczyzna w piaskowym garniturze. Nieznajomy dzierżył pewną ręką pistolet maszynowy nieznaney mi konstrukcji, ze sterzącym w górę magazynkiem.

– Pułkownik Razumowski?

– We własnej osobie – zapewniłem. – Co się stało?

– Kotowski zastrzelił dwóch milicjantów i wdarł się do domu. Dopadł w sypialni córkę Fiłatowa, na szczęście była z nią Aurora. Dziewczyna go postrzeliła, ale sama też została ranna. Niegroźnie – dodał uspokajająco.

– A gdzie byli nasi?!

– Spóźniliśmy się – przyznał.

– Kotowski zwiął?

Mężczyzna przytaknął z rezygnacją.

– Fiłatow was oczekuje – poinformował.

Odetchnąłem, znaczy nie doszło do najgorszego.

– Co to za broń?

– Australijska. Owen gun. W terenie lepsza od pepeszy lub stena. Chcecie obejrzeć?

– Może innym razem – westchnąłem.

Lepiej nie nadużywać cierpliwości gospodarza, ten i tak musiał być zdenerwowany.

Pokojówka o bladej, zapuchniętej od płaczu twarzy zaprowadziła mnie do salonu i wyszła, zamykając za sobą drzwi. Aurora i Aleksandra siedziały przytulone do siebie na kanapie, a Fiłatow miotał się po pokoju jak lew po klatce.

– Wreszcie jesteście! – zawołał z ulgą. – Ten bandyta o mało nie zabił Saszki!

Powstrzymałem go ruchem dłoni.

– Aurora, dorwałaś Kotowskiego? – spytałem niecierpliwie.

– Dostał w prawy bark! – oświadczyła dziewczyna z tryumfalnym błyskiem w oku.

– To na pewno on?

– Na pewno, poznałam go od razu, choć zapuścił brodę i wąsy.

Odetchnąłem z ulgą; gdyby Kotowski przysłał tu kogoś, spodziewając się zasadzki, sprawa wyglądałaby nieciekawie. A tak schwytanie go było tylko kwestią czasu. Kolejny kłopot z głowy. No, prawie z głowy...

– I dziękuję za troskę – kontynuowała Aurora, udając urazę. – Nic mi się nie stało.

– Bezczelne dziewczuszyko – burknąłem z uśmiechem. – Gdzie cię trafił?

Uniosła spódnicę, ukazując zabandażowaną łydkę.

– Czysta rana, kula nie naruszyła kości, tydzień czy dwa i będę jak nowa – oznajmiła beztrąsko.

– Towarzyszu Razumowski! – odezwał się strofującym tonem Fiłatow. – Moja córka niemal zginęła, a wy cieszycie się, jakbyśmy odnieśli nie wiadomo jaki sukces!

Podszedłem do kredensu, wyciągnąłem butelkę koniaku, nalałem na dwa palce, po czym wręczyłem kieliszek gospodarzowi.

– Wypijcie – powiedziałem. – Od razu wam ulży. Naprawdę nie macie czym się martwić, waszej córce nic już nie grozi.

– Przecież ten bandyta nadal żyje!

– Wypijcie – powtórzyłem. – I usiądźcie, to wszystko wam wytłumaczę.

Zanim Fiłatow zdobył się na odpowiedź, Aleksandra wstała, zasłaniając usta dłonią.

– Chyba się położę – wymamrotała, hamując kolejne ziewnięcie. – Chyba że jestem wam jeszcze potrzebna?

– Śpij – przyzwoliłem. – Zostanę tu jeszcze kilka godzin.

Dziewczyna pocałowała ojca w policzek i wyszła z pokoju, podtrzymując pod ramię Aurorę. Fiłatow wychylił koniak jednym haustem i odstawił energicznie kieliszek.

– Jak ona może spać w takiej chwili?

– Nerwy – wyjaśniłem, napełniając szkło. – Poczwała się bezpieczna, więc organizm zareagował sennością.

– Najwyraźniej wasze wyjaśnienia uspokoiły ją bardziej niż mnie – odburknął.

– Wasza córka mi ufa – odparłem niewzruszenie. – Kiedy mówię jej, że nie ma czym się martwić, wierzy mi na słowo.

– Nie chciałbym wydać się niewdzięczny, w końcu ta wasza Aurora uratowała jej życie, ale może spróbowalibyście uspokoić i mnie? I częstujcie się – powiedział, wskazując koniak.

Nie miałem ochoty na alkohol, ale w końcu nie co dzień mogę się napić z członkiem Komitetu Centralnego, więc nalałem sobie odrobinę, lekceważąc zalecenia dentystki.

– Oczywiście – odparłem. – Jednak na początek małe sprostowanie. Aurora nie jest moja, znalazła się tu co prawda na mój wniosek, ale z polecenia *wojennej rozwiadki*.

Lekkie, niemal niezauważalne skrzywienie warg Fiłatowa świadczyło o tym, że mój rozmówca pojął aluzję. Tak jest, towarzyszu! Prędzej czy później wojskowy wywiad wystawi wam rachunek...

– Wracając do sprawy – ponaglił. – Skąd pewność, że ten bandyta tu nie wróci?

– To oczywiste. – Wzruszyłem ramionami. – Zarobił kulkę, jego szczęście, że nie w nogę. Ale tak czy owak, trzeba ją wyjąć. Kotowski musi znaleźć lekarza i jakąś metę, teraz to jego priorytety, mowy nie ma, żeby myślał o kolejnym ataku na waszą córkę. Biorąc pod uwagę, że wszyscy go szukają, damę mu dwa, góra trzy dni, nie więcej.

– I co, jak go złapiecie? – spytał gniewnie Fiłatow. – Raz już uciekł z łagru, nie chcę, żeby Saszka bała się do końca życia!

Znaczy Kotowski musi zginąć. Cóż, żaden problem, jednego gnojka mniej...

– Kotowski nie ma nic do stracenia – kontynuowałem wyjaśnienia. – Na pewno będzie się bronił. A że pościgiem zajmie się nie milicja, ale *wojennaja rozwiadka*, prawdopodobieństwo, że przeżyje, jest minimalne. Rozumiecie, w wywiadzie obowiązują nieco inne procedury.

– Dopilnujecie tego? – spytał twardo.

– Zajmę się tym osobiście – obiecałem. – Teraz chciałbym porozmawiać z generałem Poliakovem, a później, jeśli nie macie

nic przeciwko temu, posiedziałbym tu kilka godzin, tak jak obiecałem waszej córce.

– Znacie dobrze Saszkę? – rzucił niespodziewanie.

– Ostatni raz widziałem ją w Breslau w czterdziestym piątym – powiedziałem ostrożnie.

Rysy Fiłatowa wyostrzyły się, a czoło przecięła pozioma zmarszczka, najwyraźniej zależało mu na odpowiedzi. Tylko w czym rzecz? Zazdrosny czy co? A może podejrzewa mnie o romans z córką?

– Ona była robotnicą przymusową, prawda? Pewnie nie było jej lekko?

– Nie opowiadała wam o tym?

– Niewiele. A chciałbym wiedzieć, co się z nią działo.

– To samo, co z innymi w takiej sytuacji – odparłem wymijająco.

– Mam wrażenie, że nie tylko! – wycedził. – Mówcie!

Pokręciłem przecząco głową.

– Zdajecie sobie sprawę, kim jestem? – spytał z niedowierzaniem.

– W pełni – westchnąłem. – Ale wierzcie mi, że nie warto się w to wgłębiać. Było, minęło, powinniście być zadowoleni, że wasza córka jest... – zawahałem się, nie wiedząc, jak dokończyć.

– Normalna? – poddał z goryczą.

– To także – przyznałem. – Nie każdy wytrzymałby to, przez co ona przeszła. Możecie być pewni jednego: wszyscy, którzy ją skrzywdzili, nie żyją. I nie mieli lekkiej śmierci, dopilnowałem tego.

– Ale...

– Nie naciskajcie – poprosiłem ze znużeniem. – Aleksandra zorientuje się natychmiast, że wam powiedziałem, bo już nigdy nie będziecie traktowali jej jak dawniej. A wtedy straci zaufanie i do mnie, i do was. Zastanówcie się, czy tego naprawdę chcecie.

Na twarzy Fiłatowa emocje zmieniały się jak w kalejdoskopie,

złość ustąpiła ostrożności, wreszcie rezygnacji.

– Może macie rację – mruknął.

Skwitowałem jego słowa skinieniem głowy i wyszedłem przed dom. Co prawda najbardziej liczyłem na ludzi Cichego, jednak nie zaszkodzi, jeśli także milicyjni kapusie będą szukać Kotowskiego. Nieważne, kto znajdzie go pierwszy, grunt, żeby załatwić sprawę raz na zawsze. No ale o to sam się zatroszczę...



Spojrzałem na zegarek, mimo że minęła ósma wieczorem, na ulicy nadal panował spory ruch. Nic dziwnego, bulwar Suworowa to centrum Moskwy, nigdy bym nie pomyślał, że Kotowski ośmieli się tu zatrzymać. Jeśli informatorzy Tichonowa nie zawiedli, powinien niedługo się pokazać. Jeden z urków na prośbę Cichego poinformował zbiega, że niedaleko Taganki czeka na niego lekarz. Miałem nadzieję, że Kotowski nie jest przesądny. Odkąd powieszono tam Własowa wraz z towarzyszami, tagańskie więzienie cieszyło się ponurą sławą.

– Jest! – powiedziała spiętym głosem Natasza.

Wysiadłem z samochodu i wmieszałem się między spacerowiczów, jedynie nieliczna grupka komsomolców spieszyła gdzieś, rozmawiając podniesionymi głosami. Kotowski przepuścił hałaśliwą młodzież i dostosował krok do tempa pozostałych przechodniów. Mądry ruch, tylko w niczym mu już nie pomoże. Widziałem przed sobą szerokie plecy mężczyzny, utrzymywałem dystans kilkunastu kroków. Czekałem na okazję.

Podchmielona para omal nie wpadła na Kotowskiego i ten usunął się im z drogi, tracąc kolejne metry. Poruszyłem delikatnie prawą ręką, lekko zacisnąłem pięść. Nóż miałem przypięty do paska tak, że wystarczyło lekkim ruchem biodra odchylić połę kurtki, żeby złapać za rękojeść. Pięć metrów,

ocenilem.

Tymczasem Kotowski znowu ruszył przed siebie, spokojnym, lekko rozkołysanym krokiem. Jedyne trzymana w kieszeni dłoń świadczyła, że stara się odciążać bark. Lepiej, gdyby wziął jakiś analgetyk, byłby mniej czujny, choć tak czy owak, nic go nie uratuje.

I znowu drogę przebiegła mu roześmiana dziewczyna, goniona przez elegancko ubranego młodzieńca z bukietem konwalii. Zyskałem trzy metry i dyskretnym ruchem wyjąłem nóż. Kotowski zaczął się odwracać, być może ostrzegł go zwierzęcy instynkt właściwy wszystkim ściganym, jednak byłem tuż za nim. Zacisnąłem palce na lewym barku bandyty, po czym uderzyłem w nerkę, poprawiłem, celując w serce. Wąskie ostrze niemal bezgłośnie wśliznęło się między żebra. Zanim Kotowski upadł, zdążyłem odejść kawałek, chwilę potrwało, nim ktoś się zorientował, że leżący na ziemi nie jest pijakiem. Skręciłem w boczną uliczkę, słysząc za plecami kobiecy krzyk, po chwili siedziałem już w samochodzie.

– Jak poszło? – spytała nerwowo Natasza.

– Normalnie. Mamy kłopot z głowy.

– Pamiętasz o spotkaniu z Dato?

Westchnąłem z rezygnacją. Zupełnie zapomniałem o złocie, miałem poważniejsze problemy, wątpiłem jednak, żeby ludzie Chruszczowa uznali moje argumenty. Trzeba będzie dotrzymać słowa, gorzej, jak przyjdzie mi jechać do Listwianki.

– To dzisiaj, prawda? – powiedziałem z rezygnacją.

– Za dwie godziny – doprecyzowała. – W willi Dato.

– Zawiesz mnie? Spróbuję się przespać.

– Oczywiście.

– Tylko jedź ostrożnie! – uprzedziłem, widząc uśmiech zadowolenia na twarzy dziewczyny.

Natasza niedawno nauczyła się prowadzić, tyle że nie miała zbyt wielu okazji, aby zrobić użytek z nowo nabytych



umiejętności. W naszym kraju nie można było kupić samochodu jak na Zachodzie, takie luksusy przysługiwały wyłącznie partyjnej nomenklaturze i wyróżnionym przez partię, zasłużonym dla budowy komunizmu wybrańcom. Większość z nich była zresztą pociotkami partyjnych bonzów.

Zanim zasnąłem, obiecałem sobie, że jutro jeszcze raz przeszukam mieszkanie i gabinet na Pietrowce. Ponieważ Kotowski, niestety, był najmniejszym z moich problemów.



Tak jak się spodziewałem, po wymianie powitalnych uprzejmości Dato poruszył kwestię złota.

– Jesteśmy zadowoleni z jakości kruszcu – poinformował. – Weźmiemy każdą ilość. Teraz trzeba tylko stworzyć kanał przerzutu.

Zacisnąłem zęby, wyglądało na to, że nic nie uratuje mnie przed powrotem do Listwianki i zamiast szukać informacji pozostawionej przez Lizę, stracę przynajmniej dwa tygodnie. A czas leci. Odmowa nie wchodziła w grę, wołałem nie myśleć, co by się stało, gdyby grupa Chruszczowa cofnęła mi poparcie.

– To tylko kilka dni – pocieszył mnie Dato. – Załatwimy ci przelot do Irkucka i z powrotem.

Odetchnąłem z ulgą, zawsze to coś.

– Masz jakiś pomysł, jak przerzucać złoto?

– Owszem, ale miejscowa bezpieka węższy wokół Listwianki, trzeba by coś z tym zrobić.

– Możesz to uznać za załatwione. – Machnął niedbale ręką. – Przekażemy im sugestię, żeby zajęli się czym innym, a kurier będzie miał takie papiery, że nikt go nie ruszy. Autentyczne papiery – podkreślił. – W razie czego wystarczy, że wykona jeden telefon, my zajmiemy się resztą. Jednak to ty musisz wybrać

kuriera i kontrolować sam proces.

– Zajmę się tym – obiecałem. – Wracając jeszcze do irkuckiej bezpieki, jest tam pewien nadgorliwy major.

– Jak się nazywa?

– Borys Kiwrin.

– Co mam z nim zrobić?

– Nie rozumiem.

– Zabić, zdegradować, wysłać do łagru? – rzucił zniecierpliwiony.

Z trudem przełknąłem ślinę, nie żebym żałował Kiwrina, ale nonszalancja, z jaką Dato podszedł do sprawy, zmroziła mi krew w żyłach. Ot, socjalistyczna sprawiedliwość! Był człowiek i nie ma człowieka, wystarczy, że podpadłeś komuś, kto może rozduścić cię jak pluskwę.

– On interesował się naszym kurierem. Osobą, której chcę zaproponować tę funkcję – doprecyzowałem. – Dlatego lepiej by było, gdyby zniknął. Tylko o ile to możliwe, upozorujcie to na wypadek.

– Jak sobie życzysz – wzruszył ramionami Dato. – Kiedy chcesz jechać?

Zagryzłem wargi. Mimo że zdanie miało formę pytania, w głosie mojego rozmówcy zabrzmiała nuta nakazu.

– Jutro w południe – odparłem po namyśle. – Muszę załatwić coś na Pietrowce.

Dato spojrzał na mnie ostro, ale nie spuściłem wzroku. Są w życiu takie chwile, kiedy nie ma sensu ustępować, a lepiej umrzeć, niż stać się niewolnikiem.

– Nie nadużywaj naszej cierpliwości!

– A wy mojej.

Powstrzymałem go gestem, zanim zdążył otworzyć usta.

– Widzicie tylko fragment całej gry – powiedziałem. – A w związku z tym nie jesteście w stanie przewidzieć konsekwencji pewnych posunięć, radzę więc zachować spokój.

I dobre maniery...

Dato podsunął mi pudełko z cygarami. Kiedy odmówiłem, sam zapalił jedno i wydmuchnął dym w stronę sufitu.

– Czego nie widzimy? Może jakiś przykład?

– Proszę bardzo. Pierwszy: *wojennaja razwiedka*. Myślicie, że straciła na znaczeniu, i to prawda, ale kto wie jak będzie to wyglądało w przyszłości? Za rok, dwa albo po śmierci Stalina?

– Abakumow i Beria...

– Abakumow i Beria są u szczytu potęgi – przerwałem mu bezceremonialnie. – Ale sam wiesz, jak szybko to się może zmienić. Podobnie jak i sytuacja GRU. Dziś uratowaliśmy życie córki Filatowa, kojarzysz to nazwisko, prawda? Kto wie, może jeśli przyjdzie co do czego, facet spłaci dług? Druga sprawa to generał Wołkow.

– Co Wołkow? – zmarszczył brwi Dato.

– Ma plany co do Berii i Abakumowa. Daleko idące plany. A ja odgrywam w nich określoną rolę. Jeśli mu przeszkodzicie, przyjdzie po ciebie i po twoich przyjaciół, w tym i Chruszczowa. I nie łudź się, że dacie radę komuś, na kogo od lat bezskutecznie poluje sam Stalin! Możecie być geniuszami intryg, ale otwarta walka to nie wasza specjalność – dorzuciłem z akcentem pogardy.

Mięśnie na policzkach Dato zagrały, lecz powstrzymał się od riposty.

– No dobrze, niech będzie po twojemu – powiedział. – Zorganizuję ci transport na dwunastą.

Pożegnaliśmy się chłodno. W drodze do domu zastanawiałem się, jak będą wyglądały nasze stosunki w przyszłości? Czy jeśli Chruszczow dojdzie do władzy, wynagrodzi sojusznika, czy wręcz przeciwnie, usunie człowieka, który mógłby mu przypomnieć czasy, kiedy dopiero wspinał się na Olimp? Ech, szlag by to trafił! Inna rzecz, że teraz miałem ważniejsze problemy, Dato i jego kumplami będę się martwił później,

najpierw muszę poradzić sobie z Abakumowem.



Podszedłem do zrolowanego dywanu, rozwinąłem go wściekłym kopnięciem, po czym usiadłem na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. Mimo że ściągnąłem bluzę, ociekałem potem. Przesunąłem dwie szafy, biurko, opukałem ściany, boazerię i klepki podłogowe, przekartkowałem wszystkie akta. Bezskutecznie. W moim gabinecie nie było żadnych skrytek ani wiadomości od Lizy. Czyżbym coś przeoczył? A może po prostu Liza niczego mi nie zostawiła, nawet jeśli rzeczywiście wiedziała coś, co mogło zagrozić szefowi безпеki? Jeśli tak, miałem przed sobą kilka tygodni życia, nie więcej.

Ponure rozważania przerwało mi pukanie, najwyraźniej ktoś chciał widzieć pułkownika Razumowskiego.

– Wejść! – warknąłem.

– Wzywaliście mnie, *komandir*? – spytała ostrożnie Ada Sawicka. – Robicie remont?

– Wzywałem. Zbieraj się, wyjeżdżamy – powiedziałem, dopinając guziki munduru.

– Gdzie?

– Do Listwianki. Nie zadawaj głupich pytań! – uprzedziłem, widząc, jak otwiera usta. – Wyjaśnię ci wszystko w samolocie.

– Polecimy samolotem? – rozpromieniła się dziewczyna.

– Owszem.

– Muszę tylko zdać dokumenty, bo pomagałam...

– Wszystko już załatwione – przerwałem, wypychając ją z gabinetu.

Zbiegłem po schodach, słysząc za plecami tupot butów Sawickiej, oddałem klucze dyżurnemu i nie czekając na milicjantkę, wyszedłem na zewnątrz.

– Poczekajcie, *komandir!* – wysapała Ada.

– Pospiesz się! – rzuciłem gniewnie.

Kierowca Poliakowa ruszył, kiedy tylko usadowiliśmy się w aucie, Sawicka pisnęła zaskoczona.

– Po co ten pośpiech?

– Wylatujemy o dwunastej.

– Ale mam tylko to, co na sobie!

– Jakoś przeżyjesz – odparłem z sarkazmem. – Jakby co, kupię ci coś na miejscu.

– Pewnie! W sklepie w Listwiance sprzedają znakomite walonki! A w ogóle to po co wam jestem potrzebna?

No proszę, panienska zaczęła myśleć, lepiej późno niż wcale.

– Pogadamy w samolocie – powiedziałem.

– Ale ja chcę wiedzieć...

Szturchnąłem ją, wskazując wzrokiem kierowcę, szofer był zaufanym człowiekiem Poliakowa, jednak lepiej, żeby i on nie wiedział zbyt dużo. Ada wyduła gniewnie usta, ale przestała drażnić temat. Resztę drogi przebyliśmy w milczeniu, choć dziewczyna od czasu do czasu obrzucała mnie złym spojrzeniem.

Na lotnisku oczekiwał nas gotowy do startu iljuszyn. Sawicka popędziła do maszyny, chłonąc wszystko szeroko rozwartymi oczyma, jak dziecko. Ja byłem mniej entuzjastycznie nastawiony, ił-12 sływał z awarii układu zasilania, ale cóż robić, może załoga da sobie radę? W razie czego pozostawały spadochrony.

– No, gadajcie! – ponagliła mnie Ada, kiedy tylko usiedliśmy. – Po czorta lecimy do Listwianki?

Poczekąłem, aż załoga zamknie drzwi kabiny i samolot oderwie się od ziemi.

– Pamiętasz tę kopalnię złota?

– Pewnie! Mało nie dostałam zawału, jak mi o niej opowiedzieliście! Będziemy ją likwidować? – spytała z nadzieją.

– Wręcz przeciwnie.

– Słucham?!

– Oni wydobywają złoto, w Moskwie będą je kupowali, ktoś musi je przewozić – wyjaśniłem zwięźle.

– Nie myślicie chyba, że ja... – Popatrzyła na mnie z przerażeniem.

– Myślę.

– Dlaczego mi to robicie?

Znużonym gestem sięgnąłem w zanadrze, zapaliłem papierosa.

– *Komandir?*

– Żebyś przeżyła – powiedziałem szorstko.

– A co mi może grozić? Przecież nawet nie uczestniczę w działaniach MUR-u. Generał Poliakov powiedział, że na razie mam tylko obserwować – dodała z urazą.

– To sprawa polityczna. I ja, i Poliakov... – zawahałem się, nie wiedząc, jak sformułować zdanie. – Być może niedługo nie będziemy już mogli cię chronić – dokończyłem z wysiłkiem. – Tymczasem kurier przewożący złoto z Listwianki do Moskwy znajdzie się pod opieką wpływowych polityków. Nic ci nie grozi – zapewniłem. – Po prostu od czasu do czasu przewieziesz w bagażu służbowym kilkanaście sztabek złota. Dostaniesz odpowiednie papiery, nikt nie ośmieli się ciebie kontrolować.

– Ale wy? Co z wami? Aresztują was?

Uniosłem brwi, panienska Sawicka miała łzy w oczach, dopiero teraz zorientowałem się, że od dłuższej chwili ściska moją dłoń.

– Nie jestem twoim ojcem! – powiedziałem z naciskiem. – I przestań szlochać jak mała dziewczynka! Może martwimy się niepotrzebnie i wszystko będzie dobrze?

– Generał o tym wie?

– Pewnie.

Uśmiechnąłem się mimo woli, nie jestem tchórzem, ale nigdy nie odważyłbym się wplątać Ady w interes ze złotem bez wiedzy mojego przyjaciela. Gdybym to zrobił, Poliakov wyrwałby mi serce i zjadł na surowo.

– On rozumie, że nie ma innego wyjścia.

– To generał jest moim ojcem, prawda?  
– Skąd ci to przyszło do głowy?!  
– Nie jestem taka głupia, żeby można mnie było oszukiwać w nieskończoność. – Roześmiała się bezradośnie. – Dodałam dwa do dwóch i wyszło mi cztery.

Milczałem, bo i co tu można było powiedzieć? Dziewucha rzeczywiście nie była głupia, choć nadmiernie sentymentalna.

– Mogę potrzymać was za rękę? – poprosiła cichutko.

Odpowiedziałem przyzwalającym mruknięciem i zamknąłem oczy. Czekala nas długa droga.

## Rozdział dziesiąty



Siedzieliśmy w kuchni. Babka Kira podsunęła mi miseczkę konfitur, dołożyła jajecznicy. Podziękowałem, łyknąłem herbaty, napój dziwnie przypominał ten, który piłem kiedyś w miejscowej knajpie.

– Galina Piotrowna przysłała go specjalnie dla ciebie, kiedy dowiedziała się, że przyjeżdżasz – odpowiedziała na niezadane pytanie.

– Poważają was tu, *komandir* – rzuciła kpiąco Ada.

Posłałem jej karcące spojrzenie, ale nie skomentowałem. Ponieważ nie było sensu zachowywać konspiracji, oboje zatrzymaliśmy się u Kiry Folle.

– Musimy porozmawiać – powiedziałem.

– To na pewno – mruknęła babka Kira. – I nie tylko o złocie. Ale najpierw zjedz spokojnie.

Uniosłem głowę, zaniepokojony tonem staruszki, powstrzymała mnie uspokajającym gestem.

– To nic pilnego – zapewniła. – Ani specjalnie tragicznego. On od dawna chorował na serce, a śmierć czeka każdego z nas. Prędzej czy później – dodała cicho.

– O kim mówicie?

– O Jefimie.

Kierowany impulsem, wstałem i podszedłem do Kiry Folle, ucałowałem jej dłoń.

– Współczuję. Przyjaźniliście się z nim, prawda?



Starsza pani skinęła głową.

Wróciłem na swoje miejsce, lecz odsunąłem talerz, nie wiadomo dlaczego straciłem apetyt, choć nie znałem przecież bliżej Jefima Czumaka.

– On ci coś zostawił – powiedziała.

– Co takiego?

Babka Kira wyszła do sąsiedniego pokoju, po chwili wróciła z niewielką paczuszką w rękach.

– Co tu jest?

– Nie mam pojęcia. Nie pytałam.

Rozdarłem zwykły szary papier i oniemiałem – wewnątrz była moja papierośnica! Nie! Nie moja, ale identyczna. Na wszelki wypadek sięgnąłem w zanadrze, odziedziczona po ojcu papierośnica była na swoim miejscu.

– Co się stało? – spytała Kira Folle. – Bo wyglądasz, jakbyś ujrział ducha.

– Niebrzydka – wtrąciła Ada. – Choć widziałam ładniejsze. – Zawiesiła głos, najwyraźniej czekając na wyjaśnienia.

Bez słowa wyjąłem swoją papierośnicę i położyłem obok tej należącej do myśliwego.

– Są takie same! – zawołała Ada.

– Mógłbyś wyjaśnić, w czym rzecz? – poprosiła babka Kira.

– Tak jakbyście nie wiedzieli! Powiedzcie jeszcze, że Czumak był zwykłym wieśniakiem z Syberii!

– Wiedziałam, że był szlachcicem, ale nie dopytywałam o szczegóły – odparła spokojnie. – W naszych kręgach uznawano to za niewłaściwe. Wielu z nas przeżyło osobiste tragedie, straciło nie tylko majątki i pozycję społeczną, ale i bliskich.

– O czym mówicie? – odezwała się Sawicka. – Nic nie rozumiem. Jakie majątki? Byliście bogaci przed wojną? Przecież Niemcy nie doszli do Listwianki.

– Była – potwierdziłem z ironią. – Przed wojną. Tylko nie tą ostatnią, ale domową. Biała Żmija, prawda? – zwróciłem się do

staruszki. – To wy wraz ze swoimi przyjaciółmi z wyższych kręgów społecznych terroryzowaliście okolicę!

Ada otworzyła usta i patrzyła na babkę Kirę, jakby tej wyrosła nagle druga głowa.

– Niemożliwe – wymamrotała. – Wy...

– Ona! – zapewniłem.

– Tak – przyznała staruszka. – Tak mnie nazwali komisarze. Ale to oni terroryzowali okolicę. Nie ja. Ja jedynie dbałam, żeby nie przekraczali pewnych granic. I karałam tych, którzy doszli do wniosku, że wszystko im wolno. Wracając do papierośnicy Jefima, skąd u ciebie identyczna?

– Należała do mojego ojca. Widzicie ten znak?

– Tak, to symbol jakiegoś pułku, ale nie kojarzę którego.

– Chętnie was oświecę. To Lejb-Gwardyjski Keksholmski Pułk imienia Cesarza Austriackiego, stacjonował w Warszawie.

– Więc twój ojciec...

– Na to wygląda – przyznałem posępnie. – Wydaje mi się, że ten wasz Jefim go znał, był wyraźnie zaskoczony, kiedy mnie zobaczył, tak jakbym mu kogoś przypominał, ale jak rozumiem, nie zostawił dla mnie niczego poza papierośnicą?

– Niczego więcej – potwierdziła Kira Folle.

– To nie może być prawda – wymamrotała Ada. – Nie może!

– Co znowu? – burknąłem niegrzecznie.

– No, to wszystko. Że Czumak był arystokratą, i Kira Andriejewna, i wy, a z tą Białą Żmiją to już w ogóle... Do tego wszystkiego każecie mi wozić złoto! – poskarżyła się żałośnie.

– Byłam zwykłą prowincjonalną szlachcianką – sprostowała babka Kira. – Jefim... Cóż, być może. Tak naprawdę nie pochodzisz z rodziny Razumowskich? – Zmierzyła mnie uważnym spojrzeniem.

– Nie. To raczej wybieg ojca, żeby zagmatwać ślady.

– Tak też myślałam. Widziałam kiedyś na balu kogoś z Razumowskich, nie jesteś ani trochę podobny.

– Chodziliście na bale? – spytała bez tchu Ada.

– Jak wszystkie dziewczęta w tamtych czasach – odparła z wyrozumiałym uśmiechem Kira Folle.

– Gdzie?

– Niekiedy urządzaliśmy je w rodzinnym majątku, ale jeździłam też do Moskwy, Petersburga, Warszawy, Paryża, Londynu...

– Naprawdę?

– Wtedy nie było to niczym niezwykłym.

– Czasami chciałabym żyć przed rewolucją – powiedziała z rozmarzeniem Ada. – Chodzić na bale i rauty, tańczyć z wytwornymi kawalerami, pić szampana. Tylko pewnie okazałoby się, że nie jestem arystokratką, a służącą, śpiącą w składziku pod schodami – dodała, odzyskując równowagę.

Roześmiałem się mimo woli, a więc o tym myślą dziewczęta komunistki? A partia uważa, że dostatecznie obrzydziła wszystkim stary reżim.

– Co was tak bawi? – zmarszczyła brwi Sawicka.

– Wytlumaczę ci kiedy indziej, teraz wróćmy do naszych spraw, czyli złota.

– Wszystko gotowe – zapewniła babka Kira.

– A konkretnie?

– Pięćdziesiąt kilo w sztabkach po kilogramie i dwóch z carskimi puncami.

– Znakomicie! Weźmiemy wszystko.

– Weźmiemy? Ciekawe jak? – zainteresowała się Ada.

– Normalnie, do walizek. Ty piętnaście sztabek, ja resztę. Załatwię samochód na jutro, pojedziemy do Irkucka, a stamtąd samolotem do Moskwy. Gdzie macie złoto? – zwróciłem się do gospodyni.

– Wszystko jest na miejscu – uspokoiła mnie staruszka. – Możesz je zabrać w każdej chwili.

– A jeśli zatrzymają nas do kontroli? – odezwała się Ada. –

Pierwszy lepszy patrol nas aresztuje!

– Nie aresztuje – zapewniłem. – Szofer przywiezie nam odpowiednie papiery. Zaraz się tym zajmę.

Przeszedłem do salonu, podniosłem słuchawkę telefonu i połączyłem się z Dato.

– Potrzebny mi samochód na jutro – powiedziałem bez wstępu.  
– I dokumenty na bagaż.

– Szybko się uwinąłeś – pochwalił Dato. – Wszystko będzie na czas – zapewnił. – Ile tego jest?

– Pięćdziesiąt kilogramów.

W słuchawce zapanowała cisza.

– Aż tyle?

– Mówiłem ci, że to poważny projekt. Na razie korzystamy z zapasów, normalnie nie będzie aż tyle, przypuszczam, że nie więcej niż kilkanaście kilo miesięcznie.

– To w zupełności wystarczy. Potrzeba ci czegoś jeszcze?

– Tak, przydałby się człowiek w miejscowej bezpiece na wypadek kłopotów z kopalnią.

– Pomyślałem już o tym, mamy takiego. Nazywa się Borowczuk. Pułkownik Borowczuk. To szef irkuckiego oddziału GB.

– W takim razie to wszystko.

Po namyśle połączyłem się z MUR-em. Co prawda miałem teraz ważniejsze sprawy, ale ciekaw byłem, czy olbrzym, który o mało mnie nie zabił, miał coś wspólnego z Abakumowem.

– Co tam? – odezwał się burkliwie Poliakov. – Załatwiłeś swoje sprawy w Listwiance?

– Wszystko w porządku – zapewniłem. – Jak wyniki sekcji zwłok?

– Był naćpany po dziurki w nosie – odparł ponuro generał. – To jakaś mieszanina fencyklidyny i innych narkotyków. Powoduje agresję, odporność na ból i przyływ siły.

– Fencyklidyna? Tego u nas nie kupisz.

– Pewnie! – parsknął Poliakov. – Od kilkunastu lat eksperymentują z tym świństwem w Stanach Zjednoczonych, ale i tam nie wypuścili go jeszcze na rynek. Ktoś musiał się postarać...

Zagryzłem wargi. Ktoś? W grę wchodziła tylko jedna osoba – Abakumow. Abakumow i jego pierdolone laboratorium. To samo, które przygotowało tę dziwną chińską truciznę.

– Jak myślisz, to on?

– Sto procent, ale szczegóły omówimy po twoim powrocie.

Mruknałem potakująco, po czym odłożyłem słuchawkę. Lepiej dmuchać na zimne, kto wie czy bezpieka nas nie podsłuchuje?

W kuchni babka Kira sprzątnęła już ze stołu i kończyła zmywać naczynia, panienska Sawicka wycierała talerze. Na podłodze leżał stary wojskowy worek.

– Wybieracie się gdzieś? – spytałem bez specjalnego zainteresowania.

– Po zakupy. Lenka ma dla mnie ziemniaki.

– Idziecie po nie z takim worem?

– Cóż chcesz? Dwa pudy.

– Zwariowaliście? W waszym wieku?

– Jeszcze nie umieram. No i Ada by mi pomogła.

– Obejdzie się, sam przyniosę.

– Czekał, dam ci pieniądze.

– Kiro Andriejewna...

– No już dobrze, dobrze – mruknęła.

W drodze do sklepu rozglądałem się zdziwiony. Na pozór wszystko było jak dawniej, a jednak coś się zmieniło, dopiero po dłuższej chwili uświadomiłem sobie, że dzieci bawią się bez nadzoru dorosłych.

Lena Azarowa powitała mnie słonecznym uśmiechem, a stojące w kolejce kobiety ustąpiły miejsca.

– Poczekam – powiedziałem zażenowany.

– To będziesz długo czekał, młodzieńcze – zachichotała

zażywna staruszka. – My tu nie tylko po zakupy, ale i towarzysko. Zanim się nagadamy, słońce zajdzie!

– Wy po ziemniaki dla babki Kiry? – domyśliła się Azarowa. – Poznaję jej worek – dodała, widząc moje zdziwienie.

Jakżeby inaczej, tu, w Listwiance, nie ma wielu tajemnic.

– Tak – przyznałem, kładąc na ladzie banknoty.

– Może zanieście po drodze jajka dla lekarki? – poprosiła.

– Macie nową lekarkę?

– Nie nową, dalej leczy nas Nadieżda Konstantinowna.

No proszę, czyżby Dato dotrzymał słowa i Nadia mogła znowu pracować jako lekarz? Lepiej się upewnić.

– Zaniosę – obiecałem.



Musiałem poczekać dobrą godzinę, bo Nadia miała wielu pacjentów, w końcu zostaliśmy sami. Dziewczyna starannie poukładała instrumenty, odłożyła stetoskop i ciśnieniomierz.

– Przyniosłem ci jajka – poinformowałem. – Najwyraźniej miejscowi troszczą się o siebie.

Podziękowała uśmiechem i zdjęła fartuch. Gwizdnąłem w duchu, sukienka w kolorze morskiej zieleni sięgała do pól uda, odsłaniając plecy i apetyczny dekolt, nylonowe pończochy podkreślały linię długich, smukłych nóg dziewczyny. Kto tak przyjmuje pacjentów? I do tego w Listwiance. Wolne żarty! Pozostawała tylko jedna opcja. Panienska Nadia chciała na kimś zrobić wrażenie. Biorąc pod uwagę, że w okolicy nie było zbyt wielu przystojniaków, pozostawał pułkownik Razumowski...

– Napijesz się herbaty? – zaproponowała.

– Chętnie.

Idąc po schodach, z przyjemnością obserwowałem kuszący, niemal erotyczny ruch bioder dziewczyny. Cóż, od wielu

miesiący nie miałem kobiety.

Pokoik, w którym mieszkała, nic się nie zmienił, ot, niewielka, skromnie urządzonej kłitka z kuchenką, kulawym stołem i pamiętającym lepsze czasy łóżkiem.

Nadia wyjęła z szafki paczkę herbaty, najwyraźniej poważnie traktując swoją propozycję. Podszedłem do niej od tyłu, objąłem i pocałowałem w kark, wdychając zapach skóry i delikatnych kwiatowych perfum. Zadrżała.

– Jeśli tego nie chcesz, uciekaj – wymruczałem. – Bardzo szybko uciekaj.

Odpowiedziała bez słów, jej pocałunki paliły jak ogień. Nie wiadomo jakim sposobem wysliznęła się z sukienki, poczułem pod palcami krągłe ramiona, piersi, twardniejące sutki. Kiedy w nią wszedłem, powtarzała bez końca moje imię, a jej paznokcie orały mi plecy. Później długo leżeliśmy przytuleni, z ciałami mokrymi od potu i ze splątanymi nogami.

– O czym myślisz? – spytała, ciągnąc mnie delikatnie za włosy.

– O niczym – odparłem szczerze.

Po raz pierwszy od tygodni, a może miesiący opadło ze mnie napięcie, znajdowałem się w stanie ni to półsnu, ni to letargu. Bardzo przyjemnego letargu. Abakumow, złoto, fakt, że niedawno niemal pożegnałem się z życiem, wszystko to stało się odległe i nieważne, było tylko tu i teraz. W nagłym, trwającym mgnienie przebłysku intuicji zrozumiałem nawet, gdzie Liza mogła ukryć informację kompromitującą szefa bezpieczeństwa. Gdzie musiała ją ukryć.

– Dobrze ci było? – szepnęła Nadia nieśmiało.

Zamiast odpowiedzieć, musnąłem ustami mokrą od potu szyję dziewczyny.

– A mnie nie zapytasz?

Pokręciłem przecząco głową.

– A to dlaczego?!

– Słyszałem i czułem.

– Samochwał! – rzuciła z udawanym gniewem. – Wymasować cię? – dodała już innym tonem. – Masz plecy twarde jak deska.

– Uhm.

Jęknąłem, czując, jak drobne palce wyszukują bolesne punkty, naciskają zwężlone mięśnie.

– Za mocno?

– Nie, to bardzo przyjemne.

– Lepiej?

– Tak. Co robisz w tej dziurze? Myślałem, że będziesz pracować w Moskwie.

– Mam tu pacjentów, muszę dokończyć to, co zaczęłam, później wrócę do Moskwy. Kiedy wyjeżdżasz?

– Jutro.

– Więc mógłbyś zostać na noc?

– A chcesz?

– Pewnie!

Nie zastanawiałem się długo, w końcu babka Kira mogła trochę poczekać na swoje ziemniaki...



Na lotnisku w Moskwie powitał nas mężczyzna pod czterdziestkę, o surowej twarzy i przeraźliwie zimnych oczach, przypominających dwie kostki lodu. Mimo że ubrany był po cywilnemu, dało się w nim rozpoznać byłego żołnierza.

– Michaił Grekow – przedstawił się lakonicznie.

Skinąłem głową, Dato uprzedził mnie, że to właśnie on przejmie ode mnie złoto.

– Gdzie ładunek? – zapytał.

Bez słowa podałem mu solidną skórzaną walizkę, Ada z wyraźnym ociąganiem wręczyła wysłannikowi Dato dużo mniejszy sakwojaż.



– O co chodzi? – Zmarszczyłem brwi.

– Lena Azarowa przywiozła z Irkucka trochę ubrań, rozumiecie, ma tam układy. Dla znajomych. Kupiłam od niej kilka drobiazgów.

– A konkretnie: jakich drobiazgów?

– Dwie sukienki i...

– Tak? – ponagliłem zniecierpliwiony.

– I bieliznę. Nie miałam jak jej zabrać, więc zapakowałam razem ze złotem. Ja zaraz... – Uczyniła gest, jakby chciała otworzyć torbę.

– Wykluczone! – odezwał się Grekow. – Nie teraz i nie tutaj. Ale obiecuję, że osobiście zwrócę wam waszą własność – obiecał z cieniem uśmiechu na ustach.

– Idziemy! – zakomenderowałam.

W chwilę później siedzieliśmy już w przysłanym przez Poliakovą samochodzie.

– Nie lubię, jak ktoś grzebie w moich majtkach – odezwała się Ada, wydymając wargi.

– To po czorta je tam wpakowałaś? Mogłem wziąć twoje rzeczy. – Poklepałem pożyczony od babki Kiry plecak.

Wracałem z Listwianki obładowany słoikami konfitur i marynatami, które powinny wystarczyć mi co najmniej na rok.

Sawicka zaczerwieniła się po same uszy i sapnęła gniewnie.

– Co dalej? – burknęła.

– Zameldujesz się u generała, on powie ci, co robić, a ja na razie jadę do domu. Jakby Nikołaj o mnie pytał, powiedz, że pogadamy później, dziś mam coś do załatwienia. Zresztą jakby co, może zadzwonić.

Przez całą drogę zastanawiałem się, czy moje domysły odnośnie do miejsca, gdzie Liza mogła ukryć informacje, są słuszne. Teraz nie byłem już taki pewien swoich racji. Cóż, przekonam się o tym jeszcze dziś...

Kierowca zatrzymał się niedaleko mojej kamienicy, ostatnie

metry pokonałem niemal biegiem, pospiesznie otworzyłem drzwi i od razu ruszyłem do sypialni. Szkatułka stała na nocnym stoliku, tam gdzie ją zostawiłem. Trzęsącymi się rękoma otworzyłem puzderko, jeszcze raz przestudiowałem kwit z pralni. Wynikało z niego, że Liza oddała do czyszczenia szary żakiet. Wolne żarty! Liza nienawidziła szarego koloru. Wniosek? To był sygnał dla mnie, tylko dla mnie, bo ludzie Abakumowa nie mogli wiedzieć o preferencjach major Wierchońskiej.

Pralnia mieściła się kilka ulic dalej, często korzystaliśmy z jej usług. Włożyłem kwitek do portfela i ruszyłem do wyjścia. Na korytarzu spotkałem Nataszę, dziewczyna niosła wypchane siatki, najwyraźniej wracała z zakupów. W tym momencie przypomniałem sobie o prośbie dentystki, środek, którego szukała Kongariewa, był co prawda reglamentowany, ale stosowano go dość powszechnie. Aby go dostać, trzeba było mieć odpowiednie dokumenty albo dojście do magazynów z lekarstwami. No i, rzecz jasna, pieniądze.

– Postaraj się to załatwić – poprosiłem, wyciągając z portfela kartkę z nazwą specyfiku.

– Na kiedy?

– Jak najszybciej! – rzuciłem niecierpliwie. – Później pogadamy, nie mam teraz czasu!

Zbiegłem pospiesznie po schodach, ale wyszedłszy na ulicę, dostosowałem krok do tempa, w jakim przemierzali się przechodnie. Poczulem mrowienie na karku, jak zawsze, kiedy ktoś mnie obserwował. Podobne odczucia nie zawsze się sprawdzają, czasem nadmiernie pobudzony organizm wysyła mylne sygnały, ale z drugiej strony nie warto lekceważyć intuicji, bywa, że nasza podświadomość wie więcej niż my.

Przystanąłem przed szybą wystawową sklepu jubilerskiego, starając się zapamiętać, kogo mam za plecami, po czym ruszyłem dalej, ale w kierunku przeciwnym do pralni. Lepiej najpierw sprawdzić, czy ktoś mnie nie śledzi. Po przejściu jakichś stu

metrów spojrzałem na zegarek i zawróciłem nagle, jakbym przypomniał sobie o czymś ważnym. W takiej sytuacji nie pomogą żadne sztuczki, śledzący musi zawrócić, żeby podążać za swoim celem. Zawróciły trzy osoby: muskularny mężczyzna w robotniczym kombinezonie, chuderlawy wypłosz w garniturze pamiętającym lepsze czasy i dziewczyna wyglądająca na studentkę. Zaniepokoiłem się. Trochę za dużo, jak na zwykłą inwigilację, bardziej przypominało to zespół likwidacyjny...

Skręciłem w bramę, wyciągnąłem nóż. Pistolet, nawet z tłumikiem, to nie najlepszy wybór w ulicznym starciu, szczególnie jeśli nie chce się zwracać na siebie uwagi.

Tak jak się spodziewałem, pierwszy pojawił się osiłek. Prawą rękę trzymał w kieszeni, przez materiał widać było kanciasty kontur pistoletu. Błąd, towarzyszu, broń powinna pozostawać w ukryciu, a jeśli po nią sięgamy, to po to, aby jej użyć.

Ciąłem go w czoło, tuż nad brwiami, jednocześnie kopnąłem w krocze. Kiedy krew zalała mu oczy, bez trudu odebrałem tokariewa, na wszelki wypadek złamałem osiłkowi rękę w nadgarstku, po czym uderzeniem w tętnicę szyjną pozbawiłem przytomności.

Zaraz za nim wpadła w bramę dziewczuszka, ta zdążyła wydobyć pistolet z torebki, widać coś usłyszała. Błyskawicznie pozbawiłem ją broni, powaliłem uderzeniem w podbródek. Wnioskując z odgłosu, z jakim upadła na bruk, mogłem się nią nie przejmować. Wstrząs mózgu, o ile nie gorzej.

Wyglądający na zubożalego inteligenta chudzielec wszedł w bramę ostrożnie, z marynarką przewieszoną przez ramię, aby ukryć trzymany w ręku pistolet. Zatrzymał się na moment, widząc leżące ciała, to mi wystarczyło. Doskoczyłem do niego z boku, prześliznąłem się za plecy cherlaka i wbiłem mu ostrze w nerkę. Poczulem zapach moczu z rozluźnionego pęcherza. Tokariew stuknął o bruk. Nikt z nożem w nerce nie jest w stanie ani krzyknąć, ani nacisnąć spustu. Wyczułem ich obecność, kiedy

schyliłem się po broń. Dwóch. Zachowywali bezpieczną odległość, obaj mieli pistolety z tłumikiem. Szlag! Znacząca ta trójka była tylko przynętą, prawdziwy zespół likwidacyjny właśnie się pojawił. Brawo, towarzyszu Abakumow!

Wykonałem przewrót przez bark, z kłku cisnąłem nożem i znowu przetoczyłem się po ziemi. Ognisty bicz smagnął moje ramię, jednocześnie usłyszałem ciche plop-plop tłumików wypływających ołów. Poderwałem się z uniesioną bronią, choć wiedziałem, że nie zdążę, to byli zawodowcy.

Niespodziewanie obaj upadli na bruk, a z cienia wyłonił się przysadzisty starzec z imponującą brodą i nasuniętą na czoło papachą.

– Pilnuj się, Razumowski! – warknął zupełnie nie starczym głosem. – Drugi raz mogę nie zdążyć!

Zanim zdobyłem się na odpowiedź, zniknął. Kurważ jego mać! Generał Wołkow...

Podniosłem z ziemi swój nóż – po co zostawiać ślady? – i pospiesznie opuściłem podwórko. Nie ulegało wątpliwości, że gdyby nie Wołkow, byłbym martwy, nawet nie drasnąłem żadnego z napastników. Trzeba zabrać się do treningów, jak tak dalej pójdzie, pokona mnie pierwszy lepszy urka spod budki z piwem.

Postanowiłem mimo wszystko pójść do pralni, dzisiejszy incydent wskazywał, że nie zostało mi wiele czasu. No i wątpiłem, czy ktoś jeszcze mnie śledzi. Zanim ludzie Abakumowa zorientują się, że uszedłem z życiem, minie godzina albo dwie.

Wszedłem w jakieś drzwi, przystanąłem w korytarzu i sprawdziłem ranę, na szczęście kula jedynie mnie drasnęła. Marynarka i koszula zapaprane były krwią, więc musiałem zajść do domu. Jeszcze tego by brakowało, żeby zainteresował się mną jakiś patrol.

Dotarłem do swojej kamienicy z marynarką przewieszoną

przez ramię, połałem ranę jodyną, zabandażowałem i zmieniłem ubranie. No cóż, teraz zobaczę, czy wymknąłem się ludziom Abakumowa, czy nie...

Na ulicy nie próbowałem żadnych sztuczek, to nie był czas na zabawę w kotka i myszkę, zresztą, Bogiem a prawdą, pułkownik Razumowski mógł zainteresować nie tylko bezpieczeńkę. Dato, *wojennaja razwiedka* czy choćby Cichy, oni wszyscy patrzyli mi na ręce. No i nic dziwnego: zbliżał się finał. Nikt nie wiedział jaki, ale jedno było pewne – nie wszyscy go przeżyją, a dla pokonanych nie będzie litości..

Lipcowe słońce uderzyło mnie w kark jak rozgrzany młot; gdyby nie konieczność ukrycia pistoletu, zostawiłbym marynarkę w domu. Pralnia była otwarta, rozejrzałem się dyskretnie, wyglądało na to, że na razie jestem jedynym klientem. Za ladą stała stara, opryskliwa baba, ta sama, co zawsze. Szukałem w niej śladów strachu i napięcia, ale poznaczona zmarszczkami, opuchnięta od alkoholu twarz wyrażała jedynie znużenie.

– Co trzeba? – spytała burkliwie.

Bez słowa podałem jej kwit. Otworzyła poszarpany zeszyt, przewróciła kilka kartek.

– Szary żakiet, szary żakiet... – wymamrotała. – Nie mamy!

Oblał mnie zimny pot, byłem przekonany, że w ubraniu znajdowały się informacje dla mnie, ale co, jeśli ktoś ukradł żakiet? Co prawda wszyscy w okolicy wiedzieli, że Liza pracuje w milicji, lecz kwit odleżał się ładnych parę miesięcy.

– Co znaczy, że nie ma?! – wybuchnąłem. – Widzicie kwit? Tam jest podpis waszego pracownika i pieczętka pralni!

– Podpis? – parsknęła pogardliwie stara. – To pytajcie Idy Kamińskiej, ona podpisywała, tylko że nie pracuje u nas już od dwóch miesięcy – dodała złośliwie.

Przeskoczyłem ladę, złapałem babę za gardło, przyparłem do ściany, po czym wyciągnąłem zza paska pistolet i przystawiłem

jej do głowy.

– Albo oddasz mi żakiet, albo zdechniesz tu i teraz. Wybieraj!

– Na pomoc! Ja nic nie wiem! Ja tylko...

Zacisnąłem palce na tłustej szyi, przerywając potok wyrzucanych piskliwym głosem słów. W oczach starej pojawił się strach.

Otworzyłem łokciem drzwi na zaplecze, o ile pamiętałem, mieścił się tam kulawy stolik i szafka, w której starucha trzymała wódkę. Nie raz i nie dwa widziałem, jak słała się na nogach. Siłą usadziłem ją na krześle, skrępowalem ręce i nogi szmatami, które walały się na podłodze.

– Jeszcze raz krzykniesz, a zapcham ci i gębę – ostrzegłem złowrogim szeptem. – A teraz wrócimy do tematu. Kto zabrał żakiet?

– Ratunku! – wydarła się. – Wariat!

Uciszyłem babę uderzeniem w brzuch, poprawiłem otwartą dłoń w twarz. Co prawda magazyn z czystą odzieżą dzieliły od właściwej pralni solidne stalowe drzwi, ale lepiej nie ryzykować. Wreszcie lada moment mógł się pojawić kolejny klient.

– Zapytam jeszcze raz – powiedziałem. – Ale już ostatni. Jeśli i teraz nie odpowiesz, złamię ci palec, później następny. Przeważnie nie używam przemocy wobec kobiet, jednak nie dlatego, że nie potrafię, rozumiesz, jak mus, to mus. I jeszcze jedno, głupia raszpło, nie zdajesz sobie sprawy, w co wdepnęłaś, w tym fatałaszku jest coś, za co warto zabić, a jak znikniesz, nikt nawet nie zauważy. Jeśli będzie trzeba, zamknę drzwi wejściowe i wywieszę kartkę z napisem „nieczynne”, wtedy sobie popracujemy...

Podniosłem kolejną szmatę i przeciąłem wzdłuż, żeby łatwiej użyć jej jako knebla. Oczy babiny niemal wyszły z orbit, dopiero teraz zauważyłem na ostrzu ślady krwi. Cóż, nie zdążyłem go wyczyścić.

– Gdzie żakiet? – powtórzyłem.

– Tu, w szafie! – wybelkotała, niemal dławiąc się z pośpiechu.

Z trudem opanowałem chęć, żeby wytłuc złodziejce zęby. Żakiet leżał na górnej półce, niżej stały w równym rzędzie butelki wódki, zapewne zapas na najbliższe dni.

W kieszeniach niczego nie znalazłem, więc rozprułem wszystkie szwy. Kartka z adresem była ukryta w kołnierzu. Pozostawała kwestia, co zrobić z babą? Najprościej byłoby poderżnąć jej gardło, ale jakoś nie miałem do tego przekonania.

– Otwórz gębę – poleciłem szorstko, zgarniając butelkę wódki.

Zanim zdążyła zaprotestować, już połem ją alkoholem. Łyknęła może z pół litra, zanim wzrok jej się zeszklił, widać, że wydoić flaszkę to dla niej nie pierwszozna! Podszedłem do telefonu i wezwałem zmotoryzowany patrol, informując, że w pralni na Hercena pijana pracownica awanturuje się z klientami.

Wróciłem na zaplecze, rozwiązałem babę i posadziłem na krzeselku przy ladzie. To powinno wystarczyć, żeby ją zapuszkowali na dzień czy dwa, a potem, cokolwiek by mówiła, niczym mi już nie zaszkodzi. Albo wygram i będę mógł gwizdać na jej oskarżenia, albo będę martwy.

Kartka od Lizy była lakoniczna: „Margarita de Virion, ul. Gorkiego 27 m 3”. W sumie nie tak daleko, ale po dzisiejszych zdarzeniach wolałem nie ryzykować, kolejna grupa likwidacyjna mogła być sprawniejsza niż poprzednia.

Złapałem taksówkę, podałem kierowcy adres. W drodze rozglądałem się dyskretnie, lecz nie zauważyłem, żeby ktoś za mną jechał. Przydałaby się wreszcie odrobina szczęścia...

Czteropiętrowa kamienica wyglądała na zeszlowieczną – nic dziwnego w Moskwie – bogate zdobienia i obszerne balkony sugerowały, że budowano ją według zupełnie innych zasad niż obecnie. W bramie zamiast pijanych meneli spotkałem elegancko ubranego mężczyznę, później, już na schodach, drugiego. Najwyraźniej budynku nie zasiedlała klasa robotnicza, ciekawe,

kim jest tajemnicza Margarita?

Korytarz lśnił czystością, na parapetach stały zadbane kwiaty, jedynie tabliczka na drzwiach z nazwiskiem lokatorki była nieco zaśniedziała, tak jakby znajoma Lizy żyła w tym mieszkaniu dobre kilkadziesiąt lat.

Zadzwońnię, kładąc palec na spuście tokariewa. Kobięcie, która mi otworzyła, nie dałbym więcej niż pięćdziesiąt lat, za młodu musiała być ładna, jednak teraz delikatne rysy twarzy szpeciła sieć zmarszczek, a cera, choć ogorzała, miała charakterystyczny niezdrowy odcień, jakiego nabywa się, przebywając w dusznych barakach i na wyrębach w tajdze. Ciekawe, za co ją aresztowali i dlaczego zwolnili?

– Ja od Lizy – powiedziałem krótko.

– Wejdźcie – zaprosiła, usuwając się z drogi.

Mimo że dochodziło już południe, kobieta wciąż miała na sobie jedwabny szlafrok.

Nie przejmując się konwenansami, przeszukałem pobieżnie mieszkanie, po chwili wróciłem do salonu. Gospodyni nie wyglądała na zdziwioną moim zachowaniem.

– Margarita de Virion? – spytałem.

– To ja – potwierdziła z nutką rezygnacji w głosie. – Liza zostawiła coś dla was.

Podeszła do sekretery, sięgnęła do szuflady, po czym podała pokąźną kopertę.

– Odejdźcie teraz – poprosiła. – I nigdy nie wracajcie. Niewiele życia mi już zostało, ale chciałabym spędzić je w spokoju.

Skinąłem głową i skierowałem się do wyjścia. Być może kiedyś tu wrócę, żeby zapytać o ostatnie chwile Lizy i aby dowiedzieć się, kim była dla niej Margarita de Virion. Być może. Kiedyś. Jeśli przeżyję.





Rozdarłem kopertę i wyjąłem złożoną w czworo kartkę, pachnącą perfumami Lizy. Zmartwiałem. Wewnątrz była jeszcze jedna koperta, zaadresowana do Stalina. Ki czort?!

Rozprostowałem kartkę, zacząłem czytać.

*Kochany!*

*Mam tak mało czasu, a tak wiele do powiedzenia. Przede wszystkim chciałam przyznać się do błędu, największego błędu w moim życiu. Chodzi o Sawę Galicza. W normalnej sytuacji nigdy bym tego nie napisała, za bardzo bym się wstydziła, ale martwi nie czują wstydu, a ja, choć jeszcze oddycham, jestem już martwa. Wiesz, że nigdy nie powiedziałeś, że mnie kochasz? A ja na to czekałam. Być może zbyt długo. Nie! Nie chcę się usprawiedliwiać ani Cię oskarżać. Odchodząc do Galicza, pomyliłam odbicie w lustrze z rzeczywistością. Jak pewnie się domyślasz, on nie szczędził mi miłosnych wyznań. Tyle że nic za nimi nie stało. Może powinnam Ci powiedzieć o swoich pragnieniach? Pewnie byś mnie wyśmiał, a może jednak nie? Nigdy już się tego nie dowiem, byłam zbyt dumna, żeby zapytać.*

*Ale do rzeczy, aby przeżyć, musisz wiedzieć, co się stało i dlaczego próbowano Cię otruć. Kilka dni przed Nowym Rokiem na przyjęciu z udziałem tuzów bezpieki, w tym i Sawy (tak, Galicz jest od dawna zaufanym Abakumowa), usłyszałam o liście, jaki chciał wysłać do Stalina niejaki Michaił Riumin. Pewnie go znasz, to zastępca Abakumowa, a poza tym sadysta, lizus i karierowicz. Nie wiem, co poróżniło go z Abakumowem, dość, że napisał na niego donos. Nie odważył się sam go wysłać, być może w obawie, że jest śledzony, i powierzył to Sawie. Ten rozważył za i przeciw i ostatecznie postanowił poprzeć Abakumowa. Na przyjęciu poinformował go o zdradzie Riumina i pochwalił się, że zatrzymał list. Usłyszałam tę rozmowę, niestety, zauważono mnie. Abakumow obawiał się, że powiem Ci o tym, a Ty wykorzystasz swoje możliwości i dotrzesz do Stalina... Dlatego postanowił Cię*

*zabić. Przepraszam, Kochanie, że byłam nieostrożna i naraziłam Cię na śmierć. Przepraszam! Próbowałam Cię ostrzec, ale безпеka była szybsza. Kiedy dowiedziałam się, że Cię otruli, wykradłam i ukryłam donos Riumina, jeśli to czytasz, masz go teraz w ręku. Podobnie jak los Abakumowa. Nie otwierałam koperty, ale podobno oskarżenia są poważne: spisek syjonistyczny i zdrada państwa. Sam wiesz, jak zareaguje na to Stalin.*

*Kiedy nie udało im się Ciebie zabić, postanowili mnie zmusić, żebym Cię oskarżyła o szpiegostwo na rzecz Amerykanów. Podobno wyjeżdżałeś na Zachód? Przypuszczam, że zabiją mnie zaraz po tym, jak zorientują się, że zabrałam list. Nigdy bym Cię nie wydała w ich ręce, wiesz? Kocham Cię.*

*Liza*

Zacisnąłem pięści, nie chciałem myśleć o Lizie i uczuciach, jakie wywołał we mnie jej list. Skupiłem się na przetrwaniu. Trzeba było jakoś przekazać donos Stalinowi. Zwykła poczta nie wchodziła w grę, Abakumow na pewno miał tam swoich ludzi. Trzeba było znaleźć inną drogę. Dato? Ludzie Chruszczowa pewnie potrafiliby dostarczyć przesyłkę gensekowi, ale kto wie czy nie poczekaliby z tym, dopóki Abakumow by mnie nie wykończył. Poliakov? Za wysokie progi. Czort wie kiedy przekazano by Stalinowi prośbę o spotkanie i na kiedy wyznaczono audiencję. Tak więc kto? Niespodziewanie pomyślałem o Fiłatowie. On miał wobec mnie nielichy dług, w końcu dwukrotnie uratowałem życie jego córce. Jako członek ścisłego kierownictwa partii mógł gwizdać na Abakumowa. No, może nie do końca gwizdać, jednak z pewnością безпеka nie mogła go aresztować bez zgody Stalina. Jednak czy zechce dla mnie zaryzykować? Bo ryzyko istniało. Co, jeśli władarz Kremla nie weźmie na poważnie donosu albo dojdzie do wniosku, że mimo wszystko Abakumow jest mu niezbędny, a na rozliczenia przyjdzie czas później? Przy całej swojej paranoi i podejrzliwości

Stalin był zimnym, cynicznym graczem, niedającym upustu emocjom. Inaczej nie przeżyłby tak długo u steru naszego państwa. Wreszcie kto chciałby sobie robić wroga z szefa budzącego grozę MGB? I dla kogo? Dla nieliczącego się w rozgrywkach politycznych pułkownika milicji? Wolne żarty... Jednak nie miałem innego wyjścia, wiedziałem, że sam nigdy nie dotrę do Stalina, już dwa lata temu kancelaria genseka oficjalnie unieważniła wydane mi w czasie wojny dokumenty. Wniosek? Fiłatow to moja jedyna szansa.

Podszedłem do okna, wyjrzałem na ulicę. Przed domem parkowały dwa czarne citroëny. Przypadek? Akurat! Wozy na kilometr śmierdziały bezpieką.

Podniosłem słuchawkę i połączyłem się z Poliakovem.

– Gdzie jesteś?! – warknął generał. – Za pół godziny chcę cię widzieć na Pietrowce, mówiłem, że musimy pogadać!

– Nie mogę, ludzie Abakumowa próbowali mnie zabić, teraz czekają pod domem. Wezmą mnie, jak tylko pojawię się na ulicy.

– Ilu ich jest?

– Czort wie, widzę dwa wozy. I jeszcze jedno, dzisiaj muszę spotkać się z naszym znajomym z KC.

Poliakov milczał chwilę, wreszcie odetchnął głęboko.

– W porządku – powiedział spokojnie. – Czekaj. Jak zaczniesz się zamieszanie, wyskakuj z chałupy.

– Jakie zamieszanie?

– Zobaczysz.

Trzask odkładanej słuchawki poinformował mnie, że mój przyjaciel nie ma zamiaru omawiać detali. Zakląłem ze złością i sprawdziłem broń, po namyśle pomaszerowałem do kuchni i z worka z mąką wyciągnąłem niewielki pakiet, wewnątrz były dwa granaty. Cokolwiek by się zdarzyło, nie miałem zamiaru pozwolić, żeby ludzie Abakumowa aresztowali mnie, zanim przekażę list.

Dobiegające z ulicy strzały i ostre komendy sprawiły, że

popędziłem do okna. Pod kamienicą zatrzymały się dwie ciężarówki wypełnione milicjantami, wnioskując z zachowania, mocno wkurwionymi milicjantami. Bez zdziwienia ujrzałem wśród nich Starcewa i Rudenkę. Ludzie Abakumowa leżeli na bruku z kajdankami na wykręconych do tyłu dłoniach, jeden kulił się kopany ze wszystkich stron, najwyraźniej usiłował stawiać opór.

Zbiegłem po schodach, nie zamykając nawet mieszkania, przy krawężniku czekał już na mnie samochód z szoferem Poliakowa.

– Jedź! – krzyknąłem.

Ruszyliśmy z wizgiem opon, przez boczną szybę widziałem, jak Starcew brutalnie wrzuca na pakę ciężarówki zatrzymanego bezpieczeniaka. Widać chłopaki poszli na całość, Poliakow długo trzymał ich na smyczy, teraz dopiero mogli zemścić się za Lizę. Ciekawy byłem, pod jakim pretekstem zatrzymali moich prześladowców. Nie żebym się tym specjalnie przejmował. Jeśli Abakumow straci stanowisko, sprawę zamiotą pod dywan, w komunistycznym raju nie ma mowy o rywalizacji bratnich z definicji służb. Jeśli przegram, wszyscy skończą w łagrach, o ile nie gorzej.

Cały czas obserwowałem, czy ktoś nas nie goni, ale wyglądało na to, że chłopcy skutecznie zatrzymali ekipę zainteresowaną pułkownikiem Razumowskim. Miałem nadzieję, że do willi Fiłatowa dojedziemy bez przeszkód, a tam zobaczymy, co dalej. Jeśli Fiłatow stchórzy albo co gorsza, sprzymierzy się z Abakumowem, jeszcze dziś wyląduję na Łubiance. No a przynajmniej będą chcieli mnie tam zabrać. Bo nie miałem zamiaru zdychać w bezpieczeniackiej katowni. To już lepiej wyciągnąć zawleczkę i zabrać ze sobą kilku skurwysynów...

– Mam nadzieję, że Fiłatow was przyjmie – odezwał się kierowca z troską w głosie.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że i on ryzykuje nie mniej niż ja.

– Na pewno – odparłem bez przekonania.

Wyjechaliśmy na obwodnicę, tu już nie powinno być problemów, a i do posiadłości Fiłatowa niedaleko.

– Widzicie to, co ja? – spytał szofer.

Zerknąłem w lusterko wsteczne: pusto.

– Z przodu! – uściślił niecierpliwie.

Zimny pot zrosił mi czoło, dwieście metrów przed nami ustawiano blokadę, na szosę wjechał już jeden czarny citroën, jeśli ustawią drugiego, nie przejedziemy.

– Gaz do dechy! – zawyłem.

Kierowcy nie trzeba było powtarzać, samochód przyspieszył niczym koń dźgnięty ostrogą. Kiedy przejeżdżaliśmy mimo, uchyliłem drzwi i cisnąłem granat.

– Gonią nas!

Zakląłem, wybuch unieruchomił jeden wóz, ale zza płonącego auta wyjeżdżały dwa następne.

– Gazu! – powtórzyłem.

– Nie damy rady! – skomentował kierowca. – Te bezpieczniackie cytryny mają podrasowane silniki.

– A ja mam jeszcze jeden granat! Jedź!

Po jakimś kilometrze przekonałem się, że szofer ma rację, pościg zbliżał się powoli, lecz systematycznie. Wyciągnąłem z kieszeni drugi granat, ale nie było szans na zatrzymanie obu wozów, samochody zachowywały bezpieczny odstęp. Jeśli będę miał szczęście, unieruchomię jeden. A i to nie wiadomo, przy tej szybkości łatwo się przeliczyć.

Niespodziewanie naprzeciwko nas pojawiła się ciężarówka wyładowana drewnem. Jeśli zajedzie nam drogę...

Nie zajechała. Nie nam. Kiedy tylko się minęliśmy, zakręciła, ustawiając się w poprzek szosy i gubiąc swój ładunek. Potężne, nieokorowane bale zablokowały przejazd. Szach i mat, towarzyszu Abakumow!

– To nasi? – rzucił kierowca.

Po skroniach mężczyzny spływały krople potu.

– Milicja? Wątpię. Raczej *wojennaja razwiedka*.

Dojechaliśmy do willi Fiłatowa już bez przeszkód, ochrona natychmiast otworzyła bramę. No, komu życie, komu śmierć...



Fiłatow wysłuchał mnie, nie przerywając, od czasu do czasu tylko pisał coś w eleganckim notesie. Kiedy skończyłem, długo milczał, bębniąc palcami o stół.

– Ciekawe – powiedział wreszcie. – Dobrze zrozumiałem, że w obalenie Abakumowa zaangażowane są wywiad wojskowy i milicja?

– Owszem. Do tego grupa Chruszczowa.

Mój rozmówca skinął głową, nie wyglądało, żeby informacja go zaskoczyła.

– Jakżeby inaczej – mruknął. – Ciekawe, czy istnieją jakieś granice ambicji Nikity Siergiejewicza?

Nie odpowiedziałem, pytanie było retoryczne, czekałem na decyzję Fiłatowa.

– Pomogę wam. – Zmierzył mnie spojrzeniem spod opuszczonych powiek. – Jeszcze dziś porozmawiam z gensekiem, tymczasem odpoczywajcie. Nie macie czego się obawiać, Abakumow nie odważy się wedrzeć do mojej rezydencji.

Otarłem pot z czoła, rozluźniłem palce zaciśnięte na granacie – prawą rękę cały czas trzymałem w kieszeni.

– Najlepiej, gdybyście tu zostali przez kilka najbliższych dni, dopóki cała sprawa się nie uleży – kontynuował. – Ja będę zajęty, dotrzymacie więc towarzystwa mojej córce.

– Musiałbym wykonać kilka telefonów, przyjaciele będą się martwić – odparłem, obserwując z napięciem twarz gospodarza.

Jeśli odmówi...

– Telefonujcie – przyzwolił. – Abakumow i tak wie, gdzie jesteście. Tylko nie opuszczajcie domu.

Filatow pożegnał mnie skinieniem głowy i wyszedł zwawym krokiem, spoglądając na zegarek. Cóż, Bogiem a prawdą, miał teraz pilniejsze sprawy. Nie łudziłem się, że pomaga mi z czystego altruizmu. Jeśli uda mu się usunąć Abakumowa, weźmie udział w podziale łupów po pokonanym, a do tego spłaci dług *wojennej rozвідki*. Kto wie? Może nawet wojskowy wywiad stanie się jego dłużnikiem? W polityce takie zobowiązania są na wagę złota, a bywa, że i życia.

Propozycja Filatowa odpowiadała mi i z innych względów: jeśli Stalin pozwoli aresztować Abakumowa, nie obędzie się bez Berii, a wolałbym, żeby ten nie przypomniał sobie o istnieniu pułkownika Razumowskiego. Jeśli donos przekaże gensekowi Filatow, istniała spora szansa, że moje nazwisko nie wypłynie w kontekście tej sprawy.

Wstałem z fotela, rozprostowałem zeszywniałe mięśnie i podszedłem do telefonu. Poliakov zgłosił się od razu, tak jakby czekał, aż zadzwonię.

– Co tam? – rzucił niecierpliwie. – Załatwiłeś wszystko?

– Wygląda na to, że na razie jestem bezpieczny – odpowiedziałem ostrożnie. – Przez parę dni będę gościem naszego znajomego.

– To dobrze – westchnął z ulgą Poliakov. – Bo my mamy tu niezły bal. Zostałem wezwany w trybie pilnym do Abakumowa. Oczywiście zwolniłem jego ludzi i przeprosiłem za nieporozumienie, wyjaśniłem, że otrzymaliśmy anonimowy telefon z informacją, że w centrum Moskwy szaleje grupa bandytów legitymujących się podrobionymi dokumentami MGB. Starcewa i Rudenkę aresztowałem pod zarzutem pobicia funkcjonariusza na służbie, chłopaki trochę przesadzili, faceta trzeba było hospitalizować.

Odchrząknąłem z aprobatą, to było mądre posunięcie. Dopóki

obaj siedzą na Pietrowce, nic im nie grozi, a Poliakow może mydlić oczy bezpiece. Oczywiście ta legenda nie wytrzyma długo, w końcu Abakumow nie jest idiotą, ale wątpię, żeby podjął jakieś konkretne kroki przeciwko pracownikom MUR-u. Nie wystarczy mu czasu. Poza tym musiał wiedzieć, że tym razem donos dotrze do adresata. Pewnie zastanawiał się teraz, czy czekać na oskarżenie, czy po prostu prysnąć. Na pewno miał dość środków, żeby uciec na Zachód i żyć tam w luksusie do końca swoich dni, choć byłem pewien, że tego nie zrobi. Za bardzo rozsmakował się we władzy, przywykł do bycia myśliwym, nie zwierzyną, no i miał nadzieję, że jakoś się wykręci. Błąd, towarzyszu Abakumow, to już naprawdę koniec gry...

Nalałem sobie koniaku, wychyliłem jednym haustem, dopiero teraz dotarło do mnie, że przeżyłem. Niespodziewanie ugięły się przede mną nogi i musiałem usiąść.

- Czego ode mnie chciałeś? – wymamrotałem.
- Ja? – zdziwił się Poliakow.
- No, wzywałeś mnie na Pietrowkę – przypomniałem.
- Ach tak, ale nie wiem, czy przez telefon...
- Gadaj. Nawet jeżeli podsłuchują, nic im z tego nie przyjdzie.
- Pamiętasz tego wariata, który na ciebie napadł?
- Jeszcze jak! – warknąłem.

Odruchowo dotknąłem językiem dziur po zębach, poczułem coś twardego. Pewnie kolejne odłamki, trzeba będzie odwiedzić Kongariewą.

- Zwolnili go z Butyrek na osobiste polecenie Szniagina.
- Zastępcy dyrektora więzienia?
- Tego samego. Ale podobno rozkaz przyszedł z góry. Rozumiesz? Z samej góry. I jeszcze jedno, podobno siedział w press-chacie.

Zacisnąłem pięści, znaczy Abakumow naprawdę wysłał go po moją głowę.

- Czyli w celi zostało tylko czterech? – powiedziałem,



odzyskując panowanie nad sobą.

– Jeśli nawet, to bandyci pokroju tego gnoja, który położył pół tuzina naszych. Nie dasz im rady. Nie gołymi rękoma.

– Założę się, że wysłali najsilniejszego i najbardziej agresywnego. No i nie sądzę, żeby tamci byli naszprycowani tym preparatem. Mam jeszcze trochę czasu, coś wymyślę.

– Oby – zakończył rozmowę generał.

Westchnąłem ciężko i ponownie sięgnąłem po koniak, mimo ostentacyjnie okazywanej pewności siebie w duchu zgadzałem się z Poliakowem. Cele, także te wieloosobowe, były bardzo ciasne, nikt nie zawracał sobie głowy komfortem lokatorów. Po obu stronach pomieszczenia stały piętrowe prycze, wąskie przejście ledwo pozwalało minąć się dwóm osobom. W takiej sytuacji nie ma mowy o unikach czy zwodach. Jeśli dojdzie do walki, jeden mnie zablokuje, biorąc na siebie wszystkie ciosy, pozostali wykończą. Pewnie dam radę zabić ze dwóch, ale niezależnie od tego wynik pozostanie ten sam: umrę w tej samej celi, co Liza. Potrzebowałem pomysłu, czegoś, co wyrówna moje szanse, problem w tym, że nic nie przychodziło mi do głowy. Teoretycznie można było poczekać, aż zmieni się kierownictwo MGB, ale kto zaręczy, że nowe będzie chciało w ogóle ze mną gadać? W wielkiej polityce Liza to tylko niewiele warty pionek, podobnie jak pułkownik Razumowski. Najlepiej byłoby skorzystać z zamieszania, jakie wybuchnie po aresztowaniu Abakumowa, wówczas najłatwiej będzie przeniknąć do więzienia i rozliczyć się ze sprawcami śmierci major Wierchońskiej. Pozostawało pytanie: jak to zrobić? A czasu do namysłu było niewiele. MGB to oczko w głowie Stalina, smuta w bezpieczeństwo potrwa tydzień, góra dwa, nie dłużej.

Odstawiłem kieliszek, zaszumiało mi w głowie, mimo że przecież wiele nie wypilem. Bolały mnie wszystkie mięśnie, jakbym cały dzień rozładowywał wagony na kolei. Prawda, że dzień był nerwowy, ale dziesięć lat temu poszedłbym jeszcze na

wódkę i dziewczyny. Ech, starość nie radość...



Śniadanie podano mi do łóżka, czułem się jak po ciężkiej grypie, na obiad zaprosiła mnie Aleksandra. Osobiście. Dziewczyna przyniosła mi jedwabny szlafrok i zapewniła, że nie muszę się ubierać, posiłek mieliśmy zjeść tylko we dwoje. Nie licząc służby, rzecz jasna. Ta była wszechobecna, choć niekłopotliwa i niezwykle sprawna. Po raz kolejny przyszło mi do głowy, że przedstawiciele mas pracujących w kraju powszechnej proletariackiej szczęśliwości żyją lepiej niż arystokracja na Zachodzie. Rzecz mocno zabawna, bo przecież tam wyobrażają sobie bolszewików jako bandę kiepsko ubranych, wrzaskliwych agitatorów, nieustannie zalewających się wódką, przy byle okazji sięgających po nagana.

– Jak się czujecie? – spytała, kiedy zasiedliśmy do stołu.

Uniosłem głowę, w głosie dziewczyny słychać było autentyczną troskę.

– Żyję – odparłem wymijająco.

Nie wiedziałem, na ile ojciec wtajemniczył ją w sprawę.

– Abakumow naprawdę was otruł? – kontynuowała. – Spotkałam go kiedyś na przyjęciu, wydał mi się całkiem miły. Albo chciał się takim wydać ze względu na ojca – dodała po namyśle.

– Naprawdę. Dziękuj Bogu, że nie poznałaś go w innej sytuacji.

Aleksandra wzdrygnęła się wyraźnie, widać przypomniawszy sobie Breslau. Mogła być córką jednego z najważniejszych ludzi w państwie, ale to, co przeszła, odarło ją z naiwności, nawet jeśli nie dotyczyły jej problemy zwykłych śmiertelników.

– Co z nim zrobicie?

– Nic. To nie mój poziom.

– Ojciec mówił mi, że przez niego zginęła wasza przyjaciółka, znam was, nie zostawilibyście tak tego.

Nie wspominałem Fiłatowowi o Lizie, a to oznaczało, że miał i inne źródła informacji, wypadało zapamiętać: jest dużo bardziej ostrożny, niż wydawało się na pierwszy rzut oka. I dużo bardziej niebezpieczny.

– Nic nie zrobię – powtórzyłem. – System się nim zajmie.

– To znaczy?

– Jeśli zostanie aresztowany, oskarżą go o działalność antypaństwową, szpiegostwo i czort wie co jeszcze, a potem rozstrzelają. I jeszcze zmuszą, żeby przyznał się do wszystkich zarzutów.

– Będą go... – nie dokończyła, przygryzając lekko wargę.

– Będą – potwierdziłem. – Być może i jego rodzinę. Ma żonę i syna.

– To straszne!

– Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka – odpowiedziałem sentencjonalnie. – To przecież on wraz z innymi stworzył taki system. Teraz zobaczy, jak działa.

– Miałam na myśli jego bliskich – wyjaśniła. – Jego mi nie żal. A inni zamieszani w tę sprawę? Zabijecie ich?

Wzruszyłem ramionami, nie było o czym mówić. Dziewczyna skinęła głową i rozmawialiśmy już tylko o pogodzie – początek lipca był w tym roku upalny – oraz zbliżającym się meczu między Spartakiem i Dynamo. Ja kibicowałem Spartakowi, Aleksandra była zwolenniczką zespołu z Kijowa. Przez dobrą godzinę przerzucaliśmy się żartobliwymi docinkami, opisując słabe strony wrogiego klubu. Przez ten czas myślałem intensywnie o tym, co zrobię, kiedy aresztują Abakumowa, w końcu wpadłem na pomysł, jak mogę zabić urków odpowiedzialnych za śmierć Lizy. Plan był ryzykowny, ale dawał szansę powodzenia. Nie żeby wielką, powiedzmy, pół na pół. Cóż, lepsze to niż nic.

Popołudniową sjęstę przerwało przybycie gospodarza. Zacięte

w grymasie zdecydowania usta i płonące tryumfem oczy mówiły więcej niż słowa.

– Wczoraj Politbiuro na nadzwyczajnym posiedzeniu uznało donos Riumina za zgodny z prawdą, a dziś Abakumow został aresztowany – oznajmił dobitnie. – To już koniec!

Dla kogo koniec, dla tego koniec, pomyślałem. Dla mnie aresztowanie szefa bezpieczeństwa oznaczało dopiero początek drogi. Byłem coś dłużny kilku osobom, a miałem zwyczaj spłacać takie długi z procentami...

## Rozdział jedenasty



Mimo że swoją prośbę skierowałem do Timy, na spotkanie zamiast niego przyszła Lidia Zosimowna Siwers. Szara eminencja *wojennej rozwiadki* bez słowa położyła na stoliku niewielką paczkę, tuż obok kawy i pączków. Nieco nerwowym gestem włożyłem ją do kieszeni.

– Załatwiłam wszystko, co chciałeś – poinformowała.

Podziękowałem, przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– Niedawno spotkałem generała Wołkowa – powiedziałem szeptem.

W kawiarni panował gwar, ale lepiej nie ryzykować, Stalin od lat poszukiwał Wołkowa, prawda, że bez rezultatu.

– Jak wyglądał? – rzuciła szybko. – Jak się czuje?

– Trudno powiedzieć. – Wzruszyłem ramionami. – Widziałem go tylko przez chwilę, myślałem, że macie z nim kontakt.

– Tylko wtedy, kiedy on sobie tego zażyczy – odparła cierpko.

– Uratował mi życie, nadal jest sprawny fizycznie i intelektualnie.

Lidia Zosimowna uniosła do ust filiżankę, jakby odpowiedź jej nie zainteresowała, ale wydawało się, że rysy kobiety na moment złagodniały. Złudzenie? Możliwe. A może i nie, plotka głosiła, że jakiś czas temu była kochanką Wołkowa.

– Wiesz, że to wariactwo? – spytała. – Prawdopodobnie nie wyjdiesz z tego żywy.

Skrzywiłem się niechętnie, wolałem nie zagłębiać się w detale

mojego planu, sam wiedziałem, że nie jest przykładem taktycznego mistrzostwa.

– Dajmy temu spokój – poprosiłem. – Powiedzcie mi lepiej coś na temat owej tajemniczej frakcji w GRU, o której wspominał generał Zacharow. Rzeczywiście są wśród nas arystokraci? Poza wami, rzecz jasna...

– Paru się uchowało – odparła z zimną krwią Lidia Zosimowna. – Frakcja? Nie ma żadnej frakcji. Do Zacharowa dotarły jakieś pogłoski, to wszystko. Zniekształcone pogłoski. Być może nawet wydaje mu się, że reprezentuje ową mityczną frakcję, ale to jeszcze jeden aparatczyk z ambicjami, choć trzeba przyznać, że bardziej inteligentny niż większość z nich. On nie chce żadnych zmian, a jedynie złagodzenia kursu i rezygnacji z takich absurdów jak niewolnicza praca więźniów. Wydaje mu się, że to wzmocni państwo.

– A nie wzmocni? – zripostowałem.

– Być może, na krótką metę. W dłuższej perspektywie nie, bo cały system jest przegniły.

– Czego więc chcecie? Powrotu cara?

– Niestety, to niemożliwe – odparła z leciutkim uśmiechem. – Mówiłam ci, że nie ma żadnej frakcji. Po prostu ktoś chce wyrównać rachunki z dawnych czasów, to wszystko.

Choć powiedziała to spokojnym, wyważonym tonem, przeszedł mnie dreszcz. Przez lata pracy w wywiadzie nauczyłem się rozpoznawać zagrożenie; gdybym był wrogiem owej nieistniejącej rzekomo frakcji, pisałbym testament.

– Abakumow też był na waszej liście? Kto jeszcze? Beria? Stalin?

Lidia Zosimowna wyjęła papierosa, poczekała, aż podam jej ogień, i wydmuchnęła dym w stronę sufitu.

– Nie zadawaj idiotycznych pytań – powiedziała. – Bo chyba nie spodziewasz się, że odpowiem?

– No dobrze, to może doradzicie mi w innej sprawie?

– A mianowicie?

– Chciałbym zidentyfikować pewnego szlachcica, być może arystokratę. Nie znam jego nazwiska, wiem tylko, że w tysiąc dziewięćset ósmym roku służył w Lejb-Gwardyjskim Keksholmskim Pułku imienia Cesarza Austriackiego.

– Tym stacjonującym w Warszawie?

– Tak.

– Rozumiem, że nie znasz jego nazwiska, ale wiesz, jak wyglądał?

– Owszem.

Lidia Zosimowna dopaliła papierosa i sięgnęła po torebkę.

– O ile się orientuję, nie mamy w archiwum spisu żołnierzy ani nawet oficerów tego pułku, a jedynie fotografie z tysiąc dziewięćset piątego i ósmego roku. Ale jeśli wiesz, jak wygląda ten człowiek, nie widzę problemu.

– To znaczy?

– Istnieją herbarze i spisy szlachty oraz arystokracji ze wszystkich rejonów imperium. Ostatnie wyszły tuż przed rewolucją. W niektórych opracowaniach są zdjęcia i portrety przedstawicieli znaczniejszych rodów. Jeśli to arystokrata, powinieneś znaleźć go bez trudu, choć to robota na tygodnie, może miesiące.

– Prześlcie mi te materiały?

– Pożyczę – sprostowała z naciskiem. – O ile wyjdiesz cało z tej awantury.

Zanim zdobyłem się na odpowiedź, wyszła bez pożegnania. Przywołałem gestem kelnerkę, zapłaciłem rachunek. Po namyśle dokończyłem swojego pączka. Nie żebym był specjalnie głodny, ale podejrzewałem, że w Butyrkach takich nie dają...



Strażnik podał szorstką komendę, stanąłem posłusznie twarzą do ściany, z rękoma założonymi za plecy. Zgrzytnął zamek, kolejny rozkaz i byłem już w celi. Odgłos zatraskiwanych stalowych drzwi zaakcentował, że znalazłem się w innym świecie.

Wydawało się, że moje przybycie nie wywołało specjalnego zainteresowania, ale czułem na sobie uważne spojrzenia. To właśnie pierwsze minuty decydowały o pozycji, jaką zajmie w więzieniu nowy osadzony. Co prawda Cichy wysłał gryps rekomendujący mnie jako człowieka, któremu można zaufać, ale jego władza nie była absolutna. Jeśli naruszę złodziejskie zasady albo choćby wzbudzę podejrzenia zeków, dostanę kosą pod żebro bez względu na poparcie Tichonowa. Stary złodziej wyjaśnił mi to bez ogródek.

– *Wieczor w chatu!* – powiedziałem niegłęboko.

To już ich zaciekawiło, kilku nawet podniosło się z prycz. Tego pozdrowienia używali jedynie recydywiści z pokaźnym więziennym doświadczeniem. Każdy zek oczekiwał niecierpliwie wieczoru, to wówczas w celach zaczynało się prawdziwe życie: wyciągano nielegalny alkohol, komunikowano się z innymi celami, rozstrzygano spory i pito czyfir.

– Kim jesteś? Z którego paragrafu siedzisz? – odezwał się starszy mężczyzna w okularach.

Brązowy odcień pobrużdżonej głębokimi zmarszczkami twarzy sugerował, że więzień spędził wiele lat przy wyrębie tajgi. Znaczący *smotriaszczij*, tylko on miał prawo pytać o takie rzeczy.

– Nazwiska podać nie mogę, siedział nie będę, mam tu robotę, a potem znikam.

Teraz patrzyli już na mnie wszyscy, poczułem pot spływający po plecach. Jeśli któryś rozpozna we mnie milicjanta, nie zdążę nawet krzyknąć i moja misja zakończy się tu i teraz.

Jakieś potężne, muskularne chłopisko postąpiło krok naprzód, ale *smotriaszczij* powstrzymał go jednym ruchem.

– Poważni ludzie poręczyli za ciebie, ale muszę wiedzieć, co to



za robota – odparł spokojnie. – Tu ja odpowiadam za wszystko.

– Gdzie mogę przylec? – odwzajemniłem się pytaniem.

Okularnik wskazał mi pryczę w centrum celi. Całkiem niezłe miejsce, w dodatku na „parterze”, „palma”, czyli prycza poziom wyżej, uchodziła za mniej prestiżową.

– A teraz gadaj – polecił.

Bez pośpiechu umościłem się wygodnie, rozluźniłem napięte mięśnie.

– Chcę zabić wszystkie suki z press-chaty – poinformowałem. – Zrobię to sam, ale potrzebuję waszej pomocy w przygotowaniu broni.

Pomyślałem, że wybuchną śmiechem, jednak żaden nawet nie mrugnął, choć kilku popatrzyło na mnie z niedowierzaniem.

– Wszystkich pięciu? Sam? I o jaką broń ci chodzi? Nie mamy nawet igły, tylko dzisiaj przeszukiwali chatę trzy razy – powiedział *smotriaszczij*.

– Czterech – sprostowałem. – Jeden nie żyje, wysłali go, żeby załatwił pewnego gościa, ale już nie wrócił.

– Fufło! – wykrzyknął osiłek. – Jak było pięciu, tak i jest. Przysłali nam tu jakiegoś fufłomiota!

Słowo „fufłomiot” oznaczało kogoś, kto zmyśla, kłamcę albo mitomana. W środowisku *blatnych* ktoś taki był lekceważony i otaczała go powszechna pogarda. Miałem pewność, że *smotriaszczij* doskonale wie, że z press-chaty ubył jeden lokator, ale z sobie wiadomych względów nie podzielił się tą informacją z innymi zekami.

Wstałem jednym płynnym ruchem i unikając zdumiewająco sprawnie zadanego ciosu, uderzyłem osiłka w podbródek. Upadł na plecy z głuchym łomotem. Ruszyłem naprzód, ale drogę zastąpiło mi kilku więźniów.

– Wystarczy! – powiedział stanowczo *smotriaszczij*. – Nasz tajemniczy gość mówi prawdę. Wańka Buldożer nie żyje. A ty, Korkociąg – zwrócił się do powalonego – uważaj na to, co

mówisz. Na drugi raz możesz dostać nie po mordzie, tylko kosą pod żebro!

– Tak, Leonidzie Pawłowiczu – odparł pokornie osiłek.

– O jaką broń ci chodzi? – powtórzył starszy mężczyzna.

– Dwa noże.

– Przyniosłeś jakieś żelazo? – ożywił się milczący dotąd zek z blizną na twarzy.

– Żadnego żelaza. – Pokręciłem głową. – Materiał macie u siebie, w chacie. To mleko.

Odpowiedziała mi pełna niedowierzania cisza, ale tym razem nikt nie zarzucił mi kłamstwa. Najwyraźniej nie zamierzali ryzykować, mając w pamięci, co spotkało przed chwilą ich kumpla.

– Mleko zawiera kazeinę – wyjaśniłem pospiesznie. – Żeby ją wytrącić, wystarczy je podgrzać i dodać kwasu. Później precedzić pozostałość przez gazę lub sito, no i uformować z powstałej masy nóż. Potrzeba przynajmniej tygodnia, żeby się zestaliła, ale mam przy sobie coś, co przyspieszy ten proces do kilku godzin. Na jeden nóż potrzeba około litra mleka, mam nadzieję, że macie choć tyle. No i kwas.

– A więc dlatego zaczęli przysyłać mi mleko – powiedział w zadumie *smotriaszczij*. – Nie martw się, mamy prawie trzy litry. Kwas też się znajdzie. A Korkociąg naostrzy ci te noże. No, no, czego to człowiek się nie dowie – dorzucił w zadumie. – Myślisz, że to wystarczy? – spytał niespodziewanie.

– Z tym, co mam, powinno – odparłem ostrożnie.

– Możesz mówić otwarcie, tu nie ma kapusiów.

Sięgnąłem do ust i wyjąłem fałszywy mostek, jaki zamontowali mi lekarze *wojennoj razwiedki* na miejsce wybitych zębów, położyłem na stole dwie ampułki.

– W tej jest coś, co przyspieszy tężenie kazeiny, w tej czerwonej trucizna paraliżująca. Posmaruję nią ostrza.

– To co innego – przyznał okularnik. – Teraz rozumiem,

dlaczego Cichy cię przysłał. Zaraz weźmiemy się do roboty, a ty pokimaj, obudzimy, kiedy wszystko będzie gotowe.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na stole pojawiło się mleko, spory blaszany baniak i kawałek blachy, na której rozpalono ogień, podsycając go strzępkami szmat i słomą wyciągniętą z materacy. Przez chwilę obserwowałem *błatnych*, później, nie wiedzieć kiedy, zapadłem w sen.



Strażnik otworzył drzwi i wepchnął mnie do celi, przebiegłem kilka kroków, machając bezradnie rękoma, tak jakbym nie mógł utrzymać równowagi. Nic nowego czy nadzwyczajnego w presschacie, tu nikt nie wchodził na własne życzenie i niejednego musieli zawlec siłą.

Sięgnąłem do rękawów – *błatni* znaleźli sposób, żebym mógł przymocować noże do przedramion, nie ryzykując zranienia – i zadałem dwa pierwsze cięcia. Urka siedzący na pryczy z lewej zarobił w czoło, krew zalała mu oczy, drugi zdążył zasłonić się ręką, ale i tak drasnąłem go w nadgarstek. Jeśli preparat podziała, powinno wystarczyć.

Błyskawicznie odwróciłem się plecami do ściany, trzymając dwa zakrwawione noże. Teraz poderwali się ci siedzący bliżej wejścia. Pierwszy zatrzymał się na sekundę, żeby minąć oślepiętego kumpla. To mi wystarczyło, zadałem sygnalizowane cięcie; kiedy przechwycił mój nadgarstek, kopnąłem go w goleń, wkładając w to całą siłę. Wyraźny trzask i ryk bólu świadczyły, że przynajmniej jeden nie będzie już taki szybki. Cofnąłem się, atakowany przez bandziora z raną na nadgarstku. W duchu liczyłem sekundy, środek na bazie kurary powinien zadziałać po dwudziestu. Tylko żebym dożył...

Oślepiiony urka otarł krew z oczu i rzucił się szczupakiem,

żeby złapać mnie za nogi, tymczasem dopadło mnie dwóch kolejnych. Jednemu wbiliśmy ostrze w oko, ale krępy, szybki jak błyskawica kurdupel zdążył walnąć mnie pod żebra, poprawił kilkoma ciosami w korpus.

Uderzyłem go czołem w twarz, jednocześnie bijąc nożem w kark trzymającego mnie zeka. Bezskutecznie, tamten ignorował ciosy, wczepiony we mnie jak buldog. Poczulem przeraźliwy ból w boku, ani chybi poszło jakieś żebro. Albo kilka.

Niespodziewanie uścisk zelżał, wyswobodziłem nogę i zadałem cios kolanem, po czym cofnąłem się pod ścianę. Dwaj leżeli na posadzce, trucizna wreszcie zadziałała, zostało jeszcze dwóch: konus z rozwalonym nosem i osiłek ze złamaną nogą. Ten ostatni stał, trzymając się pryczy, w garści ścisnął ostrze z wyszlifowanego gwoźdźca. Znaczą tu rewizji nie prowadzili.

– Porozmawiajmy – zaproponował kurdupel. – To się nie musi tak skończyć. Nic do ciebie nie mamy, pokazałeś już, że jesteś mocny, szanujemy tu takich. Jeśli chcesz, załatwię ci przeniesienie do naszej chaty, mamy układ ze Szniaginem.

– Mieliście układ – sprostowałem, oddychając ciężko. – Teraz niczego już nie macie, wszyscy jesteście martwi.

– Cichy cię przysłał? Ta stara suka...

Wykorzystałem moment nieuwagi, aby zaatakować stojącego na jednej nodze, okaleczonego zeka, pchnięcie z lewej przebiło mu policzek, ale drugi nóż złamał się na obojczyku bandziora. Cóż, i tak dobrze, że wytrzymał tak długo, w końcu to nie toledańska stal. W odpowiedzi dostałem w brzuch, na szczęście krótkie ostrze nie weszło głęboko.

– Ty ścierwo! – zawył konus.

W jego rękę pojawiła się oprawiona w drewno żyłotka, cofnąłem się pospiesznie. Łatwo zlekceważyć taką broń, ale ktoś, kto ma wprawę w posługiwaniu się mojką, jest groźnym przeciwnikiem. Wystarczy chlasnąć po tętnicy i koniec pieśni, witajcie, chóry anielskie.

Konus zmylił mnie pozorowanym natarciem, kiedy odskoczyłem, schylił się błyskawicznie i podniósł ostrze kumpla. Teraz miał broń w obu rękach. Zakląłem w duchu, byłoby głupio dać się zabić u mety. No, niemal u mety.

Uderzyliśmy jednocześnie, on sparował cios, po czym jego ręka ześliznęła się płynnie po moim ramieniu, atakując szyję, drugą uderzył w krocze.

Uniknąłem cięcia żyłką i zdążyłem poderwać nogę, żeby zasłonić udem podbrzusze. Zawyłem z bólu, tym razem zatoczka weszła po nasadę. Postawiłem wszystko na jedną kartę, wypuściłem nóż, udając, że ból mnie obezwładnił, po czym pchnąłem czubkami usztywnionych palców w krtań przeciwnika. Wybałuszył oczy, przez chwilę nic się nie działo, wreszcie zacharczał i runął na posadzkę. Cztery do zera dla Razumowskiego.

Opadłem na pryczę, jęcząc z bólu, zerwałem z siebie sweter i spodnie. Rana brzucha nie wyglądała na groźną, tyle że krwawiłem jak zarzynana świnia. Gorzej z nogą, ostrze musiało uszkodzić jakiś nerw, bo udo mi zdrętwiało, a i sama zatoczka z pewnością nie była zbyt czysta. Jeżeli nie zdezynfekuję rany, wda się gangrena albo inna franca. Ale to musiało poczekać, miałem jeszcze coś do zrobienia. Opatrzyłem jako tako rany, zatamowałem upływ krwi, na ile to było możliwe, i zabrałem się do urków. Nie miałem czym ich związać, więc połamałem im ręce i nogi, zakneblowałem, później ściągnąłem każdemu spodnie, musiałem odsłonić pole dla operacji, miałem kilka zabiegów do wykonania. Co prawda z narzędziami było kiepsko, ale od biedy wystarczy i żyłtka. Ot, więzienny szpital imienia major Wierchońskiej...



Do celi dokużytkalem wsparty na ramieniu przekupionego przez *blatnych* straznika, wewnatrz czekala na mnie prycza, goraca herbata, a nawet swieze bandaze.

– Przygotowalismy sie – odpowiedzial na niezadane pytanie starszy celi. – I nie martw sie, Wańka – wskazal zeka z blizna – byl w czasie wojny sanitariuszem, zalata cie fachowo. Niestety, jezli chodzi o dezynfekcje, mamy tylko wodka.

– Niech bedzie wodka – wymamrotalem przez zaciśnięte zęby.

Bliznowaty podal mi butelke z alkoholem, pociagnalem kilka solidnych łyków i skinalem glowa, nie wiem, jakim cudem nie krzyknalem, kiedy polal mi rany.

– Straciles sporo krwi – powiedzial, opatrujanc mnie sprawnie. – Gdy wrócisz do swoich, niech cie od razu wsadza pod kroplowke.

– Do swoich?

– Naprawde myslisz, ze nie poznalibysmy naczelnika wydzialu sledczego MUR-u? – zapytal kpiaco *smotriaszczij*. – Albo ze Cichy odwazylby sie nie poinformowac, kogo do nas wysyla? Za cos takiego mozna i *priediawit'*. Spokojnie! – rzucil, widzac, ze zaciskam pieści. – Jesteś bezpieczny, wszyscy wiedza, ze pulkownik Razumowski to *prawilnyj mient*. U nas takich sie szanuje. I wybacz to male przedstawienie, tu rzadko trafia nam sie jakaś rozrywka. A teraz do rzeczy, co z sukami? Zabiles ich?

– Nie, choc nie wiem, jak dlugo pociagnę.

W celi zapanowala pełna napięcia cisza.

– To co z nimi zrobiles? – indagowal dalej *smotriaszczij*.

Powiedzialem mu. Kilku zekow sie przezegnalo, jeden pobladl, jakby mial zemdleć.

– Cichy ci kazal czy ty sam?

– Cichy nie moze mi niczego kazac – warknalem gniewnie. – On mi zrobil przyslugę, to i ja jemu. Mialem z nimi swoje porachunki.

– To widać – skomentowal okularnik. – A mozna wiedziec, o co poszlo?

– Nie twoja sprawa!

Ktoś mruknął gniewnie, lecz *smotriaszczij* uciszył go jednym spojrzeniem.

– To prawda, nie moja – przytaknął spokojnie. – Po tym, co się stało, długo będą szukali obsady press-chaty – dodał z satysfakcją. – Choć pewnie ta suka Szniagin prędzej czy później coś wykombinuje.

– Nie wykombinuje – zapewniłem. – Możecie uznać, że już go nie ma. A jego następca będzie dużo ostrożniejszy.

– *Prawilnyj mient* – powtórzył w zadumie okularnik. – Mało takich zostało.

– U was też nie za dużo *prawilnych* – odgryzłem się.

– To prawda – przyznał z uśmiechem. – Takie czasy.

– Idą! – zameldował chudy zek spod okna.

Zauważyłem, że nie odrywa ucha od kaloryfera, zapewne więźniowie przekazywali informacje, stukając w rury.

– Kto idzie? – Usiadłem zaniepokojony.

– Spokojnie, twoi. Normalnie o tej porze nikogo nie zabierają – wyjaśnił.

Niedługo usłyszałem tupot podkutych butów i drzwi otworzyły się gwałtownie. Do celi zajrzał młody milicjant o kanciastej, surowej twarzy.

– Kondratiew, *na wychod!* – rzucił szorstko.

Wstałem niezgrabnie, usłyszawszy nazwisko, pod którym zostałem przewieziony do Butyrek, pokuśtykałem do wyjścia. Kiedy znalazłem się na korytarzu, ujęły mnie pod ramiona silne dłonie i ujrzałem Bugrowskiego.

– Bardzo was poranili? – spytał współczująco.

– Umiarkowanie – wymruczałem. – Mogło być gorzej. Prawdę powiedziawszy, dużo gorzej.

– Wytrzymajcie jeszcze trochę, aby do karetki, tam czeka Katia ze sprzętem.

– Po cholere braliście ją tutaj? Nie można było znaleźć jakiegoś

felczera?

– Sama się naparła. Poza tym podejrzewam, że będzie wam potrzebny lekarz, a nie felczer. I to dobry lekarz – podkreślił. – Ledwo trzymacie się na nogach.

Na dziedzińcu czekał na nas *awtozak*, jednak wewnątrz w niczym nie przypominało samochodu do przewozu więźniów, raczej polowy szpital. W chwilę później siedziałem już na kozetce, a Katia zrywała opatrunki.

– Razumowski! – warknęła przez zaciśnięte zęby. – Ty idioto! Musiałeś stracić dobry litr krwi, o ile nie więcej!

Nie skomentowałem, dziewczyna owijała mój tors bandażem, tworząc coś w rodzaju kokonu. To wszystko w niezbyt delikatny sposób.

– Kładź się! – poleciła. – Ciekawe, ile żeber masz połamanych?

Syknąłem z bólu, kiedy polała moje rany jakimś palącym płynem.

– Będziesz miał szczęście, jeśli nie dostaniesz gangreny. Czym cię pchnęli w brzuch?

– Ostrzem zrobionym z gwoźdźcia.

– Pewnie zardzewiałego – skomentowała z przekąsem.

Wkłuła mi się w żyłę, podłączyła kroplówkę.

– Możemy jechać – poleciła.

Dima zastukał w ścianę, ruszyliśmy. Czekałem w napięciu, bojąc się, że ktoś nas zatrzyma w ostatnim momencie, ale wyjechaliśmy z więzienia bez przeszkód.

– Musimy porozmawiać – powiedział Bugrowski. – Ale to już w szpitalu, niech najpierw ktoś was obejrzy.

– Katia już to zrobiła. O co chodzi?

– Katia tylko odkaziła rany i zadbała, żeby żadne ze złamanych żeber nie przebiło ci płuca – odparła dziewczyna z irytacją. – Trzeba zrobić prześwietlenie i kilka innych badań. Nawet się nie odzywaj! – uprzedziła, widząc, że otwieram usta. – Bo założę ci cewnik.



– No dobrze – westchnąłem. – Jak szpital, to szpital...



Otworzyłem oczy, zaalarmowany jakimś głośniejszym dźwiękiem, w sąsiednim pomieszczeniu coś ciężkiego upadło na podłogę. Zamrugalem, próbując otrząsnąć się z sennego otępienia, spojrzałem na zegarek, musiałem przespać kilka godzin. Od razu po przyjeździe do Sklifu podano mi morfinę, nic dziwnego, że spałem jak zabity.

– Wyglądacie dużo lepiej, *komandir* – zauważył Dima Bugrowski.

Chłopak siedział nieco z boku, przy niewielkim, zastawionym lekami stoliku.

Odpowiedziałem nieartykułowanym pomrukiem, poprawiłem się na łóżku.

– O czym chciałeś pogadać? – spytałem.

– Chciałbym mieć waszą zgodę na wykończenie Szniagina, Daniłowa i tego pseudopoety, jak mu tam? Garbicza?

– Galicza – poprawiłem. – Nie ma mowy! To moja i tylko moja sprawa!

– Niezupełnie – zaprzeczył spokojnie Dima. – To sprawa nas wszystkich. Całego MUR-u. Major Wierchońska była jedną z nas, a my nie daliśmy rady jej obronić. Dlatego powinniśmy mieć swój udział w wymierzeniu sprawiedliwości tym, którzy doprowadzili do jej śmierci.

– Dima! – warknąłem gniewnie.

– Pomyślcie sami, *komandir* – kontynuował niezrażony. – Jesteście unieruchomieni na dobre dwa tygodnie, a i to tylko w tym wypadku, jeśli nie będzie komplikacji. Tymczasem z tymi gnojkami trzeba rozliczyć się teraz, zanim безпеca opanuje burdel po aresztowaniu Abakumowa. Sami wiecie, że

zamieszanie nie potrwa zbyt długo, bo sytuację będzie obserwował sam Stalin. Wreszcie co do Galicza...

– Tak?

– On jest nie tylko agentem MGB, ale i znanym poetą. W zeszłym roku otrzymał Nagrodę Stalinowską, jeśli zginie, jeszcze tego samego dnia raport o jego śmierci wyląduje na stole genseka, w bezpiecze i czort wie gdzie jeszcze. A biorąc pod uwagę, że major Wierchońska... – zająknął się, wreszcie machnął ręką. – No, sami wiecie – dokończył niezręcznie. – Natychmiast znajdziecie się w kręgu podejrzanych. Co innego, jeśli tamten umrze, a wy w tym czasie będziecie w szpitalu, na oczach wielu świadków.

Skrzywiłem się niechętnie, choć w duchu przyznałem chłopakowi rację. Jakim by Galicz nie był dupkiem, jego śmierć nie przejdzie bez echa. I niejeden dojdzie do wniosku, że trzeba przy tej okazji przyjrzeć się pewnemu pułkownikowi milicji.

– Masz jakiś plan?

– Mam – odparł bez mrugnięcia okiem.

– Słucham – ponagliłem.

– Zabicie Galicza to nic trudnego. – Wzruszył ramionami. – Ten gnojek to pijak i kokainista, wszyscy o tym wiedzą. W przeszłości dwa razy inscenizował samobójstwo, żeby zrobić wrażenie na otoczeniu i dać do zrozumienia, jaki z niego wrażliwy artysta. Jeśli znajdą go powieszzonego, z mordą unurzaną w kokainie i opróżnioną półlitrowką, nikt nawet nie mrugnie okiem. Tym bardziej że ludzie prowadzący śledztwo będą przecież wiedzieli, jaką rolę odegrał w śmierci major Wierchońskiej. Pomyślą, że nie wytrzymał psychicznie, i tyle.

– I kto to zrobi? Galicz mieszka w kamienicy dla prominentów, tam nie można wejść ot tak, z ulicy.

– Komu nie można, temu nie można. Mam układ z konsjerżką, wpuści nas bez problemu.

– Nas?

– Mnie, Starcewa i Rudenkę. Tylu wystarczy.

– Dasz radę? Wiesz, to nie to samo, co zabić człowieka w walce. Usta chłopaka wygięły się w okrutnym uśmiechu.

– Jeszcze jak dam! – zapewnił.

Skinąłem głową. No, no, rośnie nam Dima, robi się bezwzględny.

– Niech będzie – przyzwoliłem. – A co z Daniłowem i Szniaginem? Ich też trzeba na dniach.

– To w ogóle nie kłopot. Szniagin jest znany z organizowania press-chat, *blatni* wielokrotnie mu grozili, przeżył dwa zamachy na swoje życie. Jego przełożeni świetnie o tym wiedzą. Jak to mówią, do trzech razy sztuka. A na Daniłowa nikt nawet nie zwróci uwagi.

– Z Daniłowem rób sobie, co chcesz, ale chcę być przy śmierci Szniagina – zażądałem.

Myślałem, że Dima będzie się kłócił, jednak ku mojemu zdumieniu zgodził się natychmiast.

– Dobrze, ale obiecacie mi, że nie będziecie się angażować. Jak sobie coś uszkodzicie, Katia wywróci mnie na lewą stronę.

– Nie będę.

– W takim razie wszystko ustalone. Do Galicza zaprosimy się w gości jeszcze dzisiaj, trzeba to załatwić jak najszybciej, zaraz potem odwiedzimy Daniłowa, ze Szniaginem nie ma takiego pośpiechu, może za dwa dni? Gdy trochę dojdziecie do siebie?

– W porządku.

Kiedy Dima wyszedł, wstałem z łóżka, ale kłujący ból w boku uświadomił mi, że przez kilka najbliższych dni będę musiał ograniczać się do wizyt w łazience. Martwił mnie też fakt, że jakiś urka – niechby i muskularny! – połamał mi żebra, podczas kiedy dawniej wytrzymywałem bez szwanku dużo silniejsze ciosy. Może jeszcze nie doszedłem do siebie? Tak czy owak, dobrze by było pogadać z Sunem. Choć czort wie, kiedy znajdę na to czas? I czy Chińczyk zechce ze mną rozmawiać? Co prawda

dotrzymałem umowy i znalazłem mordercę jego wnuczki, ale niewykluczone, że uznał nasze relacje za zamknięte. W końcu uratował mi życie, byliśmy kwita.

Podszedłem do okna, po ulicy jeździły samochody i tramwaje, a ludzie spieszyli w sobie tylko wiadomych celach, jakby nic się nie stało, a przecież aresztowanie Abakumowa zwiastowało początek zmian, które wstrząsną całym krajem. Choć może to i lepiej? Czasami tęskniłem za takim życiem, z pewnością nie beztroskim, ale przynajmniej pozbawionym strachu o jutro. Jak by to było, gdybym wierzył w komunistyczny raj na ziemi, postrzegał partię jako mądrego sternika prowadzącego obywateli ku szczęściu, a Stalina jako ojca narodu? Może byłoby mi lżej?

Uniosłem brwi, słysząc pukanie, w szpitalu jak w koszarach, rzadko kto przejmował się zasadami dobrego wychowania.

– Proszę! – powiedziałem.

– Jak się czujesz? – spytała Nadieżda.

Zamrugalem z zaskoczeniem, ostatnio widziałem dziewczynę w Listwiance.

– Co tu robisz?

– Leczę – odparła z uśmiechem. – Jestem twoim osobistym lekarzem, przywrócili mi stopień.

– Wczoraj badał mnie profesor Naumow.

– Wiem, po znajomości, bo on zajmuje się tylko ciężkimi przypadkami. Dlatego mi cię oddał.

– Po znajomości?

– A jakże! – przyznała z figlarnym błyskiem w oku. – Jesteś moim pierwszym pacjentem.

– Zmierzysz mi temperaturę? – rzuciłem prowokacyjnie.

Nie ma co ukrywać, że nie raz i nie dwa wspominałem ostatnie spotkanie z doktor Nadią...

– To także, ale później, teraz chciałam porozmawiać.

– Coś się stało?

– Nie, nie! – Uspokoila mnie gestem. – Nic strasznego, po prostu

rozwiązałam zagadkę.

– Jaką, do licha, zagadkę?!

– Medyczną. Usiądź, proszę, a najlepiej się połóż. Jesteś jeszcze osłabiony.

Wykonałem polecenie, Nadia przycupnęła na skraju łóżka.

– Co za zagadka? – powtórzyłem.

– Dostałam komplet badań i diagnoz z czasów, kiedy służyłeś w *wojennej rozwiadce*. Przez jakiś czas skarżyłeś się na natrętne sny i fałszywe wspomnienia.

– A tak! – Roześmiałem się z ulgą. – O to chodzi? Owszem, majaczyły mi jakieś bale, pałace, ludzie w mundurach kapiących od złoceń, z carskimi orderami. Ale to już dawno wyjaśnili nasi lekarze, rozumiesz, zostałem ranny i długo majaczyłem w gorączce. W takiej sytuacji mózg wymyśla różne cudenka, czasem zostaje to na dłużej.

Umilkłem, zaskoczony wyrazem twarzy dziewczyny. Nadia miała minę jak kot, który napił się śmietanki.

– Coś nie tak?

– Te wszystkie wspomnienia dotyczą czasów, kiedy miałeś kilka lat, prawda?

– Nie zastanawiałem się nad tym, ale chyba masz rację, w tych majakach zawsze jestem małym dzieckiem.

– Jesteś pewien, że nie zdarzały się, zanim cię raniono?

– Nie jestem – przyznałem niechętnie.

– To nie majaki.

– Nie rozumiem.

– W dokumentach jest informacja, że przeszedłeś zapalenie opon mózgowych.

– Tak twierdził ojciec. No i co z tego?

– Ta choroba wywołuje często zaburzenia pamięci. Bywa, że poważne.

– Nie myślisz chyba, że te brednie to moje wspomnienia sprzed choroby?! Jakie pałace, jakie ordery! Mój ojciec był... – nie

dokończyłem, przypomniawszy sobie fotografię znaną w domu ciotki.

Szlag! A jeśli to prawda? Gdyby rodzice rzeczywiście należeli do arystokracji lub choćby szlachty, czy nie potraktowaliby mojej choroby jako zrzędzenia losu, które pozwoli im ukryć tożsamość przed nową władzą? Bo trudno wytłumaczyć dziecku, że nie powinno nikomu opowiadać o tym, jak mieszkało w pałacu...

– Coś ci przyszło na myśl? – spytała szybko.

– Nie. – Machnąłem ręką. – Nic specjalnego. Zastanawiałem się nad tym, co powiedziałaś.

– I co?

– Może rzeczywiście byłem jako dziecko w jakimś pałacu albo nawet widziałem bal.

– Tylko tyle?

– A czego byś chciała? Oświadczenia, że jestem nieślubnym synem cara?

– No nie, ale...

Pociągnąłem ją tak, że musiała się pochylić, pocałowałem.

– Najwyższy czas pobawić się w doktora – stwierdziłem.

Wymknęła się z moich objęć, podbiegła do drzwi i zamknęła je na klucz. Czyżby pomyślała o tym samym?

– Nie możesz się ruszać – oznajmiła surowo.

Jej palce wśliznęły się pod szpitalną piżamę, musnęły bandażę, wreszcie dotknęły nagiej skóry. Pogłaskałem ją po karku, ale skarciła mnie lekkim klapssem.

– Leż spokojnie! – ofuknęła mnie.

– Cóż, chyba dam radę – mruknąłem.

– Na pewno – odrzekła i poparła swoje słowa pieśczętą ust i dłoni.

Dałem.



Poprawiłem się na siedzeniu – żebra nie bolały mnie już tak bardzo – zaszeleściła „Moskowskaja prawda”. Notkę o śmierci Galicza znalazłem dopiero na ostatniej stronie. Ani słowa o kokainie, alkoholu czy samobójstwie, ale fakt, że informacja znalazła się w tym akurat miejscu, dawał do myślenia. W końcu chodziło o laureata Nagrody Stalinowskiej! Znaczący śledczy znaleźli i narkotyki, i pustą butelkę po wódce, i powieszzonego poetę. Stąd dezaprobata władzy, dezaprobata widoczna dla każdego myślącego czytelnika. Wszyscy przyzwyczajeni byli do czytania między wierszami. O Daniłowie najmniejszej wzmianki, ot, jeszcze jeden pijak, który spadł ze schodów i skręcił sobie kark...

– Idzie! – odezwał się Dima.

Oderwałem wzrok od gazety, spojrzałem przez szybę. A więc tak wygląda major Szniagin? Niewysoki, łysawy człowieczek o skrzywionej w sardonicznym grymasie twarzy nie sprawiał przyjemnego wrażenia. Na pierwszy rzut oka przypominał kanałowego szczura. Podobieństwo do gryzonia potęgował długi, cienki nos.

– Pamiętajcie, nie bierzecie w tym udziału! – zastrzegł Dima.

– Pamiętam – westchnąłem i wysiadłem niezgrabnie z wozu.

Szniagin obejrzał się nerwowo, ale zaraz się uspokoił, widząc, że mężczyźni, którzy idą za nim, mają na sobie milicyjne mundury.

Błąd, towarzyszu! Ostatni błąd w waszym parszywym życiu! Sami wiecie, mundur to nie wszystko i bywa, że właśnie ci oficerowie, którzy powinni strzec praworządności, sami tę praworządność naruszają. Na przykład umieści taki milicjantkę w press-chacie i myśli, że ujdzie mu to na sucho...

Podszedłem bliżej i splunąłem mu w twarz. Szniagin sięgnął do kieszeni, chciał sięgnąć, ale dopadli go Starcew i Rudenko, przytrzymali ręce. W jego oczach pojawiła się panika, dopiero teraz zrozumiał, że to nie przypadek, iż otacza go kilkunastu

milicjantów.

Długo zastanawiałem się, co mu powiem, ale doszedłem do wniosku, że szkoda czasu. To nie był żaden geniusz zbrodni, tylko spocony, śmierdzący szczurek, który chciał podliznąć się wszechwładnemu szefowi bezpieczeństwa. Prawda, że pozbawiony sumienia i wszelkich zasad, ale to też nie nowina, mamy takich na pęczki.

– Zróbcie porządek z tym ścierwem! – poleciłem.

Pierwszy uderzył Maksimow, ujrzałem metaliczny błysk: kastet.

Korpulentny oficer zadał cios umiejętnie, wkładając weń całą masę ciała. Bryznęła krew i zęby. W sekundę później dopadli Szniagina i inni. Noże, kastety, pałki i gołe pięści zawirowały w śmiertelnym tańcu. Kiedy ten się skończył, na ziemi leżał pokrwawiony łachman, w niczym nieprzypominający człowieka. W sumie nic dziwnego, suka to była, suka w mundurze, a nie człowiek...

– Wracajmy – powiedział Dima. – Jak sobie coś nadwerezycie, ta wasza lekarka urwie mi głowę.

Wsiadłem do samochodu, ruszyliśmy. Żaden z nas się nie obejrzał, nie było po co.



Po raz kolejny prześliznąłem się wzrokiem po rozłożonych na stole stosach książek i z westchnieniem zamknąłem grube, oprawione w skórę tomiszczce. Lidia Zosimowna przesłała mi przez kuriera kilkadziesiąt opracowań na temat szlachty i arystokracji imperium rosyjskiego. Rejestry gubernialne, spisy posiadaczy tytułów książęcych i hrabiowskich, księgi heraldyczne... Do tego większość wydano przed rewolucją, a więc zawierały znaki, które obecnie stosowano jedynie



w emigracyjnych białogwardyjskich gazetach, co mocno spowalniało tempo czytania.

Przetarłem zmęczone oczy, poszedłem do łazienki i opłukałem twarz zimną wodą. Niewiele pomogło. Siedziałem nad książkami już drugą dobę, niemal bez snu, a zdążyłem przeczytać ledwo kilka. Zostało mi jeszcze trzydzieści siedem. Zapewne Lidia Zosimowna śmiała się w kułak, wyobrażając sobie moje wysiłki.

Stukot damskich obcasików na korytarzu wyrwał mnie z zamyślenia, odruchowo sięgnąłem po broń. Niby nic mi już nie groziło, ale nie rozstawałem się z pistoletem. Lepiej dmuchać na zimne, niż się sparzyć.

Ktoś zapukał energicznie, pewnie Natasza, z sobie tylko wiadomych względów moja sąsiadka nie lubiła używać dzwonka.

Nie pomyliłem się, dziewczyna przywitała się krótko, po czym weszła do salonu i na widok rozgardiaszu na stole stanęła niepewnie z niewielką paczką w ręku.

– Przyniosłam ci ten lek, o który prosiłeś – powiedziała.

– Dziękuję, połóż na podłodze.

– Jeszcze jedno, Dato chciałby się z tobą widzieć. Za dwie godziny będzie w kasynie.

– Ciekawe, co znowu wymyślił – mruknąłem niechętnie. – Może ktoś by mu uświadomił, że co prawda z żebrami u mnie lepiej, ale nie brykam jeszcze jak młody koziołek?

– On o tym wie – zapewniła. – To prośba. Myślę, że to nic... – urwała.

– Tak?

– Sprawiał wrażenie zakłopotanego. Pytał, jak się czujesz. Na pewno nie ma do ciebie żadnych pretensji.

Ubrałem się pośpiesznie, wziąłem paczkę z lekami. Nie była duża, ale swoje ważyła. Ciekawe, dla ilu pacjentów wystarczy.

– Może cię odwiozę? – spytała. – Lepiej, żebyś jeszcze przez jakiś czas nie prowadził.

Przyzwoliłem gestem, schodzenie na parter trwało dłużej niż

zwykle, bo musiałem uważać na każdy ruch.

– Najpierw do kliniki – zadysponowałem.

– Tam są kolejki – zauważyła. – Możemy nie zdążyć na spotkanie z Dato.

– Chyba nie aż takie duże, a jakby co, Dato poczeka.

Natasza spojrzała na mnie z troską, lecz nie skomentowała. I dobrze. Nie byłem w najlepszym nastroju. Widoczna ostatnio w zachowaniu Dato tendencja, żeby traktować mnie jak chłopca na posyłki, wkurwiała mnie do nieprzytomności, do tego dochodziła zagadka mojego pochodzenia. Nie, nie chodziło o czczą ciekawość! Było mi obojętne, czy moi rodzice należeli do arystokracji, czy wywodzili się z pańszczyźnianych chłopów, nie miałem na tym tle żadnych kompleksów ani oczekiwań. Jednak jeśli wyjdzie na jaw, że któreś z nich pochodziło z nieakceptowanej obecnie warstwy społecznej, mogę mieć kłopoty. Naprawdę duże kłopoty. A jeśli dodać do tego domniemaną białogwardyjską przeszłość ojca...

Sam fakt, że był oficerem, o niczym nie świadczył, pod koniec zeszłego wieku nawet chłopci mogli zdobyć oficerskie szlify. Nie było niczym niezwykłym i szlachectwo, od stopnia majora przyznawano je automatycznie. Jako oficer mógł mieć przyjaciół arystokratów, stąd być może moje dziecięce wspomnienia. A jednak coś mi tu nie pasowało. O ile matki niemal nie pamiętałem, zbyt wcześnie zmarła, o tyle ojca dość dobrze. I musiałem przyznać, że w jego zachowaniu mimo całej skromności, bo ojciec nigdy nie wynosił się nad innych, istniał jakiś niezwykły rys. Bywało, że uśmierzał kilkoma słowami sąsiedzkie kłótnie, a dwa razy więksi pijani mężczyźni robili się nagle cisi i pokorni w jego obecności, mimo że nigdy nie podnosił głosu. Taaak, coś było na rzeczy... Bo i skąd taki autorytet u prostego księgowego, niechby i byłego oficera?

– Jesteśmy na miejscu – przerwała mi zadumę Natasza. – Pójść z tobą?

– Dam sobie radę – zapewniłem.

Kolejka przed gabinetem Kongariewej nie była wielka, ledwo trzy osoby, w tym dziecko.

– A wy gdzie, towarzyszu? – zatrzymała mnie korpulentna matrona. – Ja byłam pierwsza!

– Kontrola! – burknąłem, demonstrując jej milicyjną legitymację.

– Coś nie tak? – zaniepokoiła się.

– Tajemnica śledztwa! Ale radziłbym wam znaleźć innego dentystę. Przynajmniej dopóki nie sprawdzimy, czy wszystko jest w porządku.

Wszedłem bez pukania, w fotelu siedziała ciemnowłosa nastolatka, obok krzątała się dentystka.

– Mam te leki – poinformowałem.

– Wreszcie!

Kongariewa wyjęła z paczki szklaną ampułkę, wprawnym ruchem napełniła strzykawkę.

– Spokojnie! – powiedziała na widok miny pacjentki. – Zaraz przestanie boleć.

Ślady łez na policzkach dziewczuszki świadczyły, że dotychczasowe zabiegi nie były zbyt przyjemne.

– Leczenie kanałowe – rzuciła wyjaśniająco dentystka. – Siadajcie na drugim fotelu. Zanim znieczulenie podziała, obejrzę, jak się goją wasze dziąsła.

– Może i mnie by tego znieczulacza? – zaproponowałem. – Bo chyba wychodzą mi jeszcze jakieś odłamki.

– Zobaczymy! – powiedziała ze zniecierpliwieniem Kongariewa. – Siadajcie!

Niechętnie wykonałem polecenie, nie ma co ukrywać, że lepiej czułbym się po zastrzyku. Może to fobia z dawnych czasów? Kiedy byłem dzieckiem, kilka razy wyrywano mi zęby, zapewniając, że lekarz tylko je obejrzy...

– To nie odłamki – orzekła dentystka po dłuższej chwili. –

Raczej dodatkowe zęby. Tak czy owak, poczekamy jeszcze z interwencją.

– Jakie, do licha, dodatkowe?

– Czasami się zdarza, nic nadzwyczajnego. To taka niegroźna anomalia. Niektórzy ludzie mają dodatkowe zęby, bywa, że ich rozwój zatrzymuje się na pewnym etapie i wychodzą dopiero po usunięciu starych.

– Skoro to nic groźnego...

– To i tak przyjdziecie do mnie za miesiąc! – przerwała mi Kongariewa. – I dziękuję za leki.

Mruknąłem coś pod nosem i z ulgą opuściłem gabinet, nie przepadałem za dentystami, a Kongariewa – być może ze względu na swoje gabaryty – budziła we mnie niepokój. Jeszcze tylko spotkanie z Dato i będę mógł wrócić do swoich studiów. Właśnie zacząłem przeglądać spis szlachty guberni kijowskiej...



Dato nie spojrzał na zegarek, chociaż spóźniłem się dobre pół godziny. Kiedy wszedłem, wstał zza stołu i przywitał się uściskiem dłoni.

– Jak zdrowie? – zapytał neutralnym tonem.

– Lepiej.

Kelner postawił przede mną kawę i wyszedł cicho, zamykając drzwi.

W kasynie były cztery takie gabinety służące poufnym rozmowom. Pomieszczenia wykorzystywane w celach... towarzyskich mieściły się na piętrze.

– Żebra? – upewnił się.

Przytaknąłem.

– A ogólnie? Doszedłeś do siebie po tej truciźnie? Nie pytam z pustej ciekawości – zastrzegł.

– Doszedłem – odparłem lakonicznie. – Dlaczego tak cię to interesuje?

– Najpierw chciałem przeprosić za swoje zachowanie – powiedział. – To były nerwowe chwile, mam nadzieję, że... – Wykonał niepewny gest.

– Zapomnijmy o tym – zaproponowałem.

– Dziękuję – powiedział z ulgą. – Wracając do rzeczy, pamiętasz, co kiedyś powiedziałeś o Berii? Że po śmierci Stalina nie będzie próbował intrygować, tylko po prostu przejmie władzę siłą, wykorzystując podległy sobie aparat?

– Owszem.

– Nasi analitycy doszli do podobnych wniosków. Tak, wiem, że kilka lat później niż ty! Mówiąc krótko, jest powszechna zgoda, aby na siłę odpowiedzieć siłą. Potrzebny nam ktoś, kto zorganizuje i wyszkoli grupę, która dokona aresztowania Berii. Podejmiesz się tego zadania?

Zacisnąłem pięści, żeby nie okazać emocji. Czekałem na tę propozycję długie lata.

– Podejmę. Jakie warunki?

Dato wykonał przeczący gest.

– Masz carte blanche. Podobnie jeśli chodzi o finansowanie, nie istnieją żadne ograniczenia.

– Nie boicie się, że was okradnę?

– Niespecjalnie. Nikt nie zarzuca ci nadmiaru skrupułów, ale wszyscy wiedzą, że dotrzymujesz słowa. No i nie wybraliśmy cię wyłącznie ze względu na kompetencje. Jeśli nie powstrzymamy Berii, twoja głowa spadnie razem z naszymi.

– No dobrze, na kiedy mam być gotowy?

– To raczej ja powinienem zadać pytanie, jak szybko możesz sformować taką grupę?

Łyknąłem kawy, zakołysałem w zamyśleniu filiżanką.

– Przed wszystkim zapomnij o formowaniu jakiejś tajemniczej grupy. Jeśli to zrobię, nie miną dwa tygodnie,

a wieści dojdą do Berii.

– Co proponujesz? Jeśli nie będziemy gotowi...

– Będziemy – przerwałem mu bezceremonialnie. – Beria też nie formuje żadnych grup i nie szkoli ich do aresztowania członków Komitetu Centralnego. Gdy przyjdzie czas, po prostu wyda taki rozkaz i wykonają go najzwyczajniejsze struktury bezpieczeństwa.

– Więc?

– Zatrzymajcie swoje pieniądze, żadnego finansowania. Zamiast tego przeforsujcie projekt, żeby stworzyć w ramach struktur milicji oddział, którego zadaniem będzie ściganie zbiegłych przestępców. I zróbcie mnie jego dowódcą.

– Ludzie uciekają z łagrów? – zdziwił się Dato.

– O tak, choć nie tylko z łagrów. Niektórzy w czasie transportu, eksperymentów śledczych albo z aresztów. Niedawno jeden z nich chciał zabić córkę członka KC, zapomniałeś? Możecie to potraktować jako pretekst. Nie martw się, będziemy mieli co robić.

– I wtedy...

– Tak. Nie będzie żadnej tajemniczej jednostki, zwykła grupa operacyjna.

– To ledwo kilka, góra kilkanaście osób.

– Jeśli odniesiemy sukces, a odniesiemy! powstanie takich więcej w całym kraju. Wówczas wystarczy je wezwać do Moskwy, choćby pod pretekstem szkolenia, i... – Rozłożyłem wymownie ręce.

– Rozumiem, że doborem ludzi i szkoleniem zajmiesz się ty?

– Tak. Wydział śledczy MUR-u przekażcie w ręce Maksimowa, awansujcie go przy tym na pułkownika. Chcę, żeby ten mój nowy przydział wyglądał jak efekt wewnętrznych rozgrywek.

– Żeby zasugerować Berii, że nie jesteś taki mocny i Maksimow otrzymał stanowisko twoim kosztem?

– Coś w tym rodzaju.

– Załatwione! Myślę, że to dobry pomysł. Cały czas zastanawiałem się, jak zakamuflować tę grupę.

– Nie dalibyśmy rady. Trzeba liczyć, że po śmierci Stalina Beria, choćby przez jakiś czas, będzie miał pełnię władzy. Nie widzę nikogo, kto mógłby mu w tym przeszkodzić.

– A jeśli od razu zacznie czystki?

– Zacznie – przytaknąłem. – Ale w resortach siłowych, żeby obsadzić wszystkie kluczowe stanowiska swoimi ludźmi. Dopiero później weźmie się za was. Do tego czasu będziemy gotowi.

– Logiczne – mruknął Dato. – W takim razie to wszystko.

Nie ulegało wątpliwości, że kiedy pokonamy Berię – o ile go pokonamy! – w kraju rozpocznie się nowa epoka. Jednak żegnając Dato, nie mogłem opędzić się od myśli, że także nowi władcy Rosji mogą uznać pułkownika Razumowskiego za niewygodną personę. Cóż, czas pokaże. Najpierw trzeba przeżyć. I wyrównać rachunki...

Dima czekał na mnie dwie ulice dalej, już dawno zabroniłem swoim ludziom kręcić się wokół kasyna.

– Masz to? – spytałem bez żadnego wstępu.

– Tak, adres zdobyłem bez kłopotu. A tu są klucze do mieszkania. Pasują, sprawdziłem.

– Dawaj!

– Może potrzebujecie pomocy?

– Nie! Ale mam dla ciebie zadanie. Przejdiesz się do specsklepu na Smoleńskim i pogadasz z kierownikiem. Nazywa się Ignatow. Powiesz mu, że może zaczynać, on będzie wiedział, o co chodzi.

– A o co chodzi?

– Wy tłumaczę ci później – rzuciłem niecierpliwie. – Znikaj!

W drodze do domu myślałem o ojcu. Kim był, czy rzeczywiście walczył po stronie białych, jak sugerowały zgromadzone w mieszkaniu ciotki pamiątki? Może wypadłoby jeszcze raz je obejrzeć? Tylko że nie miałem na to czasu, a sam nie

zatrzymałem niemal niczego po rodzicach, zostawiając wszystko ciotce. Szkoda, że nie przyszło mi do głowy pogadać z nią, póki żyła. Zresztą rodzice nie posiadali wielu rzeczy wartych uwagi, po pogrzebie ojca ciotka wcisnęła mi w rękę srebrny widelec, szkatułkę i obdrapaną, koślawą popielniczkę. Gdyby nie należała do ojca, dawno bym ją wyrzucił. A może warto przyjrzeć się i temu koszmarkowi? Albo jeszcze lepiej: pokazać komuś, kto zna się na starociach? Bo ojciec brał tę popielniczkę nawet na posiedzenia kołchozowej organizacji partyjnej. Do dziś pamiętam, jak strząsał do niej popiół z uśmiechem głębokiej satysfakcji. Tak, niech sprawą zajmie się znajomy antykwariusz, wujek Misza, przynajmniej będę wiedział, czy warto psuć sobie wzrok, ślęcząc nad imperialnymi herbarzami.



Energicznym ruchem pchnąłem drzwi – zawiasów nie oliwiono pewnie od rewolucji, a właściciel nie pozwalał ich dotknąć – i upiorne skrzypienie zaanonsowało moje wejście. Wąty staruszek w spranym niemal do białości, niegdyś błękitnym chałacie uniósł na moment wzrok i przywitał mnie prawie niedostrzegalnym skinieniem głowy. Nie widzieliśmy się ze dwa lata, ale wujek Misza nie słynął z wylewności. Znałem go jeszcze z czasów nauki w szkole oficerskiej, bywało, że w jego sklepie zbywałem łupy wojenne, choć wujek Misza nigdy nie brał cennych, a więc ryzykownych w sprzedaży przedmiotów. No ale dzisiaj chciałem go poprosić jedynie o ekspertyzę.

– Jak interesy? – spytałem grzecznie.

– Tak sobie – odburknął. – Sam widzisz, co mi przynoszą. Chłam i skorupy.

Odchrząknąłem dyplomatycznie. Na wystawie poniewierała się jakaś filiżanka z utraconym uchem, kilka sfatygowanych



talerzy i stare żelazko, ale wiedziałem, że wujek Misza ma też bardziej interesujące przedmioty, tyle że dla wtajemniczonych.

– A ty z czym? Chyba nie mieliśmy ostatnio żadnej wojny – zauważył złośliwie.

Bez słowa położyłem na ladzie popielniczkę i masywny, zaśnieżony widelec.

– Sprzedajesz?

– Nie, chciałbym po prostu wiedzieć, czy to jest coś warte.

Starszy pan sięgnął po popielniczkę, pogardliwie wyduł wargi.

– Skąd wzięłeś ten rupieć? Szkoda mojego czasu na... – niespodziewanie urwał, a jego oczy rozszerzyły się pod wpływem szoku. – Skąd to masz?! – spytał ostro. – Gadaj!

– Ja...

– Jeśli skłamiesz, drugiej szansy nie będzie!

– To coś w rodzaju pamiątki – wymamrotałem oszołomiony. – Co się dzieje, wujku Misza?

– Jakiej pamiątki? Do kogo to należało?

Zastanowiłem się przez chwilę, co mi szkodziło powiedzieć? Wujek Misza potrafił trzymać język za zębami i zdawał sobie sprawę, że wystarczy jedno moje słowo, żeby otrzymał bilet na Kołymę. W jedną stronę.

– Do mojego ojca.

Staruszek zmierzył mnie badawczym spojrzeniem, po czym skinął w stronę wejścia.

– Zamknij drzwi i wywieś kartkę, że sklep nieczynny – rozkazał.

Zanim wykonałem polecenie, wujek Misza zniknął już na zapleczu. Kiedy podążyłem w ślad za nim, moje nozdrza podrażnił zapach rozpuszczalnika. Pochyliłem się nad stołem, antykwariusz zmywał z popielniczki grubą warstwę czarnej farby.

– To nie jest złoto ani srebro – powiedziałem niepewnie. – Zauważyłbym.

– Nie jest – przyznał. – To zwykły mosiądz. A jednak...

– Tak?

Staruszek wskazał napis na podstawce: Fabergé.

– Ten sam Fabergé? – wymamrotałem. – Od jajek wielkanocnych?

– Ten sam. Kiedy nadeszła wojna, firma Fabergé została niemal pozbawiona dostaw szlacheckich kruszców, ale nadal wykonywała zamówienia dla dworu z metali nieszlacheckich. Ale to to zupełnie co innego...

– Nie rozumiem...

– Przez jakiś czas firma Fabergé działała i po rewolucji, ale w tysiąc dziewięćset osiemnastym Carl Fabergé uciekł za granicę. Fama głosi, że nienawidził bolszewików. Kiedy osiadł w Niemczech, w zasadzie już nie pracował, ale podobno zrobił jeden jedyny wyjątek...

– Jaki?

– To był prezent dla białych oficerów, elity Sił Zbrojnych Południa Rosji. Popielniczki. Specyficzne popielniczki...

– Co w nich specyficznego?

– Przypatrz się dobrze.

Zmarszczyłem brwi, teraz, kiedy wujek Misza zmył grubą warstwę farby, w kształcie popielniczki było coś znajomego. Otworzyłem usta ze zdziwienia. Tak! Popielniczkę wykonano w formie budionówki! Potarłem palcem metal – na mosiężnej czaszy widniała czerwona pięcioramienna gwiazda...

– To unikat – powiedział wujek Misza. – Pod każdym względem – dodał dwuznacznie. – Biali oficerowie strząsali popiół z papierosów i cygar do popielniczek w kształcie czapek krasnoarmiejców. Jak sądzę, z pewnym przewrotnym zadowoleniem... Z tego, co wiem, wykonano nie więcej niż sto egzemplarzy.

– A to? – Wskazałem widelec.

– Zobaczymy, najpierw trzeba usunąć nalot.

Pokiwałem głową, kiedy spod warstwy śniedzi ukazał się napis Fabergé.

– Tu jest jeszcze coś – powiedział wujek Misza. – Herb.

– Naprawdę?

– Owszem – odparł nieswoim głosem antykwariusz. – Lilia z trzema poziomymi belkami i litera R. Chyba że to łacińskie P.

– Do kogo należał ten herb?

– Nie mam pojęcia, ale jedno jest pewne: widelec był częścią kompletu. Wnioskując po wadze i zdobnictwie, dość wystawnego kompletu. Kto wie czy to nie rzadkość większa niż popielniczka.

– A to dlaczego?

– Powszechnie uważa się, że srebrna zastawa stołowa zrobiona dla Aleksandra Kelcha i jego żony Barbary z domu Bazanow to najdroższe dzieło wykonane kiedykolwiek w pracowni Fabergé. Ten widelec świadczy, że może nie jedyne tej klasy.

Zakląłem pod nosem, kolejny przypadek? Akurat! Dobrze pamiętałem wyraz twarzy ojca, kiedy korzystał z popielniczki, błysk przewrotnej satysfakcji w oczach... Tak, ciekawy mi się trafił ojczulek, nie ma co, trzeba przysiąc fałdów i raz na zawsze wyjaśnić sprawę. Ale zanim wrócę do książek, wypada oddać dług, to nieładnie kazać czekać damie.



Rozsiadłem się w fotelu, rozpiąłem pasek, zzułem buty, pistolet położyłem na stoliku w zasięgu ręki. Nie wiedziałem, kiedy wróci, niewykluczone, że przyjdzie mi czekać do rana, właśnie obchodziła trzydzieste urodziny. Była atrakcyjną dziewczyną, na pewno nie zabraknie jej partnerów do tańca.

Przymknąłem oczy, rozluźniłem mięśnie. Choć w pokoju panował półmrok, nie groziła mi senność. Nie dziś, nie tutaj.

Moje myśli mimo woli wróciły do rozmowy z wujkiem Miszą, po powrocie do domu przestudiowałem kilka herbarzy, wiedziałem już, że zdobiący widelec symbol to jedna z odmian herbu Roch. Co prawda posługiwało się nim kilkadziesiąt rodów, jednak gdybym miał trochę więcej czasu, dowiedziałbym się też, do kogo należała srebrna zastawa. Prawdopodobnie. Tymczasem jednak miałem do załatwienia inną, bardziej pilną sprawę, księgi genealogiczne mi nie uciekną, co innego lokatorka mieszkania. Gdyby wiedziała, że jej szukam, zniknęłaby albo znalazła nowego protektora. Poprzedniego właśnie przesłuchiowano w więzieniu w Lefortowie, oskarżając go o ukrywanie syjonistycznego spisku w Ministerstwie Bezpieczeństwa Państwowego.

Zgrzytnął zamek, w przedpokoju rozległy się lekkie kroki, trzasnęły drzwi łazienki. Czekałem cierpliwie. Kiedy weszła do sypialni, miała na sobie jedynie szlafrok narzucony na nagie ciało. Zapaliła światło, ale nie zauważyła mnie od razu, dopiero po chwili zwinęła się w gwałtownym skřęćie, chwytając nóż ukryty pod poduszką. Kiedy mnie rozpoznała, z jej twarzy odpłynęła cała krew, bezwładne palce upuściły ostrze. Próbowwała coś powiedzieć, otwierała i zamykała usta, ale nie była w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Wzruszyłem ramionami, bo i o czym tu gadać? Stała przede mną Ludmiła Łuczenko, major Bezpieczeństwa Państwowego. Ta sama, która podała mi truciznę w szampanie.

– Darujcie mi życie! – wykrztusiła, odzyskując mowę. – Zrobię wszystko, co chcecie! Wszystko!

Padła na kolana, odsłaniając jędrne, krągłe piersi i płaski brzuch.

– Moje dziecko! Pozwólcie mi żyć dla Marinki!

Mówiła prawdę, miała sześćioletnią córkę, dziewczuszka przebywała teraz z babcią, major Łuczenko dawno rozwiodła się z ojcem małej i skutecznie uniemożliwiła mu wszelkie kontakty

z córką. Cóż, teraz były mąż dostanie drugą szansę.

– Trzeba było myśleć o niej wcześniej – zauważyłem spokojnie.  
– Bo przecież ja nie byłem pierwszy. Przeglądałem twoje akta, ilu wykończyłaś na rozkaz Abakumowa? Nie chciało mi się czytać do końca, straciłem rachubę po pierwszych dwudziestu.

Rzuciła się na mnie z pazurami, prymitywny babski odruch. Uderzyłem ją czubkami palców pod serce; kiedy upadła, spazmatycznie łapiąc powietrze, posadziłem w fotelu, przejechałem brzytwą po nadgarstku, uważając, żeby nie upaprać się krwią. W parę minut później wyszedłem z mieszkania, starannie zamykając za sobą drzwi. Nie sądziłem, żeby kogoś zdziwiło kolejne samobójstwo, ostatnio ten trend był dość popularny w MGB wśród osób związanych z Abakumowem. Było oczywiste, że prędzej czy później wszechwładny do niedawna szef bezpieczeństwa zacznie sypać i zgodzi się z najbardziej nawet absurdalnymi zarzutami. Biorąc pod uwagę sytuację, raczej prędzej niż później. Tak działał system, który sam pomagał tworzyć. Wszyscy wiedzieli, że Łuczenko była jego kochanką.

Do domu wróciłem tramwajem, choć ciepła noc zachęcała do spaceru, ale ciągnęło mnie do herbarzy, w drodze wpadłem na pomysł, jak usprawnić sobie pracę.

Zrobiłem mocną kawę, po czym ponownie usiadłem za stołem i starannie rozłożyłem książki. Tym razem nie czytałem ich strona po stronie, a jedynie oglądałem ilustracje, zwracając uwagę na twarze arystokratów i zdjęcia bądź szkice przedstawiające posiadłości najbardziej znanych rodów. Pod ręką miałem „kuferek księżniczki”. Nie musiałem długo szukać, po kwadransie wertowania zakurzonych tomów moją uwagę zwrócił obraz Napoleona Ordy przedstawiający kompleks pałacowy identyczny jak na należącym do matki puzderku. Tuż obok zamieszczono portret. Rysy twarzy właściciela pałacu wydały mi się znajome. I nic dziwnego, był moim pradziadkiem...

**Koniec**

# Zwroty i ciekawostki

***Pli!*** – Pal! Ognia!

***S Nowym Godom!*** – Szczęśliwego Nowego Roku!

***Nie grusti!*** – nie smuć się.

**MUR** – *Moskowskij Ugołownyj Rozysk*, Moskiewska Milicja (Służba) Kryminalna, instytucja powołana w 1866 roku jako MUS (*Moskowskij Ugołownyj Sysk*). Po przejęciu władzy przez bolszewików zmieniono tylko nazwę, wszyscy pracownicy MUS-u uznali władzę komunistów i zaczęli szkolić nowe kadry, złożone z robotników, żołnierzy i bałtyckich marynarzy. Nowa władza potraktowała carskich policjantów ulgowo, ponieważ w Moskwie szerzył się bandytyzm (sam Lenin został obrabowany w czasie przejazdu przez miasto), a komuniści zdawali sobie sprawę, że do wypleniania przestępczości nie wystarczy rewolucyjny entuzjizm.

***Komandir*** – dowódca, szef.

***Rajkom*** – komitet rejonowy.

**Komsomoł** – komunistyczna organizacja młodzieżowa w Związku Sowieckim.

**Gebe** – skrót od słów *Gosudarstwiennaja Biezopasnost'*, Bezpieczeństwo Państwowe.

**Gebesznik** – bezpieczeniak, funkcjonariusz Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego zajmujący się kontrwywiadem.

**Synestezja** – termin ten oznacza tyle, co równoczesne postrzeganie, jest to stan, w którym działanie jednego zmysłu wywołuje odczucia charakterystyczne dla innego. Na przykład u niektórych synestetów odbieranie pewnych dźwięków budzi wrażenie miękkości, a litery bądź cyfry mają swoje kolory. Generalnie jedna z teorii opisujących synestezję mówi, że jest to dar, jakim obdarzone są jednostki posiadające w mózgu dodatkowe połączenia między obszarami, które u większości ludzi działają oddzielnie. Inna twierdzi, że fenomen ten wynika z zachwiania równowagi między hamowaniem i wyciszaniem impulsów mózgowych. Tak czy owak, zdolnością tą wykazywało się wielu artystów, między innymi Nikołaj Rimski-Korsakow, Paul Klee, Franciszek Liszt czy Wassily Kandinsky.

**Haematemesis** – krwawe wymioty.

**Epistaxis** – krwawienie z nosa.

**Insufficiencia cordis** – niewydolność serca.

**Sklif** – popularna nazwa Moskiewskiego Naukowo-Badawczego Instytutu Medycyny Ratunkowej im. Sklifosowskiego. Jego osnową była placówka charytatywna założona przez hrabiego Szeremietiewa na wniosek jego żony, Praskowii Żemczugowej, która wywodziła się z pańszczyźnianych chłopów. Szpital mający udzielać bezpłatnej pomocy biednym rozpoczął działalność



w 1810 roku i działał do rewolucji. W 1923 roku postanowiono przekształcić go w placówkę pogotowia ratunkowego, w 1929 roku patronem tej instytucji stał się profesor Nikołaj Sklifosowski, uczestnik wojen austriacko-pruskiej, francusko-pruskiej i rosyjsko-tureckiej, pionier medycyny ratunkowej w Rosji.

***Gospodin*** – pan.

**Wioski potiomkinowskie** – termin związany z księciem Grigorijem Potiomkinem, który swego czasu, chcąc pochwalić się carycy Katarzynie II sukcesami w kolonizacji nowych terenów, miał zorganizować kilka przenośnych „wiosek”, w których przebrani za chłopów ludzie Potiomkina wydawali radosne okrzyki na widok carycy. Cała sprawa budzi wątpliwości historyków, choć trudno powiedzieć, czy Potiomkin nie przesadził, reklamując swoje osiągnięcia. Byłoby to w rosyjskim duchu. Określenie „wioski potiomkinowskie” oznacza oszustwo mające na celu wywołanie dobrego wrażenia.

**Czerezwyczajka** – potoczna nazwa sowieckiej policji politycznej.

**Bania** – tradycyjna rosyjska łaźnia parowa.

***Sudarynia*** – pani.

**Streptomycyna** – streptomycynę zaczęto produkować w Rosji na początku lat pięćdziesiątych, co pozwoliło wyeliminować powszechną wówczas w Związku Sowieckim gruźlicę.

**Press-chata** – cela, w której współpracujący z administracją bandyci wymuszają zeznania na szczególnie opornych

więźniach. Niektórzy twierdzą, że press-chaty powstały w czasach „suczej wojny”, kiedy to bandyci przestrzegający ściśle *poniatij* zaczęli walczyć o panowanie nad przestępczym światem z kryminalistami, którzy poszli na współpracę z władzą i w obliczu niemieckiej agresji zaciągnęli się do wojska, aby „odkupić winy własną krwią”. Wówczas to przy pomocy administracji miano zmuszać tradycjonalistów do złamania zasad i przechodzenia na stronę „suk”, często stosując ekstremalną przemoc, w tym i press-chaty. Jednak istnieją wzmianki, że niepokornych aresztantów (również kobiety) umieszczano w speccelach już dużo wcześniej. Obecnie rosyjskie władze zapewniają, że press-chaty to przeszłość, odmiennego zdania są sami więźniowie i rosyjscy obrońcy praw człowieka. Niemniej jednak nawet oni przyznają, że nie jest to już zjawisko tak powszechne jak dawniej. Opisane przeze mnie więzienie Butyrki swego czasu słynęło z press-chat.

***Wor w zakonie*** – nieprzetłumaczalny termin oznaczający bandyckiego herszta.

***Poniatija*** – bandyckie zasady.

***Tan-tien*** – (dantian) „pole eliksiru”, środek ciężkości ciała, punkt znajdujący się nieco poniżej pępka, jedno z centrów energetycznych wykorzystywanych w jodze taoistycznej i sztukach walki.

**Służba Feldjegierska** – korpus feldjegrów powstał jako jednostka wojskowa w 1796 roku z rozkazu cara Piotra I. Jego zadaniem było przekazywanie ważnych meldunków, dokumentów i przesyłek, przewóz złota, wielkich sum pieniędzy, a także zdobytych na wrogu sztandarów. W ich obowiązki

wchodziła także eskorta i ochrona najwyższych funkcjonariuszy państwowych. Feldjegrzy od początku byli formacją elitarną i w związku z tym wykonywali polecenia dla cara i wąskiej grupy osób z jego otoczenia. Za panowania Mikołaja I feldjegrzy eskortowali także niebezpiecznych przestępców (skazanych za przestępstwa przeciwko państwu) w drodze do więzienia. Korpus nigdy nie był zbyt liczny, np. w 1800 roku składał się z czterech oficerów i osiemdziesięciu feldjegrów. Początkowo kurierów werbowano z szeregów gwardii, później „dostojnych obywateli” i kupców w wieku 18–25 lat, znających przynajmniej jeden język obcy. Dewizą korpusu było zdanie: „Spóźnić się – znaczy stracić honor”. Jednostka została oficjalnie rozwiązana w 1918 roku, po czym niektórzy feldjegrzy przyłączyli się do białych, inni do bolszewików, jako że obie strony organizowały służbę kurierską. Po zwycięstwie komunistów Służba Feldjegierska istniała pod różnymi nazwami, podporządkowana różnym ministerstwom i strukturom, aż do momentu upadku Związku Sowieckiego. Obecnie działa jako Państwowa Służba Feldjegierska Rosyjskiej Federacji.

**Wymachy rękoma** – to ćwiczenie stosowano w Chinach od setek, o ile nie tysięcy lat zarówno w celu wzmocnienia zdrowia, jak i umiejętności czysto bojowych. Jako wzorzec posłużyła mi propagowana obecnie w celach zdrowotnych technika Ping Shuai Gong, popularna szczególnie na Tajwanie.

**Qi** – energia życiowa, według chińskich teorii od jej ilości i jakości zależy siła człowieka, jego zdrowie i długość życia.

**Marucha** – kochanka bandyty.

**Hiwi** – sowieccy jeńcy wojenni lub cywile w służbie niemieckiej,

w ZSRR traktowani jako kolaboranci.

**Schodka** – zebranie.

**Priediawit'** – oskarżyć przed złodziejskim sądem.

**Obszczak** – bandycki fundusz, z którego finansuje się adwokatów i paczki żywnościowe wysyłane do więzień i na zony, wydziela pieniądze na łapówki itp. Każdy *wor* zobowiązany jest odprowadzać tam część swoich zysków, próba oszustwa w tej kwestii uważana jest przez *błatnych* za poważne przewinienie.

**Wytatuowane na palcach „pierścienie”** – rodzaj więziennych tatuaży określających, za co osądzono danego zeka, jego miejsce w hierarchii, poglądy itp.

**Naczalnik** – szef. Rosyjscy kryminaliści w taki sposób zwracali się do przedstawicieli władzy, w szczególności milicjantów. Zwrot używany do dzisiaj w stosunku do policji.

**Odznaka GTO** – to skrót od słów *Gotow k Trudu i Oboronie SSSR* (Gotowy do Pracy i Obrony ZSRR). Ogólnopaństwowy program wychowania fizycznego z elementami przysposobienia obronnego i patriotycznego zatwierdzony został przez Wszechzwiązkową Radę Kultury Fizycznej w 1931 roku. Dzielił się on na kilka poziomów:

– „Śmiali i zręczni” – dla dzieci w grupach wiekowych 10–11 i 11–12 lat;

– „Sportowa zmiana” – dla młodzieży w wieku 14–15 lat;

– „Siła i męstwo” – dla młodzieży w wieku 16–18 lat;

– „Fizyczna doskonałość” – dla mężczyzn w wieku 19–39 lat i kobiet w wieku 19–34 lat;

– „Wigor i zdrowie” – dla mężczyzn w wieku 40–60 lat i kobiet w wieku 35–55 lat.

Opisana przeze mnie kobieta z odznaką GTO należała do tej ostatniej grupy i przedziału 35–55 lat, a więc musiała zaliczyć między innymi bieg na dwieście metrów w minutę i dwadzieścia sekund, skok w dal bez rozbiegu (z miejsca) na odległość metra i trzydziestu centymetrów i dwukilometrowy bieg na nartach. Program miał charakter masowy, w latach 1972–1975 wymagania GTO spełniało ponad pięćdziesiąt osiem milionów ludzi. W 2014 roku Władimir Putin reaktywował program GTO, zachowując starą nazwę jako „element narodowej historii”.

**Iwan-czaj** – napój z liści wierzbowki kiprzyicy poddawanych fermentacji, podobny w smaku do herbaty, jednak posiadający wiele właściwości zdrowotnych. W Rosji znany od XII wieku, nazywany też „słowiańską herbatą”. W XIX wieku był jednym z głównych towarów eksportowych Rosji, tak popularnym, że zagroziło to supremacji prawdziwej herbaty na rynku i niektóre firmy handlujące herbatą zaczęły rozpuszczać plotki, jakoby iwan-czaj był skażony trującymi dodatkami. Po przejściu władzy przez bolszewików iwan-czaj popadł w zapomnienie, teraz przeżywa swój renesans.

**Czajura, czyfir** – napój sporządzany przez więźniów z czarnej herbaty, podobny w działaniu do lekkich narkotyków.

**Mient** – gliniarz.

**Kappelowcy** – żołnierze „białego” generała Władimira Kappela. Pochodzący z arystokratycznej rodziny Kappel niemal od początku bolszewickiego przewrotu walczył z komunistami, wielokrotnie zwyciężając liczniejsze oddziały wroga. Po zdobyciu

władzy dyktatorskiej przez Kołczaka zaproponował, aby utworzyć doborową jednostkę złożoną z samych oficerów, kawalerów Orderu św. Jerzego (nadawanego za wyjątkowe męstwo w boju). Dowódcą Korpusu Oficerskiego został sam Kappel. Korpus budził paniczny strach wśród krasnoarmiejców i odniósł wiele sukcesów, w wyniku czego Kappel został awansowany do stopnia generała-majora. Zmarł 26 stycznia 1920 roku na zapalenie płuc, po amputacji odmrożonych w czasie forsowania rzeki stóp.

**Niczego** – nic.

**Matwiej Zacharow** – przytoczona w tekście opowieść o tym, jak Zacharow tuż przed wybuchem wojny postawił podległe sobie oddziały w stan gotowości bojowej, jest prawdziwa. W latach 1949–1952 był dowódcą wywiadu wojskowego.

**Rywalizacja między bezpieczeństwem a milicją** – tarcia między organami bezpieczeństwa Związku Sowieckiego a milicją nie są moim wymysłem, oba resorty (a jeszcze bardziej ich szefowie) rywalizowały ze sobą niemal przez cały czas istnienia ZSRR. Do apogeum doszło za rządów Breżniewa, kiedy to pijani milicjanci zabili majora KGB Afanasjewa dla butelki koniaku i zagrychy. (Opisałem to bliżej w „Do Rzeczy” 2018, nr 21/273). Starcie wygrało KGB, śledztwo, jakie zainicjował kierujący wówczas KGB Andropow, doprowadziło nie tylko do wykrycia sprawców śmierci Afanasjewa, ale też ujawniło, że wielu milicjantów dopuszczało się grabieży, pobić, a nawet morderstw. Za ciężkie przestępstwa osądzono osiemdziesięciu moskiewskich milicjantów, a trzystu wyrzucono ze służby. Ostatecznie szef MSW Nikołaj Szczołokow popełnił samobójstwo, a afera ta definitywnie zniszczyła podtrzymywany przez sowiecką

propagandę wizerunek milicjanta jako obrońcy i przyjaciela zwykłych ludzi.

**Gensek** – skrót od *gienieralnyj siekrietar'*, pierwszy sekretarz, sekretarz generalny (partii komunistycznej).

**Carte blanche** – swoboda działania, nieograniczone pełnomocnictwo.

**Zam** – skrót od *zamiestitel*, zastępca.

**Tak toczno** – tak jest.

**Ja w diele** – piszę się na to.

**KOT, koriennoj obitatieł tiurmy** – rodowity mieszkaniec więzienia. Tatuaż w formie skrótu literowego lub głowy kota mogli w Rosji wykonywać tylko zawodowi przestępcy po długoterminowych wyrokach.

**Zek** – (także z/k) skrót od *zakluczonnyj krasnoarmiejec*, uwięziony czerwonoarmista, funkcjonujący od lat dwudziestych zeszłego wieku, później, ze względu na nieprzyjemny dla Armii Czerwonej wydźwięk, tłumaczono jako *zakluczonnyj kanałoarmiejec* (w czasie budowy Kanału Białomorsko-Bałtyckiego), wreszcie zaczęto tak nazywać wszystkich więźniów.

**Kompromat** – kompromitujące dokumenty.

**Biespriedielszczik** – człowiek nieprzestrzegający bandyckich zasad.

**Incognito** – nie ujawniając swojej tożsamości.

**Persona non grata** – osoba niepożądana.

**Smotriaszczij** – nadzorca, człowiek, który w więzieniu lub na zonie pilnuje, aby przestrzegano bandyckich zasad. Dawniej w każdej celi albo baraku był ktoś taki, istniała też funkcja nadzorcy całej zony czy więzienia. *Smotriaszczij* był ostateczną instancją w przypadku sporów pomiędzy zekami, karał również więźniów naruszających złodziejskie zasady. Od jego wyroku nie było odwołania.

**Fufło** – kłamstwo, oszustwo.

**Zatoczka** – samodzielnie zrobione ostrze, przeważnie wytwarzane przez więźniów z przedmiotów takich jak gwoździe, pilniki lub łyżki. Bywa, że z masy plastycznej albo innych, na pozór dość egzotycznych materiałów, jak na przykład chleb. Zrobienie noża z mleka, czy ściślej mówiąc, z kazeiny, jest możliwe (choć z oczywistych względów sam proces opisałem bez detali), jednak nieprzydatne w warunkach więziennych, gdyż masa została się przez wiele dni, a w celi trudno cokolwiek schować.

**Prawilnyj mient** – uczciwy gliniarz, milicjant przestrzegający pewnych zasad, taki, który nie bierze łapówek (szczególnie od sprawców przestępstw budzących pogardę *błatnych*, jak na przykład gwałty) i nie „szyje sprawy”, to znaczy nie oskarża ludzi o przestępstwa, których nie popełnili. Tacy milicjanci cieszyli się w Rosji wśród bandytów pewnym szacunkiem.

**Na wychod** – do wyjścia.



**Napoleon Orda** – rysownik, malarz, kompozytor i pianista (gry na pianinie i komponowania uczył się u Fryderyka Chopina i Franciszka Liszta), stał się znany z dokumentowania zabytków architektury. Uczestniczył aktywnie w życiu Wielkiej Emigracji, kiedy car Aleksander II ogłosił amnestię dla powstańców (Orda brał udział w powstaniu listopadowym, za bitwę pod Kockiem otrzymał Złoty Krzyż Virtuti Militari), wrócił do rodzinnych Worocewicz, później pracował jako guwerner w domu generała Adama Rzewuskiego w Wierzchowni na Ukrainie. W czasie corocznych podróży utrwał charakterystyczne budowle i krajobrazy, w tym zamki i pałace.



**ADAM PRZECHRZTA  
DEMONY ZEMSTY  
ABAKUMOW**

Zbliża się Nowy Rok, ale nie wszyscy są w nastroju do świętowania. Ktoś powiedział kilka zdań za dużo, ktoś usłyszał zbyt wiele. Kto inny postanowił, że czas usunąć z szachownicy kłopotliwą figurę.

Na szczytach władzy zapadła decyzja:

**RAZUMOWSKI MUSI  
UMRZEĆ!**

Nadchodzi nowy, tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty pierwszy rok.